

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Mark Twain

Przygody Hucka

Copyright by **Tower Press**

Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001

Dowiadam się o Mojżeszu, w sitowiu

Nie znacie mnie, chyba że czytaliście książkę pod tytułem *Przygody Tomka Sawyera*. Ale mniejsza o to. Tę książkę napisał pan Mark Twain i przeważnie powiedział w niej prawdę. Niektóre rzeczy zmyślił, ale na ogół przedstawił wszystko prawdziwie. Zresztą to nieważne, że zmyślił. Nie widziałem w życiu człowieka – prócz jednej chyba ciotki Polly i wdowy, no i może jeszcze Mary – który by nie skłamał przy jakiejś okazji. O ciotce Polly – to ta ciotka Tomka Sawyera – i o Mary, i o wdowie Douglas czytaliście wszyscy w tej książce, która przeważnie jest prawdziwa, tylko trochę w niej blagi, o czym już mówiłem.

Więc ta książka kończy się tak: Tomek i ja znaleźliśmy pieniądze, które rozbójnicy ukryli w jaskini, i od razu staliśmy się bogaci. Otrzymaliśmy każdy po sześć tysięcy dolarów, w samym złocie. Strasznie tego było dużo, kiedy się tak wszystko zsypało na kupę. A potem sędzia Thatcher wziął te pieniądze i oddał je na procent, i mieliśmy z nich dochód po dolarze na głowę co dzień przez okrągły rok – tak że człowiek naprawdę nie wiedział, co z tym robić. Wdowa Douglas wzięła mnie na syna i powiedziała, że mnie ucywilizuje. Ale ciężko mi było tak żyć dzień po dniu w jej domu, bo wdowa była we wszystkim niemożliwie porządna i systematyczna. Kiedy już nie mogłem dłużej wytrzymać, uciekłem. Włożyłem stare ubranie, stary słomkowy kapelusz i byłem znowu wolny i szczęśliwy! Ale Tomek Sawyer mnie wytropił i powiedział, że chce założyć szajkę rozbójników i że mógłbym do niej przystąpić, jeżeli wrócę do wdowy i będę się zachowywał przyzwoicie. Więc wróciłem.

Wdowa rozplakała się na mój widok i powiedziała, że jestem biedna zbłąkana owieczka, i rzucała jeszcze na mnie inne takie wyzwiska, tylko że wcale nie chciała mi nimi ubliżyć. Kazała mi na powrót włożyć nowe ubranie i nic już nie mogłem na to poradzić, tylko się pocilem i pocilem, i czułem się tak, jakby mnie ktoś związał sznurami. A potem wszystko znów było po staremu. Wdowa dzwoniła na kolację i człowiek musiał na czas przychodzić do jadalni. A jak już siadłem przy stole, nie mogłem od razu brać się do jedzenia, tylko musiałem czekać, aż wdowa spuści głowę i coś tam pomruczy pod nosem na wiktuały, chociaż prawdę mówiąc, nie były wcale takie złe. To jest złe może nie były, tylko że każdą potrawę gotowali w kuchni oddzielnie.

W kociołku z różnościami jest całkiem inaczej: wszystko się miesza, sos jakby przechodzi z jednej potrawy w drugą i jedzenie robi się smaczniejsze.

Któregoś dnia po kolacji wdowa wzięła do ręki książkę i uczyła mnie o Mojżeszu ukrytym w sitowiu, a ja okropnie nie chciałem się wszystkiego o nim dowiedzieć. Ale po chwili wdowa się wygadała, że Mojżesz umarł dość dawno temu, więc całkiem przestałem się nim interesować, bo nic a nic mnie nie obchodzą nieboszczycy.

Zaraz potem zachciało mi się palić, więc poprosiłem wdowę o pozwolenie. Ale gdzie tam! Nie pozwoliła. Powiedziała, że to wstrętny nawyk i w dodatku bezbożny, więc powinienem postarać się nie brać więcej fajki do ust. Tacy już są niektórzy ludzie. Wybrzydząją się na rzeczy, o których nie mają żadnego pojęcia. Wdowa martwiła się o Mojżesza, który nie był jej ani swatem, ani bratem i z którego nikt nie miał najmniejszego pożytku, bo jak już wam mówiłem, od dawna już nie żył; a jednocześnie ostro mi przyganiała, że robię coś, co mi sprawia przyjemność. Zresztą sama zażywała tabakę, tylko że naturalnie w tym nie było nic złego, bo to ona robiła.

Właśnie wtedy wprowadziła się do wdowy panna Watson, jej siostra, dość chuda stara panna w okularach na nosie, i z miejsca zabrała się do mnie z elementarzem w ręce. Mordowała mnie blisko godzinę, aż w końcu wdowa kazała jej przestać. Całe szczęście, bo nie wytrzymałbym tego dłużej. Potem przez godzinę było śmiertelnie nudno, więc się wierciłem. Panna Watson mówiła:

„Nie kładź tam nóg, Huckleberry”, albo: „Nie kuł się tak w krześle, Huckleberry. Siedz prosto!” i zaraz potem dodawała: „Nie ziewaj i nie przeciągaj się, Huckleberry! Czy ty nie możesz zachowywać się porządnie?” Wreszcie opowiedziała mi wszystko o piekle, a ja jej na to, że bardzo bym chciał się tam dostać. Wtedy ona wpadła w straszną złość, ale ja naprawdę nie miałem nic złego na myśli. Chciałem tylko pójść sobie gdzieś; chciałem tylko jakiejś zmiany, wszystko jedno jakiej. Panna Watson powiedziała, że to grzech mówić w taki sposób, że ona by tak nie powiedziała za nic na świecie, że będzie żyła cnotliwie, bo chce pójść do nieba. Ponieważ nie miałem najmniejszej ochoty chodzić tam, gdzie ona się wybierała, postanowiłem, że wcale się o to nie będę starał. Ale jej tego nie powiedziałem, bo narobiłbym sobie tylko biedy i nic dobrego by z tego nie wynikło.

A jak już raz zaczęła, rozgadała się na całego i opowiedziała mi dokładnie o niebie. Powiedziała, że człowiek nie będzie tam miał nic do roboty, tylko od rana do nocy będzie się przechadzał z harfą i śpiewał, i tak przez całą wieczność. Nie bardzo mi się to podobało. Ale znowu nic nie powiedziałem. Spytałem ją tylko, czy myśli, że Tomek Sawyer pójdzie do nieba,

ale ona na to, że z całą pewnością nie, co mnie ucieszyło, bo chciałem, żebyśmy byli razem.

Panna Watson dalej się czepiała, aż mnie to w końcu zmęczyło i całkiem mi zbrzydło. Po trochu zaczęli się schodzić Murzyni na modlitwę, a potem wszyscy wynieśli się spać. Wziąłem świecę, poszedłem na górę do mojego pokoju i postawiłem świecę na stole. Potem usiadłem na krześle obok okna i próbowałem myśleć o czymś wesołym, ale mi to nie wychodziło. Czułem się taki samotny, że prawie miałem ochotę umrzeć. Gwiazdy błyszczały na niebie i liście w lesie szeleściły jakoś żałobnie. Z daleka słyszałem puchacza, który hukał o czyjejs śmierci, i wycie psa, który zapowiadał komuś bliski pogrzeb. A wiatr zawodził tak dziwnie, jakby chciał coś powiedzieć, tylko że ja w żaden sposób nie mogłem zrozumieć, o co mu chodziło, więc aż mi przebiegały po plecach zimne dreszcze. Potem gdzieś w lesie, daleko, usłyszałem takie zawodzenie, jakie wydaje duch, kiedy chce powiedzieć o czymś, co mu doskwiera, ale nikt go nie może zrozumieć, więc zamiast żeby spoczął sobie wygodnie w grobie – musi tłuc się co noc i zawodzić żałobnie. Tak mnie to przybiło i przestraszyło, że zapragnąłem mieć kogoś przy sobie. Zaraz potem zobaczyłem pająka pełzającego mi po ramieniu, więc go strząsnąłem i on zapalił się od płomienia świecy, a zanim zdążyłem palcem ruszyć, już spiekł się cały i skurczył. Nikt mi nie musiał tłumaczyć, że jest to strasznie zły znak i ściąganie na mnie jakieś nieszczęście, więc ze strachu tak się zacząłem trząść, że o mało co nie spadło ze mnie ubranie. Wstałem i przeszedłem się w kółko trzy razy po własnych śladach, żegnając się za każdym razem, a potem związałem nitką kosmyk włosów, żeby odegnać złe duchy. Ale mnie to nie pocieszyło. Robi się tak, kiedy człowiek zgubi znalezionej podkowie zamiast przybić ją nad drzwiami, ale nie słyszałem, żeby to był sposób na odegnanie nieszczęścia po zabiciu pająka.

Dygocąc cały usiadłem z powrotem na krześle, wyciągnąłem fajkę i zapaliłem; w domu było teraz cicho jak w grobie, więc wdowa nie mogła się o niczym dowiedzieć. Upłynęło sporo czasu, aż w końcu usłyszałem z daleka bicie zegara w mieście – bum, bum, dwanaście uderzeń; i znowu cisza, jeszcze większa niż przedtem. Po chwili usłyszałem trzask gałęzi w ciemności między drzewami – coś się tam ruszało. Ani drgnąłem, tylko nadstawiłem uszu. Zaraz potem rozległo się w dole cichutkie „miau, miau”. Dobra nasza! Zapiszczałem też „miau, miau”, najciszej jak tylko mogłem, zgasilem świecę i wgramoliwszy się na parapet, skoczyłem na dach szopy. Potem hyc na ziemię, wpelzłem między drzewa – a tam, naturalnie, czekał na mnie Tomek Sawyer.

Krwawa przysięga naszej bandy

Poszliśmy na palcach ścieżką prowadzącą między drzewami za dom, na koniec ogrodu wdowy, schylając się cały czas, żeby nas gałęzie nie biły po głowach. Kiedyśmy szli koło kuchni, przewróciłem się o jakiś korzeń i narobiłem hałasu. Przypadliśmy obaj do ziemi i leżeliśmy cicho. W drzwiach kuchni siedział Jim, wielki Murzyn panny Watson; widzieliśmy go wyraźnie, bo za nim paliło się światło. Wstał i wyciągnąwszy szyję nasłuchiwał dobrą minutę. W końcu powiada: – Kto tam? – Słuchał jeszcze chwilę, a potem wyszedł na palcach przed dom i stanął w samym środku między nami; mogliśmy go prawie dotknąć ręką. Trwało to chyba bardzo długo, a tu ciągle cisza i my wszyscy trzej tuż obok siebie. Raptem zaczęło mnie swędzić jedno miejsce na kostce u nogi. Ale się nie podrapałem. Potem zaswędziło mnie ucho, a po uchu plecy między łopatkami. Pomyślałem, że umrę, jak się nie podrapię. Od tego czasu nieraz to obserwowałem. Kiedy człowiek znajdzie się między ludźmi z dobrego towarzystwa albo jest na pogrzebie, albo stara się zasnąć, kiedy nie jest senny, albo trafi gdziekolwiek, gdzie nie wypada mu się drapać – pewne jak amen w pacierzu, że zaraz poczuje swędzenie w najmniej stu miejscach. Po chwili Jim odezwał się znowu:

– Hej... kto jesteś? Gdzie jesteś? Niech mnie psy zjedzą, jak czegoś nie słyszałem. Hm... wiem, co zrobić. Usiądę i posłucham, czy znowu czegoś nie usłyszę!

No więc usiadł na ziemi między mną i Tomkiem. Oparł się plecami o drzewo i wyciągnął nogi przed siebie, tak że palcami prawie dotykał mojej stopy. Zaczął mnie nos swędzić. Tak mnie swędził, że łzy napłynęły mi do oczu. Ale się nie podrapałem. Z kolei zaswędził mnie nos w środku. Zaraz potem poczułem swędzenie pod sobą. Nie wyobrażałem sobie, żebym mógł dłużej uleżeć spokojnie. Taka mordęga trwała sześć, może siedem minut – mnie się wydawało, że sto razy dłużej. Swędziło mnie teraz w jedenastu rozmaitych miejscach. Pomyślałem, że nie wytrzymam dłużej niż minutę, ale zaciąłem zęby i postanowiłem spróbować. Właśnie wtedy Jim

zaczął głośno oddychać, po chwili zachrapał – a jeszcze po chwili było mi znowu przyjemnie.

Tomek dał znak – jakby ciche cmoknięcie wargami – i zaczęliśmy się czołgać na brzuchach. Kiedyśmy się oddalili o jakieś dziesięć stóp, Tomek szepnął mi, że ma ochotę dla kawału przywiązać Jima do drzewa. Ale mu nie pozwoliłem. Jim mógłby się obudzić i narobić rwetesu i zaraz by się wykryło, że mnie nie ma w pokoju. Wtedy Tomek powiedział, że ma za mało świec, więc wślizgnie się do kuchni i weźmie, ile mu trzeba. Wołałem, żeby tego nie robił. Powiedziałem mu, że Jim gotów się obudzić i też wejść do kuchni. Ale Tomek koniecznie chciał zaryzykować, więc przekradliśmy się do tej kuchni, wzięliśmy trzy świece i Tomek położył na stole pięć centów jako zapłatę. Potem wyszliśmy i chciałem stąd jak najprędzej czmychnąć, ale na Tomka nie było rady – nic tylko musiał przyczłgać się do tego miejsca, gdzie siedział Jim, i spłatać mu jakiegoś figla. Czekałem i czas strasznie mi się dłużył, i wszystko dokoła było okropnie ciche i opustoszałe.

Jak tylko Tomek wrócił, poszliśmy dalej ścieżką, przeleźliśmy przez płot i już po chwili wspinaliśmy się na szczyt stromego pagórka po drugiej stronie domu. Tomek powiedział mi, że zdjął Jimowi kapelusz z głowy i powiesił go na gałęzi tuż nad nim i że Jim poruszył się trochę, ale spał dalej. Później Jim mówił, że zaczarowały go czarownice, wsiadły mu na grzbiet i kazały się wozić po całym stanie, aż w końcu posadziły go na powrót pod drzewem i powiesiły mu kapelusz na gałęzi, żeby było wiadomo, kto to zrobił. Kiedy Jim opowiadał tę przygodę po raz drugi, to już mówił, że czarownice kazały mu się zawieźć do Nowego Orleanu. A potem ile razy opowiadał, tyle razy przedłużał drogę, aż po pewnym czasie przysięgał, że czarownice kazały mu się wozić po całym świecie, że o mało co nie zajeździły go na śmierć i że całe plecy miał w pęcherzach. Jim okropnie był z tego dumny i w końcu tak mu się w głowie przewróciło, że prawie nie zauważał innych Murzynów. Murzyni schodzili się z odległości wielu mil, żeby wysłuchać opowieści Jima, a szanowali go bardziej niż jakiegokolwiek innego czarnego w okolicy. Obcy Murzyni zatrzymywali się i patrzyli na niego z rozdziawionymi gębami, jakby był jakim dziwem nad dziwy. Czarni chętnie opowiadają sobie o duchach wieczorem w kuchni przy kominie. Ale jak tylko któryś zaczynał gadać i dawał do zrozumienia, że zna się na takich rzeczach, Jim mu przerywał: – Hm, a co ty możesz wiedzieć o czarach? – i Murzyna zaraz zatykało, i milkł jak niepyszny. Jim zawiesił te pięć centów na sznurku i nosił je zawsze na szyi. Chwalił się, że jest to talizman, który dał mu własnoręcznie sam diabeł, i przy tym powiedział, że jak Jim szepnie kilka słów, może za pomocą tego talizmanu leczyć wszystkie choroby i w każdej

chwili przywoływać czarownice; ale Jim nie chciał się przyznać, jakie to słowa. Murzyni schodzili się zewsząd i dawali Jimowi wszystko, co mieli, żeby im pozwolił spojrzeć na te pięć centów, ale za nic by ich nie dotknęli, bo diabeł miał je w ręku. Ponieważ Jim widział diabła i woził na grzbiecie czarownice, tak mu się w głowie przewróciło, że jako służący całkiem się zbałamucił.

Kiedy weszliśmy z Tomkiem na szczyt pagórka i spojrzeliśmy w dół na miasteczko, zobaczyliśmy światło w kilku domach, gdzie może leżał ktoś chory. Gwiazdy nad nami błyszczały pięknie, a w dole koło miasteczka widać było rzekę szeroką na milę i taką cichą i wspaniałą! Zeszliśmy z pagórka i odszukaliśmy Jo Harpera, Bena Rogersa i jeszcze kilku chłopców ukrytych w starej garbarni. Potem odwiązawszy czółno popłynęliśmy dwie i pół mili w dół rzeki i wysiedliśmy w miejscu, gdzie sterczy na zboczu pagórka stroma skała.

Podeszliśmy do kępy krzaków i Tomek najpierw kazał nam wszystkim przysiąc, że dochowamy tajemnicy, a potem pokazał szczelinę w skale ukrytą w gąszczu krzaków. Zapaliliśmy świece i wczołgaliśmy się na czworakach do środka. Posuwaliśmy się tak ze dwieście jardów, aż nagle korytarz całkiem się rozszerzył. Tomek chwilę szukał po omacku przejścia, a potem dał nura w szparę w ścianie, której nikt by chyba nie dostrzegł. Przeszliśmy wąskim korytarzem i znaleźliśmy się w jaskini obszernej niczym izba, ale zimnej i o wilgotnych, oślizłych ścianach. Zatrzymaliśmy się tam, a Tomek powiedział:

– Zawijemy teraz tę bandę rozbójników i nazwiemy ją Bandą Tomka Sawyera. Kto chce do niej należeć, musi złożyć przysięgę i podpisać się własną krwią.

Wszyscy na to przystali. Wtedy Tomek wyjął z kieszeni kartkę papieru, na której wypisał przysięgę i całą ją nam odczytał. Było tam, że każdy chłopiec przysięga dochować bandzie wierności i nigdy nie zdradzi żadnego z jej sekretów. A jak ktoś zrobi krzywdę któremuś członkowi bandy, chłopiec, który otrzyma rozkaz zabicia krzywdziciela i całej jego rodziny, musi to zrobić i nie będzie jadł ani nie będzie spał, dopóki ich nie zabije i nie wytnie im na piersiach krzyża, czyli tajemnego znaku bandy. I nikt, kto nie jest członkiem bandy, nie śmie używać znaku krzyża, a gdyby używał, banda poda go do sądu; a jak mimo to będzie używał, zostanie zabity. A jeśli którykolwiek z członków bandy zdradzi obcym tajemnicę, zginie z poderżniętym gardłem, jego trup zostanie spalony i popioły rozrzucone na cztery strony świata, a jego imię krwią będzie wymazane z listy i banda nigdy głośno go nie wypowie, a tylko obłoży klątwą i na zawsze wyrzuci je z pamięci. Wszyscy chłopcy wołali, że jest to wspaniała przysięga, i pytali

Tomka, czy ją sam wykombinował. Tomek powiedział, że częściowo wziął ją z głowy, a częściowo z książek o piratach i rozbójnikach i że w ogóle używa jej każda szanująca się banda złoczyńców.

Niektórzy chłopcy uważali, że trzeba by zabijać także rodziny chłopców, którzy wydadzą sekrety bandy. Tomek przyznał, że to świetna myśl, i dopisał ołówkiem to zdanie. Wtedy odezwał się Ben Rogers:

– A co z Huckiem Finnem? Huck nie ma rodziny.

– Ma przecież ojca – odparł Tomek Sawyer.

– A jakże, ma ojca, tylko nikt nie wie, gdzie się ten ojciec podziewa. Dawniej, jak się spił, leżał między wieprzami na podwórzu starej garbarni, ale już chyba od roku nie było go w tych stronach.

Zaczęli się zastanawiać, co ze mną zrobić; powiedzieli, że mnie wykluczą, ponieważ każdy chłopiec musi mieć rodzinę czy kogoś takiego, kogo można by zabić, inaczej nie byłoby to sprawiedliwe względem innych chłopców. Nikt nie mógł nic mądrego wymyślić, byliśmy całkiem zgnębieni i siedzieliśmy w milczeniu. Zbierało mi się na płacz. Ale nagle wpadłem na dobry pomysł i zaproponowałem im pannę Watson. Mogą ją w razie czego zabić. Chłopcy zaczęli wołać:

– Nada się, nada. Dobra nasza. Huck może wstąpić do bandy. Potem każdy z nas wziął szpilkę i nakłuł sobie palec, żeby móc podpisać się krwią, i ja również postawiłem swój znak na papierze.

– A teraz chciałbym wiedzieć – odezwał się Ben Rogers – czym nasza banda będzie się zajmowała?

– Nic, tylko będziemy rabowali i mordowali – odparł Tomek.

– A co będziemy rabowali? Domy czy bydło... czy...?

– Co za brednie, Ben! Kradzież bydła i różnych przedmiotów, to nie jest żadne rozbójnictwo, tylko zwyczajne złodziejstwo – odparł Tomek Sawyer. – Nie jesteśmy złodziejami. To nie byłoby w dobrym stylu. Jesteśmy rozbójnikami. Ubrani w maski zatrzymujemy dylizanse i powozy na drogach, a potem zabijamy podróżnych i zabieramy im zegarki i pieniądze.

– Czy zawsze musimy zabijać podróżnych?

– Naturalnie. To najlepszy sposób. Niektórzy pisarze twierdzą inaczej, ale przeważa zdanie, że najlepiej ich zabić. Oprócz tych, których się przyprowadza do jaskini i trzyma, dopóki się nie

okupią.

– Dopóki się nie okupią? Co to znaczy?

– Nie wiem. Ale zawsze tak się robi. Tak czytałem w książkach, więc naturalnie my też musimy to robić.

– Ale jak to możemy robić, kiedy nie wiemy, co to jest?

– Trudno, musimy. Nie mówiłem ci, że tak jest napisane w książkach? Chcesz zacząć od tego, żeby robić wszystko inaczej, niż jest w książkach i wszystko pokręcić?

– E, Tomek, to się tak łatwo mówi. Ale jak, u licha, mają się ci ludzie okupić, kiedy nie wiemy, jak to z nimi zrobić? Tego chciałbym się dowiedzieć. Jak myślisz, co to może znaczyć?

– Hm, słowo daję, że nie wiem. Ale może znaczy, że jak będziemy trzymali tych ludzi, dopóki się nie okupią, to znaczy, że będziemy ich trzymali do śmierci?

– Całkiem możliwe. To nawet pasuje. Czegoś od razu tak nie powiedział? Zatrzymamy ich, dopóki się na śmierć nie okupią, a kłopotów będzie z nimi fura – objedzą nas doszczętnie i tylko będą patrzyli, jak by się tu urwać.

– Co ty pleciesz, Ben! Jak mogą uciec, kiedy postawimy przy nich straż, gotową strzelać przy lada ruchu?

– Postawimy straż! To mi się podoba! Ktoś będzie tu musiał sterczeć całutką noc i ani na chwilę nie zmruży oka tylko po to, żeby ich pilnować. Uważam, że to głupota. Dlaczego nie mielibyśmy wziąć do ręki porządnej maczugi i okupić ich na śmierć, jak tylko tu przyjdą.

– Dlatego, że w książkach jest inaczej. Słuchaj no, Ben, chcesz robić wszystko jak należy czy nie chcesz? Bo o to tylko chodzi. Czy nie myślisz, że ludzie, którzy piszą książki, najlepiej znają się na rzeczy? A może ci się zdaje, że ty ich czegoś nauczysz? Wybij to sobie z głowy. Nie, Ben, gadaj zdrów, a my i tak pozwolimy im się okupić w przepisany sposób.

– No więc zgoda. Mnie tam wszystko jedno, ale dalej uważam, że to głupi pomysł. Słuchaj no, kobiety też zabijamy?

– Ach, Ben, gdybym był taki ciemny jak ty, na pewno bym się do tego nie przyznawał. Zabijać kobiety! Skądże, w żadnej książce nigdy tego nie czytałem. Posłuchaj: przyprowadzasz je do jaskini, nadskakujesz im, a one powoli zakochują się w tobie i ani myślą wracać do domu.

– Hm, jeżeli tak ma być, zgoda, ale mnie się to nie podoba. Zanim się obejrzymy, jaskinia będzie zapchana kobietami i mężczyznami czekającymi, aż się okupią na śmierć i dla rozbójników nie starczy miejsca. Ale rób, jak chcesz, Tomku, nie mam nic więcej do

powiedzenia.

Mały Tommy Barnes zasnął, a kiedy go chłopcy obudzili, bardzo się przestraszył i rozplakał, i wołał, że chce do mamy i że nigdy więcej nie będzie rozbójnikiem.

Wszyscy chłopcy zaczęli się z niego naśmiewać i nazywali go płaksą, a wtedy on się wściekł i zagroził, że jak tylko wróci, wyda wszystkie nasze tajemnice. Ale Tomek dał mu pięć centów, byle tylko milczał; potem nam powiedział, że teraz rozejdziemy się do domów, a w przyszłym tygodniu znowu się spotkamy i obrabujemy kogoś, i zabijemy kilka osób.

Ben Rogers powiedział, że trudno mu się wyrwać z domu w tygodniu. może tylko w niedzielę, więc chciał, żebyśmy się spotkali w niedzielę. Ale wszyscy chłopcy uważali, że to byłby straszny grzech rabować i zabijać w niedzielę, więc pomysł Bena odpadł. Postanowiliśmy, że się spotkamy możliwie najprędzej i wyznaczymy jakiś dzień. Potem wybraliśmy Tomka Sawyera na herszta, a Jo Harpera na zastępcę herszta bandy i poszliśmy do domu.

Wdrapałem się na szopę i wśliznąłem przez okno do pokoju tuż przed świtem. Moje nowe ubranie całe było wyplamione woskiem i umazane gliną, a ja sam byłem okropnie zmęczony.

Urządzamy zasadzkę na Arabów

Nie ma co, dobrze mi się dostało od starej panny Watson za to moje nowe ubranie. Ale wdowa wcale mnie nie łąjała, tylko wyczyściła wosk i błoto z ubrania i miała strasznie smutną minę, więc pomyślałem, że będę zachowywał się przez jakiś czas przyzwoicie, jeżeli mi się uda. Potem panna Watson zamknęła się ze mną w schowanku i długo się modliła, ale nic z tego nie wyszło. Powiedziała mi, że jak się będę modlił co dzień, dostanę wszystko, o co poproszę. Spróbowałem i okazało się, że to nieprawda. Kiedyś dał mi ktoś wędkę, ale bez haczyków. Co komu po wędce bez haczyków. Więc kilka razy modliłem się o te haczyki, ale jakoś nie wyszło. Potem któregoś dnia poprosiłem pannę Watson, żeby za mnie spróbowała, ale ona mi na to, że jestem głupi. Wcale mi nie powiedziała dlaczego, a ja sam w żaden sposób nie mogłem się w tym połapać.

Kiedyś usiadłem w lesie i długo o tej sprawie myślałem. Powiedziałem sobie, że jak człowiek może otrzymać wszystko, o co poprosi w modlitwie, to dlaczego pastor Winn nie dostał z powrotem pieniędzy, które stracił na świniach? Dlaczego wdowa nie może odzyskać srebrnej tabakierki, którą jej ukradli? Dlaczego panna Watson nie może trochę utyć? Nie, mówię sobie, to zwykle nabieranie. Poszedłem do wdowy i powiedziałem jej, co myślę, a ona mi na to, że te rzeczy, które człowiek może wyprosić modlitwą, nazywają się „dary duchowe”. To było już dla mnie za mądre, ale ona mi wytłumaczyła, o co jej idzie; że niby muszą pomagać innym ludziom i być dla nich pożyteczny, i ciągle uważać, czy im czego nie trzeba, a o sobie wcale nie myśleć.

O ile dobrze zrozumiałem, miało to się tyczyć także panny Watson. Więc poszedłem znów do lasu i myślałem o tym bardzo długo, ale nie widziałem, jaka by z tego mogła wynikać korzyść, chyba że dla tych innych ludzi, więc w końcu postanowiłem dać pokój i nie zawracać sobie tym więcej głowy. Wdowa brała mnie czasem na stronę i mówiła mi o Opatrzności w taki jakiś sposób, że serce całkiem we mnie miękło; ale wystarczyło, żeby panna Watson wzięła się

następnego dnia do roboty, a zaraz wszystko psuła. Pomyślałem, że pewnie są dwa rodzaje Opatrzności i że człowiek potrafi dać sobie niegorzej radę z Opatrznością wdowy, ale jak panna Watson przyprze go do muru, nie ma już żadnego ratunku. Długo to sobie kombinowałem i w końcu postanowiłem przystąpić do Opatrzności wdowy, jak ta Opatrzność mnie zechce, chociaż po prawdzie ani rusz nie mogłem zrozumieć, co by jej z tego przyszło, jeżeli się zważy, że jestem taki nieuczony i taki pospolity, i krnąbrny.

Tatka nie widział nikt w naszych stronach od przeszło roku, co bardzo mnie cieszyło; wolałbym go już nigdy w życiu nie oglądać. Grzmocił mnie zwykle, kiedy był trzeźwy i miał mnie pod ręką; choć prawdę mówiąc, jak tatko kręcił się po okolicy, uciekałem najczęściej do lasu. W tym mniej więcej czasie znaleziono go utopionego w rzece, jakie dwanaście mil powyżej miasta. Tak ludzie powiadali; przynajmniej zdawało im się, że to tatko. Powiadali, że ten topielec był dokładnie jego wzrostu i cały w łachmanach i miał bardzo długie włosy, więc to wszystko wyglądało na tatkę. Twarzy wcale nie mogli rozpoznać, bo tak długo mokła w wodzie, że w ogóle nie przypominała już twarzy. Ludzie jeszcze powiadali, że topielec pływał na plecach. Wyłowili go z wody i pochowali na brzegu. Ale potem znowu zacząłem się niepokoić, bo przyszło mi coś nagle do głowy; wiedziałem doskonale, że utopiony mężczyzna nie pływa nigdy na plecach, tylko twarzą do dołu. Więc w mig zrozumiałem, że to wcale nie był tatko, tylko jakaś kobieta przebrana za mężczyznę. Dlatego z powrotem zacząłem się niepokoić. Pomyślałem, że tatko niedługo znowu się tu zjawi, chociaż wolałbym, żeby nie przychodził.

Przez jakiś miesiąc bawiliśmy się w rozbójników, a potem wystąpiłem z bandy. Inni chłopcy też wystąpili. Nie obrabowaliśmy nikogo ani nie zabili, a wszystko robiliśmy na niby. Wyskakiwaliśmy zza drzew i napadaliśmy pastuchów pędzących świnie, albo kobiety wiozące warzywa na targ, ale nie odprowadziliśmy żadnego z nich do jaskini. Tomek Sawyer mówił, że świnie to sztaby złota, a brukiew i inne warzywa to drogocenne kamienie. Szliśmy potem do jaskini i dalej przechwalać się, czegośmy to nie dokonali, iluśmy ludzi zabili, ilu zranili. Ale ja nie widziałem w tym żadnych dla nas korzyści. Któregoś dnia Tomek kazał jednemu chłopcu biegać po miasteczku z płonącym patykiem, który nazywał wiciami (tym znakiem zwoływała się banda), a potem powiedział nam, że wedle tajemnych wieści, jakie otrzymał od swoich zwiadowców, jutro w Dolinie Płytkiej Pieczary rozbije obóz cała gromada hiszpańskich kupców i bogatych Arabów z dwiema setkami słoni, sześcioma setkami wielbłądów i ponad tysiącem mułów – wszystko to obładowane do niemożliwości samymi brylantami. Powiedział też Tomek,

że. w straży mają tylko czterystu żołnierzy, więc urządzimy na nich, jak to nazwał, zasadzkę, zabijemy wszystkich i porwiemy brylanty. Powiedział jeszcze, że musimy wyczyścić wszystkie pałasze i strzelby i być w pogotowiu. Nawet jak chodziło o zwyczajny napad na wózek z brukwią, Tomek kazał nam czyścić strzelby i pałasze. Tak naprawdę były to tylko patyki i kije od szczotek; choćby je człowiek pucował, dopóki by nie skisł, niewiele by im to pomogło. Nie wierzyłem, żebyśmy dali radę takiej kupie Hiszpanów i Arabów, ponieważ jednak chciałem zobaczyć słonie i wielbłądy, nazajutrz, czyli w sobotę, czekałem z innymi chłopcami w zasadzce. Na dany znak wybiegliśmy z lasu i całą kupą runęliśmy w dół pagórka. Ale nie było tam ani Hiszpanów, ani Arabów, ani żadnych słoni czy wielbłądów, tylko majówka szkółki niedzielnej – i to w dodatku malców z pierwszego roku nauczania! Rozpędziliśmy dzieci i pognaliśmy je aż na stok doliny, ale łupy mieliśmy bardzo marne – trochę szynki i pączków; jeden tylko Ben Rogers zdobył lalkę szmacianą, a Jo Harper – śpiewnik i książeczkę do nabożeństwa. Potem przybiegł nauczyciel, więc rzuciliśmy wszystko i w nogi. Nie widziałem żadnych brylantów, a jak powiedziałem o tym Tomkowi Sawyerowi, on mi na to, że owszem, były brylanty, całe fury brylantów, a także Arabowie i słonie, i różności. Spytałem, dlaczegośmy ich nie widzieli. Odpowiedział, że gdybym nie był taki ciemny i gdybym przeczytał książkę pod tytułem „Don Kichot”, nie musiałbym wcale pytać. Powiedział, że wszystko to się dzieje za pomoc czarów; że były tam na łące setki żołnierzy i słonie, i skarby, tylko mieliśmy wrogów, których nazwał czarnoksiężnikami, i ci czarnoksiężnicy na złość nam zamienili wszystko w malców ze szkółki niedzielnej. Wtedy powiedziałem Tomkowi, że w takim razie trzeba nam było wyłoić czarnoksiężnikom skórę. A on mi na to, że jestem osioł.

– Przecież – powiada Tomek – czarnoksiężnik mógłby przywołać całą gromadę duchów, a te duchy zrobiłyby z ciebie sieczkę, zanim zdążyłbyś policzyć do trzech. Są takie wysokie jak drzewa, a w sobie szerokie jak kościół.

– No, a gdybyśmy tak przywołali do pomocy jakieś inne duchy? – spytałem. – Czy nie moglibyśmy wtedy spuścić tamtym lania?

– A w jaki sposób je przywołasz?

– Nie wiem. Jak czarnoksiężnicy to robią?

– Hm, pocierają starą cynową lampę albo żelazny pierścień i zaraz duchy przylatują, pędzą na złamanie karku i dookoła pełno jest błyskawic i grzmotów, i dymu; a cokolwiek im się każe robić, w mig robią. Myślisz, że to dla nich wielkie rzeczy wyrwać z ziemi drzewko z korzeniami

i dzielić nim po głowie nauczyciela szkółki niedzielnej albo kogoś takiego?

– A kto je zmusza, żeby przybiegały tak na każde zawołanie?

– Jak to kto? Każdy, kto potrze cynową lampę albo żelazny pierścień. Należą do człowieka, który potrze lampę albo pierścień, więc muszą zrobić wszystko, czego ten człowiek zażąda. Jak im powiesz, żeby ci wybudowały pałac długości czterdziestu mil, cały z brylantów, i wypełniły go po samiutkie brzegi gumą do żucia, albo czym chcesz, a potem, żeby ci przywiozły na żonę córkę cesarza chińskiego, muszą cię posłuchać i muszą to zrobić przed świtem drugiego dnia. Co więcej, muszą przetranszportować ten pałac tam i na powrót po całutkim kraju, gdziekolwiek im każesz.

– Hm, mnie się wydaje – rzekłem – że te duchy to straszne fajtlapy, bo przecież mogłyby zatrzymać taki pałac dla siebie zamiast go w ten sposób głupio tracić. Zresztą jakbym był na ich miejscu, prędzej by mi włosy na dłoni wyrosły, niżbym tak na każde zawołanie odrywał się od swojego zajęcia i biegł do kogoś, kto potarł starą lampę cynową.

Co za bzdury opowiadasz, Huck! Przecież musiałbyś przyjść, czybyś chciał, czy nie chciał.

– Chociażbym był taki wysoki jak drzewo i taki szeroki w sobie jak kościół? No więc zgoda, przyszedłbym. Ale jakbym przyszedł, to ten, co mnie wołał, prędko by zwiął do mysiej dziury.

– Macie go! Szkoda z tobą gadać, Huck! Nie masz o niczym pojęcia. Zupełny dureń.

Myślałem o tym parę dni i w końcu postanowiłem, że zobaczę, jak to z tym jest naprawdę. Wytrzasnąłem skądś starą cynową lampę i pierścień żelazny, poszedłem do lasu i tak tarłem, że aż się cały spociłem, jakbym z wody wyszedł. Ułożyłem sobie, że zbuduję taki pałac i zaraz go sprzedam. Ale wszystko na nic, bo żaden duch nie przyszedł. Wtedy pomyślałem, że cała ta heca to jeszcze jedno kłamstwo Tomka Sawyera. Zresztą on chyba wierzył w tych Arabów i w te słonie, ale ja nie wierzyłem. Za bardzo mi to wszystko przypominało szkółkę niedzielną.

Przepowiednia kłębka kłaków

Minęło kilka miesięcy i przyszła zima. Prawie przez cały ten czas chodziłem do szkoły i znałem już wszystkie litery i umiałem czytać, a nawet troszkę pisać i nauczyłem się tabliczki mnożenia do sześć razy siedem jest trzydzieści pięć, ale myślę, że do końca tabliczki nie dojadę, choćbym miał żyć wiecznie. Tak czy siak nie interesuje mnie arytmetyka.

Najpierw nienawidziłem szkoły, ale pomału przywykłem i mogłem od biedy wytrzymać. Jak mi się już strasznie nudziło, dawałem nogę, a lanie na drugi dzień dobrze mi robiło i podnosiło mnie na duchu. Więc im dłużej chodziłem do szkoły, tym mi to było łatwiejsze. Dziwna rzecz, ale otrzaskałem się trochę ze zwyczajami wdowy i mniej je sobie teraz przykrzyłem. Prawdę mówiąc, mieszkanie w domu i sypianie w łóżku mocno mi się dawało we znaki, ale zanim nastąpiła zima, wymykałem się czasem na noc do lasu, co było dla mnie odpoczynkiem. Najbardziej lubiłem takie życie, jakie miałem dawniej, ale po trochu coś się we mnie zmieniło i zaczynałem teraz lubić to nowe życie. Wdowa mówiła, że się poprawiam, chociaż powoli, i że całkiem nieźle się sprawuję. Mówiła też, że nie przynoszę jej wstydu.

Któregoś dnia przewróciłem przy śniadaniu solniczkę. Wyciągnąłem rękę najprędzej, jak mogłem, żeby wziąć trochę soli i rzucić ją za siebie przez lewe ramię, co odwróciłoby ode mnie nieszczęście, ale panna Watson była szybsza.

– Weź te ręce, Huckleberry! Że też zawsze musisz robić taki nieporządek! – Wdowa szepnęła za mną dobre słówko, ale ja wiedziałem, że to nie odegna ode mnie nieszczęścia. Po śniadaniu wyszedłem z domu strapiiony i niespokojny i tylko cały czas się zastanawiałem, co też to będzie takiego i kiedy mi spadnie na kark. Bywają sposoby na zarzekanie niektórych złych znaków, ale na rozsypanie soli nie ma żadnej rady; więc nawet nie próbowałem nic robić, a tylko wlokłem się przybity i cały czas miałem się na baczności.

Poszedłem na koniec ogrodu i przelazłem po kładce przez płot, bardzo w tym miejscu wysoki.

Spadł świeży śnieg, warstwa może na cal gruba, i na tym śniegu zobaczyłem ślady czyichś stóp. Ktoś przyszedł do kamieniołomów, postać chwilę przy kładce, a potem ruszył dalej wzdłuż płotu. Dziwna rzecz, stał tak długo, a nie wszedł do środka! Nie mogłem się w tym połapać i cała rzecz wydała mi się podejrzana. Już miałem pójść po śladach, tylko przyklęknąłem, żeby im się jeszcze przyjrzeć. W pierwszej chwili nic nie spostrzegłem, ale potem zobaczyłem. W obcasie lewego buta był krzyż zrobiony z główek dużych gwoździ, co jest sposobem na odegnanie diabła. W sekundę byłem na nogach i gnałem w dół pagórka. Od czasu do czasu oglądałem się za siebie, ale nie widziałem nikogo. Drogę do sędziego Thatchera przebiegłem najprędzej jak mogłem. Sędzia powiedział:

– Co z tobą, chłopcze, żeś taki zdyszany? Przyszedłeś po odsetki?

– Nie, proszę pana – odparłem. – A czy są dla mnie jakieś pieniądze?

– Owszem, wczoraj wieczorem wpłynęło półroczne rozliczenie. Ponad sto pięćdziesiąt dolarów. Istna fortuna. Lepiej, żebyś je ulokował wraz z sześcioma tysiącami, bo w przeciwnym razie wszystko wydasz.

– Kiedy ja, proszę pana – powiedziałem – wcale ich nie chcę wydać. W ogóle ich nie chcę... ani tych sześciu tysięcy. Chcę, żeby je pan sobie wziął. Chcę je panu dać... te sześć tysięcy i całą resztę.

Miał strasznie zdziwioną minę. W żaden sposób nie mógł mnie zrozumieć. Spytał:

– O co ci, chłopcze, właściwie idzie?

Odpowiedziałem:

– Niech mnie pan o nic nie pyta, proszę pana, proszę! Weźmie je pan, dobrze?

Zawołał: – Zdumiewasz mnie! Czy się coś stało?

– Proszę, proszę, niech pan weźmie te pieniądze – powtórzyłem – i niech mnie pan o nic nie pyta, to nie będę musiał kłamać.

Namyślał się chwilę, a potem powiada:

– Hm... hm. Zdaje się, że zrozumiałem. Chcesz mi sprzedać wszystko, co posiadasz, a nie dać w podarunku. Słusznie, słusznie. – Napisał coś na kawałku papieru, potem to przeczytał i w końcu powiada:

– O, widzisz... napisałem: „Za wartości otrzymane”. To znaczy, że nabyłem od ciebie prawa i żeś za to otrzymał, coś miał otrzymać. Masz tu dolara. A teraz podpisz.

Podpisałem, gdzie mi kazał, i wyszedłem.

Jim, Murzyn panny Watson, miał kłębek zbitych kłaków wielkości pięści, znaleziony w czwartym żołądku jednego wołu, i za pomocą tego kłębka robił różne czary. Mówił, że w środku siedzi duch, który wie wszystko. Wieczorem poszedłem do Jima i powiedziałem mu, że tatko wrócił; wiem, bo widziałem jego ślady na śniegu. Chciałbym się dowiedzieć, co teraz robi i czy zostanie tu na dłużej. Jim wziął do ręki swój, kłębek kłaków, coś tam do niego pomruczał i upuścił go na podłogę. Kłębek upadł ciężko i potoczył się najwyżej cal. Jim rzucił go drugi raz, potem trzeci, ale wciąż było to samo. Wtedy Jim ukląkł na podłodze, przyłożył ucho do kłębka i nasłuchiwał. Ale nic z tego; Jim powiedział, że kłębek nie chce mówić. Powiedział jeszcze, że czasami kłębek za nic się nie odezwie, dopóki mu nie dać pieniędzy. Odparłem, że mam stare i wytarte fałszywe ćwierć dolara, które jest na nic, bo mosiądz prześwituje przez srebro, ale gdyby nawet mosiądz nie prześwitywał i tak nikt by takiego pieniądza nie przyjął, bo jest wytarty i aż lepki i każdy zaraz się połapie. (Postanowiłem, że nie pisnę słowem o tym dolarze, którego mi dał sędzia Thatcher). Powiedziałem jeszcze Jimowi, że to jest naprawdę bardzo zły pieniądz, ale może kłębek kłaków weźmie go, bo chyba się na nim nie pozna. Jim obwąchał te ćwierć dolara, spróbował je zębami, potarł mocno i wreszcie powiedział, że postara się tak zrobić, żeby kłębek kłaków pomyślał, że to dobry pieniądz: natnie surowy kartofel i wsadzi pieniądz do środka i potrzyma go tam całą noc, a na drugi dzień wcale nie będzie widać mosiądzu ani nic się nie będzie w palcach lepilo: każdy człowiek w mieście przyjmie bez namysłu takie ćwierć dolara, a co dopiero kłębek kłaków. Kiedyś wiedziałem o tym sposobie z surowym kartoflem, ale potem całkiem mi to z głowy wyleciało.

Jim wsunął mój fałszywy pieniądz pod kłębek kłaków, ukląkł na podłodze i znowu nasłuchiwał. Tym razem powiedział, że wszystko w porządku i jeżeli chcę, kłębek przepowie mi przyszłość. Ja mu na to, że owszem, chcę. Tak więc kłębek kłaków mówił do Jima, a Jim powtarzał mi to, co kłębek mówił.

– Twój tatko wcale jeszcze nie wie, co ze sobą zrobi. Czasem widzi mu się, że stąd odejdzie, a czasem znowu, że zostanie na dłużej. Najlepiej głowy tym sobie nie suszyć, niech stary robi to, na co mu przyjdzie ochota. Fruwają przy nim dwa anioły. Jeden jest biały i świecący, drugi całkiem czarny. Temu białemu udaje się czasem namówić go do dobrego, ale potem czarny nadleci, zamacha skrzydłami i wszystko pokiełbasi. Trudno powiedzieć, który weźmie go w końcu za łeb. Ale z tobą całkiem jest wszystko w porządku. Czeka cię w życiu dużo zmartwień i dużo pomyślności. Kiedyś będziesz ranny, a kiedy indziej znów będziesz chory, ale za każdym

razem na powrót ozdrowiejesz. Widać przy tobie dwie dziewczyny. Jedna jest blondynka, a druga brunetka. Jedna jest bogata, a druga biedna. Najpierw ożenisz się z tą biedną, a potem z tą bogatą. Będziesz się zawsze trzymał z daleka od wody, ale woda nie jest dla ciebie niebezpieczna, bo jest zapisane w księgach, że cię powieszą.

Kiedy wieczorem tego dnia zapaliłem świecę i wszedłem do mojego pokoju, siedział tam tatko we własnej osobie.

Tatko rozpoczyna nowe życie

Zamknąłem drzwi. A potem obróciłem się i patrzę – jest tatko. Dawniej zawsze się go bałem, bo nic, tylko mnie bił i bił bez ustanku. Wydało mi się, że teraz też mnie strach obleciał, ale już po chwili zrozumiałem, że wcale tak nie jest. Naturalnie nie licząc pierwszego, jak by tu powiedzieć... wstrząśnięcia, kiedy aż mi dech zaparło w piersiach, bo widok tatki był taki niespodziewany; ale zaraz potem wiedziałem, że prawie wcale się go nie boję.

Tatko miał pod pięćdziesiątkę i wyglądał na swoje lata. Włosy miał długie, zmierzwiłone i brudne, opadające na twarz, więc oczy lyskały mu tylko spoza nich jakby zza gęstych gałęzi wina. Były te włosy całe czarne, bez jednej siwej nitki, tak samo zresztą jak broda. Twarz miał bladą – tam gdzie widać ją było pomiędzy włosami – ale nie taką bladą, jak u innych ludzi, tylko białą; taką białą, że mdło się robiło na jej widok, że od samego patrzenia cierpła na człowieku skóra – białą jak brzuch ryby. Ubrany był – co tu dużo mówić – w same łachy! Założył jedną nogę wysoko na kolano drugiej; but na tej nodze cały miał podarty i przez dziurę wystawały dwa palce, którymi ruszał od czasu do czasu. Jego kapelusz leżał na podłodze – stary i czarny, i bezkształtny, zapadnięty w środku, jakby to była za mocno wciśnięta pokrywka.

Stałem i patrzyłem na niego. On siedział i patrzył na mnie przechyliwszy krzesło trochę do tyłu. Postawiłem świecę na stole. Zauważyłem, że okno jest odemknięte; a więc dostał się tu po dachu szopy.

Oglądał mnie od stóp do głów. Po chwili powiada:

– Nie ma co, pańskie ubranie – fiu, fiu! Myślisz pewnie, że wielka z ciebie figura, hę?

– Może myślę, a może nie myślę – odparłem.

– Tylko mi nie próbuj zadzierać nosa – warknął. – Coś mi się widzi, że w mojej nieobecności zdrowo ci się we łbie przewróciło. Ale ja cię na powrót nauczę rozumu. Podobno jesteś uczony; umiesz czytać i pisać. Pewnie ci się zdaje, żeś lepszy od rodzzonego ojca, bo on niepiśmienny.

Hę? Już ja z ciebie tę naukę kijem wytrzepię. Kto ci powiedział, że wolno ci się bawić w takie przekłete bałamuctwa? Kto ci powiedział?

– Wdowa. Wdowa mi mówiła.

– Wdowa, hę? A kto powiedział wdowie, że wolno jej wścibiać nos w cudze sprawy?

– Nikt jej tego nie mówił.

– Nie bój się, już ja ją nauczę wdawać się w nie swoje sprawy. I żebyś mi pamiętał – rzucisz szkołę. Słyszałeś? Dam ja ludziom, co każą chłopakowi patrzeć z góry na własnego ojca i pokazywać, że niby jest lepszy od niego! Niech cię tylko złapię, jak się będziesz pętał przy szkole! Twoja matka nie umiała czytać ani nie umiała pisać i nie nauczyła się do samej śmierci. Nikt w rodzinie nie nauczył się do samej śmierci ani czytać, ani pisać. Ja też nie umiem. A ten tutaj odyma się niczym ropucha! Ja nie jestem z tych, co to będą patrzyli spokojnie na takie rzeczy. Słuchaj no, przeczytaj mi kawałek.

Wziąłem książkę i zacząłem czytać coś o generale Waszyngtonie i wojnach. Ale najwyżej po półminucie tatko wyrwał mi książkę i buch! Cisnął ją przez pokój. Potem mówi:

– A jakże. Umiesz czytać. Nie bardzo wierzyłem, kiedy mi powiedzieli. Teraz uważaj: przestaniesz zadzierać nosa. Dość mam tego. Będę cię pilnował, mój ty mądralski. A jak cię przyłapię w bliskości szkoły, wyłożę ci skórę. Zanim się obejrzysz, odechce ci się nauki. Czy kto widział kiedy takiego syna?!

Wziął do ręki widoczek w niebieskich i żółtych kolorach, na którym było kilka krów i chłopiec.

– A to co znowu?

– Dali mi nagrodę, że dobrze odrobiłem lekcję.

Podarł widoczek na strzępki i wrzasnął:

– Dam ci coś lepszego – zamiast krów lanie batogiem z krowiej skóry!

Przez chwilę nic tylko warczał i mruczał pod nosem; wreszcie odzywa się znowu:

– Nie ma co, wychuchany z ciebie lalusz! Może nie? Łóżko, pościel, lustro, dywan na podłodze. A rodzony ojciec sypia w przytułku dla nędzarzy. Czy kto widział kiedy takiego syna? Ale ja się do ciebie zabiorę, zaraz ci z głowy wybiję te fanaberie. To jeszcze nie wszystko: ludzie powiadają, że jesteś bogaty. Jak z tym, hę?

– Ludzie kłamią. Tak z tym.

– Tylko uważaj, co do mnie mówisz. Mam już tego po dziurki w nosie, więc lepiej nie bądź za

bezczelny. Jestem dwa dni w mieście i furt słyszę, jaki jesteś bogaty. Słyszałem o tym, jeszcze kiedy byłem w dole rzeki. Dlatego tu przyszedłem. Dasz mi te pieniądze jutro – są mi potrzebne.

– Nie mam żadnych pieniędzy.

– Łżesz. Są u sędziego Thatchera. Odbierzesz je od niego. Muszę je mieć.

– Nie mam żadnych pieniędzy. Niech tatko spyta sędziego Thatchera, to się tatko dowie.

– Zgoda. Nie tylko go spytam, ale mu je wychapnę, chyba że przestanę być sobą. Słuchaj no, ile masz w kieszeni?

– Mam tylko jednego dolara i jest mi potrzebny na...

– Mnie tam bez różnicy, na co ci on potrzebny, byłeś go prędzej wydłubał z kieszeni.

Wziął dolara, spróbował zębami, czy dobry, a potem powiedział, że idzie do miasta napić się łyk wódki, bo od rana nie miał nic w ustach. Zeskoczył na dach szopy, ale zaraz z powrotem wsunął głowę do pokoju i dalej mnie przeklinać, że zadzieram nosa i chcę być lepszy od niego. A kiedy już myślałem, że poszedł na dobre, wrócił jeszcze raz, wsunął głowę i zawołał, że bym uważał z tą szkołą, bo będzie mnie pilnował i jak nie posłucham, spuści mi tęgie lanie.

Na drugi dzień całkiem był pijany. Poszedł do sędziego Thatchera i próbował go nastraszyć i zmusić do oddania pieniędzy, ale nic nie zwojował, więc poprzysiągł, że pójdzie go skarżyć do sądu.

Sędzia Thatcher i wdowa też wystąpili do sądu, żeby sąd odebrał mnie tatce i oddał pod opiekę jednego z nich. Ale sędzi sprawę nowy sędzia, który dopiero co przyjechał do naszego miasteczka i wcale tatki nie znał. Powiedział ten sędzia, że prawo nie powinno się do takich rzeczy wtrącać i rozdzielać rodziny, jeżeli da się tego uniknąć. Powiedział jeszcze, że byłoby mu przykro odbierać ojcu jego rodzone dziecko. Więc sędzia Thatcher i wdowa nic nie wskórali.

Tatko tak się z tego ucieszył, że o mało co nie skakał do góry z radości. Powiedział, że mnie całkiem posiniaczy, jeżeli mu nie dam trochę pieniędzy. Pożyczyłem od sędziego Thatchera trzy dolary, a tatko wziął je i spił się, i zaczął się awanturować i przeklinać, i wrzeszczeć, i wyprawiać brewerie; ciskał się tak po całym miasteczku, waląc bez ustanku w blaszaną patelnię, aż do samej północy. Potem wsadzili go do kozy, a na drugi dzień zaprowadzili do sądu i znowu go wsadzili na tydzień. Ale tatko powiedział, że i tak jest zadowolony; powiedział, że to on jest opiekunem swojego syna i potrafi mu to opiekuństwo obrzydzić.

Kiedy tatkę wypuścili, nowy sędzia obiecał, że zrobi z niego człowieka. Więc wziął go do swojego domu, dał mu czyste i porządne ubranie, sadzał do stołu razem z rodziną podczas

śniadania, obiadu i kolacji i w ogóle, jak to mówią, był słodki jak miód. A po kolacji mówił mu o wstrzemięźliwości i takich różnych rzeczach, aż tacie łzy pociekły z oczu i powiedział, że był dotąd głupi i zmarnował tyle lat, ale teraz rozpocznie nowe życie i będzie człowiekiem, którego nikt się nie powstydzi, więc ma nadzieję, że mu sędzia pomoże i nie będzie patrzył na niego z góry. Sędzia mu na to, że mógłby go ucałować za te słowa; wtedy tatko znowu się rozplakał i żona sędziego też się rozplakała, i tatko powiedział, że go dotąd nikt w życiu nie rozumiał, a sędzia go zapewnił, że mu wierzy. I tatko jeszcze dodał, że człowiekowi, który się nisko stoczy, najbardziej potrzebne jest współczucie, a sędzia mu przytaknął, że owszem, to prawda. I znowu wszyscy się rozplakali. A jak mieli iść spać, tatko wstał, wyciągnął rękę i powiedział:

– Spójrzcie na nią, panie i panowie. Dotknijcie jej. Uściśnijcie ją. Oto ręka, która była ręką świni. Ale już nie jest. Oto ręka człowieka, który rozpoczął nowe życie i człowiek ten prędzej umrze, niż zawróci z drogi. Zapamiętajcie moje słowa, ja je wypowiedziałem. Ręka ta jest teraz czysta. Uściśnijcie ją bez lęku.

Więc ją ściskali, jedno po drugim, i znowu płakali. A żona sędziego nawet ją pocałowała. Potem tatko podpisał zobowiązanie, a właściwie postawił krzyżyk zamiast podpisu. Sędzia powiedział, że ta chwila jest najszcześniejsza w jego życiu, czy coś takiego. Wreszcie ulokowali tatkę w pięknym pokoju, który był pokojem gościnnym, ale gdzieś w nocy zaczęło go męczyć straszne pragnienie, więc przelazi przez parapet na dach ganku i spuścił się po słupie, i przehandlował swój nowy surdut za dzbanek wódki, i z powrotem wdrapał się po słupie do pokoju i zaczął sobie hulać po staremu; a przed samym świtem pijany jak bela wygramolił się znów na parapet, spadł z dachu ganku, złamał lewą rękę w dwóch miejscach i jak go znaleźli po wschodzie słońca, był prawie na śmierć zamrożony. Ale kiedy chcieli wejść do gościnnego pokoju, zobaczyli, że musieliby pływać.

Sędzia to się nawet gniewał. Powiedział, że może dałoby się zrobić z tatki człowieka za pomocą strzelby, ale innego sposobu nie widzi.

Walka tatki z aniołem śmierci

Bardzo prędko tatko wyzdrowiał i zaraz podał sędziego Thatchera do sądu, że nie chce mu oddać pieniędzy, a mnie dobrał się do skóry o tę szkołę. Przyłapał mnie dwa razy i spuścił lanie, ale mimo to chodziłem do szkoły i przeważnie albo go omijałem z daleka, albo mu uciekałem. Przedtem to tak naprawdę nie bardzo mi się chciało chodzić do szkoły, ale teraz pomyślałem, że będę chodził na złość tatce.

Ta sprawa w sądzie strasznie się odwlekała; wyglądało na to, że w ogóle jej nigdy nie zaczną, więc od czasu do czasu pożyczalem od sędziego kilka dolarów dla tatki, żeby mi nie dawał batów. Jak tylko dostał pieniądze, zaraz się upijał, a jak się upijał, zaraz wyprawiał hece w miasteczku, a jak wyprawiał hece, zaraz go pakowali do kozy. Dogadzało mu to, bo przywykł do takiego życia.

Zaczął kręcić się za dużo koło domu wdowy i w końcu wdowa mu powiedziała, że jak nie przestanie, ona postara się zrobić z nim porządek. No i pomyślcie – czy on nie był obłąkany? Powiedział, że jej jeszcze pokaże, kto jest ojcem Hucka Finna. Zaczął się na mnie któregoś dnia, tak na wiosnę, schwytał mnie i powiózł łodzią trzy mile w górę rzeki; przybił do brzegu Illinois, w miejscu zalesionym, gdzie nie było żadnych domów, a tylko stał szałas w tak gęstym lesie, że jak ktoś o nim nie wiedział, nigdy by go nie znalazł.

Tatko nie puszczzał mnie od siebie ani na krok; nawet nie mogłem marzyć o ucieczce. Mieszkaliśmy w tym starym szałasie i tatko w nocy zamykał mnie na klucz, a klucz kładł pod poduszkę. Miał strzelbę, którą pewnie ukradł, więc polowaliśmy i łowiliśmy ryby, i to było nasze pożywienie. Dość często tatko zamykał mnie na klucz, sam brał łódź i jechał do sklepu przy promie, jakie trzy mile od naszego szałasu. Wymieniał tam ryby i zwierzynę na wódkę i przywoził ją do domu, a potem się upijał, wyprawiał najrozmaitsze hece i łoił mi skórę. Niedługo wdowa dowiedziała się, gdzie przebywam, i przysłała po mnie służącego, ale tatko odstraszył go

strzelbą. A potem to już bardzo prędko przywykłem do tego życia i nawet je polubiłem; naturalnie wszystko z wyjątkiem bicia.

Było mi przyjemnie i wesoło, że się tak mogłem cały dzień próżniaczyć, leżeć sobie wygodnie z fajeczką i łowić ryby – bez książek i nauki. Minęły pewnie ze dwa miesiące i z mojego ubrania zostały brudne strzępy; nie mogłem już teraz zrozumieć, jak się to stało, że tak polubiłem życie w domu wdowy, gdzie człowiek nic, tylko musiał się ciągle myć i jeść z talerza, i czesać się, kłaść się spać i wstawać podług zegarka, mozolić się ciągle nad książkami i od rana do nocy wysłuchiwać łajania starej panny Watson. Nie miałem już ochoty wracać. Przestałem przeklinać, bo wdowa przekleństw nie lubiła, ale teraz na powrót się w to wciągnąłem, bo tatko nie miał nic przeciwko brzydkim słowom. Więc tak jedno z drugim, dobrze mi tam było w lesie.

Ale po jakimś czasie tatko za bardzo się wprawił w biciu i naprawdę trudno mi już było wytrzymać. Całe ciało miałem posiniaczone. Coraz częściej też sobie odchodził, a mnie zamykał w szałasie. Kiedyś zamknął mnie i poszedł na całe trzy dni. Strasznie mi było wtedy samotnie. Pomyślałem, że się pewnie utopił, i ja nigdy już stąd nie wyjdę. Zląłem się. Powiedziałem sobie, że muszę znaleźć jakiś sposób ucieczki. Nieraz już próbowałem wydostać się z szałasu, ale nie wiedziałem, jak to zrobić. Przez okno nawet pies by się nie przecisnął. Przez komin nie dałbym rady, taki był wąski. Drzwi były zbite z mocnych desek dębowych, a tatko jak odchodził, dobrze uważał, żeby nie zostawić w szałasie noża czy innego narzędzia. Myślę, że przeszukałem szałas najmniej sto razy; właściwie w nieobecności tatki zawsze to robiłem, bo mi przy tym zajęciu czas jakoś szybciej schodził. Ale teraz znalazłem coś wreszcie – starą i zardzewiałą piłę bez rączki; leżała wsunięta między krokiew a gonty dachu. Oczyszcziłem ją tłuszczem i wziąłem się do roboty. W głębi szałasu za stołem wisiała przybita do ściany derka końska, bo inaczej wiatr wdzierałby się przez szpary między belkami i gasiłby świecę. Wlazłem pod stół, podniosłem derkę i zabrałem się do wypiłowywania części grubej belki tuż nad ziemią – tak szeroko, żebym się mógł potem przez otwór przecisnąć. Cóż, nielicha to była robota, ale już ją prawie kończyłem, kiedy w lesie rozległy się strzały. To tatko wracał do szałasu. Zaledwie zdążyłem uprzątnąć ślady piłowania, spuścić derkę i schować piłę, wszedł tatko.

Nie był w dobrym humorze, to znaczy był w swoim zwykłym usposobieniu. Warknął, że wraca z miasteczka i że wszystko idzie źle. Adwokat powiedział mu, że pewnie wygra sprawę i odbierze dla niego pieniądze, byle tylko sąd wyznaczył termin; ale jak kto zechce, może bardzo długo odwlekać sprawę, a sędzia Thatcher zna rozmaite kruczki. Ludzie w miasteczku

przypuszczają, że będzie jeszcze jedna sprawa w sądzie o mnie, to jest o to, żeby mnie odebrać tacie i oddać pod opiekę wdowy i że wdowa pewnie tym razem wygra. Przestraszyłem się, bo nie miałem ochoty wracać do wdowy, gdzie znowu nie mógłbym ani zipnąć i musiałbym być, jak to mówią, ucywilizowany. Potem tatko zabrał się do przeklinania i przeklinał wszystkich, co mu przyszli do głowy, a potem jeszcze raz ich przeklął po kolei – dla pewności, że o nikim nie zapomni i nikogo nie opuścił – a wreszcie zakończył takim ogólnym przekleństwem i to przekleństwo dotyczyło także różnych ludzi, których znał tylko z widzenia, więc jak przyszła ich kolej, mówił o nich „ten taki-owaki”. I zaraz potem dalej urągał.

Powiedział, że niech tylko wdowa spróbuje mnie zabrać! Będzie się pilnował i jak ona zechce wyciąć mu psią sztuczkę, on zna takie miejsce o kilka mil stąd, gdzie mnie schowa, a jak zaczną szukać, wpierw skonają, zanim mnie odnajdą. Znowu się zląkłem, ale zaraz mi przeszło – postanowiłem, że nie będę czekał, aż mnie tam tatko zawiezie.

Tatko kazał mi pójść do łodzi po rzeczy, które przywiózł. Był tam pięćdziesięciofuntowy worek mąki żytniej, połeć boczku, amunicja, baryłka z czterema galonami wódki, stara książka i dwie gazety na przybitki do nabojów i wreszcie pakuły. Przydźwigałem część rzeczy do szalasu, a potem wróciłem do łodzi i usiadłem na dziobie, żeby trochę odpocząć. Kiedy dobrze wszystko przemyślałem, postanowiłem, że wezmę strzelbę i wędki i ucieknę do lasu. postanowiłem też, że nie zatrzymam się w jednym miejscu, tylko będę szedł i szedł przed siebie, przeważnie nocą, żywiąc się tym, co upoluję albo złowię, i w ten sposób znajdę tak daleko, że ani tatko, ani wdowa nigdy mnie nie odnajdą. Pomyślałem sobie, że dokończę piłowania i ucieknę jeszcze tej nocy – naturalnie jeżeli tatko będzie dość pijany, a przypuszczałem, że na pewno będzie. Tak mnie zajęło to myślenie, że zapomniałem o bożym świecie, aż w końcu tatko zaczął mi urągać i spytał czy śpię, czy może się utopiłem.

Zanim przeniosłem resztę rzeczy do szalasu, było już prawie ciemno. Kiedy gotowałem kolację, tatko pociągnął łyk czy dwa wódki, co go rozgrzało w sobie, i znowu zaczął urągać. W miasteczku spił się jak bela i przeleżał całą noc w rynsztoku, więc teraz aż strach brał na niego patrzeć. Człowiek myślałby, że to Adam, w chwili kiedy go Pan Bóg stworzył, taki był oblepiony gliną. Jak wódka zaczynała robić w nim swoje, wymyślał najczęściej na rząd. Tym razem odezwał się w te słowa:

– I to ma być rząd! Tere-fere, warto się temu przyjrzeć z bliska! Co widzimy? Widzimy prawo, które tylko czyha, żeby zabrać człowiekowi syna – jego własne dziecko, które chował

wśród trosk i niepokojów, i z ogromnym nakładem kosztów. A jak w końcu człowiek tego syna wychował, tak że mógłby go wreszcie oddać do pracy i mieć w nim podporę na stare lata, prawo hyc! – napada na niego. I oni to nazywają rządem! Ale to jeszcze nie wszystko. Prawo idzie ręką w rękę z tym starym sędzią Thatcherem i pomaga mu okradać mnie z mojej własności. Oto, co robi prawo. Prawo bierze człowieka, który ma w majątku sześć tysięcy dolarów albo więcej, i pakuje go do takiej nędznej dziury – do tego starego szałas – i każe mu nosić na grzbiecie łachy, których wstydziliby się najgorszy włóczęga. I oni to nazywają rządem! Z takim rządem na karku człowiek nie może się dopominać swoich praw. Czasem przychodzi mu chęć, żeby na dobre wynieść się z tego kraju. A jakże, powiedziałem im to; powiedziałem staremu Thatcherowi, w sam nos mu to powiedziałem. Niejeden mnie słyszał i może poświadczyć moje słowa. Powiedziałem: mam chęć wynieść się z tego przekłętego kraju i nigdy go więcej nie oglądać na oczy. Tak im dokładnie powiedziałem. Powiedziałem: spójrzcie na mój kapelusz – jeżeli w ogóle można to coś nazwać kapeluszem; główka podjeżdża do góry, a reszta spada na dół i zatrzymuje mi się dopiero na brodzie, i wtedy ten kapelusz nie jest już wcale kapeluszem, a ja wyglądam, jakbym wsunął głowę w kolanko żelaznej rury od piecyka. Spójrzcie na to paskudztwo, powiadam! Zmuszony jestem nosić taki kapelusz – ja, jeden z najbogatszych obywateli tego miasta, gdybym tylko mógł odzyskać moje prawa. A jakże, to wspaniały rząd, wspaniały! Słuchaj no tylko! Kręcił się po miasteczku wolny Murzyn z Ohio, Mulat, prawie taki biały jak każdy biały. Miał na sobie najbielszą koszulę, jaką na oczy widziałem, i błyszczący kapelusz. W całym miasteczku nie znalazłbyś człowieka, który ma na grzbiecie równie piękne ubranie. Miał jeszcze złoty zegarek z dewizką i laskę ze srebrną gałką – najobmierzlejszy stary bogacz w całym stanie. I jak myślisz? Ludzie powiedzieli, że jest profesorem, że mówi najróżniejszymi językami i wie wszystko. Ale to nie jest jeszcze najgorsze. Powiedzieli, że może głosować w swoim stanie. O mało się nie rozpukełem ze złości. Myślałem sobie: do czego to dochodzi! W ten dzień były właśnie wybory i sam poszedłbym głosować, jakbym tylko nie był za bardzo pijany; ale jak usłyszałem, że jest w naszym kraju taki stan, gdzie temu Murzynowi pozwalają głosować, z miejsca się rozmyśliłem. Powiedziałem, że nigdy nie będę więcej głosował. Słowo w słowo tak powiedziałem. Wszyscy mnie słyszeli. I powiedziałem jeszcze, że jak o mnie idzie, ten kraj może całkiem zejść na psy, ale ja nigdy nie będę głosował. Bezcelny czarnuch! Nawet by mi z drogi nie zszedł, jakbym go nie pchnął porządnie. Spytałem ludzi, dlaczego nikt nie złapie tego plugawca i nie sprzeda go z licytacji. To tylko chciałbym wiedzieć. A wiesz, co oni na to? Że nie

można go sprzedać, zanim nie pobędzie sześć miesięcy w naszym stanie, a ten jest krócej. Dobry kawał, he? I to się nazywa rząd, co nie może sprzedać wolnego Murzyna wcześniej jak po sześciu miesiącach? Nazywają się rządem, przechwalają się, że są rządem, i wydaje im się, że są rządem, a muszą siedzieć jak myszy pod miotłą i czekać całe sześć miesięcy, zanim mogą przyłapać jednego obmierzłego, piekielnego czarnucha w białej koszuli, co...

Tatko cały czas chodził, a jak się tak rozgadał, nie patrzył wcale pod nogi, więc w końcu potknął się o beczułkę solonej wieprzowiny, gruchnął na ziemię jak długi i zdarł sobie skórę z obu łydek, a potem reszta jego przemowy to były już tylko same wymysły, głównie pod adresem Murzynów i rządu, chociaż przy okazji beczułce też się coś dostało. Przez dobrą chwilę skakał dookoła szałasów najpierw na jednej, potem na drugiej nodze, przy czym tarł ręką wpierw jedną, a potem drugą łydkę, a w końcu zamachnął się całkiem niespodziewanie lewą nogą i dał beczułce potężnego kopniaka. Ale to był kiepski pomysł, bo właśnie na lewej nodze miał ten but, z którego wyłaziły mu na wierzch dwa palce; zaczął więc ryczeć tak przeraźliwie, że mi włosy dęba stawały na głowie, aż w końcu upadł i tylko dygotał trzymając się za dwa palce. Przekleństwa, które usłyszałem, przewyższały wszystkie dotychczasowe wymysły. Sam to zresztą później przyznał. Tatko słyszał przekleństwa starego Sowberry'ego Hagana za jego najlepszych dni i powiedział, że stary Hagan nawet się do tatki nie umywał; ale mnie się wydaje, że to tylko takie przechwałki.

Po kolacji sięgnął po dzbanek i powiedział, że mu starczy wódki na dwa solidne pijaństwa i jedno *delirium tremens*. Tatko zawsze tak mówił. Pomyślałem, że za mniej więcej godzinę spije się jak bela, a wtedy albo zwędzę klucz albo przepiłuję do końca belkę i jakoś się z szałasów wydostanę. Pił tak i pił i niedługo rymnął na posłanie; ale. nie miałem szczęścia tego wieczoru! Nie zasnął mocno, tylko drzemał niespokojnie. Jęczał strasznie długo i stękał, i rzucał się na sienniku. W końcu wzięła mnie taka senność, że choć paliła się świeca, oczy same mi się zamknęły – i zanim wiedziałem, co się ze mną stało, zapadłem w mocny sen.

Nie wiem, jak długo spałem, ale nagle rozległ się straszny wrzask i siadłem na posłaniu. Tatko z twarzą całkiem dziką rzucał się na wszystkie strony i wrzeszczał coś o węzach. Wołał, że owijają mu się dookoła nóg; potem uskoczył na bok i dalej wrzeszczał, że jeden ugryzł go w policzek, ale ja nie widziałem nigdzie żadnych węzów. Zaczął biegać w kółko po izbie i drzeć się wniebogłosy: – Zabierzcie go! Zabierzcie! Gryzie mnie w policzek! – Nie widziałem nigdy u człowieka takich dzikich oczu. Bardzo prędko zmęczył się i runął na ziemię ciężko dysząc; a

potem zaczął się turlać po podłodze – aż dziw brał patrzeć jak szybko – wierzgając nogami i roztrzaskując przedmioty na wszystkie strony, dźgając rękami powietrze i wrzeszcząc bez ustanku, że opadły go diabły. Zmęczył się po jakimś czasie i leżał spokojnie, jęcząc tylko cicho. A potem był jeszcze spokojniejszy i w ogóle nie jęczał. Słyszałem teraz hukanie puchaczy i wycie wilków daleko w lesie. Tatko leżał na podłodze w kącie szałas. Po jakimś czasie uniósł się na rękach i nasłuchiwał z głową przechyloną na bok. Nagle przemówił bardzo cicho:

– Szur... szur... szur... to idą umarli. Szur... szur... szur... przychodzą po mnie. Ale ja nie pójdę. Och, są już tutaj! Nie dotykajcie mnie! Nie dotykajcie! Precz z tymi rękami! Takie są zimne!

Och, darujcie mi, biednemu!

Potem nagle zaczął chodzić na czworakach, ciągle prosząc ich, żeby mu darowali, a jeszcze później owinał się cały derką i rymnął pod stary stół sosnowy ciągle jęcząc i żebrząc litości. A potem zaczął płakać. Słyszałem jego płacz, stłumiony przez derkę. Po jakimś czasie odrzucił precz derkę i dziko zerwał się na nogi. Zobaczył mnie i ruszył w moją stronę. Gonił mnie po całej izbie z myśliwskim nożem w rękę; nazywał mnie aniołem śmierci i wołał, że mnie zabije i że wtedy więcej po niego nie przyjdę. Prosiłem, żeby się uspokoił, mówiłem, że to tylko ja, Huck, ale on wybuchnął takim strasznym śmiechem i ryczał, i przeklinał, i wciąż uganiał się za mną po całym szałasie. Raz, kiedy chciałem zawrócić i dawałem nurka pod jego ramię, wyciągnął rękę i chwycił mnie za kurtkę między łopatkami. Myślałem, że już po mnie, ale błyskawicznie wyswobodziłem się z kurtki i w taki sposób uratowałem życie. Potem tatko całkiem się wyczerpał, przysiadł na podłodze, oparł się plecami o drzwi i powiedział, że chwilę odpocznie, a potem mnie zabije. Wsunął nóż pod siebie i wymamrotał, że jak się prześpi i nabierze sił, to zobaczymy, kto kogo przechrzty.

Niezdługo usnął. Po chwili wziąłem stare wyplatane krzesło, stanąłem na nim najostrożniej, jak tylko mogłem, żeby nie zrobić najmniejszego szmeru i zdjąłem strzelbę ze ściany. Wetknąłem stempel do lufy, chcąc się przekonać, czy jest naładowana, a potem, wycelowawszy w tatka, oparłem strzelbę o kosz z brukwią i usiadłem na nim, uważając pilnie, czy się tatko nie rusza. Strasznie było cicho i czas włókł się powoli.

Nabieram tatkę i w nogi

– Wstawaj! Co ty wyprawiasz?

Otworzyłem oczy i rozejrzałem się, próbując zrozumieć, gdzie jestem. Było już po wschodzie słońca, więc widocznie zasnąłem i spałem jak zabity! Tatko stał nade mną, minę miał wściekłą, wyglądał na bardzo chorego. Warknął:

– Po coś wziął tę strzelbę?

Domyśliłem się, że nie pamięta, co wyprawiał w nocy. Odparłem:

– Ktoś majstrował przy drzwiach, więc się na niego zacząłem.

– Dlaczegoś mnie nie obudził?

—Próbowałem, słowo daję. Ani rusz nie mogłem się tatki dobudzić.

– No, dobrze już, dobrze. Zamiast stać tu i gadać maszeruj nad rzekę i zobacz, czy ryby chwyciły. Trzeba zjeść śniadanie. Przyjdę za chwilę.

Kiedy otworzył drzwi, pobiegłem prosto nad wodę. Zauważyłem płynące po wierzchu gałęzie i różne takie, więc od razu wiedziałem, że rzeka zaczęła przybierać. Pomyślałem sobie, że gdybym był w miasteczku, miałbym teraz pyszną zabawę. W czasie powodzi czerwcowej zawsze mi się dobrze działo, bo jak tylko rzeka zaczęła przybierać, zaraz znosiła drewno rozsypane z sągów i kłody drzewa splawnego, czasem po dwanaście pni sczepionych razem. Wystarczyło je złapać, a skład drzewa czy tartak zaraz wszystko kupował.

Szedłem wzdłuż brzegu, jednym okiem pilnując, czy nie idzie tatko, a drugim patrząc, co też rzeka niesie ciekawego. Aż tu nagle widzę – czólno! I to jakie! Długości trzynastu, może czternastu stóp, a mknie lekko niczym kaczka! Skoczyłem głową naprzód jak żaba, nie pamiętając, że jestem w ubraniu, i kieruję się w stronę czólna. Właściwie to byłem prawie pewien, że tam na dnie ktoś leży, bo ludzie często tak nabierają głupców i kiedy ktoś blisko do nich podpłynie, wstają nagle i dalej śmiać mu się w nos! Ale tym razem było inaczej. Powódź

zniosła czółno, to pewne! Wdrapałem się do środka i powiosłowałem do brzegu. Myślę sobie: tatko się ucieszy, czółno jest warte najmniej dziesięć dolarów. Ale jak przybiłem do brzegu, tatki nie było jeszcze widać, a kiedy wprowadziłem czółno do małej zatoczki, wymytej przez wodę i zasłoniętej dzikim winem i wierzbami, przyszła mi do głowy całkiem inna myśl; postanowiłem, że dobrze je ukryję i zamiast uciekać do lasu, a potem wlec się na piechotę, popłynę z pięćdziesiąt mil w dół rzeki i zatrzymam się na stałe w jakimś jednym miejscu.

Byłem bardzo blisko szałasów i ciągle mi się zdawało, że słyszę kroki tatki. Ale zdążyłem ukryć czółno i wyskoczyć na brzeg; wyrząłem ostrożnie zza kępy wierzb i widzę – tatko stoi na ścieżce i bierze na cel jakiegoś ptaka. Z tego wynikało, że nic nie zauważył.

Kiedy nadszedł, wyciągałem z wielkim przejęciem wędkę. Zwymyślał mnie trochę, że tak się guzdram, ale ja mu na to, że wpadłem do wody i stąd moje opóźnienie. I tak by zobaczył, że jestem mokry i zaczęłyby mnie jeszcze niepotrzebnie pytać. Odczepiliśmy pięć ryb i wróciliśmy do szałasów.

Kiedy po śniadaniu położyliśmy się spać (obaj ledwieśmy się trzymali na nogach), przyszło mi raptem do głowy, że gdybym potrafił wymyślić coś takiego, co powstrzymałoby tatkę i wdowę od pogoni, miałbym większe widoki ucieczki, niż gdybym zdał się na los szczęścia i próbował uciec jak najdalej, zanim oni zauważą moją nieobecność. Widzicie, wszystko może się zdarzyć. Cóż, myślałem i myślałem, i nie mogłem wymyślić nic mądrego, ale po jakimś czasie tatko wstał, żeby napić się wody, i tak do mnie powiada;

– Drugim razem, jak się ktoś będzie kręcił koło domu, obudzisz mnie. Słyszałeś? Ten człowiek nie przychodzi tu z dobrym zamiarem. Pamiętaj, żebyś mnie na drugi raz obudził.

Potem rzucił się na posłanie i zasnął; ale to, co powiedział, naprowadziło mnie na świetną myśl. Mogłem teraz tak się urządzać, żeby nikomu nie przyszło do głowy mnie szukać.

Około południa wstaliśmy i poszliśmy nad rzekę. Rzeka szybko przybierała i wody niosły dużo drewna. Nagle patrzymy, a tu płynie cała kupa drzewa spławnego – dziewięć kłód spiętych klamrami. Wsiedliśmy do łodzi i przyholowaliśmy je do brzegu. Potem zjedliśmy obiad. Każdy inny poczekałby do wieczora, żeby wyłowić więcej drzewa; ale tatko do takich nie należał. Dziewięć kłód wystarczyło mu na jeden połów – musiał z miejsca pogonić do miasteczka i sprzedać zdobycz. Więc około wpół do trzeciej zamknął mnie w szałasie, wsiadł do łodzi i odpłynął holując za sobą kłody. Przypuszczałem, że nie wróci tego wieczora do domu. Poczekałem, aż oddali się na przyzwoitą odległość, a potem łaps za piłę i wziąłem się do

piłowania belki. Zanim tatko dopłynął do przeciwległego brzegu, wylazłem już przez dziurę; łódź i kłody drzewa wyglądały jak dwie plamki hen, daleko na wodzie.

Wziąłem worek mąki, zaniósłem do miejsca, gdzie ukryte było czółno, rozsunawszy gałęzie wrzuciłem mąkę do środka. Potem zrobiłem to samo z polciem boczku, potem z baryłką wódki. Wziąłem wszystką kawę i cukier z szałas, i całą amunicję, wziąłem przybitki i pakuły, wziąłem wiadro i miskę, wziąłem warząchew i kubek cynowy, moją piłę, dwie derki, kociołek i dzbanek na kawę. Wziąłem także wędki i zapalki, i różne inne rzeczy – wszystko, co warte było choć centa. Dosłownie wymiotłem szałas. Przydałaby mi się siekiera, ale była tylko jedna, która leżała obok stosu drzewa, a tę chciałem zostawić w specjalnym celu. Na końcu wyniosłem strzelbę.

Ziemia była mocno wydeptana przez to, że tyle razy wpełzałem z dziury i ciągnąłem za sobą tak dużo ciężarów. Więc teraz uporządkowałem to z zewnątrz możliwie jak najlepiej, czyli przysypałem wszystko ziemią, która przykryła ślady mojego czołgania się i opiłki drzewa. Potem wsunąłem wypiłowany kawał belki na miejsce i podparłem go dwoma kamieniami od dołu, a jednym przywaliłem z boku, bo belka była w tym miejscu wygięta i nie dotykała ziemi. Gdyby ktoś stanął w odległości kilku stóp i nie wiedział o piłowaniu, nic by nie zauważył; zresztą była to tylna ściana szałas i chyba nikomu nie przyszłoby do głowy tu myszkować.

Od szałas aż do czółna ciągnęła się bez przerwy trawa, więc nie pozostawiłem ani jednego śladu. Dla pewności poszedłem sprawdzić. Stałem nad brzegiem i rozejrzałem się po rzece. Wszystko było w porządku. Wziąłem wobec tego strzelbę i puściłem się kawałek w las szukając jakichś ptaków, aż tu nagle natykam się na dziką świnię – wieprze, które uciekały z farm położonych na prerii, bardzo prędko dziczały. Nie namyślając się wiele zastrzeliłem tę sztukę i przyciągnąłem pod szałas.

Wziąłem siekierę i wywaliłem drzwi. Dobrze je przy tym poharatałem i porąbałem. Teraz wniosłem dziką świnię do środka położyłem ją niedaleko stołu, siekierą rozplatałem jej podgardle i zostawiłem na ziemi, żeby się wykrwawiła; powiadam na ziemi, bo w szałasie nie było podłogi, a tylko twardo ubita ziemia. Z kolei wziąłem stary worek, włożyłem do środka dużo ciężkich kamieni – tyle, ile mogłem udźwignąć – i zacząłem ciągnąć go po ziemi od świni aż do drzwi, a potem przez las nad brzeg rzeki, gdzie plusk! – poszedł na dno i zniknął mi z oczu. Widać było wyraźnie, że coś ciężkiego wleczono po trawie. Żałowałem, że nie ma ze mną Tomka Sawyera; czułby się tu jak ryba w wodzie i obmyśliłby wszystko z większą fantazją. W tego rodzaju sprawach nikt nie mógł Tomkowi Sawyerowi dorównać. A w końcu wyrwałem sobie z głowy

trochę włosów, umazałem siekierę we krwi i przylepiłem włosy do ostrza, a potem rzuciłem siekierę w kąt izby. Teraz wziąłem świnię, na ręce, przytrzymałem ją kurtką od spodu, żeby krew nie kapiała, i niosłem ją, dopóki się nie oddaliłem spory kawał od domu, z biegiem rzeki, i tam ją utopiłem. Raptem przyszła mi do głowy nowa myśl. Wyjąłem z czółna worek z mąką i moją starą piłę i zaniósłem do szałas. Przydźwigałem mąkę na dawne miejsce, za pomocą piły wyrwałem w worku od spodu dziurę – w szałasie nie było noży ani widelców, bo jeśli idzie o przyrządzanie potraw, tatko radził sobie swoim myśliwskim nożem – a potem przeniosłem worek jakie sto jardów po trawie i przez kępę wierzb rosnących na wschód od szałas do płytkiego jeziora długości pięciu mil, które pełne było sitowia i – głowę dam, że w sezonie także pełne kaczek. Jezioro miało na tamtym brzegu odnogę, która ciągnęła się przez wiele mil; dokąd prowadziła, nie wiem, w każdym razie nie do rzeki. Mąka wysypywała się z worka i przez całą drogę aż do jeziora widać było na trawie wąziutką białą strużkę. Przyniosłem też nad jezioro oselkę tatki i rzuciłem ją na ziemię, co wyglądało, jakby ją tu zgubiono. Na koniec zawiązałem sznurkiem dziurę w worku, żeby mąka więcej się nie wysypywała, i zaniósłem worek i piłę z powrotem do czółna.

Było już teraz prawie ciemno. Przesunąłem czółno nieco w dół rzeki pod osłoną wierzb, których gałęzie zwisały nisko z brzegu, i czekając, aż wszędzie księżyc, przywiązałem je do pnia drzewa. Potem zjadłem coś niecoś i wreszcie położyłem się na dnie, żeby wypalić fajkę i ułożyć w głowie plan. Powiadam sobie: pójdą za śladem tego worka, z kamieniami nad rzekę i zaczną szukać mnie w wodzie! I pójdą za śladem mąki nad jezioro, popłyną na odnogę i będą się uganiać za rabusiami, co mnie zabili i ukradli rzeczy. Ale na rzece będą wypatrywali tylko mojego nieżywego trupa. Zbrzydnie im to bardzo prędko i całkiem przestaną się mną zajmować. Dobra nasza. Mogę zamieszkać, gdzie zechcę. Choćby na Wyspie Jacksona. Znam tę wyspę niezgorzej, nikt tam nigdy nie zagląda. Co jakiś czas popłynę sobie w nocy do miasteczka, pomyszkuję ostrożnie i skubnę to czy owo – co mi będzie potrzebne. Tak, Wyspa Jacksona to pierwszorzędny pomysł.

Byłem mocno zmęczony i zanim się spostrzegłem, już spałem. Obudziwszy się, przez dobrą chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem. Usiadłem i dalej się rozglądać to w prawo, to w lewo. Potem wszystko mi się przypomniało. Widziałem rzekę na przestrzeni wielu, wielu mil. Księżyc świecił tak jasno, że mógłbym policzyć kłody – czarne, płynące cicho w odległości paruset jardów od brzegu. Cicho było jak w grobie; wyglądało na to, że jest późno, pachniało tak, jakby

było późno. Wiecie pewnie, co mam na myśli – nie umiem tego wyrazić słowami.

Ziewnąłem od ucha do ucha, przeciągnąłem się i już miałem odczepić czółno i ruszyć, gdy nagle słyszę coś w górze rzeki. Zacząłem nasłuchiwać. Po chwili wiedziałem już, co to jest. Był to tępy i równomierny skrzyp wiosel obracających się w dulkach, skrzyp, jaki słyhać, kiedy noc jest bezwietrzna i spokojna. Wyglądam spoza gałęzi wierzby i widzę łódź daleko na wodzie. Nie mogłem dojrzeć, ilu w niej siedzi ludzi. Łódź zbliżała się szybko, a kiedy była na wprost mnie, zobaczyłem w niej tylko jednego człowieka. Pomyślałem sobie, że może to tatko, choć wcale się go nie spodziewałem. Człowiek w łodzi minął mnie płynąc z prądem, a potem zawrócił łódź i po płytkiej wodzie zaczął wiosłować do brzegu; w pewnej chwili był tak blisko mnie, że mógłbym go dotknąć wyciągniętą strzelbą. A jakże – był to tatko we własnej osobie; a w dodatku trzeźwy, sądząc po tym, jak wiosłował.

Nie namyślałem się długo. Już w następnej chwili sunąłem z prądem cicho, ale szybko, ukryty w cieniu wysokiego brzegu. Po jakichś dwóch milach odbiłem się mniej więcej o kilkaset jardów ku środkowi rzeki, bo wiedziałem, że niedługo będę mijał przystań promu, skąd mógłby mnie ktoś zobaczyć i zawołać. Wprowadziłem czółno między kłody spławnego drzewa, a potem położyłem się na dnie i płynąłem z prądem. Leżąc odpoczywałem sobie i paliłem fajkę, i patrzyłem w dalekie niebo bez jednej jedynej chmurki. Kiedy w jasną, księżycową noc człowiek leży na plecach i patrzy, niebo wydaje się dziwnie głębokie; wcale tego przedtem nie zauważyłem. A jak daleko głos się niesie po wodzie w taką noc! Słyszałem ludzi rozmawiających na przystani promu. Słyszałem nawet, co mówili; każde słowo. Jeden mężczyzna powiedział, że idzie teraz ku długim dniom i krótkim nocom. Drugi powiedział, że ta nie należy chyba do krótkich – a potem się roześmieli i ten pierwszy jeszcze raz to powtórzył, i jeszcze raz się roześmieli. Potem obudzili jakiegoś innego mężczyznę i trzeci raz to powtórzyli, i trzeci raz się roześmieli, ale on się wcale nie roześmiał; powiedział im coś do słuchu i żeby mu dali spokój. Ten pierwszy mężczyzna powiedział, że powtórzy to chyba swojej żonie – na pewno ją tym rozweseli. Chociaż – powiedział – nie jest to wcale takie dowcipne w porównaniu z tym, co w swoim czasie zdarzyło mu się mówić. Usłyszałem, jak jeszcze inny mężczyzna powiedział, że jest już blisko trzecia, więc ma nadzieję, że „najdalej za tydzień” zacznie świtać. Potem głosy coraz bardziej i bardziej się oddalały i nie rozróżniałem już słów; dolatywał do mnie jeszcze gwar rozmowy i czasem wybuch śmiechu, ale było to już z bardzo daleka. Znajdowałem się teraz sporo poniżej przystani promu. Wstałem i w odległości jakichś dwóch i pół mili zobaczyłem

przed sobą Wyspę Jacksona – gęsto zalesioną i sterczącą na środku rzeki, wielką, czarną i masywną jak duży statek bez świateł. Ławica piasku przy brzegu zniknęła pod wezbraną wodą.

Niebawem byłem na miejscu. Z wielką szybkością opłynąłem czoło wyspy, tak silny był prąd, ale potem dostałem się na cichą wodę i wylądowałem po stronie brzegu Illinois. Wprowadziłem czółno do głębokiej wyrwy w brzegu, o której od dawna wiedziałem. Żeby się tam przedostać, musiałem rozchylić gałęzie wierzby, ale jak uwiązałem czółno do pnia, nikt go nie mógł zauważyć z zewnątrz.

Wyskoczyłem na brzeg, poszedłem na czoło wyspy i przysiadłszy na pniu spojrzałem na ogromną rzekę, na czarne kłody płynące z prądem i hen, w odległości trzech mil, na miasteczko, gdzie błyskało kilka świateł. O jakąś milę w górze rzeki spostrzegłem ogromną tratwę flisacką z latarnią pośrodku. Przyglądałem się jej, jak spływała z wodą, a kiedy znalazła się prawie na wysokości miejsca, gdzie siedziałem, męski głos zawołał: – Lewy pych, kurs w prawo! – Słyszałem te słowa tak wyraźnie, jakby wołający był o krok.

Niebo poszarzało trochę, więc wszedłem między drzewa i położyłem się na ziemi. Postanowiłem, że utnę sobie przed śniadaniem małą drzemkę.

Jak zwędziłem Murzyna panny Watson

Kiedy się obudziłem, słońce stało tak wysoko, że była już chyba ósma. Leżałem wygodnie na trawie w chłodnym cieniu, myślałem o różnych rzeczach i czułem się wypoczęty i zadowolony. Widziałem słońce przez kilka szpar między gałęziami, ale prawie wszystkie drzewa nade mną były duże, a pod nimi przyjemny mrok. Ziemia była cała upstrzona małymi plamkami, tam gdzie słońce przeciskało się między liśćmi, i te plamki troszkę się ruszały, więc pewnie w górze wiał lekki wiatr. Dwie wiewiórki siedziały na gałęzi, coś tam do mnie przyjaźnie gadając.

Czułem się okropnie ociężały i tak mi było dobrze, że nie chciało mi się jeszcze wstawać ani gotować śniadania. Pewnie znowu się zdrzemnąłem, kiedy nagle słyszę głębokie: bu-um! gdzieś w górze rzeki. Poderwałem się i oparty na łokciu zacząłem nasłuchiwać. Po chwili znów zadudniło: bu-um! Zerwałem się i dalej patrzeć przez szparę między liśćmi; daleko, gdzieś na wysokości przystani promu zobaczyłem kłęby dymu unoszącego się tuż nad wodą. A zaraz potem spostrzegłem prom całkiem zapchany ludźmi i płynący ku mnie z prądem. Teraz już wiedziałem, co się święci. Bu-um! – i widzę, jak biały kłąb dymu wyskakuje z boku promu. No więc, rozumiecie, strzelali prochem nad wodą, żeby mój trup wypłynął na wierzch.

Byłem niemożliwie głodny, ale nie mogłem rozpalić ogniska, bo jeszcze by spostrzegli dym. Więc usiadłem i patrzyłem na kłęby dymu, i przysłuchiwałem się wybuchom. Rzeka, na milę w tym miejscu szeroka, zawsze rankiem wygląda pięknie, więc gdybym tylko miał coś do jedzenia, nie nudziłbym się ani trochę i czas schodziłby mi prędko i przyjemnie na tym oglądaniu połowów mojego trupa. Aż tu raptem przyszło mi do głowy, że jest zwyczaj wkładania rtęci do bochenków chleba i puszczania ich na wodę, bo taki bochenek wali prosto jak strzała do miejsca, w którym leży na dnie topielec, i tam się zatrzymuje. Pięknie, myślę sobie, będę teraz uważał, i niech mi się tylko jakiś bochenek nawinie pod rękę, a dostanie za swoje! Poszedłem szukać szczęścia nad brzeg wyspy od strony Illinois i nie myślcie, że się zawiodłem. Nadpłynął wielki podwójny

bochen i byłbym go złapał za pomocą długiego patyka, ale się pośliznąłem i woda go zniosła dalej. Stałem naturalnie w miejscu, gdzie prąd podpływa najbliżej brzegu, na to miałem dość rozumu w głowie. Po jakimś czasie patrzę – płynie drugi bochen i tym razem ja byłem górą. Wyjąłem zatyczkę, wysypałem ze środka rtęć i zabrałem się do jedzenia. Pyszny chleb, jaki jadają tylko w najlepszym towarzystwie, nie żaden tam placek z kukurydzy.

Znalazłem sobie dobre miejsce między liśćmi, więc siadłem na pniaku i zjadłem chleb, i przypatrywałem się promowi, bardzo ze wszystkiego zadowolony. A potem nagle coś mi przyszło do głowy. Powiadam sobie: pewnie wdowa albo proboszcz, albo ktoś jeszcze inny modlili się, żeby mnie ten chleb odnalazł. No i proszę – popłynął z prądem i zrobił, o co go prosili! Więc rzecz murowana, że coś w tym jest. Raczej, że coś w tym jest, kiedy modli się osoba taka jak proboszcz czy wdowa – mnie się to wcale nie udaje. Pewnie może się udać tylko niektórym ludziom.

Zapaliłem fajkę i pykając sobie przyjemnie, patrzyłem dalej na rzekę. Prom płynął z prądem, więc pomyślałem, że będę mógł dojrzeć, kto jest na pokładzie, bo woda zniesie go blisko brzegu, w to samo miejsce, gdzie zniosła chleb. Kiedy prom był już blisko, zgasilem fajkę i poszedłem tam, gdzie przed chwilą wyłowilem chleb. Położyłem się za pniakiem na ziemi, na otwartym kawałku brzegu. Widziałem wszystko przez szparę między rozwidlającymi się konarami.

Bardzo niedługo prom nadpłynął, a woda zniosła go tak blisko, że mogliby wyrzucić pomost i zejść na brzeg. Kogo tam nie było na pokładzie! Tatko, sędzia Thatcher i Bessie Thatcher, Jo Harper, Tomek Sawyer i jego stara ciotka Polly, Sid i Mary, i cała gromada innych osób. Wszyscy rozmawiali o morderstwie, ale kapitan przerwał im i powiada:

– A teraz dobrze wypatrujcie. W tym miejscu prąd podchodzi najbliższej wyspy, więc może woda wyrzuciła trupa na brzeg i leży gdzieś zaplątany w gęstwinie na samym skraju lądu. Mam nadzieję, że go tu znajdziemy.

Ja miałem całkiem przeciwną nadzieję. Wszyscy się stłoczyli i wychyleni przez burtę patrzyli mi prawie w twarz, w zupełnym milczeniu. Nagle kapitan zawołał:

– Proszę się cofnąć! – i armatka strzeliła mi niemal w nos, a wybuch był taki straszny, że o mało nie ogłuchłem od huków i nie oślepiłem od dymu i pomyślałem sobie, że chyba całkiem już nie żyję. Gdyby tam w lufie była kula, znaleźliby te szczątki, których tak szukali! No, ale zobaczyłem, że na szczęście nie jestem ranny. Prom odpłynął i znikł mi z oczu za zakrętem. Od czasu do czasu słyszałem jeszcze wybuchy, coraz cichsze, a po godzinie w ogóle ich nie

słyszałem. Wyspa była długa na trzy mile. Pomyślałem, że dopłynęli pewnie do jej końca i dali spokój strzelaniu. Ale nie dali. Opłynęli wyspę i strzelając od czasu do czasu, ruszyli pod parą w górę rzeki, tym razem odnogą wzdłuż brzegu stanu Missouri. Poszedłem na tamtą stronę i przyglądałem im się z bliska. Kiedy dopłynęli do końca wyspy, przestali strzelać, a potem przybili do brzegu Missouri, wylądowali i poszli do domu.

Wiedziałem, że mogę teraz odetchnąć. Nikt nie będzie się już za mną uganiał po rzece. Wyniosłem moje graty z czółna i urządziłem sobie niezgorszy obóz w gęstym lesie. Z derek zrobiłem namiot, gdzie w razie potrzeby mogłem chować rzeczy przed deszczem. Złapałem sumę, rozplątałem go swoją starą piłą, a o zachodzie słońca rozpałem ognisko i zjadłem kolację. Potem zarzuciłem wędki, żeby mieć ryby na śniadanie.

Kiedy się ściemniło, siadłem z fajeczką przy ognisku i byłem całkiem ze wszystkiego zadowolony; ale po trochu zrobiło mi się jakoś smutno, więc poszedłem na brzeg, usiadłem i zacząłem przysłuchiwać się szemraniu wody, i liczyłem gwiazdy, kawałki przepływającego drewna, kłody spławne; a potem poszedłem spać. Kiedy człowiekowi cknę się z samotności, nic tak nie skraca czasu jak sen.

Tak przebyłem trzy dni i trzy noce. Bez żadnych zmian – ciągle to samo. Ale czwartego dnia poszedłem zwiedzić wyspę. Byłem jej panem, cała do mnie należała, więc chciałem jak najwięcej o niej wiedzieć; ale jeszcze bardziej chciałem skrócić czas, bo mi się okropnie dłużył. Znalazłem mnóstwo poziomek, dojrzałych i pysznych; i zielone jeżyny, i zielone maliny; a czarne jagody też były jeszcze zielone i dopiero zaczynały się pokazywać. Pomyślałem, że wszystkie one przydadzą się we właściwej porze.

No więc poszedłem sobie wolno gęstym lasem i byłem już, jak mi się zdaje, niedaleko drugiego końca wyspy. Wziąłem strzelbę, ale nie strzeliłem ani razu; wziąłem ją bardziej dla obrony, chociaż postanowiłem, że wracając zapoluję na zwierzynę bliżej obozowiska. Właśnie wtedy prawie że nastąpiłem na sporego węża; wąż zaczął pomykać przez trawę i kwiaty, a ja smyk za nim, próbując wpakować mu kulkę. A jak gnałem tak przez las, nagle wpadłem w sam środek dymiących jeszcze popiołów ogniska.

Serce zatłukło mi między żebrami. Nie przystanąłem, żeby popatrzeć dokładniej, tylko zacząłem cofać się chyłkiem, na palcach i najciszej jak tylko mogłem. Co rusz zatrzymywałem się na sekundę w gęstwinie liści i nasłuchiwałem, ale oddychałem strasznie głośno, więc i tak bym nic nie usłyszał. Przekradałem się kawałek między drzewami – i znowu nasłuchiwałem; i

tak ciągle dalej i dalej. Jak widziałem pieńek, brałem go za człowieka; jak nastąpiłem na suchą gałązkę, zdawało mi się, że ktoś przekrajał mi oddech na dwoje i zostawił mi tylko połowę – w dodatku tę mniejszą.

Kiedy wróciłem do obozu, czułem się osłabły i ze strachu trochę mi się trzęsły łydki. Ale, powiadam sobie, to nie jest pora na włóczenie się po lesie. Więc przeniosłem wszystkie rzeczy z powrotem do czółna, przydusiłem ogień, rozsypałem popiół, żeby się wydawało, że są to ślady zeszłorocznego obozowiska, a potem wdrapałem się na drzewo.

Myślę, że siedziałem tak ze dwie godziny, ale nic nie widziałem i nic nie słyszałem, tylko wydawało mi się, że widzę i słyszę z tysiąc najrozmaitszych rzeczy. Co robić? —przecież nie mogłem siedzieć na drzewie do końca życia, więc wreszcie zeskoczyłem na ziemię, ale nie wytykałem nosa z najgęstszego lasu i cały czas miałem się na baczności. Jadłem tylko poziomki i to, co mi zostało ze śniadania.

Z nadejściem nocy byłem głodny jak stado wilków. Więc kiedy się już ściemniło, ale nie wzeszedł jeszcze księżyc, odbiłem cicho od brzegu i popłynąłem na brzeg Illinois, odległy o jakie ćwierć mili. Wszedłem w las, rozpałem ognisko i ugotowałem kolację; kiedy już prawie postanowiłem, że spędzę tu noc, słyszę nagle „klap-klap, klap-klap” i powiadam sobie: konie idą. A zaraz potem usłyszałem ludzkie głosy. Przeniosłem wszystko do czółna najprędzej jak tylko mogłem i skradając się cicho, poszedłem na zwiady. Nim uszedłem daleko, słyszę w ciemności głos jakiegoś mężczyzny:

– Lepiej zostańmy tutaj, jeżeli znajdziemy dobre miejsce. Konie ledwie zipią. Chodź, popatrzymy.

Nie czekałem dłużej, tylko zepchnąłem czółno i odpłynąłem wiosłując cicho. Przybiłem do dawnego miejsca na wyspie i postanowiłem przespać noc w czółnie.

Ale kiepsko spałem. Jakoś nie mogłem, bo za dużo myśli chodziło mi po głowie. A co się obudziłem, miałem wrażenie, że ktoś mnie trzyma za kołnierz. Więc taki sen niewiele mi dał pożytku. Po jakimś czasie powiadam sobie: to nie jest żadne życie. Muszę zobaczyć, kto tu jest ze mną na tej wyspie. Albo się dowiem, albo biorę nogi za pas. No i zaraz poczułem się lepiej.

Więc odbiłem się wiosłom od brzegu na odległość jakich dwóch kroków i popłynąłem z prądem ukryty w cieniu drzew. Księżyc świecił już na niebie i poza pasem cienia było jasno jak w dzień. Płynąłem tak dobrą godzinę, a cicho było jak makiem zasiał i wszystko dookoła mnie spało. Wreszcie znalazłem się niedaleko drugiego końca wyspy. Powiał teraz chłodny wiaterek,

co było najlepszym znakiem, że ma się już do świtu. Skręciłem czółno wiosłem i przybiłem do brzegu. Wziąłem strzelbę, wyskoczyłem ostrożnie i zatrzymałem się na skraju lasu. Usiadłem na zwalonym pniu i zacząłem patrzeć przez gęstwinę liści. Widziałem, jak księżyc schodzi powoli z nieba i ciemność kładzie się na rzece. Ale zaraz pokazała się jaśniejsza pręga nad wierzchołkami drzew, więc wiedziałem, że niedługo zacznie świtać. Wziąłem strzelbę i przystając co chwilę i nadstawiając uszu zacząłem się przekradać do miejsca, gdzie natrafiłem w dzień na ognisko. Ale jakoś mi się nie wiodło; w żaden sposób nie mogłem znaleźć tego miejsca. Dopiero po jakimś czasie spostrzegłem błysk ognia daleko między drzewami. Poszedłem w tym kierunku – bardzo ostrożnie i powoli. Kiedy znalazłem się blisko, zobaczyłem mężczyznę leżącego na ziemi. Prawie że ugięły się przede mną kolana. Mężczyzna miał derkę nasuniętą na głowę, a głowę trzymał tuż przy ognisku. Usiadłem za kępą krzaków, w odległości jakichś sześciu stóp, i zacząłem przyglądać się śpiącemu. Już szarzało. Po chwili mężczyzna ziewnął, przeciągnął się i odrzucił derkę. A wtedy zobaczyłem, że to Jim. We własnej osobie. Murzyn panny Watson! Słowo daję, strasznie się ucieszyłem. Powiadam:

– Hej, Jim! – i hyc z za krzaka.

Podskoczył, spojrział na mnie dziko, a potem rzucił się na kolana, złożył ręce i zawołał:

– Nie rób mi nic złego, nie rób! Nie skrzywdziłem nigdy żadnego ducha! Zawsze bardzo lubiłem nieboszczyków i pomagałem im, jak tylko mogłem. Idź sobie i wróć do rzeki, gdzie teraz mieszkasz, i daruj staremu Jimowi, co zawsze był twoim przyjacielem!

Dość prędko go przekonałem, że wcale nie jestem nieżywy. Co za radość spotkać tak nagle Jima! Nie czułem się już ani trochę samotny. Powiedziałem mu, że się wcale nie boję, że on wyda ludziom moją kryjówkę. Gadałem jak najęty, ale Jim milczał i tylko na mnie spoglądał. W końcu powiedziałem:

– Jasno już. Zrobimy teraz śniadanie. Dorzuć porządnie do ogniska.

– Co z tego, że dorzucę, jak mam tylko poziomki i inne paskudztwa? Ale przyniosłeś strzelbę, prawda? To może ugotujemy co lepszego od poziomek.

– Poziomki i inne paskudztwa? – spytałem. – Tylko tym się żywiłeś?

– Czym się miałem żywić, jak nie znalazłem nic innego?

– Ojej, a kiedyś przyszedł na wyspę?

– W nocy, na drugi dzień po tym, jak cię zabili.

– Co, już tyle czasu tu jesteś?

– Aha.

– I jadłeś tylko te śmiecie? Nic innego?

– Nic innego, Huck.

– To chyba umierasz z głodu?

– Myślę, że mógłbym zjeść wołu. Tak, na pewno dałbym radę.

Od kiedy ty jesteś na wyspie?

– Od tej nocy, kiedy mnie zabili.

– Co? Niemożliwe! Czymś ty się żywił, Huck? Racja, masz przecież strzelbę. Ano tak, masz strzelbę. To dobrze. Zabij coś, a ja rozpalę ognisko.

Więc poszliśmy do tego miejsca, gdzie było ukryte czółno, i Jim zaczął rozpalać ognisko na małej polance między drzewami, a ja tymczasem przyniosłem mąkę i boczek, kawę, dzbanek na kawę, patelnię, cukier i cynowe kubki. Na ten widok Jim rozdziawił gębę, bo myślał, że zdobyłem to wszystko za pomocą czarów. Złapałem jeszcze dużego, tłustego suma i Jim oczyścił go swoim nożem i usmażył na patelni.

Kiedy śniadanie było gotowe, przycupnęliśmy na trawie i jedliśmy wszystko na gorąco. Jim pałaszował, że aż mu się uszy trzęsły, bo był prawie na śmierć zagłodzony. A napchawszy się solidnie, rozłożyliśmy się na trawie i dalej leniuchować!

Po chwili Jim powiada:

– Słuchaj no, Huck. Jeżeli ty nie jesteś nieżywy, to kogo zabili w tym szałasie?

Opowiedziałem mu wszystko, a on mi na to, że bardzo całą rzecz przemyślnie urządziłem.

Tomek Sawyer nie wykombinowałby tego lepiej. Potem spytałem:

– A skąd tyś się tu wziął, Jim, i jakim sposobem dostałeś się na wyspę?

Miał minę bardzo niewyraźną i przez chwilę w ogóle się nie odzywał. Potem powiada:

– Może lepiej, żebym nie mówił.

– Dlaczego, Jim?

– Hm... mam powody. Ale ty mnie nie wydasz, jak ci powiem? Co, Huck?

– Niech mnie licho, jak cię wydam, Jim!

– Wierzę ci, Huck. Widzisz, ja... ja uciekłem.

– Jim!

– Ale pamiętaj: powiedziałeś, że mnie nie wydasz. Sam wiesz, że tak powiedziałeś, Huck!

– Hm, to prawda. Jak powiedziałem, że cię nie wydam, to cię nie wydam. Słowo daję. Ludzie

będą gadali, że jestem obmierzły abolicjonista, i będą na mnie krzywo patrzyli, że nie puściłem pary z gęby, ale co mi tam! Ani myślę cię wydawać i ani myślę wracać do miasteczka. A teraz opowiadaj wszystko dokładnie.

– Widzisz, Huck, poszło o to: moja stara, to jest panna Watson, ciągle się mnie czepiała i wcale nie miałem z nią lekkiego życia, ale przynajmniej zawsze mi obiecywała, że nie sprzeda mnie nigdy do Orleanu. Co z tego, kiedy ostatnio zauważyłem, że ciągle się kręci po domu jakiś handlarz niewolników, a jak to zauważyłem, zaraz obleciał mnie strach. Więc kiedyś wieczorem podkradam się pode drzwi, a drzwi nie były całkiem zamknięte, i słyszę, jak panna Watson mówi wdowie, że mnie sprzeda do Orleanu, że właściwie to wcale nie chce mnie sprzedawać, ale dają jej za mnie osiemset dolarów, a to jest taka kupa pieniędzy, że da się chyba skusić. Wdowa zaczęła ją prosić, żeby tego nie robiła, ale wołałem nie czekać, co będzie dalej. Uciekałem ile sił w nogach, możesz mi wierzyć. Zbiegłem na łeb, na szyję z pagórka i myślałem, że uda mi się skraść łódź gdzieś nad rzeką wyżej miasta, ale ludzie jeszcze tam byli, więc schowałem się w starym warsztacie bednarskim i czekałem, aż sobie wszyscy pójda do domu. Hm... przesiedziałem tak całutką noc, bo ciągle się ktoś kręcił w bliskości. Gdzieś koło szóstej rano łodzie zaczęły koło mnie przepływać, a potem, od jakiej dziesiątej, co przepłynie łódź, wszyscy w niej gadają, jak to twój tatko przyszedł do miasteczka i powiedział, że jesteś zabity. W tych ostatnich łodziach pełno było pań i panów i wszyscy jechali obejrzeć szafas, gdzie cię uśmiercili. Czasami przybijali do brzegu, żeby odpocząć, zanim się przeprawią na drugą stronę, i z ich rozmów dowiedziałem się wszystkiego. Strasznie się martwiłem, Huck, że nie żyjesz, ale teraz wcale się już nie martwię. Przeleżałem tak cały dzień pod wiórami. Jeść mi się chciało, ale nic się nie bałem, bo moja stara i wdowa miały jechać zaraz po śniadaniu na nabożeństwo misyjne i miały wrócić dopiero wieczorem, a ponieważ wiedzą, że wypędzam bydło na pole o samym świcie, do wieczora nie zauważyłyby mojej nieobecności. Reszta służby też się nie zdziwi, że mnie nie ma, bo jak tylko stare panie wyjeżdżają za bramę, oni zaraz dają nogę.

No więc kiedy się całkiem ściemniło, poszedłem drogą w górę rzeki pewnie ze dwie mile, tam gdzie wcale nie ma domów. Już sobie postanowiłem, co zrobię. Widzisz, jakbym próbował uciekać piechotą, psy zaraz by mnie wytropiły, jakbym ukradł łódź i próbował przeprowić się na drugą stronę, zaraz by, rozumiesz, zauważyli, że nie ma tej łodzi, i wiedzieliby, gdzie wyląduję na tamtym brzegu i gdzie szukać moich śladów. Więc powiadam sobie: tratwa. Tratwa to najlepszy sposób, bo nie zostawię żadnych śladów. Po jakimś czasie patrzę, a tu zza zakrętu

pokazuje się na rzece światło, więc buch do wody, chwytam się jakiejś belki i pcham ją przed sobą, i płynę tak prawie na środek rzeki; a tam wciskam się między splawne kłody i trzymam cały czas głowę tuż nad wodą, i płynę kawałek pod prąd, dopóki tratwa się nie przybliżyła. Wtedy podpłynąłem do niej od strony rufy i cap za deski. Właśnie się zachmurzyło i przez chwilę było całkiem ciemno, więc wdrapałem się na wierzch i leżę cicho na deskach. Ludzie wszyscy siedzieli w samym środku, tam gdzie stała latarnia. Rzeka przybierała i prąd był dobry, więc myślę sobie, że zrobimy ze dwadzieścia pięć mil od rana, a wtedy przed samym świtem ześliznę się z tratwy, popłynę do brzegu i pójdę w las po stronie Illinois.

Ale całkiem mi się nie wiodło. Kiedyśmy byli prawie na wysokości wyspy, jeden z mężczyzn bierze latarnię i idzie z nią na koniec tratwy. Widzę, że nic dobrego nie przyjdzie z czekania, więc buch do wody i płynę na wyspę. Myślałem, że będę mógł wylądować gdzie bądź, ale nic z tego, bo brzeg jest bardzo urwisty. Dopłynąłem prawie do końca wyspy, zanim mogłem się wgramolić na brzeg. Poszedłem w las i powiedziałem sobie, że nie będę więcej zaczynał z tratwami, bo za dużo na nich tego chodzenia z latarnią. Miałem schowaną w czapce fajkę i tytoń, i trochę zapalek, które wcale nie zamokły, więc nic mi nie brakowało.

– I przez cały ten czas nie miałeś w ustach ani mięsa, ani chleba? Dlaczegoś nie złapał przynajmniej jakiegoś żółwia?

– A jak go miałem złapać? Przecież człowiek nie może wyskoczyć zza krzaka i chwycić żółwia w garść. A może miałem go zabić kamieniem? Myślisz, że człowiek mógłby trafić żółwia w nocy? A ja ani myślałem w dzień pokazywać się na brzegu.

– To racja. Musiałeś cały czas siedzieć w gęstym lesie. Słyszałeś, jak strzelali z armaty?

– A jakże. Zaraz wiedziałem, że szukają ciebie. Oglądałem ich, jak tędy przepływali. Patrzałem zza krzaków.

Nadleciało stado młodych ptaszków: frunęły z jard czy dwa w powietrzu i siadały na ziemi. – To znak, że spadnie deszcz – powiedział Jim. Kiedy kurczęta tak fruują, jest to zawsze znak, że będzie padało. Jim przypuszczał, że to samo tyczy się młodych ptaszków. Chciałem schwytać ich kilka, ale Jim nie pozwolił. Powiedział, że to sprowadza śmierć. Powiedział, że kiedyś jego ojciec był bardzo ciężko chory i któreś z dzieci złapało ptaszka, a wtedy stara babka powiedziała, że ojciec umrze – no i umarł.

Powiedział też Jim, że nie wolno liczyć rzeczy, które się będzie gotowało na obiad, bo to przynosi nieszczęście. Tak samo nie wolno strząsać obrusa po zachodzie słońca. Powiedział

jeszcze, że jak umrze człowiek, który jest właścicielem ula, trzeba zawiadomić o tym pszczoły przed wschodem słońca, bo inaczej pszczoły całkiem stracą siły, przestaną pracować i padną. Jim dodał jeszcze, że pszczoły nie kłują tylko idiotów; ale ja nie bardzo w to wierzyłem, bo nieraz drażniłem je i nigdy mnie nie kłuły. O niektórych tych rzeczach słyszałem już dawniej, ale nie o wszystkich. Jim znał mnóstwo najrozmaitszych znaków. Powiedział, że wie prawie o wszystkich. Wyglądało mi na to, że chyba są tylko same znaki, które zapowiadają nieszczęście; więc spytałem, czy nie ma znaków, co zapowiadałyby szczęście. Odparł:

– Bardzo mało, bo też niewiele ma się z nich pożytku. Po co ci wiedzieć, kiedy cię spotka szczęście? Żeby je odczarować? Jak człowiek ma owłosione ramiona i piersi, to znak, że będzie bogaty. Hm, z takiego znaku jest przynajmniej pożytek, bo zapowiada coś z góry i na bardzo długo. Jakiś człowiek mógłby wpierw być biedny, i to przez wiele lat, i mógłby się jeszcze zniechęcić i zadać sobie śmierć, gdyby nie wiedział po tych włosach, że kiedyś będzie bogaty.

– A ty, Jim, masz dużo włosów na piersiach i ramionach?

– Po co pytasz? Czy ich sam nie widzisz?

– No, a jesteś bogaty?

– Nie, ale kiedyś byłem bogaty i w przyszłości będę bogaty.

Kiedyś miałem czternaście dolarów, ale zacząłem spekulować i zbankrutowałem.

– A na czym spekulowałeś, Jim?

– Najpierw na inwentarzu.

– Na jakim inwentarzu?

– Jak to na jakim? Na żywym. Spekulowałem na bydło. Ulokowałem dziesięć dolarów w krowie. Ale nie będę już ryzykował pieniędzy na zakup bydła. Krowa trach! – i zdechła na moich rękach.

– I wtedy straciłeś te swoje dziesięć dolarów?

– Nie wszystkie. Tylko koło dziewięciu. Sprzedałem skórę i łój za dolara i dziesięć centów.

– Więc zostało ci pięć dolarów i dziesięć centów. Spekulowałeś dalej?

– A jakże. Znasz, Huck, tego jednookiego Murzyna, co należy do starego pana Bradisha? Ten Murzyn założył bank i powiedział, że kto przyniesie do jego banku dolara, dostanie w końcu roku o cztery dolary więcej. No więc wszystkie czarnuchy z naszej okolicy przynosiły pieniądze, ale co tam – niedużo tego mieli. Ja jeden miałem dużo. Więc powiedziałem, że jak nie dostanę więcej niż cztery dolary, to sam założę bank. Murzyn pana Bradisha nie chciał naturalnie, żebym

ja to zrobił, i powiedział, że nie będzie dość pracy dla naszych dwóch banków, ale że mogą złożyć u niego te moje pięć dolarów, a on w końcu roku zapłaci mi za nie trzydzieści pięć dolarów. Tak też zrobiłem. Potem myślałem sobie, że z miejsca ulokuję w czymś te trzydzieści pięć dolarów i niech będzie ruch w interesie. Był wtedy taki jeden Murzyn Bob i ten Murzyn Bob złapał na rzece dużą sztukę, o czym jego pan wcale nie wiedział. Więc kupiłem od niego tę sztukę i powiedziałem mu, żeby sobie wziął te trzydzieści pięć dolarów, jak przyjdzie koniec roku. Ale ktoś ukradł sztukę tej samej nocy, a na drugi dzień taki owaki Murzyn powiedział, że bank ze wszystkim zbankrutował i żaden z nas nie dostanie ani centa.

– A coś zrobił z tymi dziesięcioma centami, Jim?

– Chciałem sobie za nie coś kupić, ale miałem sen, żeby je dać Murzynowi, co go nazywają Głupi Balum. On jest trochę stuknięty, ale ludzie powiadają, że ma szczęście, a ja żadnego szczęścia nie miałem. W tym śnie mi się przyśniło, żebym dał te dziesięć centów Balumowi, a Balum mi je dobrze ulokuje i dużo dla mnie zrobi. No więc Balum wziął te pieniądze i zaraz potem poszedł do kościoła, i usłyszał, jak pastor mówi na kazaniu, że kto da pieniądze dla biednych Pana, dostanie z powrotem sto razy więcej. Więc Balum wziął i dał te dziesięć centów dla biednych, i czekał, co z tego wyniknie.

– No i co wynikło?

– Nic nie wynikło. W żaden sposób nie mogłem tych dziesięciu centów odebrać. Balum też nie mógł. Ani myślę więcej pożyczać pieniędzy bez uczciwej poręki. Dostanę sto razy więcej! Sam pastor tak powiedział! A jakże, dostałem! Żebym chociaż dostał z powrotem te dziesięć centów, byłbym zadowolony, że udało mi się wymigać od straty.

– No, Jim, nie masz się co martwić, bo wiesz, że i tak będziesz kiedyś bogaty.

– To prawda. A jak się nad tym zastanowić, to właściwie już teraz jestem bogaty. Należę przecież do samego siebie, a jestem wart całe osiemset dolarów. Chciałbym mieć te pieniądze, wystarczyłoby mi ich do końca życia.

Dom śmierci przepływa obok naszej tratwy

Chciałem obejrzeć z bliska jeden pagórek w samym środku lasu, który wpadł mi w oko podczas zwiedzania wyspy, więc wyruszyliśmy z Jimem i bardzo prędko dotarliśmy na miejsce, bo wyspa miała tylko ćwierć mili szerokości i trzy mile długości.

Był to dość długi i stromy pagórek, wysoki na jakie czterdzieści stóp. Nameńczyliśmy się niemało, zanim wdrapaliśmy się na sam szczyt, bo stoki były strome i porośnięte gęstymi krzakami. Zaczęliśmy łązić i oglądać wszystko dokładnie i nagle widzimy w skale pod samym prawie szczytem od strony Illinois dużą, wysoką pieczarę! Na wielkość pieczara równała się chyba dwóm albo trzem pokojom razem wziętym, a Jim mógł wyprostować się w niej całkiem swobodnie. W środku był przyjemny chłód. Jim próbował mnie namówić, żebyśmy zaraz przenieśli tu wszystkie nasze graty, ale nie chciałem, bo co to za sens drapać się ciągle tam i z powrotem po stromej skale.

Wtedy Jim powiedział, że jak ukryjemy czółno w dobrym miejscu, a wszystkie rzeczy przeniesiemy do pieczary, będziemy mogli się tu w razie niebezpieczeństwa schować; a gdyby ktoś przyszedł na wyspę, bez psów nigdy by nas nie znalazł. A zresztą – powiedział – te małe ptaszki ćwierkały na deszcz, więc czy ja chcę, żeby nam wszystkie rzeczy całkiem pomokły?

Wróciliśmy wobec tego do czółna, popłynęliśmy wzdłuż brzegu do miejsca znajdującego się mniej więcej na wysokości pieczary i przenieśliśmy tam wszystkie rzeczy. Potem znaleźliśmy niedaleko dobrą kryjówkę dla naszego czółna – między rosochatymi wierzbami. Zdjęliśmy kilka rybek z wędek i wędkę zarzuciliśmy znowu, a wreszcie zabraliśmy się do przygotowywania obiadu.

Wejście do pieczary było takie duże, że zmieściłaby się w nim największa beczka od wina; po jednej stronie wejścia było w podłodze podwyższenie, jakby gładka platformka – świetne miejsce pod ognisko. Więc roznieciliśmy ogień i ugotowali obiad.

Rozłożyliśmy derki w pieczarze niczym dywany i tam zjedliśmy obiad. Wszystkie rzeczy ułożyliśmy w głębi pod ścianą, żeby mieć do nich łatwy dostęp. Bardzo szybko na dworze całkiem się ściemniło i huknęły grzmoty, i zaczęły latać błyskawice. Okazało się, że ptaki miały rację. Zaraz potem lunął deszcz. Lało jak z cebra i nigdy chyba nie widziałem takiej wichury. Była to jedna z tych gwałtownych burz letnich. Po chwili zrobiło się na dworze jeszcze ciemniej – ni to niebiesko, ni to czarno – i bardzo pięknie. A deszcz młócił taki gęsty, że drzewa – nawet te najbliższe – były zamglone i jakby okręcone pajęczyną. Potem nagle wiatr zadał taki potężny, że pochylały się drzewa i widać było bladozielone spody liści. Potem zerwał się podmuch jeszcze gwałtowniejszy i konary i gałęzie tak się wyginały, jakby drzewa były całkiem obłąkane. A kiedy na dworze zrobiło się jeszcze czarniej i bardziej niebiesko, błyskawice przelatowały po niebie i nagle jasno było jak w słońcu, i na sekundę wynurzały się czubki drzew – gdzieś hen, daleko, w samym środku burzy, o wiele setek jardów dalej, niż przedtem je było widać. Po sekundzie znów robiło się ciemno jak w grobie i zaraz potem rozlegał się straszliwy huk grzmotu i dudnił, i łomotał, i walił się z nieba aż do samego środka ziemi, jakby kto taczał puste beczki w dół po wysokich schodach.

– Jim, ale mi tu dobrze! – powiadam. – Za nic nie chciałbym być gdzie indziej. Podaj mi jeszcze kawałek ryby i kawałek tego gorącego placka.

– Hm, gdyby nie Jim, wcale by cię tu nie było. Siedziałbyś teraz w lesie bez obiadu i prawie utopiony. Tak by z tobą, chłopcze, było. Kurczęta wiedzą, kiedy deszcz spadnie, i tak samo wiedzą ptaki.

Rzeka przybierała przez dziesięć czy dwanaście dni, aż w końcu wystąpiła z brzegów. Woda zalała wyspę i sięgała kilku stóp w miejscach niżej położonych i na brzegu po stronie Illinois, gdzie rozlała się na wiele mil szeroka. Ale odległość do brzegu Missouri wynosiła te same pół mili, bo brzeg Missouri był wysoki i urwisty.

W dzień jeździliśmy czółnem po całej wyspie. W głębi lasu było ciemnawo i chłodno, nawet kiedy wyżej słońce piekło niemiłosiernie. Pływaliśmy krętym szlakiem pomiędzy drzewami, a gdziekolwiek pnącza zwiślały z drzew takie gęste, że musieliśmy zawracać i szukać innej drogi. Prawie na każdym zwalonym drzewie siedziały króliki i węże, i tym podobne bractwo, a kiedy wyspa stała już ze dwa dni pod wodą, tak to wszystko zgłodniało i tak się z głodu obłąkowało, że jakby człowiek chciał, mógłby podpłynąć czółnem i wylapać je gołą ręką; naturalnie z wyjątkiem żółwi i węży, bo te zaraz smykały w wodę. Pełno tego siedziało na skale, w której była nasza

pieczara, i gdybyśmy chcieli, moglibyśmy sobie założyć nielichy zwierzyńiec.

Którejś nocy złapaliśmy część ogromnej tratwy, zbitej z ładnych desek sosnowych. Szeroka była na dwanaście stóp, długa na piętnaście albo szesnaście, a wierzch, masywny i gładki, wystawał nad wodę na jakieś sześć czy siedem cali. W dzień widywaliśmy często przepływające bale, ale dawaliśmy im płynąć, bo w dzień nie chcieliśmy się pokazywać na rzece.

Innej nocy, kiedyśmy tuż przed świtem znajdowali się w dole wyspy, patrzymy – a tu na zachodnią odnogę sunie domek drewniany, piętrowy, mocno pochylony na bok. Podpłynęliśmy do niego i wleźliśmy do środka przez okno na parterze. Ale było jeszcze za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć, więc przywiązaliśmy czółno do belki i siedliśmy w nim czekając, aż nastanie świt. Zaczęło się rozjaśniać, zanim dopłynęliśmy do drugiego końca wyspy. Wtedy zajrzeliśmy przez okno do środka. Zobaczyliśmy w szarym świetle łóżko, stół, dwa stare krzesła i mnóstwo rzeczy porozrzucanych po podłodze. Na gwoździach w ścianie wisiały jakieś ubrania, a w głębi izby leżało na podłodze coś, co miało wygląd człowieka. Jim zawołał:

– Hej tam!

Ale to coś wcale s.ię nie poruszyło. Wtedy ja zawołałem jeszcze głośniej, a potem Jim powiedział:

– Ten człowiek wcale nie śpi, tylko jest nieżywy. Czekaj tu, Huck, pójdę i zobaczę.

Wszedł do środka, nachylił się i mówi:

Tak, jest nieżywy. Całkiem nieżywy i w dodatku nagi. Strzelili mu w plecy, pewnie ze dwa albo trzy dni temu. Wejdz, Huck, ale nie patrz na niego... strasznie wygląda.

Ani myślałem na niego patrzeć. Jim zarzucił na trupa jakiś stary gałgan, ale całkiem niepotrzebnie, bo nie miałem zamiaru patrzeć. Na podłodze walały się stare, zatłuszczone karty do gry, puste butelki po wódce i dwie maski zrobione z czarnego sukna; a całe ściany upstrzone były najplugawszymi rysunkami i słowami rysowanymi węglem. Na jednej ścianie wisiały dwie stare brudne perkalowe suknie, kapturek od słońca, trochę bielizny kobiecej i jakieś męskie ubranie. Przenieśliśmy to wszystko do czółna, bo mogło się nam jeszcze kiedyś przydać. Na podłodze leżał też stary chłopięcy kapelusz słomkowy; wziąłem go dla siebie. Znaleźliśmy jeszcze butelkę po mleku z szyjką zatkaną gałgankiem, jak to zwykle dają niemowlętom do ssania. Wzięlibyśmy tę butelkę, ale była pęknięta. Pod ścianą stała mocno sfatygowana stara komoda i równie stary skórzany kufer z wyrwanymi zawiasami. Wszystko było otwarte, ale nie zostało nic, co by miało jakąś wartość. Patrząc na ten nieład pomyśleliśmy sobie, że ktoś stąd

uciekał w pośpiechu i widocznie nie mógł zabrać wszystkiego.

Znaleźliśmy jeszcze starą cynową latarnię, nóż rzeźnicki bez rączki, nowiutki nożyk składany, który w każdym sklepie kosztowałby dwadzieścia centów, mnóstwo świec łożowych i cynowy lichtarz, kociołek na wodę i cynowy kubek, starą pikowaną kołdrę z łóżka i koszyczek do robót pełen igieł, szpilek, wosku, guzików, nici i takich różnych rzeczy, toporek i trochę gwoździ, wędkę grubości mojego małego palca, z okropnie dużymi haczykami, skórę barania, skórzaną psią obrozę, jedną podkowę i wreszcie buteleczki z lekarstwami bez żadnych napisów na wierzchu. Kiedyśmy już mieli odejść, ja znalazłem niezgorsze zgrzebło, a Jimowi wpadł w ręce stary, sfatygowany smyczek od skrzypiec i drewniana sztuczna noga. Strzemiączka i paski były zerwane, ale poza tym była to całkiem niezła noga, chociaż dla mnie za długa, a dla Jima za krótka. Odszukaliśmy wszystkie kąty, ale nie znaleźliśmy drugiej.

Więc biorąc jedno z drugim, mieliśmy dobry połów. Kiedyśmy z powrotem wsiedli do czółna, znajdowaliśmy się o jakie ćwierć mili poniżej wyspy i był już biały dzień. Kazałem Jimowi położyć się na dnie i przykryłem go kołdrą, bo gdyby siedział, ludzie z daleka by poznali, że to Murzyn. Powiosłowałem do brzegu Illinois – przy czym prąd zniósł mnie o dalsze pół mili – a potem po spokojnej wodzie zacząłem pchać się w górę rzeki tuż przy brzegu. Nie miałem żadnych wypadków ani nikogo nie widziałem, więc cali i zdrowi wróciliśmy do pieczary.

Czym grozi dotykanie skóry węża

Po śniadaniu chciałem pogadać z Jimem o nieboszczyku i pokombinować, w jakich okolicznościach został zabity, ale Jim nie chciał. Powiedział, że to mogłoby przynieść nieszczęście, i powiedział, że nieboszczyk gotów jeszcze tu przyjść i straszyć nas, bo taki nie pochowany ma zawsze większą chęć do straszenia ludzi niż ten, co sobie wygodnie leży w ziemi. To mi się wydało prawdopodobne, więc nie powiedziałem już ani słowa, ale w żaden sposób nie mogłem przestać o tym myśleć i wciąż się zastanawiałem, kto zabił tego człowieka i w jakim celu.

Przeszukaliśmy dokładnie ubrania, które wzięliśmy ze sobą, i znaleźliśmy osiem srebrnych dolarów, wszytych w podszewkę starego płaszcza. Jim przypuszczał, że ci ludzie tam w domu ukradli ten płaszcz, bo gdyby wiedzieli, że są w nim pieniądze, nigdy by go nie zostawili. Powiedziałem, że to pewnie oni zabili tego mężczyznę, ale Jim nie chciał ze mną o tym mówić.

– Uważasz, że to ściąga nieszczęście – ja mu na to. – A coś mówił, kiedy przyniosłem do pieczary skórę węża, co ją znalazłem przedwczoraj na szczycie naszego pagórka? Mówiłeś, że jak człowiek dotknie skóry węża, przyjdzie na niego straszne nieszczęście. Ładne mi nieszczęście! Wzbogaciliśmy się o te wszystkie graty osiem dolarów na dodatek. Chciałbym, Jim, żeby nas co dzień spotykały takie nieszczęścia.

– Niech cię o to, chłopcze, głowa nie boli. I nie bądź taki pewny siebie. Jeszcze ono przyjdzie. Popamiętasz moje słowa, jeszcze przyjdzie.

I przyszło. We wtorek mieliśmy tę rozmowę. W piątek po obiedzie leżymy sobie w trawie na końcu pagórka i nie mamy co palić. Poszedłem do pieczary i znalazłem tam grzechotnika. Zabiłem go, zwinąłem w kłębek tak chytrze, że wyglądał jak żywy, i położyłem go w nogach posłania Jima. Myślę sobie: jak Jim go znajdzie, będzie zabawa. Do wieczora wąż całkiem mi wypadł z głowy i kiedy zapalałem świeczkę, a Jim rzucił się na posłanie, była tam samica węża i

ukąsiła go w nogę.

Podskoczył wrzeszcząc przeraźliwie, a jak zabłysło światło, od razu zobaczyliśmy gada szykującego się do nowego skoku. W mgnieniu oka rozplątałem go kijem, a Jim chwycił dzbanek z wódką tatki i wziął się do picia.

Był boso i grzechotnik ukąsił go w samą piętę. Wszystkiemu winna moja głupota! Zapomniałem, że gdziekolwiek zostawi się zabitego węża, samica zawsze przyjdzie i przycupnie obok. Jim powiedział, żebym odrąbał głowę węża i rzucił ją precz, a potem ściągnął skórę i upiekł kawałek mięsa. Zrobiłem, co kazał, a on zjadł ten pieczony kawałek i powiedział, że to dobre lekarstwo. Kazał mi też zdjąć z ogona węża grzechotki i obwiązać mu je wokół napiętka. Powiedział, że to bardzo pomaga. Potem wymknąłem się z pieczary i rzuciłem oba węże między krzaki, bo ani myślałem zdradzić się przed Jimem, że to wszystko moja wina.

Jim przypiął się do dzbanka i pił, pił, co jakiś czas całkiem wpadał w obłęd i rzucał się dziko, i wrzeszczał, ale jak tylko wracał do siebie, z powrotem chwycił dzbanek. Stopa spuchła mu niczym bania, tak samo noga; ale po jakimś czasie wódka zaczęła go mroczyć, więc pomyślałem, że się chyba wylize. Co do mnie, wolałbym dotknąć żądła grzechotnika niż dzbanka z gorzałką tatki. Jim leżał cztery dni i nocę. Potem opuchlizna znikła i Jim był znowu zdrowy. Postanowiłem nigdy w życiu nie dotykać skóry węża, bo widzę teraz, czym się to kończy. Jim powiedział, że drugim razem już mu chyba uwierzę. Powiedział też, że dotykanie skóry węża przynosi okropne nieszczęścia, więc może to wcale nie koniec. Powiedział jeszcze, że wolałby spojrzeć na księżyc przez lewe ramię z jakie tysiąc razy, niż jeden jedyny raz dotknąć skóry węża. Hm... może i miał rację, chociaż dotąd zawsze mi się zdawało, że nie ma dla człowieka rzeczy głupszej i bardziej lekkomyślnej niż patrzenie na księżyc przez lewe ramię. Stary Hank Bunker kiedyś spojrział tak na księżyc i jeszcze się tym przechwalał, a w niecałe dwa lata spił się i spadł z wieży śrutowej, i tak się rozpląszczył, że wyglądał... jak tu powiedzieć... jak żytni podpłomyk. Zebrali go na drzwi od stodoły, przykryli drugimi drzwiami i tak go pochowali zamiast w trumnie. Ale ja tego nie widziałem. Tatko mi opowiadał. Tak czy siak sam był sobie winien, bo patrzył przez lewe ramię na księżyc.

Dni mijały i rzeka po trochu opadała, aż wróciła w dawne koryto. Wtedy zaraz założyliśmy na jeden z największych haczyków obdartego ze skóry królika, zarzuciliśmy wędkę i złapaliśmy sumę, który był taki duży jak człowiek, bo miał sześć stóp i dwa cale długości, a ważył blisko dwieście funtów. Nie próbowaliśmy nawet wyciągać go z wody, bo gdyby nas szarpnął,

wylądowalibyśmy obaj na brzegu Illinois. Siedliśmy sobie i patrzyliśmy, jak szarpie i rwie wędkę, póki nie utonął. Znaleźliśmy w jego brzuchu guzik mosiężny, okrągłą kulkę i mnóstwo innego śmiecia. Rozpłataliśmy tę kulkę siekierą i w środku była szpulka od nici. Jim przypuszczał, że sum musiał ją mieć w brzuchu bardzo długo, bo cała czymś obrosła i zrobiła się okrągła jak kula. Myślę, że był to największy sum złowiony w Missisipi. Jim nigdy nie widział większego. W miasteczku sporo byśmy za niego dostali. Na brzegu sprzedają takie ryby na wagę; przychodzą ludzie i każdy kupuje kawałek. Sum ma mięso białe jak śnieg i jest najsmaczniejszy, kiedy go usmażyć.

Nazajutrz powiedziałem do Jima, że zaczyna mi się piekielnie nudzić i chcę koniecznie jakiejś odmiany. Powiedziałem, że chyba skoczę na drugi brzeg i dowiem się, co tam słychać. Jim pochwalił ten zamiar, tylko uważał, że powinienem jechać dopiero o zmroku i bardzo się pilnować. Ale po namyśle spytał, czy nie mógłbym się przebrać za dziewczynę. To był jeszcze lepszy pomysł. Skróciliśmy trochę jedną z sukien perkalowych i ubrałem się w nią podciągawszy wpierw do kolan nogawki spodni. Jim zapiął mi suknię z tyłu na haftki i trzeba przyznać, że leżała nieźle. Potem włożyłem na głowę ten kapelusz od słońca i zawiązałem wstążki pod brodą, a wtedy – jakby ktoś zajrzał do środka i chciał zobaczyć moją twarz – zdawałoby mu się, że patrzy w głąb rury od żelaznego piecyka. Jim uważał, że nikt mnie nie pozna, nawet w dziennym świetle. Chodziłem tak ubrany cały dzień, żeby przywyknąć do tych babskich szmatek i po jakimś czasie wcale dobrze dawałem sobie radę, tylko Jim powiedział, że nie ruszam się jak dziewczyna; i jeszcze powiedział, że nie wolno mi podciągać spódnic do góry i wkładać rąk do kieszeni spodni. Posłuchałem go i zaraz było lepiej.

Jak się tylko ściemniło, wsiadłem do czółna i wiosłując wzdłuż brzegu Illinois popłynąłem w górę rzeki. Zacząłem się przeprowiać przez rzekę trochę poniżej przystani promu i prąd zniósł mnie do brzegu kawałek za miasteczkiem. Przywiązałem czółno i poszedłem drogą tuż nad wodą.

Zobaczyłem światło w małej chałupce, gdzie od bardzo dawna nikt nie mieszkał; zaciekało mnie, kto też mógł się tam wprowadzić. Podkradłem się bliżej i zajrzałem do środka. Była tam kobieta, miała chyba ze czterdzieści lat, przy świetle świecy stojącej na sosnowym stole robiła robótkę na drutach. Nie znałem tej kobiety; musiała być tu obca, bo to niemożliwe, żeby po naszym miasteczku chodził ktoś, kogo ja bym nie znał. Dobrze się składało, bo trochę się bałem i zacząłem żałować, że w ogóle przyszedłem. Ludzie, myślę sobie, mogą mnie poznać po głosie i wszystko się wyda. Ale jeżeli ta kobieta mieszka w naszym miasteczku choćby od dwóch dni,

potrafi mi powiedzieć wszystko, co chciałbym usłyszeć. Więc najpierw postanowiłem pamiętać, że jestem dziewczyną, a potem zastukałem do drzwi.

Ścigają nas!

Proszę wejść – zawołała kobieta ja wszedłem. Powiedziała: – Siądź, proszę.

Usiadłem. Obejrzała mnie od stóp do głów swoimi błyszczącymi oczkami i powiada:

– Jak się nazywasz?

– Sara Williams.

– A gdzie mieszkasz? W tych stronach?

– Nie, proszę pani. W Hookerville, siedem mil w dół rzeki. Szłam cały czas piechotą i jestem bardzo zmęczona.

– I z pewnością głodna. Zaraz ci coś przyniosę.

– Dziękuję, proszę pani, ale nie jestem głodna. Tak mi się jeść chciało, że zatrzymałam się na jednej farmie o jakie dwie mile stąd i teraz nie jestem już głodna. Dlatego tak się spóźniłam. Moja mama zachorowała i leży, i jest bez pieniędzy i w ogóle, więc przyszedłam tu do mojego wujaszka Abnera Moore'a. Mama powiedziała, że wujaszek mieszka po tamtej stronie miasteczka. Nigdy tu nie byłam. Czy pani go zna?

– Nie, nie zdążyłam jeszcze poznać wszystkich. Mieszkam tu niecałe dwa tygodnie. Droga przez miasteczko jest długa, więc lepiej zostań u mnie na noc. Zdejm, proszę, kapturek.

– Nie, dziękuję, proszę pani – odparłem. – Odpocznę tylko chwilę i zaraz pójdę dalej. Nie boję się ciemności.

Powiedziała, że nie pozwoli mi pójść samemu; jej mąż wróci niedługo, może za godzinę albo półtorej, i wtedy mnie odprowadzi do wujaszka. Potem zaczęła mi opowiadać długo i szeroko o mężu, o krewnych, którzy mieszkają w górze rzeki, i o krewnych, którzy mieszkają w dole rzeki. O tym, jak to lepiej im się przedtem działo i że chyba zrobili głupstwo przenosząc się do naszego miasteczka zamiast zostać tam, gdzie dawniej mieszkali – i tak w kółko, aż się zląkłem, że to ja zrobiłem głupstwo przychodząc do niej po nowiny. Ale po jakimś czasie potrafiła o tatkę i morderstwo i wtedy rad słuchałem jej paplania. Opowiedziała mi

najpierw, jak to z Tomkiem Sawyerem znaleźliśmy te sześć tysięcy dolarów (tylko że z sześciu zrobiła dziesięć) i wszystko o tatku jakie to z niego ziółko i jakie to ze mnie ziółko; a w końcu opisała miejsce, gdzie zostałem zamordowany. Spytałem:

– Kto to zrobił? Słyszeliśmy w Hookerville niejedno o tym wypadku, ale nie wiemy, kto zamordował Hucka Finna.

– Hm, tu u nas znalazłoby się wielu takich, co by chcieli wiedzieć. Niektórzy myślą, że to sprawka starego Finna.

– Nie... naprawdę

– Początkowo wszyscy tak myśleli. Stary Finn nigdy się nie dowie, że tylko o włos unikną linczu. Ale przed nastaniem nocy ludzie zmienili zdanie i doszli do przekonania, że to sprawka jednego zbiegłego Murzyna imieniem Jim.

– Co on... – Urwałem w pół zdania. Pomyślałem, że lepiej zrobię trzymając język za zębami. A ona gadała i gadała, i wcale nie zauważyła, że się odezwałem.

– Ten Murzyn uciekł tego wieczora, kiedy Huck Finn został zabity. Wyznaczyli za jego głowę nagrodę – trzysta dolarów. Wyznaczyli też nagrodę za starego Finna – dwieście dolarów. Widzisz, dziecko, stary Finn przyszedł do miasteczka rankiem na drugi dzień po morderstwie, dokładnie wszystko opowiedział o wypadku i promem jeździł z innymi na poszukiwanie trupa, a zaraz potem zakręcił się i znikł. Do wieczora ludzie rozglądali się za nim, żeby go zlinczować, ale on przepadł jak kamień w wodę. A na drugi dzień dowiedzieli się, że ten Murzyn uciekł; nie widziano go od godziny dziesiątej tego wieczora, kiedy popełnione zostało morderstwo. Więc wtedy zwalili winę na Murzyna i aż się trzęśli z wściekłości na niego; a tu nazajutrz wraca stary Finn i leci z gębą do sędziego Thatchera, żeby dał mu pieniędzy, to będzie szukał Murzyna po całym stanie Illinois. Sędzia dał mu coś niecoś i stary Finn upił się tego jeszcze wieczora i do północy kręcił się po miasteczku w kompanii dwóch podejrzanych obcych ludzi, a potem gdzieś z nimi znikł. Dotąd nie wrócił i tak naprawdę to nikt go się nie spodziewa, dopóki cała rzecz trochę nie przycichnie – bo niektórzy znów myślą, że to on jednak zabił Hucka i tak wszystko urządził, żeby ludzie uwierzyli w napad rozbójników – a potem zagarnie pieniądze Hucka bez żadnych tam długich procesów w sądzie. Ludzie powiadają, że jest do tego zdolny. Och, myślę, że chytra z niego sztuka. Jak przez rok nie wróci, nic mu się polem nie stanie. Bo widzisz, dziecko, niczego nie można mu dowieść, przez ten czas wszystko ucichnie, a on zagarnie pieniądze Hucka i ani się przy tym natrudzi.

– Tak, proszę pani, ja też tak uważam. Nie widzę, co by mu mogło stanąć na przeszkodzie. Ale teraz chyba nikt już nie myśli, że to zrobił Murzyn.

– O, nie, są jeszcze tacy. Bardzo wielu dalej zrzuca winę na Murzyna. Tylko że teraz złapią go prędko, a jak go postraszą, wszystko wyśpiewa.

– Jak to? To oni go szukają?

– Ależ naiwna z ciebie dziewczyna! Czy trzysta dolarów rośnie na drzewie. Niektórzy przypuszczają, że Murzyn jest niedaleko. Ja do takich należę, ale nie mówiłam o tym nikomu. Kilka dni temu rozmawiałam z parą starszków, którzy mieszkają obok nas w szałasie, i jedno z nich nagle powiada, że mało kto jeździ na tę wyspę w dół rzeki, co ją nazywają Wyspą Jacksona. „A czy nikt tam nie mieszka?” – pytam na to. „Nie, nikt nigdy nie mieszkał”, odpowiadają. Nie pisnęłam więcej ani słówka, ale wzięłam się do myślenia. Byłam prawie pewna, że dzień czy dwa przedtem widziałam dym, gdzieś mniej więcej na brzegu wyspy, więc powiadom sobie: głowę daję, że ten czarnuch tam się ukrywa. Tak czy inaczej nie zaszkodzi dokładnie przetrząsnąć wyspę. Od tego czasu dymu nie widziałam, więc może już się stamtąd wyniósł, jeżeli w ogóle to był on; swoją drogą mój mąż z jednym sąsiadem pojedą i zobaczą co i jak. Nie było go kilka dni w domu, ale jak tylko wrócił przed dwiema godzinami, zaraz mu o tym posiedziałam.

Schwycił mnie taki niepokój, że nie mogłam spokojnie usiedzieć. Musiałem coś zrobić z rękami, więc wzięłam ze stołu igłę i zacząłem ją nawlekać. Aż ręce mi się trzęsły i nawlekanie szło mi strasznie niesporo. Nagle kobieta umilkła, a jak podniosłem głowę, zobaczyłem, że mi się przygląda ciekawie i nawet się trochę uśmiecha. Odłożyłem igłę i zacząłem udawać, że mnie to wszystko bardzo obchodzi, co też było prawdą. Powiedziałem:

– Trzysta dolarów to strasznie dużo pieniędzy. Chciałabym, żeby moja biedna mama mogła je dostać. Czy pani mąż wybiera się na wyspę dzisiaj w nocy?

– A jakże. Poszedł do miasteczka z tym znajomym, co ci o nim mówiłam, żeby wynająć jakąś łódź i jeżeli się da, pożyczyć drugą strzelbę. Przeprowią się gdzieś po północy.

– A czy nie będą widzieli lepiej, jak pojedą w dzień?

– Może i lepiej, ale Murzyn też będzie lepiej widział w dzień. Po północy usnie już pewnie, a wtedy oni przetrząsną wyspę i w ciemności łatwiej dostrzegą ognisko, jeśli je w ogóle rozpali.

– To mi nie przyszło do głowy, proszę pani.

Kobieta wciąż patrzyła na mnie ciekawie, a ja czułem się coraz bardziej nieswojo. Po chwili spytała:

– Jak się nazywasz, dziecino, bo całkiem zapomniałam?

– M... M... Mary Williams, proszę pani.

Coś mi się widziało, że przedtem wcale nie powiedziałem Mary, więc wolałem nie podnosić oczu; miałem takie wrażenie, że powiedziałem Sara, więc czułem się trochę jak mysz w pułapce i bałem się, że może tak wyglądam. Chciałem, żeby kobieta mówiła dalej, bo im dłużej milczała, tym bardziej mi było niewyraźnie. W końcu pyta;

– Słuchaj no, dziecino, czyś aby przedtem nie mówiła, że ci na imię Sara?

– Owszem, proszę pani. Nazywam się Sara Mary Williams. Niektórzy mówią do mnie Sara, a niektórzy Mary.

– Ach tak!

– Tak, proszę pani.

Poczułem się trochę różnie, ale mimo to rad byłbym jak najprędzej stąd czmychnąć. Jakoś nie śmiałem jeszcze podnieść oczu. Kobieta znowu zaczęła terkotać; mówiła, jakie to ciężkie są teraz czasy, jak trudno im jest związać koniec z końcem, jak się szczury w ich domu okropnie rozzuchwalały i tak dalej, i dalej bez końca. Co do tych szczurów, to nawet miała rację. Co chwilę jakiś wysuwał nos z dziury w kącie pokoju. Kobieta powiedziała, że kiedy zostaje sama, musi zawsze mieć coś pod ręką, czym mogłaby w nie rzucać, bo inaczej nie dałyby jej spokoju. Pokazała mi pręt ołowiany, skrecony jakby w węzeł, i powiedziała, że na ogół rzuca dość celnie, ale przed kilku dniami nadwreżyła sobie ramię i nie wie, czy teraz trafi. Czekala na okazję i jak się szczur pokazał, cisnęła w niego, ale chybiła, a w dodatku jęknęła: Oooch! tak ją zabolalo ramię. Poprosila mnie, zebym poprobowal szczescia. Mialem wielka ochote wyniesc sie z domu, zanim wróci jej mąż, ale naturalnie nie mogłem tego po sobie pokazać. Więc podniosłem z podłogi pręt i trzepnąłem w pierwszego szczura, jaki się w dziurze pokazał, a gdyby się w tej samej chwili nie ruszył z miejsca, byłby bardzo chorym szczurem. Kobieta powiedziała, że rzuciłem bardzo zgrabnie i że następnego to już chyba trafię. Poszła w kąt pokoju, odszukała pręt, a potem przyniosła pasmo przędzy i poprosiła, żeby jej pomógł zwinąć w kłębek. Wyciągnąłem obie ręce, a ona nałożyła mi na nie to pasmo i zwijała przędzę, cały czas mówiąc o sobie i mężu. Ale nagle przerwała i powiada:

– Uważaj na szczury. Trzymaj lepiej ołów na kolanach, w razie czego prędzej go schwycisz.

I w tej samej chwili rzuciła mi ołów na kolana; zsunąłem prędko nogi, żeby go przytrzymać, a ona coś tam dalej mówiła. Ale tylko chwilę, bo potem zdjęła mi z rąk przędzę, spojrzala mi

prosto w twarz” tak jakoś bardzo życzliwie i powiada:

– A teraz mów! Jak ci naprawdę na imię?

– C...c...o, proszę pani?

– Jak ci naprawdę na imię? Bill czy Tomek, czy Bob? Czy może inaczej?

Musiałem chyba trząść się jak galareta i nie bardzo wiedziałem, co ze sobą zrobić. Ale powiadam:

– Proszę, niech pani sobie nie żartuje z biednej dziewczyny. Jeżeli tu zawadzam, zaraz...

– Nie, nigdzie nie pójdziesz. Siadaj i nie ruszaj mi się z miejsca. Ani cię nie skrzywdzę, ani nikomu na ciebie nie naskarzę. Śmiało mów swój sekret, możesz mi zaufać. Nie wydam cię, a co więcej, pomogę ci. Jak zechcesz, mój mąż też ci dopomoże. Wiem wszystko. Jesteś czeladnikiem, który zbiegł od majstra. Co z tego? To żadna zbrodnia. Źle się z tobą obchodził, więc postanowiłeś uciec. Dziecko drogie – czy ja bym cię mogła wydać? A teraz bądź grzeczny i opowiedz mi wszystko szczegółowo.

No więc powiedziałem jej, że nie będę już dłużej udawał i wypowiadałem się ze wszystkiego, tylko żeby dotrzymała obietnicy. Powiedziałem jej, że moi rodzice oboje nie żyją i że zostałem oddany przez prawo na służbę do niegodziwego starego farmera w okolicę odległą o trzydzieści mil od rzeki, a ten farmer tak mnie źle traktował, że nie mogłem już dłużej wytrzymać. Wyjechał i miał wrócić dopiero za dwa dni, więc skorzystałem z okazji, ukradłem jego córce jakieś stare szmatki, drapnąłem i te trzydzieści mil przebyłem w ciągu trzech nocy. Szedłem tylko nocą, a w dzień wynajdywałem sobie dobre kryjówki i spałem. Worek z chlebem i mięsem, który zabrałem z domu, starczył mi na drogę, chociaż wcale sobie nie skąpiłem. Jestem pewien – dodałem na zakończenie – że mój wujaszek Abner Moore zaopiekuje się mną, więc dlatego przyszedłem tu do Goshen.

– Do Goshen? Chłopcze, przecież to nie jest żadne Goshen tylko St. Petersburg. Goshen leży o dziesięć mil stąd w górę rzeki. Kto ci powiedział, że to jest Goshen?

– Jakiś człowiek, co go spotkałem dzisiaj o świcie, właśnie kiedy miałem zejść w las i położyć się spać. Powiedział mi, że jak dojdę do skrzyżowania dróg, mam skręcić w prawo i po pięciu milach będę w Goshen.

– Chyba był pijany. Powiedział ci akurat na odwrót.

– Nawet trochę wyglądał na pijanego, ale niech mu tam! Muszę już iść, proszę pani. Przed dniem będę w Goshen.

– Czekaj chwilę. Zapakuję ci coś do jedzenia. Z pewnością ci się przyda.

Tak też zrobiła, a potem pyta:

– Słuchaj no: kiedy krowa leży na ziemi, którą częścią podnosi się najpierw? Nie zastanawiaj się i odpowiedz prędko. Którymi nogami podnosi się z ziemi – przednimi czy tylnymi?

– Wpierw tylnymi, proszę pani.

– A koń?

– Przednimi, proszę pani.

– Pień drzewa od której strony obrasta najgrubszym mchem?

– Od północnej.

– Kiedy piętnaście krów pasie się na stoku wzgórza, ile z nich szczypie trawę łbem w tym samym kierunku?

– Wszystkie piętnaście, proszę pani.

– Hm... myślę, że mieszkałeś na wsi. Wydawało mi się, że znowu chcesz mnie nabrać. A teraz powiedz: jak się naprawdę nazywasz?

– George, George Peters, proszę pani.

– Postaraj się, George, dobrze to imię zapamiętać! Nie zapomnij go i nie mów mi za chwilę, że ci Aleksander, a jak cię na tym przyłapię, nie próbuj wykręcić się, że niby to jesteś George Aleksander. I nie zbliżaj się zanadto do kobiet, kiedy masz na sobie tę starą perkalową suknię. Nie ma co, kiepska z ciebie dziewczyna, ale może uda ci się okpić mężczyzn. I bój się Boga, dziecko: kiedy chcesz nawlec igłę, nie trzymaj nitki nieruchomo i nie przybliżaj do niej igły, tylko trzymaj igłę nieruchomo i wsuwaj nitkę w dziurkę! W taki sposób najczęściej nawlekają igłę kobiety, a mężczyźni robią to na odwrót. A kiedy rzucasz czymś w szczura czy w cokolwiek innego, stań wpierw na palcach, podnieś rękę wysoko nad głowę – tak niezdarnie, jak tylko potrafisz – i rzuć o jakie pięć czy sześć stóp od celu. Rzucaj ręką sztywną, od ramienia, jakby ci się ramię obracało na kołku, bo tak robią dziewczęta, a nie z zamachem od napięstka i łokcia, z ręką odchyloną od ciała, jak robią chłopcy. I pamiętaj: kiedy dziewczyna chce coś schwycić na podolek, rozstawia kolana, a nie zsuwa ich, jakies ty to zrobił chwytając ten kawałek ołowiu. Poznałam, że jesteś chłopcem, kiedyś próbował nawlec igłę, a potem chciałam się już tylko upewnić. No, maszeruj teraz do swojego wujaszka, Saro Mary Williams George'u Aleksandrze Peters. A gdybyś popadł znowu w jakie tarapaty, daj znać Judycie Loftus, czyli mnie, a ja spróbuję cię z nich wydobyć. Trzymaj się cały czas gościńca nad rzeką, a kiedy się drugi raz

wyberzesz na włóczęgę, nie zapomnij o butach i skarpetkach. Droga nad rzeką jest kamienista i strach pomyśleć, jak będą wyglądały twoje stopy, zanim dojdiesz do Goshen.

Poszedłem drogą nabrzeżną mniej więcej pięćdziesiąt jardów, potem zawróciłem i przekradłem się do miejsca, gdzie stało przywiązane czółno, spory kawałek poniżej domu pani Loftus. Wskoczyłem do środka i w wielkim pośpiechu odbiłem od brzegu. Wiosłowałem pod prąd, dopóki nie znalazłem się na wysokości wyspy, a potem przepравиłem się przez rzekę. Mniej więcej w połowie drogi usłyszałem bicie zegara, więc zatrzymałem się i nadstawiłem uszu; dźwięki płynęły po wodzie przyciszone, ale wyraźne – jednaście uderzeń. Kiedy dobiłem do brzegu po tej stronie wyspy, nie zatrzymałem się, żeby odsapnąć, chociaż byłem porządnie zdyszany, tylko wpadłem między drzewa, tam gdzie miałem pierwszy mój obóz, i na wysokim i suchym miejscu rozpałem wielkie ognisko.

Potem skoczyłem do czółna i ruszyłem do naszej kryjówki o półtorej mili w dół rzeki, wiosłując ze wszystkich sił. Wylądowałem, pobiegłem pędem przez las na pagórek i do pieczary. Jim leżał na derce, spał jak zabity. Zbudziłem go i powiadam:

– Wstawaj, Jim, żywo! Nie mamy ani chwili do stracenia. Ścigają nas!

Jim nie pytał mnie o nic, nie powiedział ani jednego słowa; ale pośpiech, z jakim pracował przez następne pół godziny, dowodził, jak bardzo jest przerażony. Do tego czasu wszystko, co posiadaliśmy na tym świecie, zostało umieszczone na tratwie, a tratwa stała gotowa do drogi w małej zatoczce między wierzbami, gdzieśmy ją przedtem ukryli. Potem zgasiliśmy ognisko przy pieczarze i już nie zapalaliśmy na dworze nawet świeczki.

Wsiadłem do czółna, odpłynąłem kawałek i rozejrzałem się, ale nawet gdyby była w pobliżu jaka łódź i tak bym jej nie dostrzegł, bo człowiek niewiele widzi przy świetle gwiazd i pośród cieniów. Potem odbiliśmy tratwę od brzegu i popłynęliśmy z prądem pod osłoną wierzb, siedząc bez ruchu i w zupełnym milczeniu.

Lepiej pilnujmy własnego nosa

Kiedyśmy w końcu zostawili wyspę za sobą, musiała już być blisko pierwsza, a tratwa – jak nam się zdawało – płynęła okropnie powoli. Gdyby nas ścigała łódź, mieliśmy się przesiać do czółna i zmykać co tchu do brzegu Illinois; ale dobrze się stało, że nas żadna łódź nie ścigała, bośmy nie pomyśleli, żeby włożyć do czółna strzelbę czy wędki, czy cokolwiek do jedzenia. Uwijaliśmy się tak prędko, że naprawdę trudno nam było pamiętać o wszystkim. Ale postąpiliśmy nieroztropnie ładując wszystko na tratwę. Liczyłem na to, że jeśli mężczyźni przeprawią się na wyspę, zauważą ognisko, które roznieciłem, i całą noc będą przy nim czekali na powrót Jima. Tak czy inaczej za nami nie gonili, a jeśli ognisko ich okpiło, to już nie moja wina. Postąpiłem z nimi najnikczemniej, jak tylko mogłem.

Zaledwie zaczęło świtać, wylądowaliśmy w głębokim zalewie po stronie Illinois, gdzie ciągnęła się ławica piasku gęsto porośła topolami; nacięliśmy siekierą mnóstwo gałęzi i tak przykryliśmy nimi tratwę, że wyglądała jak zarośla przy brzegu.

Naprzeciwko nas brzeg Missouri był górzysty, po naszej stronie mieliśmy za plecami gęste lasy, a nurt płynął w tym miejscu przy tamtym brzegu, więc mogliśmy się nie lękać, że nas tu ktoś znajdzie. Przeleźliśmy sobie wygodnie cały dzień, przyglądając się tratwom i statkom płynącym z prądem tuż przy brzegu Missouri i statkom płynącym pod prąd, które posuwały się z trudem po głębokiej wodzie samym środkiem rzeki. Opowiedziałem Jimowi, jak się strasznie napociłem trajkocząc z panią Loftus; Jim odparł, że to musiała być bardzo sprytna sztuka, i że gdyby ona nas ścigała, z pewnością nie siadłaby i nie czatowała przy ognisku – skądże! Po prostu wzięłaby ze sobą psa. W takim razie – spytałem – dlaczego nie powiedziała mężowi, by wziął psa? Jim mi na to, że z całą pewnością wpadła na ten pomysł dopiero wtedy, kiedy mężczyźni mieli już wsiadać do łodzi, więc pewnie poszli do miasta pożyczyć psa i dlatego zmitrężyli tyle czasu; gdyby nie to, nie siedzielibyśmy sobie teraz na tej kępie, o szesnaście czy siedemnaście

mil poniżej miasteczka, tylko znajdowalibyśmy się w tymże miasteczku. Odparłem, że skoro nas nie złapali, jest mi wszystko jedno, dlaczego nas nie złapali.

Kiedy zaczęło się zmierzchać, wysunęliśmy głowy z gęstwiny i spojrzeliśmy w górę rzeki, w dół rzeki, na drugi brzeg. Nie zauważyliśmy nic podejznanego i Jim zabrał się do roboty. Oderwał część wierzchnich desek tratwy i wybudował wygodny wigwam, w którym mogliśmy się chować podczas upałów czy deszczów i chronić rzeczy od zmoknięcia. W środku wigwamu ułożył podłogę wyższą o jaką stopę nad poziom tratwy, tak że derki i inne rzeczy były teraz bezpieczne od fali idącej spod kół statków parowych. W samym środku wigwamu położyliśmy warstwę ziemi grubości kilku cali obramowaną deskami, żeby się nie przesuwiała; na tej warstwie ziemi mogliśmy w chłodne czy dżdżyste noce rozniecać ogień niewidoczny z zewnątrz. Zrobiliśmy również dodatkowe wiosło, bo jedno z pary mogło się złamać na jakiej przeszkodzie. Umocowaliśmy też krótki, rozwidlony na końcu kij, żeby na nim wieszać starą cynową latarnię – bo kiedy się widzi płynący w dół statek, trzeba zapalić latarnię, gdyż inaczej statek może na tratwę najechać; ale nie trzeba zapalać latarni dla parowców płynących pod prąd, chyba że tratwa znajdzie się akurat na tak zwanych skrzyżowaniach prądów. Rzeka była jeszcze wezbrana (bardzo niskie brzegi znajdowały się pod wodą) i statki płynące w górę zbaczały czasem z głównego nurtu i płynęły po spokojnych wodach.

Tej drugiej nocy płynęliśmy około ośmiu godzin z prądem o szybkości jakich czterech mil na godzinę. Łapaliśmy ryby, gawędziliśmy i od czasu do czasu kąpaliśmy się, żeby odegnąć senność. Było nam na duszy jakoś dziwnie poważnie, kiedyśmy tak sunęli po tej wielkiej, milczącej rzece, leżąc na plecach i spoglądając w dalekie gwiazdy, więc mówiliśmy tylko ściszym głosem i rzadkośmy się śmieli. Pogoda była cały czas doskonała i nic nam się nie przydarzyło tej nocy ani następnej, ani jeszcze następnej.

Co noc mijaliśmy teraz miasta, niektóre położone wysoko na stokach czarnych wzgórz, ot – garstka błyszczących świateł, ani jednego domu nie było widać. Piątej nocy mijaliśmy St. Louis i zdawało mi się, że to zapłonął cały świat. Powiadali u nas w St. Petersburg, że w St. Louis mieszka dwadzieścia albo trzydzieści tysięcy ludzi, ale ja w to nie wierzyłem, dopóki o godzinie drugiej w nocy nie zobaczyłem tego cudownego morza świateł. Nie szedł stamtąd ani jeden dźwięk; wszyscy w mieście spali.

Każdego wieczora około godziny dziesiątej przekradałem się na brzeg w pobliżu jakiegoś małego miasteczka i za dziesięć albo piętnaście centów kupowałem mąki czy boczku, czy innej

żywności. Czasami udawało mi się spotkać kure, która wałęsała się po nocy zamiast siedzieć sobie wygodnie w kurniku – i też ją zabierałem na tratwę. Tatko zawsze powiadał: bierz kure, kiedy nadarza ci się do tego sposobność, bo jak tobie samemu nie jest potrzebna, bez trudu znajdziesz kogoś, komu się przyda, a dobre uczynki nie idą w zapomnienie. Co prawda nie widziałem nigdy, żeby kura nie była tatce potrzebna, ale powtarzam dokładnie jego słowa.

Przed wschodem słońca wmykałem się na pola i pożyczalem kawona albo arbuza, albo dynię, albo młodą kukurydzę, albo coś innego w tym rodzaju. Tatko zawsze powiadał, że to nie grzech pożyczać rzeczy, jeśli tylko człowiek ma zamiar kiedyś w przyszłości za nie zapłacić; ale wdowa twierdziła, że takie pożyczanie to nie jest nic innego jak tylko łagodna nazwa zwyczajnej kradzieży. Jim uważał, że wdowa ma trochę racji i tatko ma trochę racji, dlatego będzie najlepiej, jeśli wybierzemy ze spisu kilka rzeczy i powiemy sobie, że nigdy już nie będziemy ich więcej pożyczali. Więc któreś nocy, płynąc spokojnie po rzece, zastanawialiśmy się nad tym długo i w żaden sposób nie mogliśmy zdecydować, czy damy pokój kawonom czy melonom, czy arbuzom, czy też może czemu innemu. Ale gdzieś przed świtem ułożyliśmy wszystko w sposób zadowolający, to znaczy postanowiliśmy zrezygnować z rajskich jabłuszek i pasternaku. Przedtem czuliśmy się trochę nieswojo, ale teraz zrobiło nam się lekko na duszy. Byłem, przyznaję, bardzo zadowolony, że to się tak skończyło, bo rajskie jabłuszka w ogóle nie są smaczne, a pasternak nie dojrzeje wcześniej jak za parę miesięcy.

Od czasu do czasu udawało nam się zestrzelić jakiegoś ptaszka wodnego, który albo rano wstawał za wcześnie, albo wieczorem kładł się za późno spać. Ogólnie rzecz biorąc żyło nam się całkiem dostatnio.

Piątej nocy po St. Louis złapała nas o północy burza z okropnymi błyskawicami i grzmotami, i ulewnym deszczem. Schroniliśmy się w wigwamie – niech tam tratwa sama sobie radzi! Kiedy błyskawice rozświetlały niebo, widzieliśmy przed sobą ogromną rzekę i po obu stronach wysokie, skaliste brzegi. Po jakimś czasie powiadam: – Hej, Jim, patrz! – Zobaczyliśmy statek parowy, który nadział się na skały. Prąd niósł nas prosto jak strzelił w tym właśnie kierunku. W świetle błyskawic widzieliśmy wrak bardzo wyraźnie. Leżał. przechylony na bok, część górnego pokładu sterczała wysoko nad wodą i widać było dokładnie wszyściutkie pachołki do przywiązywania lin i krzesło obok dużego dzwonu, a na oparciu krzesła kapelusz z opuszczonym w dół rondem.

Noc była ciemna, burzliwa i wszystko wydawało się bardzo tajemnicze, więc kiedy

zobaczyłem wrak, taki jakiś żałosny i opuszczony na środku rzeki, poczułem to, co na moim miejscu czułby chyba każdy chłopiec: zachciało mi się koniecznie wejść na pokład i pomyszkować trochę po statku, i zobaczyć, co się tam dzieje.

– Zatrzymajmy się przy nim, Jim! – powiedziałem. Ale w pierwszej chwili Jim stanowczo się temu sprzeciwił.

– Ani myślę wałęsać się po jakichś tam wrakach. Jest nam, u licha, dobrze tak, jak jest, więc lepiej, u licha, pilnujmy własnego nosa, jak powiada Biblia. Zresztą głowę daję, że siedzi tam strażnik na tej skorupie.

– Strażnik, jak babcię kocham! Też pomysł! – odparłem. – Przecież tam nie ma już nic do pilnowania oprócz kajut oficerskich i kabiny strażnika. A czy ty myślisz, że ktoś chciałby w taką noc narażać życie dla kilku głupich kabin, kiedy w każdej chwili statek może się rozpaść na dwoje i popłynąć z prądem?

Jim nie wiedział, co na to odpowiedzieć, więc nawet nie próbował.

– A poza tym – dodałem – moglibyśmy pożyczyć sobie coś z kajuty kapitana. Na przykład cygara! Zakład, że miał cygara, za które płacił pięć centów sztuka żywą gotówką. Kapitanowie statków parowych są zawsze okropnie bogaci, zarabiają ze sześćdziesiąt dolarów na miesiąc i jak przyjdzie im na coś chętna, ani myślą oglądać się na cenę. Weź świecę do kieszeni, Jim. Nie uspokoję się, dopóki nie przetrząśniemy kątów tej skorupy. Czy ty myślisz, że Tomek Sawyer minąłby ją spokojnie? Za nic! Powiedziałby, że to jest przygoda, tak by powiedział. I wyprawiliby się na ten wrak, choćby miał zaraz potem skonać. A może sobie wyobrażasz, że nie potrafiłby wszystkiego pięknie urządzić, że nie przechwalałby się, nie robił z siebie ważnego? Myślałby kto, że to sam Krzysztof Kolumb odkrywa królestwo niebieskie. Ach, szkoda, że nie ma tu Tomka Sawyera.

Jim mruczał coś tam pod nosem, ale się w końcu zgodził. Powiedział, że nie powinniśmy brać więcej rzeczy, niż już koniecznie będziemy chcieli, i że mówić możemy tylko szeptem. Błyskawica znowu nam oświetliła wrak akurat na czas; schwytaliśmy się drabinki na sterborcie i przywiązaliśmy tratwę.

Z tej strony kadłub sterczał wysoko nad wodą. Zaczęliśmy się posuwać cicho w dół pochyłości pokładu, ku bakbortowi i w kierunku kajut oficerskich; szliśmy po omacku, stopami wyczuwając, drogę i wyciągając ręce, żeby nie wpaść na pacholki, bo tak było ciemno, że o krok nie mogliśmy ich dojrzeć. Niedługo natrafiliśmy na, świetliki, jeszcze kilka kroków i stanęliśmy

w drzwiach kapitańskich, które były otwarte, a na końcu korytarza—o rety—zobaczyliśmy, światło. I w tej samej sekundzie usłyszeliśmy —szmer głosów!

Jim wyszeptał, że czuje się okropnie niezdrow, i prosił, żebyśmy zaraz wracali na tratwę. Powiedziałem, że dobrze, i już miałem odejść, kiedy nagle jakiś płaczliwy głos zawołał:

– Och, nie zabijajcie mnie, chłopcy! Przysięgam, że was nie wydam!

Ktoś inny odezwał się głośno:

– Łiesz, Jimie Turner. Już nieraz próbowałeś nam robić takie kawały. Zawsze chcesz więcej, niż na ciebie przypada, i zawsze dostawałeś więcej, boś groził, że jak ci nie damy, zaraz nas zdradzisz. Ale powiedziałaś to o jeden raz za dużo. Najpodlejszy z ciebie łotr i zdrajca w całym kraju.

Jima już nie było, wyniósł się na tratwę. Pękałem po prostu z ciekawości. Powiadam sobie: Tomek Sawyer na pewno by stąd nie odszedł, więc ja też nie stchórzę. Muszę zobaczyć, co się tu dzieje. Przypadłem do podłogi i na czworakach zacząłem się skradać przez mały korytarzyk, w zupełnej ciemności, aż w końcu zatrzymałem się na odległość jednej tylko kajuty od miejsca, gdzie przecinały się dwa korytarze. Tam właśnie zobaczyłem na podłodze mężczyznę ze związanymi rękami i nogami i stojących nad nim dwóch mężczyzn. Jeden trzymał w ręce przyciemnioną latarnię, drugi pistolet. Ten z pistoletem mierzył w głowę mężczyzny na podłodze i mówił:

– Wielka mi przysła na to chętko. I powinienem cię zabić, ty nędzny psie!

Mężczyzna na podłodze dygotał i raz po raz wołał:

– Och, Bill, nie zabijaj mnie! Już nigdy nie powiem, że was wydam! Nigdy! Nigdy!

Przy każdym jego wołaniu mężczyzna z latarnią wybuchał śmiechem i mówił:

– Nie wydasz nas, nie wydasz. Jak długo żyjesz, nie powiedziałaś prawdziwego słowa. – A potem dodawał: – Posłuchaj no, jak skamle! Pomyśleć, że gdybyśmy go nie związali, obu by nas ukatrupił. I za co, chciałbym wiedzieć? Za nic. Za to, żeśmy bronili swoich praw. Ot, za co! Ale stawiam zakład, że nikomu już nie będziesz groził, Jimie Turner. Schowaj pistolet, Bill!

Bill na to:

– Ani myślę, Jake. Jestem za tym, żeby mu wpakować w łeb trochę ołowiu... bo czy nie zabił w taki sam sposób starego Hatfielda? Czy dobrze sobie na tę śmierć nie zasłużył?

– Ale ja nie pozwolę go zabić i mam swoje powody, żeby go nie zabijać.

– Niech cię Bóg wynagrodzi za te słowa, Jake'u Peckardzie. Nie zapomnę ci ich do końca

życia! – zawołał mężczyzna na podłodze trochę jakby płacząco.

Peckard nic na to nie odpowiedział, tylko powiesił latarnię na gwoździu, a potem dał Billowi znak ręką i ruszył w kierunku, gdzie leżałem przypląszczony do podłogi i niewidoczny w ciemności. Zacząłem się cofać na czworakach najszybciej, jak tylko mogłem, ale statek tak był przechylony, że szło mi to niesporo, więc żeby na mnie nie wleźli, wczołgałem się do kajuty po stronie statku wyżej sterczącej nad wodą. Bill szedł w ciemności, czepiając się ściany, a kiedy Peckard znalazł się naprzeciwko mojej kajuty, Bill powiedział:

– Wejź tutaj. No i Peckard wszedł, a tuż za nim Bill. Ale nim weszli, już byłem na górnej koi; czułem się jak mysz w pułapce i żałowałem, że tu w ogóle przyszedłem. A ci dwaj stali tam sobie na środku, opierając się rękami o krawędź koi, i rozmawiali. Nie mogłem ich dojrzeć, ale zgadywałem, gdzie stoją, po zapachu wódki, którą wypili. Rad byłem, że nie pijam wódki. Zresztą nie miałyby to większego znaczenia – i tak by mnie nie wyniuchali, bo prawie nie oddychałem. Ze strachu. I w ogóle człowiek nie może oddychać słuchając takiej rozmowy. Mówili cicho i z wielkim przejęciem. Bill chciał koniecznie zabić Turnera. Powiedział:

– Groził, że wszystko wyszczeka, i na pewno to zrobi. Po tej kłótni i po tym, jakeśmy się z nim obesli, nie miałyby to znaczenia, nawet gdybyśmy mu teraz oddali naszą część łupu. Rękę dam sobie uciąć, że za obietnicę uniewinnienia będzie świadczył przeciwko nam w sądzie. Jestem za tym, żeby skończyć z nim raz a dobrze!

– Ja też jestem za tym – powiada Peckard bardzo spokojnie.

– Niech cię diabli! Chodziło mi po głowie, że wcale nie jesteś. Ale skoro tak, to w porządku. Chodźmy i zróbmy, co trzeba.

– Czekaj chwilę. Jeszcze nie powiedziałem, co mam na wątrobie. Słuchaj uważnie: strzelanie to dobry sposób, ale są lepsze i cichsze sposoby od strzelania. A mnie się widzi, że głupi jest ten, co pcha głowę w stryczek, kiedy może dopiąć swego w sposób równie dobry, a mniej niebezpieczny. Mam rację?

– Pytanie! Ale jak to chcesz tym razem, załatwić?

– Ano tak sobie tę rzecz wykalkulowałem: przetrzaśniemy jeszcze raz kajuty, pozbieramy wszystko, cośmy pierwaj przeoczyli, i jazda na brzeg, tam schowamy łupy. A potem będziemy czekali. Widzisz, najdalej za jakie dwie godziny ten wrak rozpadnie się na dwoje i prąd go zniesie w dół rzeki. Jim Turner pójdzie na dno i będzie mógł tylko sobie za to podziękować. Myślę, że to lepszy sposób niż pakowanie mu ołowiu w głowę. Jestem przeciwny zabijaniu

człowieka, kiedy można sobie z tym inaczej poradzić; bo to i głupie, i grzech. Nie mam racji?

– Tak, pewnie. Ale powiedzmy, że statek się nie rozpułknie i nie spłynie z prądem?

– Te dwie godziny możemy chyba poczekać, co?

– No więc zgoda. Chodźmy.

Wyszli z kajuty. Zeskoczyłem z koi cały mokry od potu i po omacku zacząłem się przekradać przez pokład. Ciemno było, choć oko wykol. Zaskrzeczałem chrypliwym szeptem: – Jim! – i Jim odezwał się z odległości może kroku, ale dziwnie jakoś lękliwie.

Przerwałem mu:

– Dalejże, Jim, prędko! Nie mamy teraz czasu na lamenty i wałęsanie się w ciemności. Jest tu na statku szajka morderców i jeżeli nie znajdziemy ich łodzi i nie puścimy jej z prądem, żeby nie mogli wydostać się z wraku, jednego z nich czeka marny koniec. Ale jak znajdziemy łódź, będziemy mogli ich wszystkich wyszykować, bo zajmie się nimi szeryf. Śpiesz się, Jim. Ja będę szukał na bakborcie, a ty na sterborcie. Zaczynaj od tratwy i...

– Och, Boże, mój Boże! Od tratwy? Nie ma już żadnej tratwy. Zerwała się i popłynęła! I co teraz z nami?

Uczciwy łup z „Waltera Scotta”

Aż mi dech zaparło i o mało nie zemdlałem. Odcięci na wraku z trójką takich zbójów! Ale nie było czasu na mazgajstwa. Teraz musieliśmy znaleźć łódź – teraz łódź nam była potrzebna. Więc ruszyliśmy wzdłuż sterbortu drząc i trzęsąc się jak w febrze, a wlekliśmy się strasznie powoli. Zdawało nam się, że minął tydzień, zanim dotarliśmy do rufy. Ani śladu łodzi. Jim powiedział, że chyba nie ruszy dalej nogą, bo strach, powiedział, wyciska z niego wszystkie siły. Ale ja mu na to, żeby się pośpieszył, bo jak zostaniemy na wraku, czeka nas marny koniec. Znowu ruszyliśmy przed siebie kierując się na tyły kabin. Trafiliśmy tam, a potem posuwaliśmy się wzdłuż świetlików czepiając się uchwytów, bo brzeg świetlików, dotykał wody. Kiedy byliśmy już blisko drzwi palarni, patrzymy – jest łódź. Ledwie zdołałem ją dostrzec. Aż mnie w gardle dusiła radość. Jeszcze sekunda, a byłbym już siedział w łodzi, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi. Jeden z mężczyzn wysunął głowę przez szparę w odległości najwyżej dwóch stóp od miejsca, gdzie stałem. Myślę sobie: już po mnie, ale mężczyzna cofnął się i powiada:

– Zasłoń tę przeklętą latarnię, Bill!

Był to Peckard. Wrzucił jakiś worek do łodzi, potem sam do niej wskoczył i usiadł. Po sekundzie Bill pokazał się w drzwiach i też wsiadł do łodzi. Wtedy Peckard powiedział cicho:

– Gotowe, odbijaj.

Tak osłabłem, że już ostatkiem sił czepiałem się uchwytu. Ale Bill powiada:

– Czekaj! Czy go przeszukałeś?

– Nie. A ty?

– Też nie. Z tego wynika, że ma jeszcze swoją część gotówki.

– To chodź. Byłoby głupio brać rzeczy, a zostawiać gotówkę.

– Słuchaj... czy on się nie pomiarkuje, co zamierzamy?

– Może się nie pomiarkuje. Tak czy siak, gotówkę weźmiemy. Chodź!

Wysiedli z łodzi i poszli.

Drzwi zatrzęsły się za nimi z hukiem, bo były po tej stronie, na którą kładł się statek. W pół sekundy później siedziałem w łodzi, za mną skoczył Jim. Wyciągnąłem nóż, odciąłem linę i odbiliśmy od wraku!

Nie wzięliśmy do rąk wiosł, nie odezwaliśmy się, nie szepnęliśmy jednego słowa, właściwie prawieśmy nie oddychali. Prześliznęliśmy się szybko w zupełnym milczeniu obok koła i dalej obok rufy, a w parę chwil potem byliśmy już o sto jardów poniżej. Wrak znikł w ciemnościach i nie został z niego nawet ślad; nic już nam nie groziło. Dobrześmy to wiedzieli.

Kiedy przepłynęliśmy jeszcze z paręset jardów, w drzwiach kwater oficerskich pokazało się światło latarni niczym maleńka gwiazdka i wtedy wiedzieliśmy, że zbójce zauważyli brak łodzi i pewnie zaczęło im teraz świtać w głowie, że są w takich samych opałach jak Turner.

Jim wziął się do wiosł i rozpoczęliśmy pogoń za naszą tratwą. Po raz pierwszy zacząłem się martwić o tych ludzi na wraku. Dopiero teraz, bo dotąd nie miałem na to czasu. Pomyślałem sobie, że to musi być straszne dla człowieka – nawet jak ten człowiek jest mordercą – znaleźć się w takim położeniu. Pomyślałem sobie, że kto to może wiedzieć, czy ja sam nie zostanę jeszcze kiedyś mordercą, i jak bym się wtedy czuł w ich skórze? Więc zwróciłem się do Jima:

– Jak tylko zobaczymy światło na brzegu, zatrzymamy się ze sto jardów powyżej albo poniżej, w miejscu, gdzie będziesz mógł ukryć łódź, a ja pójdę i zmyślę jakąś historyjkę, i poszukam kogoś, kto by podjechał do wraku i wyciągnął tych zbójów z pułapki, żeby można ich było powiesić, kiedy przyjdzie na to pora.

Ale ten plan mi się nie udał, bo wnet wróciła burza – tym razem jeszcze gwałtowniejsza. Lał deszcz i nigdzie nie było widać żadnych świateł; pomyślałem, że pewnie wszyscy śpią. Płynęliśmy z prądem wypatrując świateł i rozglądając się za tratwą. Po jakimś czasie deszcz ustał, ale chmury wciąż się kotłowały i błyskawice przelatywały po niebie, a w świetle jednej zobaczyliśmy nagle jakiś czarny przedmiot płynący przed nami, więc powiosłowaliśmy _w tym kierunku.

Była to nasza tratwa i muszę przyznać, że przesiedliśmy się na nią z radością. Po chwili błysnęło światło hen, daleko na prawym brzegu. Łódź załadowana była do połowy łupem, który rabusie zagarnęli tam na wraku. Przerzuciliśmy wszystko na tratwę i powiedziałem Jimowi, żeby płynął w dół rzeki, a jak się oddali tak na oko ze dwie mile, niech zaświeci latarnię i trzyma ją zapaloną, dopóki nie wróce; potem siadłem do wiosł i ruszyłem w kierunku światła. Kiedy

podpłynąłem bliżej, pokazało się jeszcze kilka świateł – wysoko na stoku wzgórza. Było to miasteczko. Przybliżyłem się do brzegu trochę powyżej tego pierwszego światła, odłożyłem wiosła i płynąłem dalej z prądem. Gdy znalazłem się już całkiem blisko, zobaczyłem, że jest to latarnia zawieszona na flagsztoku dużego promu.

Ukryłem łódź, a potem zacząłem się rozglądać za strażnikiem zastanawiając się, w jakim też kącie uciął sobie drzemkę; znalazłem go dość prędko; siedział na naglach pochylony do przodu z głową opuszczoną na kolana. Parę razy trąciłem go lekko w ramię, a potem zacząłem płakać.

Poruszył się trochę jakby przestraszony, ale kiedy zobaczył, że to tylko ja, ziewnął od ucha do ucha, przeciągnął się i spytał:

– A to co takiego? No, nie płacz, smyku. Co ci się stało? Odparłem:

– Tatko i mama i siostrzyczka, i... – z płaczu nie mogłem dalej mówić.

– Och, do licha z tym! Nie przejmuj się tak, chłopcze, wszyscy mamy swoje zmartwienia. Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze. No więc co się z nimi stało?

– Są... są... są na... czy pan jest strażnikiem tego promu?

– A jakże – odparł z takim jakimś zadowoleniem w głosie. – Jestem kapitanem, właścicielem, pierwszym oficerem, sternikiem, strażnikiem i starszym majtkiem w jednej osobie, a zdarza się, że jestem całym ładunkiem i jedynym pasażerem tego promu. Nie mam tyle, co stary Jim Hornback, i nie mogę być taki piekielnie hojny i taki dobry dla ludzi ani nie mogę tak jak on szastać pieniędzmi. Ale nieraz mu mówiłem, że bym się z nim nie zamienił. Bo, powiadam, życie marynarza to dla mnie jedyne życie i skisłbym prędzej, niżbym się zgodził mieszkać dwie mile za miastem, gdzie nic się nigdy nie dzieje – za całą jego gotówkę i jeszcze dwa razy tyle też bym się nie zgodził. Powiadam, że...

Przerwałem mu:

– Są w strasznych tarapatach i...

– Kto?

– Jak to kto? Tatko i mama, i moja mała siostrzyczka, i panna Hooker. Więc jakby pan pojechał tam promem w górę rzeki...

– Jakbym gdzie pojechał? Gdzież oni są?

– Na wraku.

– Na jakim wraku?

– Przecież tam jest tylko jeden...

– Co? Masz na myśli parowiec »Walter Scott«?

– Uhu.

– Rety! A cóż oni robią na tej skorupie?

– Nie wybrali się tam rozmyślnie, tylko...

– No chyba! Rany boskie, jeżeli się dobrze nie pośpieszą i nie zejdą prędko, marne ich widoki.

Ale jakim cudem wpakowali się w taką paskudną historię?

– Och, to bardzo proste, proszę pana. Panna Hooker pojechała z wizytą. Do tego miasta... tam w górze rzeki...

– Aha, Booth's Landing. Mów dalej.

– Więc była z wizytą w Booth's Landing i przed samym wieczorem wsiadła ze swoją służącą, Murzynką, na konny prom, bo chciała zatrzymać się na noc u swojej przyjaciółki, panny... jak jej tam... nazwisko całkiem mi z głowy wyleciało. Ale pękł im ster i woda ich zniosła, i płynęli z prądem jakie dwie mile, aż się w końcu nadziali na wrak. Przewoźnik, Murzynka i konie – wszyscy utonęli, a tylko panna Hooker czegoś się tam chwyciła i weszła na wrak. A potem w jaką godzinę po nastaniu mroku nadjechaliśmy w naszej szkucie, a tak było ciemno, że zauważyliśmy wrak dopiero z odległości kilku jardów. I wtedy myśmy się na wrak nadziali, ale nikt z nas nie zginął, prócz tylko jednego Billa Whipple i... och, ach! Bill naprawdę był najlepszym człowiekiem na świecie i ja naprawdę prawie żałuję, że to nie ja się utopiłem. Jak babcię kocham, że żałuję!

– Boże miłosierny! Jak długo żyję, nie słyszałem o czymś takim! A potem? Coście potem zrobili?

– Potem krzyczeliśmy i wołaliśmy, ale rzeka taka jest w tym miejscu szeroka, że nikt nas nie usłyszał. Więc tylko tatko powiedział, że ktoś koniecznie musi się dostać na brzeg i sprowadzić pomoc. Tylko ja jeden umiem pływać, więc pomyślałem, że spróbuję, a panna Hooker powiedziała, że jak nie znajdę pomocy gdzieś bliżej, mam biec tutaj i odszukać jej wujaszka, a on już się wszystkim zajmie. Dopłynąłem do brzegu o milę poniżej wraku i traciłem tylko niepotrzebnie czas, prosząc ludzi o pomoc. Wszyscy mi powiadali: „Co, w taką noc i przy takim prądzie? To całkiem niemożliwe. Idź i postaraj się o prom parowy...” Więc gdyby pan mógł i...

– A bodaj to! Pojechałbym chętnie i niech mnie piorun trzaśnie, jak tego nie zrobię. Ale kto mi, u diaska, zapłaci? Czy myślisz, że twój tatko...

– Och, o to może się pan nie martwić. Panna Hooker mi powiedziała, specjalnie mi to

powiedziała, że jej wujaszek, Hornback...

– Co? Hornback jest jej wujem? Słuchaj no, biegnij do tego światła tam na drodze, potem skreć na zachód, a jak przebiegniesz jeszcze z ćwierć mili, zobaczysz karczmę. Powiedz im, żeby cię podwieźli do Jima Hornbacka. a on zapłaci za fatygę. I nie marudź po drodze, bo stary Hornback powinien jak najprędzej o wszystkim się dowiedzieć. Powiedz mu, że przywiozę jego siostrzenicę całą i zdrową, zanim on zdąży przyjechać do miasteczka. No, a teraz ruszaj. Idę tu niedaleko za róg, zbudzić mojego palacza.

Pobiegłem w kierunku światła, ale zaledwie on zniknął za rogiem, czym prędzej zawróciłem, wsiałem do łodzi, odwiązałem ją i przepłynąłem po cichej wodzie tuż przy brzegu mniej więcej sześćset jardów w górę rzeki, a tam wcisnąłem się między jakieś szkuty; wiedziałem, że się nie uspokoję, dopóki nie zobaczę, jak prom odbija od brzegu. Ale tak ogólnie rzecz biorąc, czułem się całkiem przyjemnie, że zadałem sobie tyle trudu ratując tę szajkę, co nie każdy by zrobił. Żałowałem, że wdowa o tym nie wie. Byłaby ze mnie dumna, że pomogłem tym szelmom, bo szelmy i niedołęgi to taki rodzaj, którym wdowa i inni dobrzy ludzie najchętniej się zajmują.

Nie czekałem długo, aż tu nagle patrzę – płynie wrak ledwie widoczny w ciemności. Zimne dreszcze przebiegły mi po plecach. Chwyciłem wiosła i wypłynąłem na środek rzeki. Zaraz zobaczyłem, że wrak zanurzony jest bardzo głęboko, więc mało było prawdopodobne, żeby znajdował się na nim jakiś żywy człowiek. Krążyłem pewien czas dookoła i nawet trochę wołałem, ale nie usłyszałem żadnej odpowiedzi – cisza niczym w grobie. Martwiłem się trochę o tych trzech rzeźmieszków, ale nie bardzo, bo pomyślałem, że jak oni mogli to wytrzymać – ja też mogę.

Po jakimś czasie pokazał się prom, więc uciekłem na środek rzeki wiosłując w poprzek silnie rwącego nurtu. Kiedy mi się wydawało, że kapitan mnie już nie dojrzy, odłożyłem wiosło, spojrzałem za siebie i zobaczyłem prom uwijający się wokół wraku. To kapitan szukał szczątków panny Hooker, ponieważ wiedział, że jej wujaszek Hornback rad byłby ją pochować; ale niedługo dał za wygraną i popłynął do brzegu, a wtedy ja łaps za wiosło i pomknąłem szybko z prądem.

Wydawało mi się, że upłynęło strasznie dużo czasu, zanim dostrzegłem latarnię Jima, a jak ją zobaczyłem, wyglądała, jakby mnie od niej dzieliło tysiąc mil. Kiedy dopłynąłem do tratwy, niebo na wschodzie zaczęło się przejaśniać, więc przybiliśmy do jakiejś wysepki, ukryliśmy tratwę i zatopiliśmy łódź. Potem rzuciliśmy się na ziemię i zasnęliśmy kamiennym snem.

Czy Salomon był mądry?

Rano obejrzeliliśmy rzeczy, które szajka skradła z wraku; znaleźliśmy tam buty, derki, różną odzież, najrozmaitsze przedmioty, sporo książek, lornetkę i trzy pudełka cygar. Nie byliśmy nigdy w życiu – ani Jim w swoim, ani ja w swoim – tacy bogaci. Cygara bardzo nam smakowały. Całe popołudnie wylegiwaliśmy się w lesie; to rozmawialiśmy, to znowu ja czytałem i było nam bardzo przyjemnie. Opowiedziałem Jimowi szczegółowo o wszystkim, co się zdarzyło na statku i potem na przystani promu. Wy tłumaczyłem mu, że tego rodzaju hece nazywają się przygody, ale on mi na to, że nie chce więcej żadnych przygód. Powiedział, że kiedy ja poszedłem do tych kabin, a on poczołgał się z powrotem przez pokład, żeby wrócić na tratwę, i zobaczył, że tratwa zniknęła, o mało nie umarł. Zrozumiał od razu, że jakkolwiek będzie koniec, on i tak przepadł z kretesem; jeżeli nie zostanie uratowany – utonie, a jeżeli zostanie uratowany – to ten, kto go wyłowi z wody, odeśle go z powrotem do panny Watson, żeby dostać trzysta dolarów nagrody, a panna Watson sprzeda go naturalnie na Południe. Cóż, miał rację. Łebski z niego chłop, jak na Murzyna.

Czytałem dużo Jimowi o królach, książętach, hrabiach i różnych takich: jak się bogato ubierali, jakie mieli wspaniałości, jak mówili do siebie „Wasza Królewska Mość”, albo „Wasza Wysokość”, albo „Wasza Miłość” zamiast po prostu „proszę pana”. A Jimowi aż oczy wylaziły na wierzch i bardzo go to wszystko zajmowało.

– Nie miałem najmniejszego pojęcia, że jest ich taka kupa – zawołał. – Prawie o nich nie słyszałem, tylko o jednym, o starym królu Salomonie. Chyba że policzyć tych, co to są na kartach. Powiedz mi, Huck, ile taki król zarabia?

– Ile zarabia? Człowieku, jak chce, dają mu z tysiąc dolarów na miesiąc. Może mieć tyle, na ile mu przyjdzie ochota. Wszystko do niego należy.

– To ci dopiero życie. A co on musi za to robić?

– Nic nie musi robić. Co ty za głupstwa opowiadasz, Jim. Po prostu siedzi sobie wygodnie.

– Nie! Naprawdę?

– Naprawdę. Po prostu sobie siedzi. Chyba że jest wojna. Wtedy musi iść na tę wojnę. Ale kiedy indziej zwyczajnie nic nie robi albo jeździ sobie na polowanie z sokołem. Poluje sobie z sokołem i... sza!

– Słyszałeś ten hałas?

Wyskoczyliśmy na brzeg i patrzymy, ale był to tylko stuk koła parowca, który wypłynął właśnie zza zakrętu rzeki. Więc wróciliśmy na dawne miejsce.

– Tak —powiadam. – Kiedy indziej znów, jak się takiemu zacznie nudzić, bierze się do parlamentu. A jeżeli ktoś nie robi tak, jak on chce, ucina mu głowę. Ale najczęściej kręci się koło haremu.

– Koło czego?

– Koło haremu.

– Co to jest harem?

– Takie miejsce, gdzie król trzyma swoje żony. Nigdy o tym nie słyszałeś? Król Salomon miał harem i pewnie z milion żon.

– A, prawda. No tak. Wiedziałem, tylko zapomniałem. Taki dom... Można sobie wyobrazić, co tam za wrzask w dzieciennych pokojach. I nie bez tego, żeby się żony między sobą nie żarły, przez co hałas robi się jeszcze niemożliwszy. A ludzie powiadają, że Salomon to najmądrzejszy człowiek na świecie. Wcale nie wierzę. Bo niby jak: czy mądry człowiek miałby ochotę mieszkać ciągle w samym środku takiego harmideru? Mądry człowiek wziąłby i wybudowałby sobie fabrykę, a potem jakby chciał odpocząć, zamknąłby fabrykę.

– Jednakże Salomon był najmądrzejszym człowiekiem. Sama wdowa mi to powiedziała.

– Nic mnie nie obchodzi, co wdowa powiedziała. Nie tylko nie był najmądrzejszy, ale nawet nie był mądry. Wpadał czasem na całkiem pomyłone pomysły. Słyszałeś o tym dziecku, co to je miał rozrąbać na dwoje?

– Tak, wdowa dokładnie mi wszystko opowiedziała.

– No więc masz. Czy to nie był najbzdurniejszy pomysł na świecie? Spójrz no tylko, jak to wyglądało: ten pieniek tam – to jedna z dwóch kobiet, ty – to druga; ja jestem król Salomon, a ten dolar jest zamiast dziecka. Obie wołacie, że dolar jest wasz. I co ja wtedy robię? Biegnę między sąsiadów i pytam na lewo i prawo, która z was jest właścicielką tego dolara, i oddaję go komu

należy, jakby to zrobił każdy człowiek, co ma trochę oleju w głowie? Gdzie tam. Biorę i rąbię ten dolar na dwie połowy i jedną daję tobie, a drugą tamtej kobiecie. Tak chciał zrobić Salomon. A teraz chciałbym wiedzieć: co komu przyjdzie z połówki dolara? Przecież nikt nic za niego nie kupi. A na co komu połowa dziecka?

– Niech cię, lichu, Jim. Całkiem przekręciłeś sens.

– Kto? Ja? Tere-fero. Tylko mi nie opowiadaj o jakimś tam sensie. Wiem dobrze, co rozsądne, a co głupie, a w takim czymś nie ma ani krztyny rozsądku. Kobiety nie kłóciły się o pół dziecka tylko o całe dziecko. A człowiek, co myśli, że może rozsądzić kłótnię o całe dziecko za pomocą połowy dziecka, ma głowę pustą jak makówka. Nie mów mi więcej o Salomonie, Huck, bo mnie ściska w dołku od samego słuchania.

– Kiedy ja ci powtarzam, że zupełnie nie zrozumiałeś sensu tej opowieści.

– A diabli ten twój sens. Myślę, że wiem, co wiem. I zapamiętaj sobie: tu idzie o całkiem coś innego i to wcale nie jest takie proste. Idzie o to, jak Salomon został wychowany. Weź człowieka, który ma jedno albo dwoje dzieci. Czy taki człowiek będzie szastał dziećmi na lewo i prawo? Nie, nie będzie, bo go na to nie stać. Potrafi je cenić. Ale weź człowieka, po którego domu biega jakie pięć milionów dzieci. Dla takiego człowieka rozszczepić dziecko na dwoje to tak jak rozszczepić kota. Ma ich pod dostatkiem. Jedno dziecko mniej czy jedno dziecko więcej – co za różnica? O to tylko chodzi.

Nigdy w życiu nie widziałem takiego Murzyna. Jak Jim co w siebie wmówi, żadna siła mu tego z głowy nie wybije. Nie spotkałem dotąd Murzyna, który byłby taki zawzięty na króla Salomona. Więc dałem spokój Salomonowi i zacząłem mówić o innych królach. Opowiedziałem mu o Ludwiku XVI, któremu obcięto głowę we Francji bardzo dawno temu, i o jego synku, delfinie, który byłby królem, gdyby go nie wzięli i nie zamknęli w więzieniu, gdzie umarł.

– Biedne dziecko! – westchnął Jim.

– Ale niektórzy ludzie powiadają, że uciekł z więzienia i przyjechał do Ameryki.

– O. to rozumiem. Ale będzie mu się tutaj cknęło z samotności. U nas nie ma królów, Huck, co?

– Nie, nie ma.

– No, to on nie dostanie odpowiedniej roboty. Co on będzie robił, jak myślisz?

– Hm, naprawdę nie wiem. Niektórzy tacy pracują na policji, a jeszcze inni uczą ludzi mówić po francusku.

– Jakże to, Huck? Francuzi nie mówią tak, jak my mówimy?

– Skądże. Nie zrozumiałbyś słowa, jakby się taki do ciebie odezwał. Ani jednego słowa.

– Nie, rozpuknę się na dwoje. Jak to może być?

– Nie mam pojęcia. Ale tak jest. Nauczyłem się z jednej książki kilka słów w tym ich szwargocie. Powiedzmy, że podchodzi do ciebie jakiś człowiek i mówi: „Parle wu franse”, co byś sobie pomyślał?

– Nic. Nic bym sobie nie pomyślał, tylko bym go rąbnął w głowę. Naturalnie, jakby nie był biały. Ale niechby tylko Murzyn spróbował zbliżyć się do mnie z takim wyzwiskiem...

– Głupstwa mówisz, Jim. To nie jest żadne wyzwisko. To jest tylko zapytanie, czy umiesz mówić po francusku.

– To dlaczego ten człowiek nie może o to uczciwie spytać?

– Jakże, przecież pyta. Tylko to jest taki francuski sposób mówienia.

– Mnie się widzi, że to jakiś bardzo głupi sposób, i nie chcę o tym więcej słyszeć. Nie ma w tym żadnego sensu.

– Słuchaj no, Jim. Czy kot mówi tak, jak my mówimy?

– Nie, skądże!

– No, a czy krowa mówi jak my?

– Też nie mówi.

– A czy kot mówi jak krowa albo krowa jak kot?

– Nie.

– Czy to jest naturalne i słuszne, że każde z nich mówi inaczej i po swojemu?

– Pewnie, że tak.

– A czy to nie jest naturalne i słuszne, że krowa i kot mówią inaczej, niż my mówimy?

– No chyba!

– W takim razie dlaczego to ma nie być naturalne i słuszne, żeby Francuz mówił inaczej, niż my mówimy. Odpowiedz mi, Jim!

– Czy kot to człowiek, Huck?

– Nie.

– To w takim razie jaki byłby sens, żeby kot mówił jak człowiek? A czy krowa to człowiek?

Czy może krowa to kot?

– Nie, krowa to ani człowiek, ani kot.

– To w takim razie też by nie miało sensu, żeby krowa mówiła jak człowiek albo jak kot. Czy Francuz to człowiek?

– Tak.

– Ano właśnie. To czemu, u diabła, nie mówi jak człowiek? Teraz ty mi na to odpowiedz.

Wiedziałem, że szkoda słów – niełatwo jest przekonać Murzyna. Więc dałem spokój.

Jak wykiwałem pocziwego Jima

Obliczyliśmy, że za trzy noce dopłyniemy wreszcie do Cairo, miasta położonego na samym końcu stanu Illinois, gdzie rzeka Ohio wpada do Missisipi. I że sprzedamy tam tratwę, wsiądziemy na pokład jakiegoś parowca i popłyniemy w górę rzeki Ohio, na teren wolnych stanów. A wtedy nic już nam nie będzie groziło.

Ale na drugą noc pokazała się mgła i zaczęła gęstnieć, więc postanowiliśmy przybić do wyspy, a właściwie piaszczystej kępy zarośniętej gęsto topolami, bo nie ma co tłuc się po rzece podczas mgły. Kiedy przesiadłem się do czółna i popłynąłem przodem, żeby umocować linę tratwy do brzegu, zobaczyłem tam same wątłe drzewa. Okręciłem linę wokół jednego pniaka, sterczącego tuż nad ostro ściętym brzegiem, ale prąd był tu silny i tratwa rozpędzona śmignęła tylko obok z wielką szybkością, wyrwała drzewko z korzeniami i zaczęła się oddalać. Widząc, jak niknie we mgle, tak osłabłem i tak się przeraziłem, że chyba przez pół minuty nie mogłem ruszyć ręką ani nogą – a potem tratwa całkiem znikła, bo nie było nic widać na odległość większą niż dwadzieścia jardów. Wskoczyłem do czółna, łaps za wiosło i odbijam od brzegu. Ale czółno ani drgnęło. Z pośpiechu zapomniałem je odwiązać, więc z powrotem wyskoczyłem na brzeg i zacząłem szarpać supeł, ale z przejęcia ręce tak mi się trzęsły, że niewiele mogłem nimi zrobić.

Jak tylko odbiłem wreszcie, od brzegu – spocony i zdenerwowany – zacząłem gonić tratwę wiosłując wzdłuż brzegu kępy. Wszystko było dobrze, póki płynąłem równoległe z kępą, ale kępa miała co najwyżej sześćdziesiąt jardów długości, a zaledwie ją minąłem, wpadłem w sam środek gęstej, białej jak mleko mgły i tyle widziałem, w jakim kierunku jadę, ile by widział nieboszczyk podróżujący w trumnie.

Myślę sobie: nie ma sensu wiosłować, bo ani się obejrzę, jak wpadnę na brzeg albo na kępę, albo na coś takiego. Musiałem siedzieć spokojnie i płynąć z prądem, ale niełatwo jest trzymać ręce beczynnym na kolanach, kiedy człowiek znajduje się w takich tarapatach. Zacząłem wołać

Jima i nadstawiłem uszu. Gdzieś daleko, hen, w dole rzeki, usłyszałem ciche hukanie i zaraz zrobiło mi się raźniej na duszy. Wiosłując ze wszystkich sił i wyężdżając słuch, zacząłem gonić za tym głosem. Kiedy usłyszałem go po raz drugi, zorientowałem się, że nie płynę prosto w tamtym kierunku, tylko gdzieś w prawo. Kiedy hukanie rozległo się po raz trzeci, znajdowałem się w lewo od niego, niewiele się do niego przybliżywszy, bo kiedy kręciłem się tam i sam, i kołowałem po wodzie, głos oddalał się ode mnie po linii prostej.

Żeby tylko ten głupiec wpadł na pomysł bicia przez cały czas w cynową patelnię! Ale nie wpadł, a najgorsze były dla mnie przerwy między nawoływaniem. Mordowałem się tak dalej, wiosłując wciąż naprzód, aż tu nagle słyszę hukanie za plecami. No, przepadłem teraz z kretesem. Jedno z dwojga; albo było *to* cudze nawoływanie, albo kręciłem się w kółko po wodzie. Rzuciłem wiosło. Znowu usłyszałem hukanie rozległo się gdzieś za moimi plecami, ale w innym miejscu. Co rusz się do mnie zbliżało i co rusz zmieniał miejsce, a ja wciąż odpowiadałem, aż w końcu było znów przede mną i wtedy wiedziałem, że prąd nakierował czółno dziobem w dół rzeki i że teraz dam już sobie radę – jeżeli, naturalnie, słyszę głos Jima, a nie jakiś cudzy. Nie mogłem rozpoznać głosu we mgle, bo we mgle żaden dźwięk ani żaden kształt nie wydaje się taki sam jak zwykle.

Znowu usłyszałem hukanie, a w jaką minutę później czółno pędziło jak oszalałe prosto na podmyty brzeg, na którym majaczyły we mgle ogromne drzewa; w ostatniej sekundzie prąd szarpnął mnie w lewo i uniósł w dół, między sterczące z wody karpy, które prawie ryczały, tak wściekle waliła w nie woda.

Jeszcze sekunda, może dwie – i znów byłem pośrodku białej mgły, i znów było cicho. Siedziałem jak drętwy przysłuchując się biciu serca; myślę, że zanim pierwszy raz odetchnąłem, walnęło mi ze sto razy.

Dałem teraz spokój. Wiedziałem już, co to wszystko znaczy. Podmyły brzeg był wyspą i woda zniosła Jima na drugą stronę. Nie była to żadna kępa, którą można opłynąć w dziesięć czy piętnaście minut. Rosły na niej wysokie drzewa, jak to zwykle na wyspach; miała pewnie z pięć albo sześć mil długości i ponad pół mili szerokości.

Przez kilkanaście minut siedziałem cicho cały czas pilnie nasłuchując. Płynąłem naturalnie z prądem robiąc jakie cztery mile na godzinę. Ale człowiek nigdy by nie pomyślał, że płynie z taką szybkością; przeciwnie, dałby głowę, że stoi nieruchomo na wodzie, a jak czasem mignie mu w pobliżu jakaś wystająca z wody karpa, wcale nie mówi sobie: „Ach, jak ja prędko płynę”, tylko

aż wstrzymuje oddech, że ta karpka śmiga tak szybko. Jeżeli myślicie, że człowiek nie czuje się przybity i jakiś opuszczony, kiedy tak sam nocą znajdzie się podczas mgły na wodzie— spróbujcie raz, to się przekonacie.

Przez następne pół godziny pohukiwałem od czasu do czasu; w końcu usłyszałem odpowiedź, gdzieś daleko na przodzie, i starałem się płynąć za głosem, ale w żaden sposób nie mogłem; niedługo zrozumiałem, że wpadłem w istną sieć kanałów między kępami, bo co rusz migały mi niewyraźne brzegi to po lewej, to po prawej ręce, a czasem płynąłem zupełnie wąską odnogą. Kiedy indziej znów, chociaż nie widziałem kęp, domyślałem się, że je mijam. Domyślałem się po chlupocie wody między zeszlými krzewami i gałęziami, które zwisały nad brzegiem. Bardzo prędko hukanie znowu się zgubiło gdzieś daleko między kępami; zresztą i tak nie goniłbym za nim długo, bo ścigać głos to jeszcze gorsze niż biec za błędnym ognikiem. Nigdy nie słyszałem dźwięku, który by się tak kołatał po wodzie i tak szybko skakał z miejsca na miejsce.

Kilka razy musiałem się dobrze napracować wiosłem, żeby nie gruchnąć o brzeg i nie wywalić jakiejś kępy do góry nogami; pomyślałem, że pewnie tratwa też tak musi się obijać, bo inaczej znacznie by mnie wyprzedziła i nie słyszałbym już żadnego hukania – tratwa płynęła z większą szybkością niż czółno.

Po jakimś czasie miałem wrażenie, że wypłynąłem znów na główne koryto rzeki, ale chociaż wyteżalem słuch, nie słyszałem nigdzie żadnego nawoływania. Pomyślałem, że widać Jim nadział się na jakąś karpkę i że już jest po nim. Byłem setnie zmęczony, więc wyciągnąłem się na dnie i postanowiłem niczym więcej sobie głowy nie zaprzętać. Nie chciałem, naturalnie, zasnąć, ale przysłała na mnie taka senność, że mi się oczy same zamykały. Więc pomyślałem, że utnę sobie małą drzemkę.

Ale musiało to być coś dłuższego niż drzemka, bo kiedy się przebudziłem, gwiazdy błyszcząły jasno na niebie, mgła znikła bez śladu, a ja mknąłem szybko po ogromnym zakręcie, rufą do przodu. W pierwszej chwili nie wiedziałem, gdzie jestem; pomyślałem, że to pewnie sen. A kiedy zaczęło mi się wszystko przypominać, zdarzenia wracały do mnie niewyraźnie, jakby sprzed tygodnia.

Rzeka tu była ogromna, a na obu brzegach rosły gęste, wysokie lasy – istny mur drzew, o ile mogłem rozeznąć w świetle gwiazd. Spojrzałem daleko przed siebie i dostrzegłem mały czarny punkcik na wodzie. Zacząłem wiosłować w tym kierunku, ale kiedy podpłynąłem bliżej, zobaczyłem tylko dwie kłody szczipione ze sobą. Potem dostrzegłem inny punkcik i też za nim

pogoniłem; wreszcie jeszcze inny – i tym razem dobrze trafiłem. Była to tratwa.

Jim spał. Siedział pochylony do przodu, z głową spuszczoną nisko na kolana, z prawą ręką zwisającą bezwładnie na wiosło. Drugie wiosło było złamane, na tratwie wałało się pełno liści, gałęzi i błota. A więc Jim miał za sobą niełatwą przeprawę.

Przywiązałem czółno i położyłem się na deskach tuż pod nosem Jima, a potem zacząłem ziewać i przeciągać się, aż dotknąłem go wyciągniętą ręką.

– Hej, Jim, czy ja spałem? Dlaczegoś mnie nie obudził?

– Boże miłosierny! Czy to ty, Huck? Nie jesteś nieżywy? Nie jesteś utopiony...? Wróciłeś...? Co za radość! Co za szczęście! Niech ci się przyjrzę, niech cię dotknę. Nie, nie jesteś nieżywy! Wróciłeś... cały i zdrowy... ten sam Huck co dawniej, kochany Huck! O, Bogu dzięki, Bogu dzięki!

– Co z tobą, Jim? Piłeś czy co?

– Piłem? Czy ja piłem? Czy miałem okazję, żeby pić?

– W takim razie czemu gadasz jak głupi?

– A co ja gadam głupiego?

– Jak to co? Czyś nie mówił przed chwilą, że skądś wróciłem i różne takie rzeczy, zupełnie jakby mnie tu przedtem nie było?

– Huck... Huck Finn, spójrz mi w oczy! Spójrz mi prosto w oczy! Przecież cię tu nie było?

– Gdzie mnie nie było? Co ci przyszło do głowy, Jim? Cały czas tu byłem. Gdzież ja bym miał chodzić?

– Słuchaj no, Huck! Coś tu jest nie tak, coś tu się całkiem pokręciło. Czy ja jestem ja, czy nie jestem ja? Czy ja jestem tu, czy nie jestem tu? Odpowiedz mi na to pytanie!

– Hm, że jesteś tu, to jasne jak słońce, ale poza tym myślę, że straszny z ciebie dureń i osioł.

– Jestem osioł? To odpowiedz mi jeszcze na jedno. Czyś nie wsiadł do czółna i nie przyciągnął liny, żeby przycumować tratwę do kępy?

– Skądże? Do jakiej kępy? Na oczy nie widziałem żadnej kępy.

– Nie widziałeś żadnej kępy? Słuchaj no, Huck, czy lina się nie zerwała i czy tratwa nie popłynęła z prądem? I czy ty nie zostałeś z czółnem i nie zginąłeś we mgle?

– W jakiej mgle?

– W tej mgle. We mgle, która całą noc leżała na rzece. I czy nie hukałem na ciebie i czy ty nie hukałeś na mnie, dopóki nie zaplątaliśmy się między kępami i dopóki jeden z nas się nie zgubił, a

drugi tak dobrze, jakby się zgubił, bo wcale nie widział, gdzie się znajduje? I czy nie wpadałem co rusz na inną kępę, czy nie natrudziłem się z tratwą okropnie, aż o mało nie utonałem? Czy nie było tak, Huck, nie było? Odpowiedz mi na to.

– Eee, Jim, tego już dla mnie za wiele! Nie widziałem żadnej mgły ani żadnych kęp, ani niczego takiego. Siedziałem tu i rozmawiałem z tobą całą noc, dopókiś nie zasnął z dziesięć minut temu, a ja też się pewnie zdrzemnąłem. Nie mogłeś się upić w ciągu tak krótkiego czasu, więc pewnie ci się śniło.

– Akurat! Jak mi się mogło przyśnić tyle rzeczy w ciągu dziesięciu minut?

– Niech cię licho, Jim. Musiałeś mieć sen, skoro się nic podobnego nie wydarzyło.

– Kiedy, Huck, pamiętam to wszystko tak wyraźnie jak...

– No to co, że pamiętasz wyraźnie, kiedy tego wcale nie było? Wiem, bo siedziałem tu całutki czas.

Jim milczał chyba przez pięć minut rozmyślając pilnie. A potem powiada:

– W takim razie, Huck, nic innego, tylko musiało mi się to wszystko przyśnić. Ale niech mnie wilki zjedzą, jeżeli miałem kiedy w życiu taki wyraźny sen! I żaden sen nigdy mnie tak nie zmęczył.

– Och, w tym nie ma nic dziwnego, bo czasem sen potrafi okropnie człowieka zmordować. Ale ten twój to musiał być jakiś ciekawy sen. Opowiedz mi go dokładnie.

Jim wziął się żwawo do roboty i opisał od początku do końca, jak się wszystko odbyło, z tym tylko, że zbijał mocno niektóre szczegóły. A potem dodał, że musi teraz wytłumaczyć swój sen, ponieważ został mu zesłany jako przestroga. Więc powiedział, że pierwsza kępa oznacza człowieka, który będzie chciał nam oddać przysługę, ale prąd to drugi człowiek, co nas od tego pierwszego oddzieli. Nawoływanie to przestrogi, które będą nam od czasu do czasu zsyłane, a jak nie pokręcimy mocno głowami, żeby je dobrze zrozumieć, przyniosą nam nieszczęście zamiast nas przed nim uchronić. Wszystkie razem kępy to kłopoty, na jakie natrafimy z przyczyny osób kłótliwych i różnych złych ludzi, ale jeżeli się do niczego nie wtrącimy i nie będziemy na ich zaczepki odpowiadali, przebrniemy przez wszystkie trudności i wypłyniemy z mgły na czyste i szerokie wody rzeki, która oznacza wolne stany. Kiedy przesiadłem się na tratwę, wiatr przywiał chmury i było bardzo ciemno, ale teraz znowu się rozjaśniło.

– Hm... jak dotąd, Jim, tłumaczysz wszystko bardzo zgrabnie – rzekłem. – Ale co to znaczy?

Pokazałem mu liście i śmiecie na tratwie, i złamane wiosło. Widać je było bardzo wyraźnie.

Jim spojrział na śmiecie, potem na mnie, a potem znów na śmiecie. Wbił sobie swój sen tak mocno w głowę, że w żaden sposób nie mógł go od siebie odegnąć i nie umiał tak od razu poskładać z powrotem wszystkich faktów. Ale kiedy mu się cała rzecz wyjaśniła, spojrział na mnie spokojnie, bez uśmiechu i powiada:

– Co to znaczy? Zaraz ci powiem. Kiedy całkiem już osłabłem z wysiłku i z wołania na ciebie i kiedy zasypiałem, serce mi się krajało na kawałki, że cię straciłem, i było mi już wszystko jedno, co czeka mnie i tratwę. A kiedy się obudziłem i patrzę, żeś wrócił cały i zdrowy, łzy mi zaczęły kapać z oczu, więc z wdzięczności chciałem upaść na kolana i pocałować cię w piętę. A tyś myślał tylko o jednym: jak by tu za pomocą kłamstwa zrobić głupca ze starego Jima. Te śmiecie tam to jest paskudztwo; a paskudztwo to są tacy ludzie, co się zachowują podle względem swoich przyjaciół i wystawiają ich na pośmiewisko.

Potem dźwignął się z trudem, poszedł do wigwamu i zniknął w środku nic więcej nie mówiąc. Ale to, co powiedział, zupełnie mi wystarczyło. Tak się nienawidziłem za swoją nikczemność, że teraz sam byłbym gotów pocałować go w piętę, byle cofnął te słowa.

Minęło chyba z piętnaście minut, zanim zmusiłem się wreszcie, żeby pójść i upokorzyć się przed Murzynem; ale poszedłem i nigdy tego nie pożałowałem. Nigdy też więcej nie robiłem mu złośliwych kawałów; nie zrobiłbym i tym razem, gdybym wiedział, że tak bardzo sobie to weźmie do serca.

Skóra grzechotnika zaczyna działać

Przespaliśmy prawie cały dzień i wyruszyliśmy wieczorem w niedużym odstępnie za ogromną tratwą, która tak długo obok nas przepływała, że miałem wrażenie, jakbym patrzył na procesję. Na każdym jej końcu były cztery olbrzymie wiosła, więc pomyśleliśmy, że pewnie prowadzi ją ze trzydziestu ludzi. Na deskach stało pięć obszernych wigwamów – jeden daleko od drugiego – pośrodku paliło się duże ognisko, a na dziobie i rufie sterczały wysokie flagsztoki z banderami. Wspaniała tratwa! Ach, być retmanem na takiej tratwie.

Prąd zniósł nas teraz na wielki skręt, noc stała się pochmurna i parna. Rzeka była w tym miejscu bardzo szeroka, a po obu stronach wznosiły się ściany gęstego lasu; nie widzieliśmy w nich ani jednej przerwy, ani jednego światła. Mówiliśmy o Cairo i zastanawialiśmy się, czy je poznamy, kiedy wreszcie do niego dopłyniemy. Przypuszczałem, że pewnie nie, bo mówiono mi, że jest tam co najwyżej kilkanaście domów, więc jeżeli nie będzie się w nich akurat świeciło, jakim cudem można odgadnąć, że się mija miasto? Jim powiedział, że jedna wielka rzeka wpada tam do drugiej rzeki, więc poznamy to miejsce bez trudu. Ja mu odparłem, że może nam się zdawać, że opływamy wyspę i zamiast wysiąść na brzeg, śmigniemy prosto w dół Missisipi. Jim mocno się stropił. Przyznaję, że ja też. Więc powstało pytanie: co robić? Powiedziałem, że jak tylko pokaże się światło, wsiądę do czółna, powiosłuję do brzegu i powiem, że za mną jedzie tatko z wielką sztuką towarów, że pierwszy raz wziął się do przewozu i chciałby wiedzieć, jak daleko jest do Cairo. Jim uważał, że to dobra myś, więc zapaliliśmy fajki i czekaliśmy.

Nie mieliśmy teraz nic innego do roboty, jak tylko wypatrywać pilnie miasta, żeby go nie minąć i nie popłynąć dalej. Jim przypuszczał, że na pewno je zauważy, bo w chwili, kiedy je zauważy, będzie wolnym człowiekiem, a gdyby go nie spostrzegł, znajdzie się znów w kraju niewolnictwa bez żadnej nadziei na wyzwolenie. Co chwilę zrywał się na nogi i wołał:

– Jest! Jest, o tam!

Ale to wcale nie było Cairo, tylko błędne ognie albo świetliki, więc siadał na powrót i dalej pilnie wypatrywał. Powiedział, że trzęsie się od stóp do głów i cały jest rozgorączkowany, ponieważ znajduje się tak blisko wolności. Muszę się wam przyznać, że ja też się trząsałem i też byłem rozgorączkowany, kiedy słuchałem tego, co mówił, bo nagle przyszło mi do głowy, że Jim jest prawie wolny – i czyja to wina? Moja! Ani rusz nie mogłem pozbyć się tej myśli, choć próbowałem na wszystkie możliwe sposoby. Tak mnie to zaczęło męczyć, że nie miałem chwili spokoju i nie mogłem usiedzieć na jednym miejscu. Nigdy mi dotąd nie przyszło do głowy, co to naprawdę jest takiego – to co ja robię; ale teraz o tym pomyślałem i w żaden sposób nie mogłem zapomnieć, i coraz bardziej i bardziej mi to doskwierało. Próbowałem sobie wytłumaczyć, że nie moja w tym wina, bo przecież nie ja kazałem Jimowi uciekać od jego prawowitego właściciela. Ale wszystko na nic, bo za każdym razem sumienie powiadało: „Wiedziałeś przecież, że Jim ucieka i chce być wolny, więc mogłeś popłynąć do brzegu i dać komuś znać”. Święta prawda – w żaden sposób nie mogłem temu zaprzeczyć. I to było najgorsze. Sumienie wciąż mi powiadało: „Co ci takiego ta biedna panna Watson zrobiła, żeś patrzył spokojnie, jak jej Murzyn ucieka, i nie pisałeś ani słowa? Co ci ta biedna, stara kobieta zrobiła, żeś się jej odplacił tak podle? Próbowała nauczyć cię czytać i pisać, próbowała nauczyć cię przyzwoitego zachowania, robiła po swojemu wszystko, co mogła, dla twojego dobra. Tylko to!”

Zrozumiałem moją nikczemność i poczułem się taki nieszczęśliwy, że prawie miałem ochotę umrzeć. Zacząłem się kręcić niespokojnie tam i z powrotem po całej tratwie urągając sobie w duchu, a Jim chodził za mną krok w krok, bo też był zdenerwowany. Nie mogliśmy żadną miarą usiedzieć na miejscu. A ile razy Jim podskakiwał i wołał: – O, jest, jest Cairo! – zdawało mi się, że mnie ktoś sztyletem przebija i myślałem sobie, że jak to jest Cairo, umrę chyba z rozpacz.

A kiedy rozmawiałem tak sam z sobą w duchu, Jim mówił do mnie na głos. Powiedział mi, że jak tylko przyjdzie do wolnych stanów, będzie oszczędzał pieniądze i nie wyda na siebie ani jednego centa; a kiedy uzbiera już dosyć, wykupi swoją żonę, która jest własnością farmerów w bliskim sąsiedztwie domu panny Watson. A potem razem z żoną będą pracowali, żeby wykupić dwoje dzieci, a jak właściciel nie będzie im chciał dzieci sprzedać, postarają się o jakiego abolicjonistę, który pojedzie i je wykradnie.

Aż ścierpłem słysząc te słowa. Dawniej Jim nigdy by się nie odważył mówić w taki zuchwały sposób. I pomyśleć tylko, jak się zaraz zmienił, odkąd wbił sobie do głowy, że jest prawie wolny. Rację ma to stare przysłowie: daj Murzynowi miarę, a on sięgnie po cały korzec. Pomyślałem

sobie: ot, taki jest koniec, kiedy się nie myśli. Siedzi tu przede mną Murzyn, któremu to właściwie ja pomogłem uciec, i ten Murzyn rąbie mi teraz prosto z mostu, że wykradnie swoje dzieci. A te dzieci są własnością człowieka, którego na oczy nie widziałem i który niczym mi nie zawinił!

Przykro mi było, że Jim mówi w taki sposób – jakoś go to dziwnie poniziło. Sumienie zaczęło się ciskać na mnie jeszcze gwałtowniej, aż mu w końcu powiadam: „Daj spokój – wcale nie jest za późno... podjadę czółnem do pierwszego światła i wszystko powiem”. W mig poczułem się wesoly i szczęśliwy, i lekki jak piórko. Wszystkie moja zgryzota od razu minęła. Zacząłem pilnie wypatrywać światła, z radości prawie że podśpiewując sobie w duchu. Po jakimś czasie mignęło na brzegu światelko. Jim wrzasnął:

– Jesteśmy uratowani, Huck, uratowani! Hura, dobra nasza! To Cairo, poczciwe stare Cairo! Głowę dam, że Cairo! Powiedziałem:

– Pojadę czółnem i zobaczę. Kto wie, Jim, może to wcale nie Cairo?

Skoczył żywo przygotować czółno, położył na dnie swoją kurtę, żeby mi było wygodniej siedzieć, podał wiosło, a kiedy odbijałem, Powiedział:

– Zanim się obejrzę, będę skakał i wrzeszczał z radości, i powiem, że to wszystko zasługa Hucka. Jestem wolny człowiek! Jakby nie Huck, nigdy bym nie był wolny. Huck to zrobił! Jim ci tego, Huck, nigdy nie zapomni. Jesteś najlepszy przyjaciel, jakiego Jim miał kiedykolwiek na tym świecie; jesteś jedyny przyjaciel, jakiego stary Jim ma na tym świecie.

Wiosłowałem ze wszystkich sił – tak się śpieszyłem, żeby go wydać. Ale kiedy to powiedział, nagle cała ochota jakby ze mnie wyszła. Zacząłem wolniej robić wiosłom i nie byłem taki zupełnie pewny, czy jestem, czy nie jestem zadowolony, że płynę do brzegu. Kiedy, się oddaliłem o jakie pięćdziesiąt jardów, Jim zawołał:

– Serce rośnie, jak na niego patrzeć! Dobry, wierny Huck! Jeden jedyny biały dżentelmen, który staremu Jimowi dotrzymał obietnicy.

Czułem się okropnie. Ale, powiadam sobie, muszę to zrobić, nie mogę się od tego wymigać. Właśnie wtedy nadpłynęła łódź, a w niej dwaj mężczyźni ze strzelbami. Zatrzymali się, ja też odłożyłem wiosło. Jeden z nich spytał:

– Co tam płynie w dole?

– Tratwa, proszę pana – odparłem.

– Należysz do załogi?

– Tak, proszę pana.

– Macie tam jakichś mężczyzn na pokładzie?

– Tylko jednego, proszę pana.

– Słuchaj no, mały, dzisiaj w nocy zbiegło pięciu Murzynów z wioski tam w górze, za zakrętem rzeki. Ten mężczyzna na tratwie jest biały czy czarny?

Nie odpowiedziałem od razu. Chciałem, ale słowa jakoś ugrzęzły mi w gardle. Przez parę sekund próbowałem zebrać siły, żeby raz to wreszcie z siebie wyrzucić, ale brak mi było odwagi; myślę, że zająć miałyby jej więcej. Zobaczyłem, że słabnę, więc dałem spokój i powiedziałem:

– Jest biały, proszę pana.

– Hm, pojedziemy i zobaczymy sami.

– O, bardzo bym chciał, proszę pana – powiedziałem – bo na tratwie jest tatko, więc gdybyście mi, panowie, pomogli przyholować tratwę do brzegu, tam gdzie widać światło... Tatko jest chory i mama jest chora, i Mary-Ann też jest chora.

– Do diabła, chłopcze. Bardzo nam się śpieszy. No, ale trudno, nie ma rady. Machaj szybko wiosłem, im prędzej się uwiniemy, tym dla nas lepiej.

Więc wzięliśmy za wiosła, ale po kilku uderzeniach odezwałem się znowu:

– Tatko będzie panom bardzo wdzięczny, słowo daję. Jak tylko kogo poproszę, żeby mi pomógł przyholować tratwę do brzegu, zaraz ucieka, a sam w żaden sposób nie mogę dać rady.

– Co za podłość! Ale swoją drogą dziwna sprawa. Powiedz no, chłopcze, co jest z twoim ojcem?

– Ma tylko... tylko... och, nic wielkiego.

Przestali wiosłować. Do tratwy było już całkiem blisko. Jeden z nich powiada:

– Chłopcze, kłamiesz. Co jest z twoim ojcem? Mów mi zaraz, tylko bez wykrętów. Lepiej na tym wyjdiesz.

– Powiem prawdę, słowo daję, że powiem, tylko nie zostawiajcie nas samych, panowie! Ojciec ma... ma... och, panowie, gdybyście popłynęli przodem i wzięli cumę, wcale nie będziecie musieli zbliżać się do tratwy... Proszę was, proszę!...

– Wiosłuj do tyłu, John, do tyłu! – powiedział jeden. Oddalili się ode mnie o kilka jardów. – Nie zbliżaj się do nas, chłopcze. Trzymaj się po zawietrznej! Niech to diabli, wiatr z pewnością przywiał już do nas to paskudztwo. Twój ojciec ma ospę i ty dobrze o tym wiesz. Dlaczegoś nam od razu nie powiedział?! Czy chcesz rozwlec zarzę po całej okolicy?

– No, tak – odparłem płaczliwie – przedtem wszystkim mówiłem, a jak komu powiedziałem, zaraz uciekał i tyle go było...

– Biedaczysko, to naprawdę przykra sprawa. Bardzo ci, chłopcze, współczujemy, ale widzisz... hm... Niech to diabli, nie chcemy przecież złapać ospy! Słuchaj, mały, powiem ci, co zrobisz. Nie próbuj sam lądować, bo roztrzaskasz tratwę w kawałki. Płyn dalej z prądem, a po mniej więcej dwudziestu milach zobaczysz na lewym brzegu miasto. Będzie już wtedy dobrze po wschodzie słońca. I pamiętaj: jak poprosisz ludzi, żeby ci pomogli wylądować, powiesz im, że ci się rodzina pochorowała z przeziębienia i leży w gorączce. Nie bądź głupi i nie zdradzaj, co to za choroba. Staramy się dać ci dobrą radę, więc w zamian oddal się o te dwadzieścia mil w dół rzeki. Gdybyś wylądował tam, gdzie widać to światło, nic by ci z tego nie przyszło, bo to tylko skład drzewa. Słuchaj, u twojego ojca pewnie się nie przelewa i trzeba przyznać, że jest w ciężkich tarapatkach. Masz, kładę na tej desce złote dwadzieścia dolarów. Schwyć je, jak będzie koło ciebie przepływała. Przykro mi, że cię tak zostawiam, ale z ospą nie ma żartów, chyba rozumiesz?

– Czekaj, Parker – powiedział drugi mężczyzna. – Masz tu dwadzieścia dolarów ode mnie, połóż je obok na desce. Bywaj, chłopcze! Zrób, jak ci pan Parker radzi, a wszystko będzie dobrze.

– Tak, tak, chłopcze. Bywaj! A gdybyś zobaczył gdzie po drodze jakichś zbiegłych Murzynów, przywołaj pomoc i łap ich. Zarobisz na tym coś niecoś.

– Do widzenia panom – odparłem. – Już ja tam nie przepuszczę żadnemu zbiegłemu Murzynowi!

Odjechali, a ja wróciłem na tratwę. Było mi przykro i źle, bo wiedziałem, że postąpiłem nikczemnie, a co gorsza zrozumiałem, że choćbym nie wiem jak starał się postępować dobrze i tak się to na nic nie zda; człowiek, co nie zaczął postępować dobrze jeszcze w małości, nie ma żadnych widoków – kiedy przyjdzie co do czego, całkiem się traci, nie znajduje nic, co by go mogło podtrzymać na dobrej drodze, i w końcu przegrywa z kretelem. Potem pomyślałem chwilę i mówię sobie: czekaj! Dajmy na to, żeś postąpił słusznie i wydał Jima; czy byłoby ci z tym lżej na sercu, niż ci jest teraz? Nie – odparłem. – Byłoby mi tak samo ciężko na sercu, jak mi jest teraz. W takim razie – mówię sobie dalej – po co miałbym się uczyć postępować dobrze, kiedy to strasznie przykra rzecz postępować dobrze, a wcale nie jest przykro postępować źle, gdy tymczasem skutek jest dokładnie taki sam? Strasznie się zmieszałem. Nie miałem pojęcia, jak

sobie na to odpowiedzieć. Więc postanowiłem, że nie będę się tym dłużej trapił, a w przyszłości postąpię zawsze tak, jak w danej chwili będzie mi poręczniej.

Zajrzałem do wigwamu. Jima nie było. Zacząłem się za nim rozglądać – nigdzie ani śladu. Zawołałem:

– Jim!

– Tu jestem, Huck! Czy już ich nie widać? Nie mów tak głośno. Siedział w rzece, pod wiosłem sterowym, tylko czubek nosa wystawał mu nad wodę. Powiedziałem, że tamci już odpłynęli, a wtedy Jim wdrapał się na tratwę.

– Słyszałem kaździutkie słowo, więc skoczyłem do wody i gdyby chcieli wejść na tratwę, popłynąłbym cichaczem na brzeg. Potem po ich odejściu wróciłbym. Mój Boże, aleś ty ich wykołował, Huck! W życiu nie widziałem tak zgrabnej sztuczki! Powiadam ci, dziecko, żeś uratował starego Jima. Stary Jim nigdy ci tego nie zapomni.

Potem rozmawialiśmy o pieniądzach. Połów był niezły – po dwadzieścia dolarów na głowę. Jim powiedział, że możemy sobie teraz kupić pokładowe miejsca na parowcu i że z taką kupą pieniędzy zajedziemy, dokąd tylko będziemy chcieli w wolnych stanach. Powiedział jeszcze, że dwadzieścia mil to dla tratwy drobiazg, ale chciałby już jak najprędzej być na miejscu.

Tuż przed świtem przybiliśmy do brzegu i Jim był tym razem strasznie dokładny i nie szczędził trudów, żeby dobrze ukryć tratwę. A potem cały dzień wiązał rzeczy w węzłki i przygotowywał wszystko do opuszczenia tratwy.

Tego wieczora koło godziny dziesiątej zobaczyliśmy światła jakiegoś miasta – daleko przed nami, w załomie lewego brzegu rzeki.

Wsiadłem do czółna i popłynąłem zasięgnąć języka. Bardzo prędko natknąłem się na rybaka zarzucającego wędkę z łodzi. Podpłynąłem bliżej i pytam:

– Panie, czy to miasto to Cairo?

– Cairo? Skądże! Musiałeś chyba upaść na głowę.

– A jakie to miasto, proszę pana?

– Jak chcesz wiedzieć, jakie miasto, pojedź i spytaj! Jeżeli będziesz mi się tu pętał i zawracał głowę, przytrafi ci się coś, co sobie długo popamiętasz.

Wróciłem na tratwę. Jim był strasznie rozczarowany, ale ja mu powiedziałem, żeby się nie martwił, bo następane miasto, jakie zobaczymy, to z pewnością będzie Cairo.

Przed wschodem słońca mijaliśmy następane miasto i miałem już wsiąść do czółna i jechać na

zwiady, ale brzeg był tu wysoki, więc nie pojechałem. Jim powiedział, że koło Cairo brzeg w żaden sposób nie może być wysoki. Całkiem o tym zapomniałem. Zatrzymaliśmy się na dzień przy kępie, dość blisko lewego brzegu.

Zacząłem podejrzewać, że coś jest nie w porządku. Jim to samo powiedziałem:

– Może minęliśmy Cairo tamtej nocy, kiedy była mgła?

Jim odparł:

– Lepiej nie mówmy o tym, Huck. Biedny Murzyn nigdy nie ma szczęścia. Coś mi się widzi, że z tą skórą grzechotnika jeszcze nie koniec.

– Och, bodaj bym nigdy tej skóry nie zobaczył, Jim. Bodaj bym jej nigdy nie widział na oczy.

– To nie twoja wina, Huck; przecież nie wiedziałeś. Nie zwałaj winy na siebie, dziecko.

Kiedy zrobiło się jasno, zobaczyliśmy tuż blisko czyste wody Ohio, a dookoła – naturalnie! – te same błotniste fale Missisipi. A więc nie było co marzyć o Cairo.

Rozważyliśmy wszystko dokładnie. O wyjściu na brzeg nie mogło być mowy; nie mogliśmy też popłynąć tratwą pod prąd. Nie pozostało nam nic innego, jak czekać cierpliwie do zmroku, a potem ryzykować powrót czółnem w górę rzeki. Więc położyliśmy się w gęstwinie topoli i przespaliśmy cały dzień, żeby nabrać sił na wieczorne wiosłowanie; ale kiedy o zmroku wróciliśmy do tratwy – czółno zniknęło!

Przez dobrą chwilę milczeliśmy obaj. Nie mieliśmy nic do powiedzenia. Jim wiedział i ja wiedziałem, że to jeszcze jedna sprawka skóry grzechotnika, więc co by nam przyszło z mówienia? Wyglądałoby tylko na to, że mamy do niej urazę, a to mogłoby nam sprowadzić na kark jakie nowe nieszczęście – i wciąż je na nas ściągać, dopóki byśmy nie zmadrzeli i nie nauczyli się trzymać języka za zębami.

Po chwili zaczęliśmy się zastanawiać, co teraz pocniemy. Zostało nam tylko jedno: płynąć dalej tratwą, dopóki nie nadarzy się jakaś sposobność kupienia czółna, którym wrócilibyśmy w górę rzeki. Nie zamierzaliśmy pożyczać sobie łodzi podczas nieobecności właściciela, jak zrobiłby tatko, bo to mogłoby nam zesłać na kark pogoń. Więc z nastaniem nocy odbiliśmy tratwę od brzegu. Jeżeli ktoś dotąd nie uwierzył, że to straszna głupota brać do ręki skórę grzechotnika – po tym wszystkim, co ta przekłeta skóra nam zrobiła – może wreszcie uwierzy, kiedy przeczyta dalej i zobaczy, co nas jeszcze spotkało.

Najlepiej można kupić czółno tam, gdzie się widzi tratwy przycumowane do brzegu. Ale nie było nigdzie ani jednej tratwy, więc płynęliśmy i płynęliśmy z prądem najmniej trzy godziny. A

potem noc zrobiła się chmurna i parna, co po mgle jest drugą najohydniejszą rzeczą na wodzie. Człowiek nie widzi brzegów i nie potrafi określić odległości. Było już bardzo późno i bardzo cicho. Potem nagle usłyszeliśmy z daleka parowiec płynący w górę rzeki. Zapaliliśmy latarnię, spokojni, że ją dostrzegą ze statku. Statki idące pod prąd przeważnie się do nas nie zbliżały; płynęły wzdłuż mielizn albo szukały spokojnej wody pod przybrzeżnymi skałami; ale podczas takich nocy płynęły po głównym nurcie, samym środkiem rzeki.

Słyszeliśmy stuk maszyn parowca, ale nie widzieliśmy go, dopóki nie znalazł się całkiem blisko. Walił prosto na nas. Sternicy często to robią, żeby zobaczyć, jak blisko uda im się podejść do tratwy; czasem koło urwie kawałek deski, a wtedy sternik wysuwa głowę z kabiny i śmieje się, bo uważa, że to pyszny kawał. Więc – jak mówiłem – statek walił prosto na nas, myśmy myśleli, że pewnie spróbuje nas musnąć; ale potem zobaczyliśmy, że wcale nie zmienia kursu. Był to duży statek i płynął w wielkim pośpiechu; wyglądał zupełnie jak czarna chmura, otoczona mnóstwem fruujących światełek. Aż tu nagle wyrósł przed nami, ogromny i przerażający – długi rząd otwartych pieców wyglądał jak rozgrzane do czerwoności ohydne zębiska; potwornej wielkości dziób i gardy zawisły tuż nad naszymi głowami. Ktoś z pokładu ryczał coś do nas, rozległy się dzwonki – sygnały, żeby zatrzymać maszyny – potem wrzask przekleństw, potem świst pary. Potem Jim chlupnął do wody z jednej, a ja z drugiej strony i dziób statku uderzył w sam środek tratwy.

Dałem nurka – z mocnym zamiarem wylądowania na dnie, bo nad głową musiało mi przejść koło o średnicy trzydziestu stóp, a bardzo mi na tym zależało, żeby to koło miało jak najwięcej miejsca i nie dotknęło mnie. Wiedziałem, że mogę wytrzymać pod wodą minutę; tym razem wytrzymałem chyba półtorej. Potem odbiłem się stopami od dna i czym prędzej wyskoczyłem na powierzchnię, bo już prawie pękałem. Wynurzyłem się do pach, wydychałem wodę z nosa i zaczerpnąłem powietrza. Naturalnie prąd rwał w tym miejscu jak szalony i naturalnie na statku puścili maszyny w dziesięć sekund po tym, jak je zatrzymali, bo los flisaków mało ich obchodzi. Statek oddalał się w górę rzeki i szybko znikł mi z oczu w wilgotnym powietrzu, choć słyszałem jeszcze stukot maszyn.

Wołałem na Jima chyba kilkanaście razy, ale nie słyszałem żadnej odpowiedzi. Wtedy złapałem się deski, która podpłynęła do mnie, kiedy „deptałem wodę”, i pchając ją przed sobą, zacząłem płynąć do brzegu. Ale zobaczyłem zaraz, że prąd niesie do lewego brzegu, z czego wynikało, że znajduję się na tak zwanym przerzucie nurtu, Wobec tego zmieniłem kurs i

popłynąłem też na lewy brzeg.

Nurt szedł po linii ukośnej, więc płynąłem ze dwie mile, zanim dopłynąłem do brzegu. Ale wylądowałem szczęśliwie i zaraz wspiąłem się na wysoką skarpe. Widziałem na odległość najwyżej dwóch jardów i prawie po omacku wlokłem się przez może ćwierć mili, stąpając po twardym gruncie. A potem, całkiem niespodziewanie, wyrósł przede mną ogromny, staroświecki dom drewniany. Już miałem wziąć nogi za pas, ale opadła mnie gromada psów, warcząc i wściekle ujadając. Miałem dość oleju w głowie, żeby się nie ruszyć dalej ani na krok.

Zamieszkuje u Grangerfordów

Mniej więcej po półminucie odezwał się przez okno jakiś głos, ale nikogo nie było widać.

– Do ziemi, psy! Kto tam?

– To ja, proszę pana.

– Jaki ja?

– George Jackson, proszę pana.

– Czego tu chcesz?

– Nic nie chcę, proszę pana. Chcę tylko pójść dalej, ale mnie psy opadły.

– A po co tu szpiegujesz o tej porze nocy, hę?

– Wcale nie, szpieguję, proszę pana. Wypadłem za burtę statku i dopłynąłem do brzegu.

– Och, czyżby? Wypadłeś za burtę statku? Niech mi tam ktoś zapali i poda światło. Powtórz, jak się nazywasz.

– George Jackson, proszę pana. I jestem jeszcze chłopcem.

– Słuchaj no, mały, jeśli mówisz prawdę, nie spotka cię tu nic złego. Ale nie próbuj ruszać się z miejsca. Stój, gdzie stoisz. Hej, niech ktoś z was przywoła Boba i Toma i przyniesie strzelby. George'u Jacksonie, czy jest ktoś z tobą?

– Nie, proszę pana, nie ma nikogo. Usłyszałem teraz w domu stapanie i zobaczyłem światło. Mężczyzna zawołał:

– Zabierz to światło, Betsy! Czyś całkiem rozum straciła? Postaw je na ziemi, pod drzwiami wejściowymi. Bob i Tom gotowi? Jeśli tak, zajmujcie stanowiska.

– Gotowi, ojcze!

– A teraz powiedz mi, George'u Jacksonie, czy znasz Shepherdsońów?

– Nie znam, proszę pana, i nigdy o nich nie słyszałem.

– Hm... może mówisz prawdę, a może nie. Chłopcy gotowi? A teraz, George'u Jacksonie,

zbliż się tu do nas. Tylko pamiętaj, nie śpiesz się, idź krok za krokiem. Jeżeli jest tam ktoś z tobą, niech odejdzie – gdyby się pokazał, dostanie kulkę. No, więc ruszaj naprzód, powoli. Sam pchnij drzwi, na tyle tylko, żebyś się mógł wcisnąć do środka. Słyszałeś?

Nie śpieszyłem się – gdybym nawet bardzo chciał, też bym nie mógł. Szedłem krok za krokiem, cisza była zupełna, tylko miałem wrażenie, że słyszę walenie własnego serca. Psy zachowywały się tak cicho jak ludzie, ale szły za mną w odległości kilku jardów. Kiedy stanąłem przed stopniami ułożonymi z trzech grubych kłoców, usłyszałem odsuwanie rygli i zdejmowanie łańcuchów. Wyciągnąłem rękę i pchnąłem drzwi leciutko, potem jeszcze trochę, aż ktoś wewnątrz powiedział: – Starczy, wsuń głowę. – Wsunąłem. Byłem pewny, że mi ją odetną.

Świeca stała na podłodze, a oni wszyscy zebrali się dookoła świecy i patrzyli na mnie, a ja na nich chyba przez ćwierć minuty: trzech ogromni mężczyźni z wycelowanymi we mnie strzelbami, więc bądźcie pewni, że na ich widok aż się w sobie skuliłem. Jeden był siwy i miał pod sześćdziesiątkę, pozostali dwaj mieli pewnie po trzydzieści lat albo i więcej – wszyscy trzech rośli i bardzo urodziwi. Obok siwowłosa pani o strasznie dobrej twarzy, a za nią dwie młode dziewczyny, ale ich nie widziałem dokładnie. Stary pan powiedział:

– Hm... zdaje się, że wszystko jest w porządku. Wejdz!

Zaledwie wszedłem do sieni, stary pan zatrasnął drzwi, zasunął rygle, założył łańcuchy, a młodym mężczyznom kazał wziąć strzelby i iść za sobą. Potem zaprowadzili mnie do wielkiej bawialni, gdzie na podłodze leżał nowy dywan. Wszyscy stłoczyli się w kącie pokoju, żeby ich nie było widać przez okno; na ścianie, pod którą stanęli, nie było okna. Podnieśli świecę do góry i dalej mi się przyglądać! Ale jedno po drugim mówiło: – Nie, to nie jest Shepherdson; Nie ma w nim nic z Shepherdsonów. – Wreszcie stary pan powiedział, że chyba nie wezmę mu za złe, jak mnie obszuka i sprawdzi, czy nie mam broni, bo przecież wcale nie chce mnie tym obrazić – ot, upewni się tylko. Więc nie szperał mi po kieszeniach, a tylko obmacał po wierzchu rękami i powiedział, że wszystko w porządku. A potem dodał, żebym się rozgościł i był jak u siebie w domu, i wszystko im o sobie opowiedział. Ale stara pani przerwała:

– Ależ, Saul, przecież ten biedaczyna jest przemoczony do suchej nitki! I czy nie myślisz, że może być głodny?

– Słusznie mówisz, Rachel. Nie przyszło mi to do głowy.

Więc pani powiedziała:

– Betsy – (była to służąca Murzynka) – skocz no do kuchni i przynieś mu coś do zjedzenia. A

jedna z dziewcząt niech pójdzie i obudzi Bucka, i powie mu... O, przyszedł nasz Buck. Słuchaj, synku, zaprowadź tego młodzieńca do siebie na górę. Niech zdejmie mokre odzienie i włoży coś z twoich rzeczy.

Buck miał chyba tyle lat co ja – jakieś trzynaście albo czternaście czy coś koło tego – ale był ode mnie trochę wyższy. Zszedł tylko w koszuli, na głowie sterczały mu strasznie potargane włosy. Ziewał i tarł oczy jedną pięścią, w drugiej zaciśniętej pięści niósł strzelbę. Spytał:

– No i co... nie ma Shepherdsonów?

Odparli mu, że nie, że to był tylko fałszywy alarm.

– Jakby byli, tobym poczęstował któregoś ołowiem.

Na to starsi roześmieli się i Bob powiedział:

– Ach, Buck, tak marudziłeś, że zdążyliby nas wszystkich oskalpować.

– Bo nikt po mnie nie przyszedł, to niesprawiedliwie. Zawsze mnie od wszystkiego trzymacie z daleka i nie dajecie mi nigdy sposobności do walki.

– Niech cię o to głowa nie boli, synu – rzekł mu stary pan. – We właściwym czasie znajdziesz jeszcze niejedną okazję, tym się nie frasuj. A teraz idź i zrób, co ci kazała matka.

Poszliśmy na górę do pokoju i Buck dał mi koszulę z szorstkiego płótna, luźną kurtkę i spodnie, a kiedy to na siebie wkładałem, spytał, jak się nazywam, ale zanim zdążyłem otworzyć usta, zaczął mi opowiadać o błękitnej sroce i młodym króliku, które złapał onegdaj w lesie, i spytał mnie, gdzie był Mojżesz, kiedy zgasła świeca. Odparłem, że nie wiem; w ogóle o tym nie słyszałem.

– No to zgadnij – powiedział.

– Jakże mogę zgadnąć, kiedy nigdy o tym nie słyszałem?

– Ale możesz przynajmniej próbować zgadnąć. Przecież to nic trudnego.

– Jaka świeca? – spytałem.

– Jak to jaka? Jaka bądź.

– Nie mam pojęcia, gdzie był – rzekłem. – A gdzie był?

– Gapa! W ciemności! Jak zgasła świeca, był w ciemności.

– To po coś mnie pytał, kiedy wiedziałeś?

– No wiesz! Przecież to zagadka. Słuchaj no, jak długo u nas zostaniesz? Musisz zostać na zawsze. Czy masz psa? Ja mam, a jak mu rzucić patyk do wody, wskoczy i zaraz go przyniesie. Będziemy mieli pyszną zabawę – na szczęście nie ma teraz szkoły. Lubisz się cesać i pucować

w niedzielę, i takie różne głupstwa? Ja nie cierpię, ale mama mi każe. Niech licho te przeklęte portki, muszę je chyba włożyć, ale wolałbym nie, bo strasznie gorąco. Jesteś gotowy? No, to chodź!

Placek kukurydziany na zimno, pieróg z mięsem na zimno, masło i maślanka – takie pyszności czekały na mnie na dole i chyba jeszcze nigdy w życiu nic mi tak nie smakowało. Buck, jego matka i w ogóle wszyscy – prócz Murzynki, która sobie poszła, i dwóch dziewcząt – palili krótkie gliniane fajeczki. Oni palili i mówili, a ja jadłem i mówiłem. Dziewczęta miały zarzucone na ramiona watowane kaftaniki i włosy rozpuszczone na plecy. Wszyscy zadawali mi mnóstwo pytań, więc im powiedziałem, jak to mieszkaliśmy z tatkiem i całą rodziną na małej farmie na końcu Arkansaw, jak to moja siostra Mary Ann uciekła z domu i wyszła za męża, i słuch o niej zaginął, jak potem Bill pojechał ich szukać i też o nim słuch zaginął, jak Tom i Mort umarli, jak w końcu zostaliśmy tylko we dwóch z tatkiem i tatko przez te zmartwienia całkiem stracił zdrowie; więc kiedy umarł, wziąłem, co mi tam jeszcze zostało (farma do nas nie należała), wsiadłem na statek płynący w górę rzeki, wypadłem za burtę i w ten sposób znalazłem się u nich. Wtedy mi powiedzieli, że ich dom jest moim domem i że mogę u nich zostać, dopóki zechcę. A potem zrobiło się prawie widno, więc wszyscy poszli spać i ja poszedłem spać do pokoju Bucka, a kiedy się rano obudziłem – zupełnie nie pamiętałem, jak się nazywam! Leżałem tak z godzinę myśląc i medytując, a jak się Buck obudził, powiadam:

– Umiesz pisać jak należy, Buck?

– Owszem – odparł.

– Zakład, że nie potrafisz powiedzieć bez błędu, litera po literze, mojego imienia i nazwiska.

– Zakład, że potrafię – powiedział.

– No to jazda, mów!

– G-e-o-r-g-e J-a-x-o-n. Wielka mi sztuka!

– Hm, udało ci się, a wcale nie przypuszczałem, że potrafisz. To piekielnie trudne nazwisko do powiedzenia, jak się nad nim porządnie zastanowić.

Zapisałem je sobie po kryjomu, bo jeszcze ktoś gotów mnie spytać, jak się to piekielne nazwisko pisze; na wszelki wypadek wolałem mieć je na końcu języka, żebym mógł powiedzieć gładko literę po literze, jakbym przywykł do niego od samego dzieciństwa.

Moi gospodarze byli nadzwyczaj miłymi ludźmi, a ich dom też był nadzwyczaj miły. Jak długo żyję, nie widziałem na wsi domu tak miłego i tak okazałego. Nie myślcie, że na drzwiach

frontowych była żelazna zasuwka czy drewniany skobel z rzemiennym paskiem. Nie! Drzwi miały mosiężną gałkę do przekręcania na boki, zupełnie jak w mieście. W bawialni nie było łóżka, ani śladu łóżka, a przecież w mieście bardzo często stoją w bawialniach łóżka. Był za to w tej bawialni ogromny kominek, cały w środku wyłożony cegłą i tę cegłę utrzymywali w czystości w taki sposób, że ją polewali wodą i skrobali kawałkiem takiej samej cegły; czasem malowali tę cegłę czerwoną farbą, zwaną hiszpańską czerwienią, zupełnie jak w mieście. Obok kominka leżały ogromne mosiężne szczypce, w które można by schwycić najgrubszą kłodę. Pośrodku półki nad kominkiem stał zegar z widoczką miasta, wymalowaną na dolnej połowie szybki umieszczonej z przodu, z kółkiem pośrodku, które udawało słońce; przez tę szybkę widać było, jak się wewnątrz rusza wahadło. Ten zegar bił naprawdę pięknie, a kiedyś – jak przyszedł jeden z takich zegarmistrzów, co to chodzą od domu do domu, i wyczyścił porządnie cały mechanizm, i wszystko doprowadził do należytego porządku – zegar wybił raz po raz sto pięćdziesiąt uderzeń, dopóki się całkiem nie zatkał. Moi gospodarze nie sprzedaliby go za nic.

Po obu stronach zegara stały wielkie papugi, zrobione z czegoś podobnego do kredy i bardzo ładnie pomalowane w różne kolory. Przy jednej papudze stał kot z gliny, obok drugiej gliniany pies. Jak się je nacisnęło, piszczały, ale nie otwierały przy tym pyszczków ani się na pyszczkach nie zmieniały, ani nie robiły zaciekawionej miny. Po prostu piszczały od spodu. Za nimi były rozpostarte dwa duże wachlarze zrobione z piór dzikiego indyka. Na stole pośrodku pokoju stał bardzo ładny koszyczek z gliny, cały pełen jabłek i pomarańcz, brzoskwiń i winogron, które wydawały mi się dużo czerwiejsze i żółtsze, i ładniejsze niż prawdziwe owoce, ale nie były prawdziwe, bo w miejscach, gdzie farba odprysła, wyglądała biała kreda czy coś takiego, co się znajdowało w środku.

Ten stół był przykryty piękną ceratą, całą pomalowaną w czerwone i niebieskie orzełki, z kolorowym szlakiem dookoła. Podobno sprowadzili ją aż z Filadelfii. Na każdym rogu stołu leżały książki ułożone równiutko jedna na drugiej. Była tam wielka Biblia rodzinna, pełna kolorowych obrazków. Inna książka nazywała się *Wędrówka pielgrzyma* i dotyczyła jednego człowieka, co porzucił swoją rodzinę, ale wcale nie wiadomo dlaczego. Od czasu do czasu czytałem z niej spore kawałki. Opisy były nawet ciekawe, tylko że nie bardzo je mogłem zrozumieć. Inna książka nazywała się *Podarunek przyjaźni* i miała w sobie dużo różnych pięknych rzeczy i wiersze, ale wierszy nie czytałem. Jeszcze inna książka miała na wierzchu napis *Mowy Henry'ego Claya*, a obok niej leżał *Lekarz domowy* doktora Gunna, gdzie było

dokładnie powiedziane, co robić, jak człowiek zachoruje albo umrze. Poza tym była książka z psalmami i mnóstwo innych książek. W pokoju stały ładne krzesła z wyplatany siedzeniami, w bardzo dobrym stanie – ani trochę nie były w środku zapadnięte czy rozdarte jak stary koszyk.

Na ścianach wisiały obrazy – najwięcej Waszyngtonów, Latayettów, różnych bitew i kilka podobizn jednej dziewczyny szkockiej, co była podobno narzeczoną poety Burnsa, a także jeden obraz nazwany *Podpisanie Deklaracji*. Były jeszcze obrazy, które w domu nazywali pastelami; narysowała je własną ręką jedna z córek, już nieżyjąca, a rysowała, kiedy miała niecałe piętnaście lat. Nigdy w życiu nie widziałem takich obrazów; były jakieś czarniejsze, niż zwykle bywają. Jeden przedstawiał kobietę w obcisłej, czarnej sukni, okropnie ściśniętą paskiem tuż pod pachami; rękawy miała ta kobieta wydęte w środku, jakby jej tam ktoś wsadził po główce kapusty, a na głowie czarny kapelusz, podobny do wielkiej szufli, z czarnym welonem. Spod sukni wystawały jej wąziutki, białe buciczki z kształtu podobne do dłuta. Była bardzo zamyślona, prawym łokciem opierała się o grobowiec, nad którym zwieszały się gałęzie płaczącej wierzby, a w lewej ręce trzymała białą chusteczkę i czarny woreczek. Pod spodem był napis: „Ach, czyż nigdy cię już nie ujrzę?”. Inny obraz przedstawiał młodą damę, która miała wszystkie włosy szesane na sam czubek głowy i tam skręcone w węzełek i spięte grzebieniem, kubek w kubek podobnym do oparcia krzesła. Ta młoda dama płakała z chusteczką przytkniętą do oczu, a na jej drugiej ręce leżał nieżywy ptaszek z nóżkami wyciągniętymi do góry; pod spodem było napisane: „Ach, nigdy już, nigdy nie usłyszę twojego lubego świergotu”. Jeszcze inny obraz przedstawiał młodą damę, która siedziała w oknie i patrzyła na księżyc; po policzkach płynęły jej łzy, w jednej ręce trzymała otwarty list (w rogu widać było kawałek rozłupanej pieczęci z czarnego laku), a drugą przyciskała do ust medalionik na długim łańcuszku; pod spodem był napis: „Ach, więc odszedłeś... Nie ma cię między żywymi?”. Myślę, że były to naprawdę ładne obrazy, ale w żaden sposób nie mogłem się do nich przekonać – jak tylko byłem trochę nie w swoim sosie, na sam ich widok oblatywały mnie dreszcze. Wszyscy bardzo żalowali, że Emelina (tak jej było na imię) umarła, bo zamierzała namalować jeszcze bardzo dużo takich obrazów, a wystarczyło popatrzeć na te, co je zdążyła namalować, żeby zobaczyć, jak wiele rodzina na jej śmierci straciła. Ale mnie się wydaje, że dziewczynie z takim upodobaniem jest weselej na cmentarzu. Kiedy zmoęła ją choroba, malowała właśnie coś, co cała rodzina nazywała „największym dziełem”, więc co dzień i co noc modliła się, żeby jej było dane żyć, dopóki nie skończy tego obrazu. Ale nie było jej dane. Obraz przedstawiał młodą kobietę w

długiej, białej sukni, stojącą na balustradzie mostu i gotową do skoku; włosy miała rozpuszczone, patrzyła na księżyc i po twarzy ciekły jej łzy; miała poza tym dwie ręce splecione na piersiach, dwie wyciągnięte przed siebie i dwie podniesione wysoko do księżyca. Chodziło – widzicie – o to, żeby zobaczyć, które ręce będą wyglądały najładniej, a resztę wyskrobać. Ale – jak mówiłem – Emelina umarła, zanim się zdecydowała, i teraz obraz wisiał nad głowami łóżka w jej pokoju i co roku w dniu urodzin rodzina wieszala na nim kwiatki. W inne dni obraz był zasłonięty małą kotarą. Młoda dziewczyna na obrazie miała nawet miłą i ładną twarz, ale tych rąk było tak dużo, że zanadto mi przypominała pająka.

Emelina prowadziła za życia album z wycinkami z *Gazety Presbiteriańskiej*, to jest wklejała do tego albumu nekrologi i opisy wypadków albo najrozmaitszych chorób, a potem pisała o tych ludziach wiersze, które sama układała z głowy. Te wiersze były bardzo ładne. Na przykład jeden napisała o chłopcu imieniem Stephen Dowling Bots, który wpadł do studni i utopił się na śmierć.

ODA

NA CZEŚĆ STEFANA DOWLINGA BOTSA
NIEBOSZCZYKA

*Czyś po choroby długich dniach,
Stefanku, odszedł w dal?
Czy w piersiach – och! – a w sercach – ach!
Po tobie płakał żal?*

*O, nie! Stefanka w wiosny czas
Nie taki spotkał los!
Choć nie był chory ani raz,
Zmarł Stefan Dowling Bots!*

*Nie koklusz strawił twoją pierś,
Nie dur czarny jak noc –
Więc czemuś z rąk wypuścił ster?
Stefanku Dowling Bots?*

*A może cię zwała z nóg
Miłości zgubna moc?
Lub ból żołądka tak cię zmógł,
Stefanku Dowling Bots?*

*O czytelniku, roniąc łzy,
Posłuchaj rad nierad:
Stefanka los powalił zły,
Stefanek w studnię wpadł!*

*Daremnie siła pomp i rąk
Wypróżnić chciała brzuch –
Stefanek w nieb uleciał krąg,
Gdzie krąży Dobry Duch.*

Jeżeli Emelina Grangerford umiała pisać takie wiersze, zanim skończyła lat piętnaście, kto wie, do jakiej doskonałości doszłaby z czasem. Buck powiadał, że trzepała wiersze niczym katarynka. Nawet się nie zatrzymała, żeby chwilę pomedytować. Buck mówił jeszcze, że machała na przykład jedną linijkę, a jak nie potrafiła znaleźć do niej rymu, zwyczajnie ją wycierała i machała drugą. Nie była specjalnie wymagająca i mogła pisać o wszystkim, o co ją ktoś poprosił, byleby to było smutne. Jak tylko umarł jakiś mężczyzna albo jakaś kobieta czy dziecko, jeszcze zanim ciało całkiem ostygło, Emelina już była na miejscu ze swoim „hołdem”. Nazywała te wiersze „hołdami”. Sąsiedzi powiadali, że pierwszy był zawsze doktor, druga Emelina, a trzeci przedsiębiorca pogrzebowy. Przedsiębiorca pogrzebowy tylko raz ją wyprzedził, a to dlatego, że Emelina potknęła się na rymie do nazwiska nieboszczyka, który się nazywał Whistler. Potem nigdy już nie była sobą; nie skarżyła się, ale powoli gasła i niedługo zmarła. Biedactwo! Kiedy mnie jej obrazy zaczynały trochę złościć i byłem na nią cięty, szedłem na górę do małego pokoiku, w którym kiedyś mieszkała, i przeglądałem jej stary album z wycinkami. Lubilem całą rodzinę, tak żywych jak i umarłych, i nie chciałem, żeby nas cokolwiek poróżniło. Biedna Emelina – póki żyła, pisała wiersze o nieboszczykach, więc wydawało mi się

to niesprawiedliwe, że kiedy odeszła, nikt o niej nic nie napisał! Próbowałem sam machnąć parę linijek, ale choć strasznie się napociłem, w żaden sposób nie mogłem ruszyć z miejsca. W pokoju Emeliny było zawsze ładnie schludnie, i wszystkie rzeczy stały dokładnie w takim porządku, jakim ona je lubiła mieć za życia. Nikt tam nigdy nie spał i stara pani zawsze sama się wszystkim zajmowała, chociaż w domu pełno było Murzynów; tam też siadywała z robotą i tam najczęściej czytała swoją Biblię.

Aha, wracając do bawialni! Na oknach wisiały bardzo piękne firanki: białe, malowane w różne widoczki – zamki całe obrośnięte bluszczem i trzody idące do wodopoju. A w jednym pokoju stał mały, stary klawicyl, który tak głośno grał, że musiały w nim być chyba cynowe patelnie. Trudno naprawdę wyobrazić sobie coś piękniejszego, niż kiedy panienki śpiewały do wtóru tego klawicylu *Pękły ostatnie okowy* albo grały na nim *Bitwę o Pragę*. Ściany we wszystkich pokojach były wyklejone tapetami, na podłogach prawie wszędzie leżały dywany, a cały dom był z zewnątrz bielony.

Dom składał się z dwóch oddzielnych skrzydeł; wielka przestrzeń między nimi była przykryta od góry dachem, a od dołu wyłożona deskami. Czasem w ciągu dnia służba wystawiała tam stół i w czasie posiłków było nam chłodno i bardzo przyjemnie. Myślę, że trudno o coś przyjemniejszego. A jedzenie podawali pyszne i każdy mógł jeść, ile dusza zapagnie!

Dlaczego Harney zawrócił, żeby podnieść kapelusz

Pułkownik Grangerford był dżentelmenem w każdym calu, tak samo jak jego rodzina. Miał, jak się to mówi, rasę, a u człowieka rasa jest tak samo ważna jak u konia. Wdowa Douglas zawsze to mówiła, a nikt chyba nie mógłby zaprzeczyć, że wdowa należała do najpierwszej arystokracji w naszym miasteczku. Tatko też utrzymywał podobnie, tylko że w tatce tyle było z arystokraty, co w rudym kocie. Pułkownik Grangerford miał postać bardzo wysoką i bardzo szczupłą, a twarz ani bladą, ani śniadą, ani czerwoną – nie. Golił się dokładnie co dzień – całą tę swoją chudą twarz, a wargi miał najcieńsze, jakie można sobie wyobrazić, i nozdrza najwęższe, nos orli, gęste brwi i ogromne czarne oczy, osadzone bardzo głęboko; człowiekowi się zdawało, że te oczy patrzą na niego jakby z samego środka głowy. Czoło miał wysokie, włosy czarne i proste, opadające aż na plecy; dłonie wąskie i palce niezmiernie długie; i przez calutkie życie wkładał na siebie co dzień czystą koszulę i ubranie uszyte z płótna tak białego, że aż oczy bolały, kiedy było na nie spojrzeć. W niedzielę ubierał się w niebieski frak z mosiężnymi guzikami i nosił mahoniową laskę ze srebrną gałką. Nie było w nim nic rubasznego, nic a nic, i nigdy nie zachowywał się hałaśliwie. Był tak dobry, że po prostu nie mógł być lepszy – czuło się to, wiecie, i miało do niego zaufanie. Czasem się uśmiechał i wtedy człowiekowi robiło się dobrze na duszy; ale kiedy wyprostował tę swoją wysoką jak tyka postać i z oczu zaczynały mu latać błyskawice, miałem zawsze ochotę najpierw smyknąć na drzewo, a dopiero potem pytać, o co mu idzie. Nie musiał nigdy karcić nikogo za złe zachowanie – w jego obecności wszyscy zachowywali się grzecznie i układnie. Wszyscy też lubili przebywać w jego towarzystwie, bo jak się do kogo zbliżył, to zupełnie jakby zaświeciło słońce. Kiedy czasem stawał się podobny do czarnej chmury, na jakie pół minuty gasło słońce – i to wystarczyło, by potem przez najbliższy dzień nikt już nic nie przeszkrobał.

Kiedy on i stara pani schodzili rano na śniadanie, wszyscy wstawali ze swoich miejsc i mówili

im „dzień dobry!”, i nikt nie usiadł z powrotem, dopóki oni nie usiedli. A potem Tom i Bob podchodzili do kredensu, gdzie stały karafki, mieszała ojcu szklaneczkę wódki z gorzką zaprawą ziołową i podawali mu ją, ale on nie pił, tylko trzymał szklaneczkę w ręku, dopóki Tom i Bob nie przyrządzili wódki dla siebie. Wtedy kłaniali się obaj i mówili:

„Twoje zdrowie, panie ojcze, i twoje, pani matko”, a wtedy rodzice leciutko kiwali im głowami i mówili: „Dziękujemy”, po czym wszyscy trzej wychylali trunek. A wreszcie Tom i Bob nalewali po łyżeczce wody na cukier i kroplę wódki na dnie swych szklanek i podawali to mnie i Buckowi, i myśmy z Buckiem wypijali zdrowie starszych państwa.

Tom był młodszy z dwóch braci – obaj wysocy, urodziwi mężczyźni o bardzo szerokich barach i śniadych twarzach, czarnych długich włosach i czarnych oczach. Ubierali się od stóp do głów w białe płócienne ubrania tak samo jak ojciec, a na głowach nosili panamy z szerokim rondem.

Następna z kolei była panna Charlotta. Miała dwadzieścia pięć lat, była wysoka, dumna i wyniosła, ale dobra jak anioł, dopóki jej coś nie rozzłościło; kiedy wpadła w gniew, leciały jej z oczu iskry podobnie jak ojcu, tak że człowiek miał ochotę schować się do mysiej dziury. Była bardzo piękna.

Bardzo też piękna była panna Zofia, tylko w całkiem inny sposób – łagodna i cicha jak gołąbka. Skończyła dwadzieścia lat.

Każdy w domu miał swojego Murzyna, który mu usługiwał – nawet Buck. Mój Murzyn miał święte życie, bo nie byłem do tego przyzwyczajony, żeby ktoś coś za mnie robił, ale Murzyn Bucka ciągle musiał być na wysokim.

Dawniej rodzina była liczniejsza. Pułkownik Grangerford miał jeszcze trzech synów, ale zostali zabici; no i Emelina umarła.

Pułkownik był właścicielem mnóstwa farm i ponad stu niewolników. Czasem zjeżdżała się konno gromada gości z jakich dziesięciu czy piętnastu mil dookoła; zostawali kilka dni i dalej bawić się, hulać po polach i na rzece, w dzień urządzać pikniki i tańce w lesie, a wieczorem bale w domu. Większość tych ludzi należała do rodziny Grangerfordów. Mężczyźni przywozili ze sobą strzelby. Były to prawdziwe wyższe sfery, możecie mi wierzyć.

W okolicy mieszkał jeszcze inny klan – pięć czy sześć arystokratycznych rodzin, z których prawie wszystkie nosiły nazwisko Shepherdsonów. Mieli oni tak samo pańskie tony i byli tak samo bogaci, dobrze urodzeni i dumni jak rodzina Grangerfordów. Shepherdsonowie i

Grangerfordowie korzystali z tej samej przystani, położonej o jakie dwie i pół mili w górę rzeki, więc jak czasem jeździłem na przystań z gromadą naszych, widywałem tam gromady Shepherdsonów na ich pięknych koniach.

Któregoś dnia, kiedy polowaliśmy z Buckiem w lesie daleko od domu, wpadł nam w ucho tętent konia. Przechodziliśmy właśnie przez drogę. Buck zawołał:

– Prędko, Georgej! Migiem do lasu!

Skoczyliśmy między drzewa i wyglądamy zza krzaków. Po chwili ukazał się na drodze urodziwy, młody mężczyzna; siedział na koniu swobodnie i wyglądał jak żołnierz ze strzelbą opartą o łęk siodła. Widziałem go już kiedyś. Był to młody Harney Shepherdson. Strzelba Bucka huknęła mi tuż nad uchem i Harneyowi spadł kapelusz z głowy. Porwał strzelbę w ręce i pogalopował w kierunku naszej kryjówki. Ale myśmy nie czekali. Rzuciliśmy się biegiem przez las. Las nie był w tym miejscu gęsty, więc co rusz oglądałem się za siebie, żeby uskoczyć w bok z linii strzału, i dwa razy widziałem, jak Harney składa się do Bucka. A potem zawrócił i odjechał drogą, którą nas gonił – pewnie żeby podnieść kapelusz, ale tego już nie widziałem. Nie zwolniliśmy kroku, dopóki nie dopadliśmy domu. Oczy starego pułkownika błysnęły – myślę, że z zadowolenia – a potem twarz mu się tak jakoś wygładziła i rzekł dość łagodnie:

– Nie podoba mi się to strzelanie zza krzaka. Czemuś nie wystąpił otwarcie na drogę, mój synu?

– Shepherdsonowie nigdy tego nie robią, ojczu. Oni zawsze wykorzystują sytuację. Słuchając opowieści Bucka panna Charlotta podniosła do góry głowę niczym jaka królowa, a nozdrza jej drgały i z oczu sypały się iskry. Tom i Bob mieli miny ponure, ale nie odezwali się słowem. Panna Zofia strasznie pobladła, ale jak tylko usłyszała, że Harney Shepherdson nie jest ranny, wróciły jej rumieńce.

Przy pierwszej sposobności odprowadziłem Bucka na bok, za stodołę między drzewa i pytam:

– Czyś ty naprawdę chciał go zabić, Buck?

– No chyba!

– A co on ci takiego zrobił?

– On? Nic mi nie zrobił.

– Więc za co go chciałeś zabić?

– Och, za nic – to tylko idzie o ten zastarzały spór rodzinny.

– Co to jest takiego, ten zastarzały spór rodzinny?

– Gdzieś ty się chował? Nie wiesz, co to spór rodzinny?

– Nie mam pojęcia. Wytłumacz mi.

– No więc taki spór rodzinny wygląda mniej więcej tak: jeden człowiek kłóci się z drugim człowiekiem i zabija go. Wtedy brat zabitego zabija tego pierwszego; wtedy pozostali po obu stronach bracia biorą się do siebie. Potem przychodzi kolej na kuzynów i po trochu wszyscy się wzajemnie wybijają, i nie ma już żadnego sporu rodzinnego. Ale to się strasznie wlecze i trwa niemożebnie długo.

– A ten wasz spór dawno się zaczął?

– Jeszcze jak! Ze trzydzieści lat temu albo coś koło tego. O coś się tam kłócili i była sprawa sądowa, i ktoś przegrał tę sprawę. A ten, który tę sprawę przegrał, zastrzelił tego, który sprawę wygrał, co przecież jest całkiem zrozumiałe. Każdy by tak zrobił.

– O co była ta kłótnia, Buck? O ziemię?

– Może... tak naprawdę to nie wiem.

– No, a kto pierwszy zaczął strzelanie? Grangerford czy Shepherdson?

– Skąd ja mogę wiedzieć? Przecież to było strasznie dawno temu.

– I nikt już nie pamięta?

– O tak. Ojciec chyba pamięta i może jeszcze jacyś inni ludzie. Ale wcale sobie nie mogą przypomnieć, od czego się kłótnia zaczęła.

– Czy dużo po obu stronach zginęło, Buck?

– Pewnie. Była już cała kupa pogrzebów. Tylko nie zawsze się zabijają. Na przykład ojciec ma w sobie kilka ziarenek grubego śrutu, ale mu to nie przeszkadza, bo i tak waży niewiele. Boba przejechali kiedyś nożem myśliwskim, a Tom był kilka razy ranny.

– A w tym roku zabiliście już kogoś?

– Tak – odparł Buck. – Im się dostał jeden i nam jeden. Pewnie ze trzy miesiące temu mój czternastoletni kuzyn, Bud, jechał wierzchem przez las po tamtej stronie rzeki całkiem bez broni, co było z jego strony piekielną głupotą. No i w jakimś odludnym miejscu słyszy nagle za sobą tętent konia i widzi starego Baldy'ego Shepherdsona, który pędzi za nim jak na złamanie karku; w ręce trzyma strzelbę, a siwe włosy aż mu fruują w powietrzu. Zamiast skoczyć w bok i czmychnąć między krzaki, Bud zaczął przed nim uciekać. Gnali tak przez pięć mil albo i więcej, odległość między nimi ciągle się zmniejszała. W końcu Bud widzi, że nie da rady dłużej, więc zatrzymał konia i obrócił się do tamtego twarzą, żeby mieć kulki z przodu – rozumiesz? A wtedy

stary Baldy podjechał bliżej i położył go trupem na miejscu, ale nie zdążył się nacieszyć swoim powodzeniem, bo po tygodniu nasi jego położyli.

– Uważam, Buck, że ten stary był tchórzem.

– Ja wcale tak nie uważam. On tchórzem? Nie znajdziesz tchórze między Shepherdsonami – ani jednego. Tak samo nie zobaczysz tchórze między Grangerfordami. Posłuchaj. Któregoś dnia stary Shepherdson przez pół godziny stawiał się gracko trzem Grangerfordom – i dał im w skórę. Wszyscy jechali konno, ale on zeskoczył na ziemię i schował się za sag drzewa, i trzymał konia przed sobą, żeby się zasłonić od kul. Grangerfordowie dalej przed nim płaszać na koniach i walić w niego, a on walił w nich. Stary Baldy i jego koń powlekli się do domu mocno podziurawieni i umazani krwią, ale Grangerfordów trzeba było zanieść do domu – jeden już wtedy nie żył, a drugi umarł nazajutrz. Nie, chłopie, jakby kto chciał znaleźć tchórze, lepiej niech nie traci czasu na szukanie go między Shepherdsonami, bo u nich tacy się nie rodzą.

W najbliższą niedzielę pojechaliśmy wszyscy konno do kościoła odległego o jakie dwie mile. Mężczyźni wzięli ze sobą strzelby (Buck też) i albo trzymali je między kolanami, albo opierali o ścianę, gdzie łatwo mogli po nie sięgnąć. Shepherdsonowie zrobili to samo. Kazanie było – ot, takie sobie, całkiem zwyczajne. O miłości braterskiej i tym podobnym piekielnym nudziarstwie. Ale wszyscy chwalili, że to takie dobre kazanie, i w drodze powrotnej do domu w kółko o nim rozmawiali, i tyle mieli do powiedzenia o wierze chrześcijańskiej, o dobrych uczynkach, o stanie łaski i o tej... tej pre,.. predesty... nacji, i sam już nie wiem o czym, że ta niedziela wydała mi się najokropniejszą niedzielą, na jaką w życiu trafiłem.

W jaką godzinę po obiedzie wszyscy drzemali – niektórzy w krzesłach, inni w swoich pokojach, więc zrobiło się po prostu niemożliwie nudno. Buck i jego pies leżeli wyciągnięci w słońcu na trawie i obaj spali kamieniem. Poszedłem na górę do naszego pokoju i pomyślałem sobie, że też się prześpię. Śliczna panna Zofia stała we drzwiach swojej sypialni, która sąsiadowała z naszą. Jak mnie zobaczyła, wciągnęła mnie do środka, zamknęła cichutko drzwi i spytała, czy ją lubię, na co odpowiedziałem, że tak. Potem spytała, czy zrobię coś dla niej i nikomu o tym nie powiem, na co odpowiedziałem, że owszem. Wtedy powiedziała mi, że zapomniała w kościele swojej Biblii – zostawiła ją w ławce między dwiema innymi książkami, więc czybym nie zechciał wymknąć się z domu cichaczem, pójść do kościoła, a potem przynieść jej Biblię i nikomu o tym nie mówić? Odparłem, że pójdę. Więc wymknąłem się z domu, a jak przyszedłem do kościoła, nikogo tam nie zastałem prócz kilku wieprzy, bo drzwi nie były

zamknięte, a wieprze lubią w lecie kamienną podłogę, która nawet podczas upałów jest chłodna. Zauważcie, że ludzie przeważnie chodzą do kościoła wtedy, kiedy muszą; z wieprzami jest inaczej.

Myślę sobie: coś mi się tu nie podoba, bo to nie jest naturalne, żeby młoda panna tak się przejmowała zgubieniem Biblii, więc potrząsałem książką i ze środka wypadła kartka, na której było napisane ołówkiem: „pół do trzeciej”. Przeszukałem książkę dokładnie, ale nic więcej nie znalazłem. Zupełnie tego nie mogłem zrozumieć, więc włożyłem kartkę z powrotem do książki, a kiedy wróciłem do domu, panna Zofia czekała na mnie w drzwiach swego pokoju. Znowu wciągnęła mnie do środka i zamknęła drzwi. Potem potrząsała Biblią, dopóki nie znalazła kartki, a jak ją znalazła, miała bardzo rozradowaną minę. Zanim się obejrzałem, chwyciła mnie w ramiona i uściskała, i powiedziała, że jestem najlepszym chłopcem na świecie i żebym nikomu o niczym nie mówił. Przez jaką minutę była bardzo czerwona na twarzy i oczy jej błyszczały, przez co wyglądała nadzwyczaj ładnie. Ogromnie mnie to wszystko zdziwiło, więc jak tylko złapałem z powrotem oddech po tych jej uściskach, spytałem, co znaczy ta kartka, a ona mi na to, czy ją czytałem. Odparłem, że nie, to potem mnie spytała, czy umiem czytać. Odpowiedziałem, że tylko litery drukowane, a wtedy ona, że ta kartka to tylko taka zakładka do książki i że w ogóle mogę już iść się pobawić.

Poszedłem nad rzekę, cały czas zastanawiając się nad tą sprawą i po chwili zauważyłem, że mój Murzyn, Jack, idzie za mną krok w krok. Kiedyśmy się już oddalili na tyle, że nas z domu nie było widać, Jack obejrzał się na wszystkie strony, a potem podbiegł do mnie.

– Paniczu, jakby panicz poszedł ze mną na moczary, pokazałbym mu gniazda jadowitych żmij.

Myślę sobie: dziwne! Mówił mi to już wczoraj. Powinien chyba wiedzieć, że człowiek tak się znowu bardzo nie pali do jadowitych żmij, żeby aż miał ganiać za nimi po moczarach. O co mu idzie? Więc powiadam:

– Prowadź!

Szliśmy z pół mili przez las, a potem Jack skręcił na moczary i brodziliśmy po wodzie jeszcze jakieś pół mili. Potem Jack zatrzymał się przed małą kępą, całkiem suchą, gdzie rosły drzewa, krzaki i wszystko okręcone było pnączami. Powiedział:

– Niech panicz wejdzie śmiało w gęstwinę, kilka kroków, tam siedzą te żmije. Dość im się napatrzyłem, więc nie chcę ich dzisiaj znowu oglądać.

Potem zawrócił i poszedł sobie, i bardzo prędko znikł mi z oczu. Dałem nurka między gęste krzaki i po chwili wyszedłem na polankę wielkości sporego pokoju, całą obwieszoną dookoła pnączami. Wyciągnięty na trawie spał tam jakiś mężczyzna i – niech mnie licho! Był to mój stary Jim!

Obudziłem go i myślałem, że się na mój widok strasznie zdziwi, ale gdzie tam. Z radości o mało co się nie popłakał, ale wcale nie był zdziwiony. Powiedział, że tamtej nocy płynął za mną i słyszał, jak na niego wołałem, ale się nie odezwał, bo nie miał najmniejszej ochoty, żeby go ktoś wyłowić i znowu zrobić z niego niewolnika.

– Trochę byłem potłuczony i nie mogłem płynąć szybko, więc zostałem kawał za tobą. Kiedyś wyszedł na brzeg, myślałem, że cię dogonię bez wołania, ale zobaczyłem ten dom i zacząłem iść wolniej. Byłem za daleko, żeby słyszeć, co oni do ciebie mówili, no i bałem się psów, ale kiedy wszystko z powrotem ucichło, widziałem, żeś został w domu, i schowałem się w lesie, żeby przeczekać noc. Wcześniej rano Murzyni szli w pole, więc mnie ze sobą wzięli i pokazali mi to miejsce na bagnisku, gdzie psy mnie nie znajdą z powodu tej wody. Od tego czasu co wieczór przynoszą jedzenie i opowiadają, co z tobą.

– Dlaczegoś wcześniej nie powiedział Jackowi, żeby mnie tu przyprowadził? – spytałem.

– A po co miałbym ci przeszkadzać, Huck, dopókiśmy nie mogli się stąd nogą ruszyć? Ale teraz mamy wszystko, co nam trzeba. Jak mi się zdarzyła sposobność, kupowałem garnki i patelnie, i żywność, a nocami naprawiałem tratwę i...

– Jaką tratwę, Jim?

– Naszą starą tratwę.

– To nasza tratwa nie rozpadła się na drobne kawałki?

– Nie rozpadła się. Mocno ją stuknęło, najbardziej z jednego boku, ale szkody nie były takie znowu wielkie, tylko że prawie wszystkie nasze graty przepadły. Jakbyśmy nie dali tak głębokiego nurka i nie płynęli taki kawał drogi pod wodą, i jakby noc nie była taka ciemna, no i jeszcze jakby z nas nie była taka para – jak się to mówi – matołków, zobaczylibyśmy tratwę. Ale wszystko wyszło na dobre, bo tak ją wyłatałem, że jest prawie jak nowa i mamy całą furę nowych rzeczy na miejsce tych, cośmy je stracili...

– Ale jakim cudem, Jim, zdobyłeś z powrotem tratwę? Czyś sam ją złapał?

– Jakże mogłem ją złapać, kiedy siedzę tu w lesie? Nie, złapało ją kilku czarnuchów, nadzianą na karpe, niedaleko stąd w załomie rzeki. Schowali ją w strumyku, który wpada do rzeki, między

wierzbami, a tak się brali za łby – niby do którego ta tratwa najbardziej należy, że niedługo obito mi się to o uszy i zaraz ich uspokoiłem, że nie należy do żadnego z nich, tylko do mnie i do ciebie. A potem spytałem, czy chcą kraść własność białego dżentelmena i dostać za to lanie? Na koniec dałem im po dziesięć centów na głowę i bardzo to sobie chwalili, i bardzo by teraz chcieli, żeby więcej tratw nadziewało się na karpy i żeby mogli być bogaci. Nie ma co, dobre są dla mnie te czarnuchy i jak mi czego trzeba, nie muszę im powtarzać dwa razy. Z tego Jacka też porządne chłopisko i spryciarz nie lada.

– To prawda. Wcale mi nie powiedział, że ty tu jesteś, Jim. Powiedział tylko, że mi pokaże gniazda jadowitych żmij. Jakby się coś zdarzyło, może się bronić, że w tym palców nie maczał. Powie, że nas nigdy razem nie widział, co też będzie prawdą.

Nie chciałbym opowiadać długo o tym, co się działo nazajutrz. Spróbuję opisać to wszystko jak najkrócej. Obudziłem się o świcie i już miałem się przewrócić na drugi bok i zasnąć z powrotem, kiedy mnie uderzyła dziwna cisza – jakby się nikt nie ruszał w całym domu. Wydało mi się to podejrzane. Potem zauważyłem, że Bucka nie ma w pokoju. Wstałem mocno zdziwiony i zszedłem na dół – ani żywego ducha i cicho jak makiem zasiał. To samo przed domem. Myślę sobie: co to znaczy? Za domem, obok stosu drewna, spotkałem mojego Jacka, więc pytam:

– Co się dzieje, Jack?

– Jak to, panicz nie wie?

– Nie – odparłem.

– Panna Zofia uciekła! Słowo daję! Uciekła w nocy, ale nikt nie wie o której, z tym młodym Harneyem Shepherdsonem, żeby wyjść za niego – tak się przynajmniej wszyscy domyślają. Rodzina to wykryła jakie pół godziny temu, może trochę więcej. I powiadam paniczowi, że nikt nie stracił ani chwili czasu. Takiego pośpiechu z bronią i siodłaniem koni nigdy w życiu panicz nie widział. Kobiety pojechały zawiadomić krewnych, a stary pan Saul i chłopcy chwycili strzelby i pognali drogą do przystani, żeby dopaść Harneya i zabić go, bo kto wie, czy nie popróbują czmychnąć na drugą stronę rzeki. Oj, będzie tu teraz gorąco!

– I Buck mnie nie obudził!

– Prawda, że nie. Nie chcieli mieszać panicza do tego. Panicz Buck naładował strzelbę i powiedział, że albo utłucze jednego Shepherdsona, albo pęknie ze złości. Hm... będzie ich tam pewnie pod dostatkiem i głowę dam, że mu się jakiś pod strzelbę nawinie.

Pobiegnę szybko brzegiem rzeki. Po jakimś czasie usłyszałem z daleka strzały. Kiedy

zobaczyłem drwalnię i sag drewna obok przystani, skręciłem między drzewa i krzaki, i tak szedłem, dopóki nie znalazłem – jak mi się zdawało – dobrego miejsca; wtedy wlałem na topolę, która znajdowała się poza zasięgiem strzałów, i tam spoza konarów spojrzałem w dół. W niewielkiej odległości od mojej topoli stał podługowaty sag wysokości mniej więcej czterech stóp, gdzie najpierw zamierzałem się ukryć, ale na moje szczęście tego nie zrobiłem.

Kilku mężczyzn na koniach miało się po pustej przestrzeni przed drwalnią klnąć i wrzeszczać, i próbując dobrać się do dwóch chłopców ukrytych za sągiem drzewa, stojącym przy samej przystani – ale nie dawali rady. Ile razy któryś z jeźdźców wyskakiwał z boku, od strony rzeki, chłopcy częstowali go kulką. Przykucnęli na ziemi plecami do siebie strzegąc w ten sposób obu przejść.

Po jakimś czasie jeźdźcy przestali się ciskać i wrzeszczeć, i ruszyli w stronę drwalni. Wtedy jeden z chłopców poderwał się na nogi, oparł strzelbę o kłody, spokojnie wycelował i zwałił jeźdźca z siodła. Pozostali zeskoczyli na ziemię, chwycili rannego i poczęli dźwigać go do drwalni; w tej samej sekundzie chłopcy puścili się naprzód biegiem i przebiegli już połowę drogi do mojej topoli, zanim mężczyźni ich zauważyli. Gdy mężczyźni spostrzegli ucieczkę, skoczyli na konie i jazda za chłopcami! Ale nic z tego, bo ci daleko już się od nich odsądzi; dopadli sagu znajdującego się w pobliżu mojej topoli, ukryli się za nim i znowu byli nad tamtymi górą. Jednym z nich był Buck, drugim smukły młodzieniec lat może dziewiętnastu.

Mężczyźni wrzeszczeli jeszcze jakiś czas, strasznie rozwścieczeni, a potem odjechali. Zaledwie mi znikli z oczu, zawołałem na Bucka. W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć, jakim sposobem mój głos odzywa się do niego z drzewa. Strasznie się zdziwił. Powiedział mi, żebym rozglądał się pilnie i dał mu znać, jak tylko zobaczę wracających jeźdźców; dodał, że na pewno szykują jakąś diabelską sztuczkę – tylko ich patrzeć, jak wrócą. Wolałbym, żeby mnie na tym drzewie wcale nie było, ale mimo to nie uciekłem. Potem Buck zaczął pokrzykiwać i odgrażać się, i zapewniać mnie, że on i jego kuzyn powetują sobie jeszcze ten dzień. Powiedział, że jego ojciec i dwaj bracia zginęli, padło też kilku wrogów. Shepherdsonowie urządzili na nich zasadzkę. Buck uważał, że ojciec i bracia powinni byli czekać, aż zjadą się krewni, bo Shepherdsonowie przewyższali ich liczbą. Spytałem, co się stało z młodym Harneyem i panną Zofią. Odparł, że uciekli bezpiecznie na tamtą stronę rzeki. Bardzo mnie to ucieszyło. Buck nie mógł sobie darować, że nie zabił wtedy w lesie Harneya. Mówił o tym ze smutkiem – jak długo żyję, nie słyszałem czegoś podobnego.

Aż tu nagle – pac! pac! pac! – usłyszeliśmy kilka strzałów. To tamci mężczyźni zsiadli z koni, przekradli się przez las i zatoczywszy koło zasłi chłopców od tyłu! Chłopcy rzucili się biegiem do rzeki – obaj ranni – i gdy płynęli z prądem, mężczyźni biegli wzdłuż brzegu wrzeszcząc: – Zabić ich! Zabić! – Porwały mnie takie mdłości, że o mało co nie spadłem z drzewa. Ani myślę opowiadać wszystkiego, co się potem działo – niechbym tylko zaczął, znów chwyciłyby mnie mdłości. Żałowałem, że nie utonął tamtej nocy zamiast wyjść na brzeg i oglądać takie rzeczy. Nigdy tego dnia nie zapomnę; często mi się śni.

Bałem się zejść, więc siedziałem na drzewie, dopóki nie zaczęło się ściemniać. Od czasu do czasu słyszałem wystrzały gdzieś daleko w lesie, a dwa razy widziałem małe grupki mężczyzn ze strzelbami gotowymi do strzału, przejeżdżających galopem obok drwalni, więc domyślałem się, że bitwa jeszcze nie skończona. Byłem strasznie zgnębiony. Postanowiłem, że nie wrócę do domu, bo miałem takie uczucie, jakbym to ja zawinił. Widocznie ta kartka w Biblii znaczyła, że panna Zofia miała spotkać się z młodym Harneyem o pół do trzeciej w nocy i uciec z nim. Pomyślałem, że powinienem był powiedzieć o tym jej ojcu i o dziwnym zachowaniu się panny Zofii, a wtedy on może zamknąłby ją na klucz i nie doszłoby do tych okropności.

Ześliznąłem się z drzewa, podpełzłem do brzegu i dalej w dół rzeki, aż znalazłem ciała chłopców leżące w płytkiej wodzie. Wyciągnąłem ich na piasek, przykryłem ich twarze. Kiedy przykrywałem twarz Bucka, spłakałem się trochę, bo Buck był zawsze dla mnie bardzo dobry. Potem oddaliłem się najprędzej, jak tylko mogłem.

Było już całkiem ciemno. Okrążyłem z daleka dom i przez las poszedłem prosto na moczary. Nie zastałem Jima na kępie, więc pobiegłem w stronę strumienia, przedarłem się przez wikliny, cały czas myśląc o tym, żeby jak najprędzej skoczyć na tratwę i uciec z tej strasznej okolicy – ale tratwa znikła! Chryste, jakże się przeraziłem! Chyba przez minutę nie mogłem złapać tchu. A potem wrzasnąłem... Jakiś głos z odległości najwyżej dwudziestu pięciu stóp odpowiedział:

– Mój Boże! To ty, chłopcze? Nie hałasuj tak!

Był to Jim – nigdy w życiu nie słyszałem głosu, który brzmiałby piękniej. Pobiegłem kawałek wzdłuż brzegu i skoczyłem na tratwę, a Jim objął mnie i ścisnął, i tak się strasznie cieszył! Zawołał:

– Niech cię Bóg błogosławi, dziecko! Byłem całkiem pewien, że znowu nie żyjesz! Jack przyszedł tu do mnie i powiedział, że cię zastrzelili, bo nie wróciłeś do domu; dopiero co wypchnąłem tratwę spomiędzy wiklin, żeby mieć wszystko gotowe do drogi, jak Jack przyjdzie

drugi raz i powie, że na pewno nie żyjesz. Ach, chłopcze, co za radość znowu cię widzieć!

– Wszystko świetnie się składa, Jim – odparłem. – Oni tam w domu pomyślą, że zostałem zabity i że moje ciało popłynęło z prądem – znajdą nad brzegiem coś; co ich na tę myśl naprowadzi. Więc nie trać ani sekundy, tylko wal co sił na środek rzeki.

Nie uspokoiłem się, dopóki nas prąd nie zniósł dwie mile poniżej przystani na sam środek Missisipi. Wtedy powiedzieliśmy sobie, że znowu jesteśmy wolni i bezpieczni, i wywiesiliśmy naszą latarnię. Od zeszłego wieczoru nie miałem nic w ustach, więc Jim postawił przede mną żytne suchary i maślanekę, wieprzowinę, kapustę i młody szpinak – wyśmienita potrawa, kiedy ją dobrze przyrządzić – a kiedy jadłem, rozmawialiśmy i było nam dobrze. Cieszyłem się, że uciekłem od tych sporów rodzinnych, a Jim też się cieszył, że uciekł z moczarów. Powiedzieliśmy sobie, że mimo wszystko nigdzie nie mieszka się tak dobrze jak na tratwie. Gdzie indziej człowiek ma wrażenie, że mu jest ciasno i że się z tej ciasnoty dusi. Na tratwie tego nie czuje. Na tratwie człowiek czuje się wolny i beztroski i jest mu radośnie.

Król i książę na naszej tratwie

Przeszły trzy dni i trzy noce. Mogę chyba śmiało powiedzieć, że nie przeszły, tylko przepłynęły spokojnie i cicho, i przyjemnie. Opiszę teraz, jak spędzaliśmy czas.

Rzeka była tu potężnie szeroka – w niektórych miejscach miała półtorej mili od brzegu do brzegu. Płynęliśmy nocą, a przed świtem schodziliśmy na ląd. Kiedy noc miała się ku końcowi, przybijaliśmy do brzegu – najczęściej do kępy piaszczystej na martwej wodzie – a potem ścinaliśmy młode topole i wiklinę, i przykrywaliśmy nimi tratwę. Kiedy to było zrobione, zarzucaliśmy wędki, następnie pływaliśmy sobie trochę, żeby się odświeżyć i ochłodzić. Potem siadaliśmy na piaszczystym dnie, w miejscu, gdzie woda sięgała najwyżej do kolan, i czekaliśmy na nadejście dnia. Dookoła cisza – ani jednego dźwięku, zupełnie jakby spał cały świat; z rzadka tylko odzywało się kumkanie żaby. Rano pierwsze, cośmy widzieli za wodą, to niewyraźną, zamazaną linię lasu; ale poza tym *nic* nie było widać. Potem na niebie pokazywała się blada smuga; potem ta bladość coraz szerzej się rozlewała i rzeka jakoś łagodniała, i nie była już. wcale czarna tylko szara. Hen, daleko widzieliśmy małe czarne punkciki płynące z prądem; to barki z towarami i różne inne łodzie. A czarne kreski – to tratwy. Czasem słyszeliśmy zgrzyt wiosła w dulce albo gwar rozmów – tak było cicho i tak daleko niosą głosy na wodzie. Po chwili mogliśmy już rozróżnić bielszą pręgę na rzece; z samego wyglądu tej pręgi było wiadomo, że jest tam karpa, o którą rozbija się rwący prąd i dlatego pręga tak właśnie wygląda. A potem mgła Zaczynała się unosić znad rzeki i niebo na wschodzie różowiało, i woda różowiała, i na skraju lasu, na drugim brzegu, pokazywał się szalasz zbity z bierwion – najczęściej drwalnia – a przed nim kłody drewna splawnych poukładane w taki sposób, żeby łatwo można je było spiąć żelazną kłamrą. Potem zrywał się poranny wietrzyk i wionął ku nam z tamtej strony rzeki, i orzeźwiał nas – ach, taki chłodny i świeży, i pachnący tak ślicznie lasem i kwiatami; chyba że pachniał inaczej, a to wtedy, kiedy wyrzucano przed drwalnię zdechłe ryby, odpadki jedzenia i inne śmiecie, które

psują się prędko i cuchną.

A zaraz potem był biały dzień i wszystko śmiało się w słońcu, i ptaki śpiewały jak najęte.

Niewielkiego dymu nikt by teraz nie zauważył, więc zdejmowaliśmy ryby z haczyków i przyrządzaliśmy gorące śniadanie. Później rozleniwieni przyglądaliśmy się samotnej rzece i w końcu morzył nas sen. Po jakimś czasie budziliśmy się i patrzyliśmy ciekawie, co też wyrwało nas ze snu; niekiedy był to statek gramolący się z trudem pod prąd – tak daleko od naszego brzegu, że nie umielibyśmy o nim powiedzieć nic, prócz tego tylko, że miał koło na rufie bądź z boku. A potem przez jakąś godzinę nic nie słyszeliśmy ani nic nie widzieliśmy i znowu byliśmy samotni w ciszy. Następnie jakaś tratwa przemykała po wodzie gdzieś hen, na środku rzeki i często drwal rąbał na niej drzewo, jak to zwykle na tratwach. Widzieliśmy błysk spadającej w dół siekiery, ale nie słyszeliśmy żadnego odgłosu; widzieliśmy, jak siekiera podnosi się znowu w górę i dopiero jak znajdowała się nad głową drwala, dobiegało do nas stłumione trach! – tak długo dźwięk szedł po wodzie.

W ten sposób spędzaliśmy dni; leniuchując, przysłuchując się ciszy. Kiedyś była gęsta mgła, więc ludzie na tratwach i łodziach bili w cynowe patelnie, bo tylko w taki sposób mogli dać znać o sobie płynącym parowcom. Jakaś szkuta czy tratwa przepływała tak blisko nas, że słyszeliśmy rozmowy i przekleństwa, i śmiech na pokładzie; słyszeliśmy bardzo wyraźnie, ale w żaden sposób nie mogliśmy dojrzeć ludzi, i aż nam cierpła skóra, bo zdawało się, że to duchy śmigają sobie w powietrzu. Jim powiedział, że jego zdaniem to z pewnością duchy, ale ja mu na to:

– Nie, bo duchy nie mówiłyby: „Niech diabli tę cholerną mgłę!” A jak zapadała noc, odbijaliśmy od brzegu. Kiedy tratwa wypływała na środek rzeki, pozwalaliśmy jej sunąć z prądem, gdzie chciała i jak chciała. Wtedy zapalaliśmy fajki, spuszczaaliśmy nogi w wodę i dalej rozprawiać o najrozmaitszych rzeczach! Jeżeli tylko komary zanadto nam nie dokuczały, chodziliśmy dniem i nocą całkiem nadzy; nowe ubranie, które kazali mi uszyć rodzice Bucka, było za porządne, żeby mi w nim mogło być wygodnie, a zresztą w ogóle nie bardzo lubię się ubierać.

Niekiedy przez wiele godzin mieliśmy całą rzekę dla siebie – prócz nas nie było na wodzie nikogo. Z daleka widzieliśmy ląd i wyspy, czasem mignął nam płomyk – świeczka w oknie nabrzeżnego szałas; czasem błysnęło kilka światełek na wodzie, to znaczy na tratwie albo na łodzi, A kiedy indziej znów słyszeliśmy skrzypki albo piosenkę płynącą ku nam od którejś z załóg. Piękne jest życie na tratwie! Wysoko nad nami było niebo całe obsypane gwiazdami i

często leżeliśmy na plecach i patrzyliśmy w górę, i zastanawialiśmy się obaj, czy gwiazdy zostały zrobione, czy po prostu skądś się wzięły. Jim był zdania, że zostały zrobione, ale ja przypuszczałem, że wzięły się skądś. Uważałem, że to by za długo trwało, gdyby ktoś chciał zrobić ich taką kupę. Jim powiedział, że może księżyc zniósł je niczym jaja. Hm... to mi się wydało niegłupie, bo widziałem, jak żaba znosi skrzek, więc to samo mogło się tyczyć księżyca. Przyglądaliśmy się też spadającym gwiazdom, jak śmigwały w dół po niebie. Jim przypuszczał, że się zepsuły, więc je wyrzucano z gniazda.

Parę razy w ciągu nocy wyrastał przed nami w ciemności parowiec płynący w górę albo w dół rzeki; od czasu do czasu z jego kominów wytryskiwało całe mnóstwo iskierki i te iskierki jak deszcz spadały na wodę, co wyglądało nadzwyczaj ładnie; potem parowiec opływał zakręt i światła nikły, i milkł stukot maszyn, a rzeka znowu była cicha. Później, w długi czas po tym, jak nam znikł z oczu, dochodziły do nas jego fale i huśtały lekko tratwę. Potem długo, choć sami nie wiedzieliśmy jak bardzo długo, nie słyszeliśmy już nic, prócz chyba kumkania żab i takich różnych głosów.

Po północy ludzie na ładzie szli spać i wtedy przez kilka godzin brzegi rzeki były czarne – ani jednego światełka w oknach szałasów. Te światełka zastępowały nam zegar – pierwsze, jakie się znów pokazywały w oknach, były dla nas przypomnieniem, że niedługo brzask; zaraz też szukaliśmy miejsca na dzienny postój. Któregoś dnia o świcie znalazłem czółno i przepłynąłem się nim przez odnogę na łąd – jakieś dwieście jardów – a potem powiosłowałem w górę małej rzeczulki wpadającej do Missisipi. Płynąłem tak z milę wśród rosnących nad brzegami cyprysów, cały czas wypatrując jagód. Mijałem właśnie miejsce, gdzie schodziła do wody ścieżka wydeptana przez bydło, aż tu nagle wypadli na ścieżkę dwaj mężczyźni i zaczęli pędzić ku mnie ile sił w nogach. Byłem pewien, że przepadłem z kretesem, bo ile razy ktoś kogoś gonił, zdawało mi się, że to mnie albo Jima. Już miałem zawrócić i uciec, ale mężczyźni, którzy znajdowali się teraz bardzo blisko, zaczęli wołać do mnie i błagać, żebym im uratował życie; powiedzieli, że nie zrobili nic złego i że teraz ludzie ścigają ich za to, czego nie zrobili; że zaraz będzie tu pościg z psami. Chcieli z miejsca skoczyć do czółna, ale powiedziałem:

– Nie róbcie tego. Nie słyhać jeszcze ani koni, ani psów, więc zdążycie przedostać się przez krzaki i pójść brzegiem kawałek w górę strumienia. Potem wleźcie do wody i wróćcie do czółna. W ten sposób psy zmylą trop.

Posłuchali mnie, a zaledwie wskoczyli do czółna, zacząłem wiosłować z powrotem do naszej

kępy. Po pięciu czy dziesięciu minutach usłyszeliśmy z daleka ujadanie psów i krzyki mężczyzn. Słyszeliśmy, jak przybliżają się do strumienia, aleśmy ich nie widzieli; wyglądało na to, że przystanęli i kręcą się na miejscu. Potem, w miarę jak nasze czółno oddalało się, wrzawa milkła po trochu, aż w końcu, kiedy pozostawiliśmy za sobą milę lasu i wypływaliśmy na rzekę, cisza była zupełna. Powiosłowałem prosto do kępy, gdzie ukryci między topolami mogliśmy się nie bać pościgu.

Jeden z mężczyzn miał lat chyba ze siedemdziesiąt albo i więcej, strasznie łąsą głowę i całkiem siwe bokobrody. Na głowie sterczał mu stary kapelusz z opuszczonym rondem, a ubrany był w wyświechtaną, niebieską wełnianą koszulę, obszerne spodnie z granatowego drelichu wsunięte w cholewy wysokich butów i szydełkowej roboty szelki – nie, tylko w jedną szelkę. Przez rękę miał przewieszony obszarpany surdut z granatowego drelichu, przybrany gładkimi mosiężnymi guzami; obaj nieznajomi przynieśli ze sobą duże, wypchane sakwojaże okropnie nędzne z wyglądu. Drugi mężczyzna miał lat chyba ze trzydzieści, a ubrany był nie lepiej niż tamten. Po śniadaniu, rozłożeni wygodnie na trawie, zaczęliśmy rozmawiać i okazało się zaraz na wstępie, że ci dwaj nie widzieli się nigdy przedtem na oczy.

– W jaki sposób narobiłeś sobie pan tej biedy? – spytał łysy młodszego.

– Hm... sprzedawałem lekarstwa na usunięcie kamienia z zębów – nawiasem mówiąc, usuwać to go usuwa, ale najczęściej razem z emalią – i zostałem jedną noc za długo w mieście. Właśnie miałem wynieść się cichaczem, kiedy spotkałem pana, jak biegłeś ścieżką po tej stronie miasta. A zresztą sam pan wiesz. Powiedziałeś, że cię gonią, i prosiłeś, żebym ci pomógł uciekać. Ja na to, że sam się spodziewam nieprzyjemności i wobec tego zwiję z panem. To wszystko. A co pan masz do powiedzenia?

– Cóż, prowadziłem tam prawie przez tydzień akcję na rzecz trzeźwości; kobiety za mną przepadały, stare i młode, bo widzisz pan, cały czas mocno założyłem mężczyznom za skórę. Zbierałem pięć do sześciu dolarów za jeden wieczór – po dziesięć centów od osoby – dzieci i Murzyni wstęp wolny. Interes świetnie mi się rozwijał, ale co z tego, kiedy w taki czy inny sposób ludzie dowiedzieli się wczoraj wieczorem, że mam zwyczaj zabawiać się w skrytości butelczyną – ot, dla zabicia czasu. Jeden czarny zbudził mnie dzisiaj z samego rana i powiedział, że ludzie zbierają się już cichaczem na koniach i z psami, i tylko patrzeć, jak po mnie przyjadą; dadzą mi pół godziny czasu na ucieczkę i potem ruszą w pogoń, a jak mnie złapią, unurzają mnie w smole i pierzu i przegnają z miasta. Nie czekałem na śniadanie. Ani trochę nie byłem głodny.

– A może byśmy, starcze – odezwał się po chwili młodszy mężczyzna – połączyli nasze siły?

– Hm... nie mam nic przeciwko temu. Jaka jest pańska specjalność?

– Z zawodu drukarz. Znam się coś niecoś na specyfikach aptecznych. Poza tym aktor – od ról tragicznych, rozumiesz pan. Jak mi się zdarzy sposobność – nie gardzę hipnotyzerstwem i wróżeniem, a jak się trafi okazja – uczę śpiewu i geografii w szkole. Czasem wygłoszę jakiś odczytek – och, robię wiele najrozmaitszych rzeczy, wszystko co mi lekko przychodzi, bylebym nie musiał pracować. A pan?

– Swojego czasu zajmowałem się sporo doktorowaniem. Najlepsza moja sztuczka to leczenie za pomocą dotyku rąk – wiesz pan: rak, paraliż i tym podobne. Potrafię też niezgorzej przepowiedzieć los, jak mam ze sobą kogoś, kto mi wpierw zbierze trochę faktów. Param się też kaznodziejstwem; jak popadnie, prowadzę rekolekcje na wsi; no i niezły bywa ze mnie misjonarz.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Potem nagle młodszy mężczyzna westchnął ciężko i powiedział:

– Biada mi!

– Czego pan tak biadolisz? – spytał łusy.

– Pomyśleć tylko, jak ja nisko upadłem! Jakie ja życie prowadzę i na jakie towarzystwo jestem skazany! – I zaczął ocierać gałganem kąciki oczu.

– Niech cię drzwi ścisną! To nasze towarzystwo ci nie odpowiada? – rzekł gniewnie i bardzo wyniośle łusy.

– O, tak, całkiem mi odpowiada. Jest takie, na jakie zasługuję. Bo któż to stracił mnie tak nisko, choć byłem tak wysoko? Ja sam to zrobiłem. Was o to nie winię, panowie! Bynajmniej! Ani myślę winić kogokolwiek. Sam jestem sobie winien. Ale niech okrutny świat dalej pastwi się nade mną; wiem jedno – gdzieś tam czeka mnie mogiła. Świat niech dalej robi swoje, niech zabierze wszystko; bliskich i kochanych, majątek – wszystko. Ale tego zabrać mi nie zdoła. Któregoś dnia położę się w mej mogile i zapomnę o krzywdach, a moje biedne, skołatane serce znajdzie wreszcie spokój. – Umilkł i dalej chlipał.

—Do licha z twoim biednym, skołatanym sercem! – wtrącił łusy, – Czego się nas czepiasz z tym swoim biednym sercem? Cośmy ci złego zrobili?

– Nic. Nie zrobiliście mi nic złego. Nie mam do was, panowie, żadnych pretensji. To ja sam jestem sobie winien, żem się stoczył tak nisko... ja sam, nikt inny. Słusznie, że teraz cierpię...

bardzo słusznie... ani myślę się skarżyć.

– A niby skąd się pan stoczyłeś? Gdzieś pan był, żeś się później stoczył?

– Ach, nie uwierzycie mi, panowie. Okrutny świat nigdy mi nie uwierzy... ale dajmy temu pokój... mniejsza o to. Tajemnica mego pochodzenia...

– Tajemnica pochodzenia? Chcesz pan powiedzieć, że...

– Panowie – przemówił młody, robiąc strasznie uroczystą minę. – Wyjawię teraz moją tajemnicę, gdyż czuję, że mogę wam zaufać. Wedle prawa jestem księciem.

Kiedy Jim to usłyszał, oczy wyszły mu na wierzch; myślę, że z moimi było to samo. A potem odzywa się łysy: – Nie! Mówisz pan poważnie?

– Tak, panowie. Pod koniec ubiegłego stulecia mój pradziad, pierworodny syn księcia Bridgewater, uciekł z Anglii i przybył do tego kraju, by odetchnąć czystym powietrzem wolności. Ożenił się tu i umarł osierocając syna; jego ojciec zmarł mniej więcej w tym samym czasie. Młodszy syn zmarłego w Anglii księcia zagarnął tytuł i majątki – dziecię pierworodnego syna całkiem zostało pominięte. Jestem w prostej linii potomkiem tego pierworodnego syna – jestem prawowitym księciem Bridgewater. Otom jest – wyzuty z mych majątkości, prześladowany przez ludzi, wzgardzony przez świat, w łachmanach, ledwie żyw, upadły na duchu, skazany na towarzystwo rzezimieszków na tratwie!

Jim strasznie mu współczuł, ja też. Próbowaliśmy go jakoś pocieszyć, ale on powiedział, że szkoda zachodu, bo z pocieszaniem to u niego ciężka sprawa; powiedział jeszcze, że najbardziej by mu mogło pomóc gdybyśmy go uznali jako księcia. Odparliśmy, że chętnie, tylko niech nam powie, jak się to robi; a on na to, że powinniśmy mu składać ukłon, kiedy się do niego zbliżamy, i mówić „Wasza Miłość” albo „Wasza Książęca Mość”, albo „Mój Książę” – nawet nie weźmie nam za złe, jeżeli będziemy mówili po prostu Bridgewater, bo jak powiedział, nie jest to wcale nazwisko, tylko tytuł; a jeden z nas powinien mu usługiwać przy stole i spełniać różne jego drobne polecenia.

Hm... nie było to wcale takie trudne, więc zrobiliśmy, o co prosił. Przy obiedzie Jim cały czas mu usługiwał i ciągle pytał: – Czy Wasza Książęca Mość życzy sobie tego...? Czy może tego? – i tak dalej, i dalej. Było widać, że mu to sprawia wielką przyjemność.

Ale łysy jakoś przycichł, niewiele miał do powiedzenia i nie wyglądał na bardzo zadowolonego, że się tak cackamy z Księciem. Widać było, że go coś gryzie. Po jakimś czasie nagle powiada:

– Słuchaj no, Bridgewater, strasznie mi ciebie żal, chłopie, ale nie ty jeden masz takie kłopoty.

– Czyżby?

– Żebym tak był zdrow. Nie ciebie jednego wykiwali z wielkopańskiej ojcowizny.

– Ach, niestety, niestety!

– I nie ty jeden masz tajemnicę urodzenia. Jak babcię kocham, teraz łysy zaczął płakać!

– Czekażże, pan! Co masz na myśli? – spytał Książę.

– Bridgewater, czy mogę ci zaufać? – jęknął łysy trochę pochlipując.

– Jak rodzonej matce! – Wziął starca za rękę, uściśnął mu ją i powiada: – Twoja tajemnica zejdzie ze mną do grobu. Mów!

– Bridgewater, stoi przed tobą delfin, następca tronu francuskiego.

Pewnie się domyślacie, że tym razem Jimowi i mnie oczy całkiem wyszły na wierzch. A Książę pyta;

– Stoi przede mną kto?

– Delfin we własnej osobie. Tak, mój przyjacielu, smutna, to prawda. Spoglądasz w tej chwili na biednego, zaginionego delfina, Ludwika XVII, syna Ludwika XVI i Marii Antoniny.

– Ty jesteś delfin? W twoim wieku? Nie! Chciałeś pewnie powiedzieć, że jesteś Karolem Wielkim i liczysz sobie jakie sześćset czy siedemset wiosen.

– Troski, Bridgewater, troski to zrobiły. Ciężkim strapieniom zawdzięczam te siwe włosy i przedwczesną łysinę. Tak, panowie, oto stoi przed wami w granatowym drelichu, w łachmanach, tułacz wygnany z ojczyzny, sponiewierany, nieszczęśliwy, prawowity król Francji!

Zaczął teraz szlochać na dobre i strasznie rozpaczać. Zupełnie nie wiedzieliśmy z Jimem, co robić – tak go nam było żal i tacy byliśmy szczęśliwi i dumni, że jest z nami na tratwie. Więc zabraliśmy się do niego podobnie jak przedtem do Księcia i jego z kolei zaczęliśmy pocieszać. Ale on powiedział, że to wszystko na nic, bo tylko śmierć jedna może go utulić. Choć bywało, że doznawał trochę ulgi, kiedy ludzie traktowali go, jak mu się to z prawa należy: mówiąc do niego przyklękali na jedno kolano, zwali go zawsze „Najjaśniejszym Panem”, jego pierwszego obsługiwali przy stole i nie siedli, dopóki on im nie dał przyzwolenia... No więc zaczęliśmy go z Jimem „najjaśniej panować”, robiliśmy dla niego to, owo i dziesiąte, i staliśmy wyprostowani, póki nie pozwolił nam usiąść. To go nadzwyczajnie pocieszyło, poweselał był bardzo zadowolony. Ale Książę spoglądał na niego jakoś krzywo i widziałem, że mu się to wszystko mocno nie podoba. Mimo to Król odnosił się do niego naprawdę łaskawie i powiedział że jego

ojciec bardzo sobie cenił pradziadka Księcia i wszystkich innych książąt Bridgewaterów, i nawet im pozwalał przychodzić do pałacu. Ale Książę dalej się boczył; w końcu Król powiada:

– Coś mi się widzi, Bridgewater, że będziemy obaj na tej tratwie diabło długo, więc co za interes robić krzywe miny? Tylko by nam to zatrulo życie. Nie moja wina, że się nie urodził księciem, ani nie twoja, żeś się nie urodził królem – więc po co te obrazy? Każdą rzecz trzeba brać od najlepszej strony – taką już mam zasadę. Nieźle się stało, żeśmy tu trafili – żarcia pod dostatkiem i niezgorsze życie. No, dalejże, Mości Książę! Wyciągnij rękę na zgodę!

Książę wyciągnął rękę i ten widok bardzo nas z Jimem ucieszył. Zaraz znikło przykre uczucie; odetchnęliśmy z ulgą, bo kiepska to sprawa – nieżyczliwość między ludźmi na tratwie. Najważniejsza rzecz na tratwie, ważniejsze niż wszystko inne, to żeby każdy był zadowolony i odnosił się serdecznie i przyjaźnie do innych.

Połąpałem się bardzo prędko, że ci dwaj łgarze to nie żadni tam królowie czy książęta, tylko zwykli wydrwigrosze i szachraje... Ale nie pisałem słówka ani nigdy się z tym nie zdradziłem. Zatrzymałem to przy sobie; tak jest lepiej, bo człowiek unika niepotrzebnych kłótni i rozmaitych innych nieprzyjemności. Jeżeli im na tym zależało, żebyśmy ich zwali królem i księciem, nie miałem nic przeciwko temu – byleby utrzymać zgodę w rodzinie. Nie miało też żadnego sensu wtajemniczać w to Jima, więc mu nic nie powiedziałem. Od tatki nauczyłem się przynajmniej tego jednego, że najlepszy sposób postępowania z ludźmi jego pokroju, w niczym im się nie sprzeciwiać.

Co ich wysokości robiły w Parkville

Zadawali nam mnóstwo pytań. Chcieli koniecznie wiedzieć, dlaczego tak przykrywamy zielskiem tratwę i odpoczywamy w ciągu dnia, a płyniemy nocą. Czy może Jim jest zbiegłym Murzynem?

– Też mi pomysł! – odparłem. – Czy zbiegły Murzyn uciekałby na Południe?

Przyznali, że z pewnością nie uciekałby na Południe, ale musiałem im jakoś całą sprawę wytłumaczyć, więc powiadam:

– Mieszkaliśmy z całą rodziną w okręgu Pike w stanie Missouri, ale wszyscy kolejno poumierali i został tylko tatko, ja i mój braciszek, Ike. Tatko postanowił rzucić wszystko i pojechać do wujaszka Bena, który ma maluchną farmę nad samą rzeką, czterdzieści mil poniżej Orleanu. Tatko był biedny jak mysz kościelna i miał trochę długów, więc jak popłacił długi, zostało mu w całym majątku szesnaście dolarów i nasz Murzyn Jim. Za te szesnaście dolarów nie przejechalibyśmy tysiąca czterystu mil ani pod pokładem, ani w inny sposób. Ale jak rzeka wezbrała, tatkowi poszczęściło się i któregoś dnia złapał na wodzie tratwę, więc pomyśleliśmy sobie, że popłyniemy tą tratwą do Orleanu. Cóż, tatki szczęście prędko się skończyło, bo którejś nocy parowiec stuknął w przód tratwy i wszyscyśmy wpadli do wody, i daliśmy nurka, żeby nas śruba nie potraçała. Jim i ja wypłynęliśmy na wierzch, ale tatko był pijany, a Ike miał tylko cztery latka, więc jak wpadli, tak już zostali. No a potem przez kilka dni mieliśmy strasznie dużo zawracania głowy, bo co rusz podjeżdżali do nas ludzie w łodziach i chcieli mi zabrać Jima, i mówili, że to na pewno zbiegły Murzyn. Teraz wcale nie płyniemy dniem, tylko nocą, bo w nocy nikt się nas nie czepia.

Księżę powiedział:

– Bądźcie spokojni, już ja obmyślę jakiś sposób, żebyśmy mogli jechać dniem, jeżeli przyjdzie nam na to ochota. Zastanowię się i ułożę odpowiedni plan. Dzisiaj damy temu spokój, bo nie ma

sensu przepływać w dzień obok tego tam miasteczka – mogłoby to nam nie wyjść na zdrowie.

Pod wieczór ściemniło się raptownie, na niebo wypląnęły deszczowe chmury. Błyskawice skakały nisko po niebie i liście na drzewach zaczęły dygotać. Zanościło się na paskudną burzę, każdy by to zauważył, więc Król i Księżę poszli obejrzyć nasz wigwam i sprawdzić, jakie mamy posłania. Ja miałem posłanie lepsze – siennik wypchany słomą – Jim miał siennik wypchany łuską kukurydzy. Między łuską bywają ostre kłacza, które co rusz włożą człowiekowi w ciało; poza tym wystarczy się przewrócić z boku na bok, a siennik zaczyna trzeszczeć jak kupa zeschniętych liści. Ten hałas obudziłby chyba umarłego. Więc Księżę powiedział, że zajmuje mój siennik, ale Król mu na to, że Księżę go nie zajmie.

– Wydawałoby się, żeś, Wasza Miłość, powinien pamiętać o różnicy w naszej randze. Posłanie z łusek kukurydzy nie jest odpowiednie dla króla Francji. Wasza Miłość sam je zajmiesz.

Znowuśmy się z Jimem strasznie zlekli, że dojdzie między nimi do kłótni, ale na nasze szczęście Księżę powiada:

– Taki już mój los, że żelazna stopa przemocy miażdży mnie i ściera w proch. Pod razami niedoli upadł mój niegdyś nieugięty duch. Poddaję się, ustępuję. Tak każe fatum. Jestem samotny i opuszczony, więc muszę cierpieć. Zniosę to.

Jak się tylko porządnie ściemniło, odbiliśmy od brzegu. Król kazał nam wyprowadzić tratwę na sam środek rzeki i powiedział, żebyśmy nie ważyli się zapalać światła, dopóki nie odpłyniemy spory kawał poniżej miasteczka. Niedługo zobaczyliśmy garstkę świateł – było to miasteczko – i bez wypadku minęliśmy je w odległości pół mili od brzegu. Dopiero po przepłynięciu dalszych trzech czwartych mili wywiesiliśmy naszą latarnię; a około dziesiątej zerwał się wiatr i zaczęło padać i błyskać się, i grzmieć jak nie wiem co. Król kazał nam obu trzymać straż, dopóki nie poprawi się pogoda, a potem razem z Księciem wczolęli się do wigwamu i poszli spać, Wachtę miałem dopiero o dwunastej, ale nawet gdybym miał na czym spać, nie poszedłbym do wigwamu, bo człowiek nie widuje co dzień takiej burzy – gdzie tam! Rety, jak ten wiatr był przeraźliwie! Co kilka sekund błyskawica przelatywała niebo i wtedy bieleły się czuby fal na kilka mil dokoła. Przez strumienie deszczu widać było kępy jakby zza chmur kurzu i drzewa wyginające się na wietrze. A potem nagle tr...rrach! Bum! Bum! Bumbumbum! I grzmot huczał, i dudnił, i oddalał się, i cichł – a potem znowu błyskawica i znowu grzmot walił z nieba. Co jakiś czas przychodziła fala taka wysoka, że o mały włos nie zmiatała mnie z tratwy, ale co mi tam – i

tak nie byłem ubrany! Z karpami nie mieliśmy żadnych kłopotów, bo błyskawice tak ciągle koło nas latały, że widać było niebezpieczne miejsca ze sporej odległości i zawsze zdążyliśmy skrócić tratwę w tę czy tamtą stronę i jakoś je wyminąć.

Miałem środkową wachtę, ale jak przyszła na mnie kolej, strasznie mi się chciało spać, i Jim powiedział, że mnie zastąpi przez pierwsze dwie godziny; w tych sprawach Jim był zawsze dla mnie bardzo dobry – bardzo! Wpełzłem do wigwamu, ale Król i Księżę leżeli z tak szeroko rozłożonymi rękami i nogami, że dla mnie nie zostało ani trochę miejsca. Więc położyłem się przed wigwamem na deskach; deszcz mi nie przeszkadzał, bo powietrze było ciepłe, a fala dużo teraz niższa. Koło drugiej rzeka znowu się wzburzyła i Jim już mnie miał zbudzić, ale potem pomyślał, że fale są jeszcze małe i nic mi się nie stanie, więc dał spokój. Cóż, trochę się omylił, bo całkiem niespodziewanie przyszła wielka fala i chlup! – zmiotła mnie do rzeki. Jim tak się śmiał, że o mało co nie pękł ze śmiechu. Swoją drogą nie widziałem drugiego Murzyna, który byłby taki prędki do śmiechu.

Potem ja stanąłem na wachcie, a Jim położył się i zaraz chrapnął; bardzo szybko burza całkiem ścichła, a jak zobaczyłem pierwsze światełko w nadbrzeżnym szałasie, zbudziłem Jima i razem wprowadziliśmy tratwę do kryjówki na dzienny postój.

Po śniadaniu Król wyciągnął talię zatłuszczonych kart i jakiś czas grali z Księżciem w oczko po pięć centów partia. Potem im się to znudziło, więc postanowili „ułożyć plan kampanii”, jak to nazwali. Księżę zaczął grzebać w swoim sakwojażu, wyciągnął całą furę małych, drukowanych ogłoszeń i czytał nam je na głos. Na jednym było napisane: „Sławny dr Armand de Montalban z Paryża wygłosi odczyt o nauce hipnotyzmu w takim to a takim mieście, w dniu (puste miejsce), miesiąca (puste miejsce). Wstęp – dziesięć centów od osoby. Ponadto dr Montalban sporządza opisy charakteru po dwadzieścia pięć centów sztuka”. Księżę powiedział, że ten doktor to właśnie on. Na innym ogłoszeniu Księżę był „Garrickiem Młodszym z teatru Drury Lane w Londynie, głośnym na cały świat wykonawcą ról szekspirowskich”. Na innych afiszach miał rozmaite inne nazwiska i robił rozmaite cudowne rzeczy, jak znajdowanie wody albo złota za pomocą różdżki, odczynianie czarów itp. W pewnej chwili Księżę powiedział:

– Ale muza teatru jest moją kochanką. Czyś stał kiedy na deskach scenicznych, Królewski Majestacie?

– Nie – odparł Król.

– W takim razie niedługo staniesz, Upadła Wielkości —mruknął Księżę. – W pierwszym

większym miasteczku po drodze wynajmiemy salę i odegramy pojedynek z *Ryszarda III* i scenę balkonową z *Romea i Julii*. Co o tym myślisz?

– Hm... nie jestem od tego, żeby zarobić trochę gotówki, ale widzisz, Bridgewater, na aktorstwie się nie wyznaję i niewielu aktorów w życiu widziałem. Byłem jeszcze za maluchny, kiedy tatko co rusz to ich sobie sprowadzał do pałacu. Myślisz, że dam radę się nauczyć?

– Jeszcze jak!

– No, to zgoda. Aż mnie ręce świerzbią do nowej robótki. Jazda, Wasza Miłość, zaczynajmy!

Wtedy Księżę opowiedział mu dokładnie, kim był Romeo i kim była Julia, i na zakończenie dodał, że on przywykł grać Romea, więc Król musi być Julią.

– Ale słuchaj no, Księżę, jeżeli z tej twojej Julii taka młoda dziewczuszka, to czy nie będzie wyglądała ciut dziwnie z moją łysą pałą i siwymi bokobrodami?

– Tym się nie przejmuj, te wiejskie jolopy nawet tego nie uważają. A zresztą ubierzesz się w odpowiedni strój, a wtedy wszystko wyda się inne – Julia stoi na balkonie, wyszła popatrzeć na księżyc i zaraz pójdzie spać, więc ma na sobie koszulę nocną i czepek z falbankami. Zaraz ci pokażę kostiumy do tych rol.

Wyciągnął z sakwojażu najpierw kilka ubrań z perkalu jak na firanki i powiedział, że to są średniowieczne zbroje Ryszarda III i tego drugiego faceta od pojedynku, a potem pokazał nam długą białą koszulę nocną i do niej czepek cały obszyty falbanką. Ten widok uspokoił Króla, więc Księżę wziął do ręki książkę i zaczął czytać role Romea i Julii, i cały czas po prostu wspaniale się nadymał i podskakiwał, i wymachiwał rękami, żeby pokazać Królowi, jak to powinno być zagrane. A potem dał mu książkę i kazał nauczyć się roli na pamięć.

Z naszej kryjówki zobaczyliśmy jakąś małą miejscinę mniej więcej trzy mile poniżej zakrętu rzeki. Po obiedzie Księżę powiedział, że ma już gotowy plan i teraz będziemy mogli płynąć dniem bez żadnego niebezpieczeństwa dla Jima; ale w związku z tym musi pojechać do miasteczka i załatwić wszystko jak należy. Na to Król, że on też pojedzie i zobaczy, czy mu się coś nie nawinie pod rękę. Skończyła nam się kawa, więc Jim mi radził, żebym się z nimi przeprawił czołnem i kupił nowy zapas.

W miasteczku nie zastaliśmy żywego ducha – ulice były ciche i wymarłe niczym w niedzielę. Na jakimś podwórku zobaczyliśmy chorego Murzyna, który wygrzewał się w słońcu; ten Murzyn powiedział nam, że wszyscy, co nie byli za młodzi albo bardzo chorzy, albo za starzy, poszli na nabożeństwo misyjne dwie mile za miasteczkiem, w lesie. Król spytał o drogę i oznajmił nam, że

się tam wybierze i zobaczy co i jak, i kogo da się skubnąć, a jeżeli ja chcę, mogę mu towarzyszyć.

Księżę powiedział, że potrzebna mu jest drukarnia. Znaleźliśmy maluchny zakład nad warsztatem stolarskim. Stolarze i drukarze wszyscy wyszli na nabożeństwo i drzwi zostawili otwarte. Było tam brudno, na podłodze leżało pełno śmieci, a ściany były całe upstrzone farbą i oblepione podobiznami skradzionych koni albo zbiegłych Murzynów. Księżę zdjął surdut i powiedział, że ma tu wszystko, czego szukał. Wtedy my z Królem poszliśmy na to nabożeństwo misyjne.

Zaszliśmy na miejsce mniej więcej w pół godziny, cali mokrzy od potu, bo dzień był okropnie gorący. Zebrało się tam chyba z tysiąc osób z odległości jakich dwudziestu mil dokoła. W lesie było pełno wozów i koni przywiązanych gdzie bądź do drzew, skubiących obrok i bijących kopytami o ziemię, żeby się opędzić od much. Między drzewami stały szopy zrobione z pali wbitych w ziemię i przykryte od góry gałęziami – sprzedawano w nich lemoniadę, pierniki, arbuzy, zieloną kukurydzę i takie różne *rzeczy*.

Kazania odbywały się w podobnych szopach, tylko że większych i zatłoczonych ludźmi. Ławki były zrobione z odrzynków, czyli ze ścinków z kłoca, i po stronie zaokrąglonej miały wywiercone otwory, w które wbito paliki zamiast nóg. Oparć te ławki nie miały. W jednym końcu każdej takiej szopy stało wysokie podwyższenie drewniane dla kaznodziejów. Kobiety miały na głowach kapturki od słońca; niektóre były ubrane w suknie z szewiotu, inne w suknie z bawełnianego gingasu, a kilka młodych miało sukienki z perkalu w kolorowe wzory. Niektórzy młodszy mężczyźni byli boso, a widziałem dzieci, które nie miały na sobie nic, prócz jednej zgrzebnej koszuli. Niektóre staruszki robiły robótki na drutach, a znowu niektórzy młodzi chłopcy i dziewczęta zalecali się do siebie ukradkiem.

W pierwszej budzie, do której weszliśmy, kaznodzieja odczytywał słowa hymnu, a ludzie śpiewali. Odczytywał dwie linijki i potem wszyscy je śpiewali – muszę powiedzieć, że mi się to wydawało wspaniałe, taka ich była kupa w tej szopie i robili to w taki jakiś przejmujący sposób. A potem kaznodzieja odczytywał następne dwie linijki i wszyscy znowu je śpiewali – i tak dalej, i dalej. Ludzie nabierali coraz większego rozpędu i śpiewali coraz głośniejsze, a kiedy się już hymn zbliżał do końca, niektórzy zaczęli jęczeć, a inni zaczęli wrzeszczeć. Potem kaznodzieja zaczął wygłaszać kazanie. I muszę powiedzieć, że ostro wziął się do rzeczy; najpierw ciskał się z jednej strony podwyższenia, a potem ciskał się z drugiej strony podwyższenia, a wreszcie wychylał się

nad barierkę w środku podwyższenia, cały czas podskakując i wymachując rękami, i wrzeszcząc wniebogłosy. A co rusz podnosił do góry Biblię, otwierał ją i przesuwał w powietrzu to w tę, to w tamtą stronę, wołając: —Oto miedziany wąż na puszczy! Wejrzyjcie nań i żywi zostańcie!— A ludzie rycieli: — Gloria! A-a-men. — Potem gdy ludzie jęczeli i wzdychali, i wykrzykiwali amen, kaznodzieja tak zaczął mówić:

— Och, pójdźcie na ławę pokutników! Pójdźcie, skalani grzechem! — (Amen!) — Pójdźcie, chorzy i cierpiący! — (Amen!) — Pójdźcie, chromi, niemi i ślepi! — (Amen!).— Pójdźcie wszyscy, którzyście znużeni i zbrukani, i boleściwi! Pójdźcie, o wy, upadli na duchu. Pójdźcie, o wy, z sercem pełnym skruchy! Pójdźcie, w waszych łachmanach, niczemności i brudzie! Wody, które oczyszczają z grzechu, są dostępne dla wszystkich, a bramy niebios stoją otworem — och, pójdźcie i znajdźcie ukojenie! —. (A-a-aaamen! Gloria! Glo-o-o-ria, alleluja!)

I tak w kółko. Wszyscy w szopie wrzeszczeli i zawodzili, i wcale już nie można było zrozumieć, co kaznodzieja mówi. Wszędzie dookoła ludzie wstawali z miejsc i siłą przepychali się przez tłum do ławy pokutników, a jak szli, łzy im ciekły po twarzach. Kiedy już wszyscy pokutnicy stłoczyli się w pierwszych ławkach, zaczęli znowu śpiewać i wrzeszczeć, i rzucali się na ziemię — całkiem dzicy i obłąkani.

Zanim się obejrzałem, Króla już przy mnie nie było. Słyszałem tylko jego głos zagłuszający wszystkie inne głosy. A potem zobaczyłem, jak się wpycha na kazalnicę. Kaznodzieja poprosił go, żeby przemówił do zgromadzonych, a on nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Powiedział, że jest piratem — a właściwie, że był przez trzydzieści lat piratem na Oceanie Indyjskim, że na wiosnę tego roku załoga jego statku bardzo się przeredziła po jakiejś strasznej bitwie i że on przyjechał do kraju po nowy zaciąg ludzi. Bogu dzięki, wczoraj wieczorem został obrabowany na statku i wysadzony na brzeg bez centa przy duszy, z czego nadzwyczajnie się cieszy i w ogóle nic lepszego nie mogło go na tym świecie spotkać, bo teraz jest zupełnie odmienionym człowiekiem i pierwszy raz w życiu czuje się naprawdę szczęśliwy. A choć jest biedny jak mysz kościelna, bez chwili zwłoki puści się w drogę powrotną na Ocean Indyjski i resztę życia poświęci dziełu nawracania piratów, bo zna wszystkich korsarzy na tamtejszych wodach i będzie to mógł zrobić lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. Nie ma pieniędzy, więc czeka go długa droga, ale dotrze kiedyś na miejsce, a ile razy nawróci jakiego pirata, tyle razy powie: — Nie dziękuj mi, to nie moja zasługa. Wdzięczność twoja należy się tym zacnym ludziom z zebrania misyjnego w Parkville, tym prawdziwym dobroczyńcom ludzkości, a także ich drogiemu

kaznodziei, co jest najwierniejszym przyjacielem korsarzy. – Tutaj Król zalał się łzami i wszyscy inni też się zaleli. Potem nagle ktoś wrzasnął: – Zróbmy na niego składkę Zróbmy składkę! – Kilku mężczyzn skoczyło, żeby zrobić tę składkę, ale ktoś inny zawołał: – Niech sam zbiera! – i po chwili wszyscy powtórzyli to wołanie nie wyłączając pastora.

Więc Król zaczął obchodzić szopę z kapeluszem w ręce, przewracając oczami i błogosławiąc ludzi, wychwalając ich pod niebiosa i dziękując im, że są tacy dobrzy dla tych nieszczęśliwych piratów hen, daleko na morzu; a co ładniejsze dziewczęta z twarzami mokrymi od łez przepychały się do niego i pytały, czy pozwoli się pocałować na pamiątkę. Król im pozwalał. A niektóre to nawet ścisnął i całował nie mniej jak pięć albo sześć razy. Potem ludzie zaczęli go prosić, żeby został w Parkville chociaż z tydzień, i wszyscy chcieli, żeby mieszkał u nich w domu, co, jak mówili, będzie dla nich wielkim zaszczytem. Ale on odparł, że jest to przecież ostatni dzień modłów, więc jego pobyt niewiele dałby im pożytku, a poza tym strasznie mu spieszo w drogę, bo chciałby jak najprędzej dopłynąć na Ocean Indyjski i wziąć się do nawracania piratów.

Kiedyśmy wrócili na tratwę, Król zrachował pieniądze i okazało się, że ta zbiórka dała mu osiemdziesiąt siedem dolarów i siedemdziesiąt pięć centów. Ponadto zwędził dzban z trzema galonami wódki, który w drodze przez las znalazł pod jakimś wozem. Król powiedział, że biorąc wszystko do kupy, żaden dzień spędzony na misjonarzowaniu wśród pogan nie przyniósł mu takich dochodów. Powiedział jeszcze, że nawet szkoda gadać – jak idzie o możliwość oskubania nabożeństwa misyjnego, poganie to mięta w porównaniu z piratami.

Książę przedtem myślał, że to on miał dobry połów, ale jak przyszedł Król i pokazał swoją zdobycz, Książę spuścił nos na kwintę. Siedział w drukarni, gdzie wykonał dwie drobne roboty dla farmerów – wydrukował ogłoszenie o sprzedaży koni i wziął za nie cztery dolary. I przyjął ogłoszenia do gazety, które normalnie kosztowałyby dziesięć dolarów, ale on zgodził się umieścić je za cztery dolary pod warunkiem, że mu zapłacą z góry. I zapłacili. Prenumerata roczna kosztowała dwa dolary, ale on przyjął trzy nowe zgłoszenia po pół dolara od sztuki, także płatne z góry. Farmerzy chcieli mu zapłacić drzewem na opał i cebulą, jak zwykle; wtedy on im na to, że dopiero co kupił tę drukarnię i gazetę i postanowił możliwie jak najbardziej obniżyć ceny, ale będzie teraz brał tylko gotówkę. Kiedy farmerzy odeszli, złożył czcionkami z kaszty tekst małego wierszyka, który sam obmyślił – trzy linijki, dość nawet ładne i bardzo smutne, z takim tytułem: *Ach, zmiądz, zimny świecie, to serce krwawiące* Zostawił to tak gotowe do druku

w gazecie i nic sobie za to nie policzył. Razem uzbierał dziewięć i pół dolara i powiedział, że uczciwie je zapracował.

A potem pokazał nam jeszcze jedno ogłoszenie, za które od nikogo nie wziął pieniędzy, bo je wydrukował dla nas. Był to afisz z podobizną zbiegłego Murzyna, który trzymał kij przez ramię, a na tym kiju miał zatknięty węzełek. Pod spodem umieścił Książę napis: „200 dolarów nagrody”, a jeszcze niżej w tekście opisał Jima dokładnie i ze wszystkimi szczegółami. Na zakończenie było podane, że ten Murzyn uciekł zeszłej zimy z plantacji St. Jacques, czterdzieści mil poniżej Nowego Orleanu, i najpewniej skierował się na Północ. Ktokolwiek schwyta go i odeśle do właściciela, otrzyma nagrodę i zwrot wszystkich kosztów.

– W ten sposób – powiedział Książę – już od jutra będziemy mogli wedle naszej chęci płynąć dniem. Jak tylko zobaczymy, że się ktoś do nas zbliża, zwiążemy Jima powrozem, położymy go w wigwamie i pokażemy to ogłoszenie. Powiemy, żeśmy go schwytali w górze rzeki, a jesteśmy za biedni, żeby kupić miejsca na statku, więc pożyczylśmy od naszych przyjaciół tę tratwę i teraz jedziemy odebrać nagrodę. Kajdany i łańcuchy wyglądałyby lepiej, ale jakoś nie pasowałyby to do tej naszej biedy. Kajdanki nadto przypominają bransolety. Powróż jest właściwszy. Musimy pamiętać o trzech jednościach, jak się to mówi w teatrze.

Wszyscyśmy przyznali, że Książę jest nadzwyczajnie sprytny i że teraz bez żadnych kłopotów będziemy mogli płynąć dniem. Przypuszczaliśmy, że tej nocy zdołamy przepłynąć tyle mil, żebyśmy się mogli nie obawiać awantury, jaka wybuchnie z pewnością w miasteczku na skutek pracy Księcia w drukarni; a potem, jeżeli zechcemy, będziemy mogli walić dalej także w dzień.

Schowaliśmy się i do godziny dziesiątej nie wytykaliśmy nosa z kryjówki; a potem przepłynęliśmy mimo miasteczka w możliwie największej odległości od brzegu i nie wywieszaliśmy latarni, dopóki nam światła całkiem nie znikły z oczu.

O czwartej Jim obudził mnie na wachtę i pyta:

Jak myślisz, Huck, czy natkniemy się jeszcze na jakich królów po drodze?

– Nie – odparłem. – Chyba nie.

– No to się cieszę – powiedział. – Nie mam nic przeciwko jednemu czy dwóm królom, ale to mi całkiem wystarczy. Ten tutaj spił się paskudnie, a Księciu też niewiele brakuje.

Jak się potem dowiedziałem, Jim próbował z czystej ciekawości namówić Króla, żeby mu powiedział coś po francusku, ale Król odparł, że tyle lat mieszka w Ameryce i tyle miał kłopotów na głowie – jednym słowem, całkiem wszystko zapomniał!

Przygoda w Arkansaw

Było już po wschodzie słońca, ale my nie zatrzymując się płynęliśmy dalej. Niezadługo Król i Księżę wstali i wyszli z wigwamu; wyglądali – muszę powiedzieć – okropnie, ale skoczyli do wody i kąpiel bardzo ich orzeźwiła.. Po śniadaniu Król usiadł w rogu tratwy, zdjął buty, podwinawszy nogawki spodni spuścił nogi do wody, zapalił fajkę i tak usadowiony wygodnie kuł na pamięć swojego *Romea i Julią*. Kiedy już się jako tako poduczył, zaczęli obaj z Księciem przepowiadać swoje role. Księżę uczył go i uczył w kółko, jak należy wypowiadać każde zdanie, kazał Królowi wzdychać i kłaść rękę na sercu, a po jakimś czasie powiedział, że mu to wychodzi całkiem nieźle. – Tylko – dodał – nie wrzeszcz „Romeo”, zupełnie jakby to było grzmienie bawołu. Mów cicho, łagodnie, tęskno, o tak: „R-o-o-meo!” Bo Julia, rozumiesz, to śliczne, trwożliwe dziewczątko, więc co by to było, jakby nagle zaczęła ryczeć niczym osioł.

Kiedy skończyli z Julią, wzięli do rąk miecze, które Księżę wystrugał z długich szczap dębowych, i zaczęli ćwiczyć walkę – Księżę nazywał siebie Ryszardom III. Nie mogłem od nich oczu oderwać, jak wymieniali ciosy i hycali tu i tam po całej tratwie. Ale nagle Król się potknął i wpadł do wody, więc postanowili odpocząć i gawędzili sobie o najróżniejszych przygodach, jakie im się dawniej przydarzały w miastach i miasteczkach nad rzeką. Po obiedzie Księżę powiedział:

– Słuchaj no, Kapet, to nasze przedstawienie musi być pierwsza klasa, więc myślę, że trzeba będzie dodać jeszcze jakiś numer. Tak czy inaczej musimy przygotować coś na bis.

– A co to jest bis, Mości Księżę?

Księżę mu wytłumaczył, a potem dodał:

– Ja dam na bis taniec szkocki albo marynarski. A ty, Majestacie – zaraz, niech pomyślę... już wiem! Zadeklamujesz monolog Hamleta.

– Co Hamleta?

– Przecież mówię: monolog. Najstynniejszy kawałek w całym Szekspirze. Ach, jakież to wzniosłe, szlachetne! Zawsze porywa widownię. Nie mam tu Hamleta, został mi ze zbioru tylko jeden tom. Ale chyba potrafię powiedzieć monolog z głowy. Pochodzę sobie trochę i spróbuję

przywołać zapomniane słowa z odmętów pamięci.

Zaczął więc chodzić tam i z powrotem po tratwie, myślał, myślał i co jakiś czas marszczył się straszliwie; potem nagle podnosił do góry brwi; potem przyciskał rękę do czoła, zataczał się tak jakoś do tyłu i jakby jęczał; później wzdychał, a jeszcze później łza potoczyła mu się po policzku. Ach, co to był za widok! Niedługo wszystko sobie przypomniał. Powiedział, żebyśmy dobrze uważali. A potem przybrał nadzwyczajnie szlachetną postawę: stał z nogą wysuniętą naprzód, z ręką wyciągniętą do góry, z głową odrzuconą do tyłu i oczami wpatrzonymi w niebo. I jak nie zacznie ciskać się i wściekać, i zgrzytać zębami! A kiedy już mówił, cały czas łkał i robił miny, i wypinał pierś. Pobił na łeb wszystkich aktorów, jakich w życiu widziałem. Zapamiętałem słowa bez większego trudu, kiedy Księżę pakował je Królowi do głowy. Taki był ten monolog:

*Być albo nie być, oto goły sztylet,
Który jest klęską długiego żywota.
Bo któż by zniósł brzemie, póki Las Birnamski
Sam nie podejździe do bram Dunzyny,
Gdyby nie lęk, że coś po naszej śmierci
Morduje sen nasz niewinny i każe
Raczej umykać przed strzałami losu
Niżli się chronić w świat obcy, nieznany.
Tak to szacunek każe nam się wstrzymać.
O, zbudź pukaniem Dunkana, bo któż by
Ścierpła pogardę i zniewagi świata,*

*Krzywdę ciemiezcy, obelgi dumnego,
Odwłokę prawa i kres, co jest celem
W śmiertelnej pustce nocy, gdy cmentarze
Stoją otworem w czerni uroczystej,
Gdyby nie kraj ten, skąd nikt nie powraca
I na świat zionie straszliwą zarazą!
Tak to odwaga, niby kot w przysłowiu,
Blednie pod wpływem wahań i te chmury,*

*Co tak obwisły nad dachami domów,
Zbite z wytkniętej kolei, tu tracą
Nazwisko czynu. O, taki kres byłby
Najpożądańszym celem. Ha – co widzę,
Piękna Ofelio, ty szczęk nie rozdziawiaj,
Idź do klasztoru, waćpanno, bądź zdrowa!*

Hm, monolog staruszkowi bardzo się spodobał i bardzo prędko tak się go obkuł, że mówił wszystko bez zająknienia. Można było pomyśleć, że jest do tego – jak to mówią – stworzony. A kiedy przepowiadał sobie słowa, aż go czasem ponosiło i zaczynał w nadzwyczajny sposób rzucać się i ciskać, i wierzgać nogami.

Przy pierwszej okazji, jaka nam się nadarzyła, Książę wydrukował kilka ogłoszeń o tym przedstawieniu; a potem przez parę dni płynęliśmy sobie z prądem i ruch, i harmider był na tratwie po prostu nieprawdopodobny – nic tylko od rana do nocy walka na miecze i próby, jak je Książę nazywał. Jednego ranka, kiedyśmy się znajdowali chyba już gdzieś w środku stanu Arkansaw, zobaczyliśmy na głębokim zakręcie rzeki jakąś małą miejscinę. Przybiliśmy do brzegu mniej więcej ćwierć mili powyżej, w samym ujściu rzeczulki tak zarośniętej cyprysami, że wyglądała jak tunel, i wszyscy prócz Jima pojechaliśmy czólnem do miasteczka. Książę powiedział, że jeżeli się da, urządzimy tam przedstawienie.

Trafiliśmy szczęśliwie, bo właśnie tego popołudnia dawał przedstawienie cyrk i wieśniacy z okolicznych ferm zaczęli się już zjeżdżać konno albo na najrozmaitszych starych i rozklekotanych wozach. Dowiedzieliśmy się, że cyrk wyjedzie przed wieczorem, więc nasz Szekspir miał całkiem niezłe widoki. Książę wynajął salę sądu, a potem poszliśmy rozlepić afisze. Tak było w nich napisane:

**ODRODZENIE SZEKSPIRA !!! NADZWYCZAJNE NIESPODZIANKI !!! TYLKO JEDNO
P R Z E D S T A W I E N I E I !!!**

SŁYNNI NA CAŁY ŚWIAT TRAGICY:

DAWID GARRICK młodszy z Teatru Drury Lane w Londynie

oraz

EDMUND KEAN Starszy z. Królewskiego Teatru w Haymarket, White Ghapel, Pudding Lane, Piccadilly oraz z Królewskich Kontynentalnych Teatrów wystąpią w pięknym szekspirowskim przedstawieniu zatytułowanym:

SCENA BALKONOWA Z ROMEA I JULII !!!

Romeo JWP *Garrick*

Julia JWP *Keon*

Przy współudziale całego zespołu Nowe kostiumy, nowe dekoracje, nowe siły.

W tym samym programie;
Porywająca, mistrzowska, mroząca krew w żyłach

WALKA NA MIECZE Z RYSZARDEM !!!

Ryszard III JWP *Kean*

Richmond JWP *Garrick*

Ponadto:
(na specjalne życzenie)

NIEŚMIERTELNY MONOLOG HAMLETA !!!

w wykonaniu niezrównanego *Keana*, który występował w tej roli trzysta razy pod rząd w Paryżu!

Z powodu naglących umów z teatrami europejskimi odbędzie się
TYLKO JEDNO PRZEDSTAWIENIE !!!

Wstęp dwadzieścia pięć centów. Dzieci i służba dziesięć centów.

Potem zaczęliśmy się włóczyć po miasteczku. Ulice były zabudowane prawie samymi starymi rudarami ze spękanego drewna, których nikt nigdy nie malował, i te rudery stały na słupkach wysokości jakich trzech czy czterech stóp, żeby ich nie zalewała woda podczas powodzi. Dookoła domów były małe ogródki, ale zdaje się, że mieszkańcy niewiele w nich hodowali

oprócz chwastów, słoneczników, kup popiołu, starych trzewików, potłuczonych butelek, szmat i dziurawych garnków. Płoty były sklecone z desek najrozmaitszego wyglądu, przybitych w najrozmaitszym czasie, i przechylały się na wszystkie możliwe strony; w tych płotach były furtki, które wisiały przeważnie tylko na jednym zawiasie zrobionym z rzemienia. Niektóre z tych płotów były kiedyś bielone wapnem, ale Księżę powiedział, że pewnie jeszcze za czasów Kolumba. Chyba miał rację. Prawie we wszystkich ogródkach wylegiwały się świny, które ludzie stamtąd wyganiali.

Sklepy znajdowały się na jednej ulicy. Stały przed nimi daszki z białego płótna rozpięte na słupkach, do których wieśniacy przywiązywali konie. W cieniu płóciennych daszków ustawione były puste skrzynki po towarach, a na tych skrzynkach siedziały jak dzień długi miejscowe obibruki i wycinały coś tam na nich swoimi składanymi nożami; poza tym obibruki te żuły tytoń, rozdziawiały gęby, ziewały i przeciągały się – okropnie pospolita zgraja! Prawie wszyscy mieli na głowach żółte kapelusze ze słomy, chyba tak szerokie jak parasole, ale nie nosili ani kamizelek, ani surdutów. Na imię było im przeważnie Bill albo Buck, albo Hank, albo Joe, albo Andy; mówili tak jakoś leniwie i przeciągali słowa, a przekleństw używali nadzwyczajnie dużo. O każdy słupek od płóciennego daszka opierał się jeden taki obibruk, który najczęściej trzymał ręce w kieszeniach spodni, chyba że je wyciągał, żeby pożyczyć od drugiego szczyptę tytoniu albo żeby się podrapać. A jak było posłuchać, mówili wciąż o tym samym:

– Hej, Hank, daj no mi szczyptę tytoniu.

– Coś ty! Została mi już tylko jedna prymka. Idź do Billa. Może Bill dał Hankowi szczyptę tytoniu, a może zełgał, że nie ma. Niektórzy z tych ludzi nie mają nigdy centa przy duszy i szczypty własnego tytoniu w kieszeni, a żują prymkę tylko wtedy, kiedy im się uda pożyczyć. Powiadają na przykład: – Mógłbyś mi tak pożyczyć z jedną prymkę, Jack. Jak pragnę zdrowia, ostatni kawałek oddałem Benowi Thompsonowi – co jest prawie zawsze kłamstwem. Nikt się na to nie nabierze, chyba że jest w tych stronach obcy. Ale Jack nie jest przecież obcy, więc odpowiada:

– Tyś pożyczył Benowi prymkę! A jakże! Wujeczny brat twojego ciotecznego dziadka też mu pożyczył! Oddaj mi ten tytoń, któryś ode mnie wycygał, to ci pożyczę kilka ton i nawet nie zażadam procentu.

– No, przecież część ci oddałem.

– Aha. Oddałeś pewnie ze sześć prymek; Pożyczyłeś tytoń sklepowy, a oddałeś „murzyńskie

łepki”.

Tytoniem sklepowym nazywają tu płaskie czarne kostki prasowanego tytoniu, ale ludzie ci żują najczęściej „murzyńskie łepki”, czyli zwykły liść mocno zwinięty. Kiedy pożyczają sobie „szczyptę” tytoniu, przeważnie nie dzielą prymki nożem, tylko pakuja ją między zęby i gryzą, i szarpią rękami, dopóki jej nie przepołowią; a wtedy bywa, że jak zwrócą prymkę właścicielowi, ten spogląda na nią żałośnie i powiada bardzo zgryźliwym tonem:

– Słuchaj no, a może ty byś tak wziął szczyptę, a ja prymkę?

Na wszystkich ulicach i drózkach miasteczka było strasznie dużo błota. Tak naprawdę to było na nich samo błoto, błoto czarne jak smoła i gdzieniegdzie głębokie prawie na stopę, a wszędzie głębokie na kilka cali. Po ulicach wałęsały się świny i głośno chrząkały. Czasem jaka ubłocona maciora z gromadką prosiaków szła najpierw leniwie ulicą, a potem rozwalala się na samym środku drogi, tak że ludzie musieli ją obchodzić, i zaczynała wyciągać się, i zamykać ślepia, i strzyc uszami. Tymczasem prosiaki zabierały się do ssania, a ona robiła takie rozradowane miny, jakby jej kto za to płacił. Potem nagle jeden z obibruków zawołał: – Weź ją, Tige! Huzia! Huzia! – i maciora w nogi kwicząc przeraźliwie, a za nią jeden czy dwa psy uczone jej uszu; z daleka biegło jeszcze najmniej kilkadziesiąt kundli. Wtedy wszystkie obibruki zrywały się na nogi, spoglądały za maciorą i psami, dopóki całe bractwo nie znikło im z oczu, i śmiały się do rozpuku, że to takie śmieszne, i cieszyły się, że było tyle jazgotu. A potem siadały znowu na pustych skrzyniach i siedziały tak, dopóki nie zdarzyła się jakaś walka psów. Nic na świecie nie mogłoby ich tak rozruszać ani nic na świecie nie sprawiało im takiej przyjemności jak walka psów, chyba że udało im się oblać terpentyną i podpalić jakiegoś bezpańskiego kundla albo przywiązać mu do ogona cynową patelnię i patrzeć, jak biega i biega w kółko, aż się zabiega na śmierć.

Niektóre domy nad rzeką stały na samym skraju urwistego brzegu, pochylone i wykrzywione – widać było, że lada dzień runą w dół do wody. Ludzie wyprowadzili się z nich. Pod węglami kilku innych domów brzeg już się obsunął i te węgły sterczały teraz w powietrzu. Ludzie jeszcze w nich mieszkali, co było bardzo niebezpieczne, bo czasem za jednym zamachem obsuwał się skrawek ziemi szerokości domu. Bywa, że pas ładu głęboki na ćwierć mili obsuwa się i obsuwa po trochu, aż w końcu w ciągu jednego lata wszystko zapada się do wody. Takie miasteczka jak to muszą ciągle cofać się i cofać, i cofać w głąb ładu, bo rzeka wciąż im wrywa ziemię po kawałku.

Im bliżej było południa, tym ciaśniej się robiło na ulicach od koni i wozów, których wciąż

przybywało. Ludzie przywozili ze sobą prowianty i teraz pałaszowali je na wozach, że aż im się uszy trzęsły. Wódki sobie nie skąpili, więc widziałem trzy ciekawe bójki. Nagle ktoś zawołał:

– Patrzcie, jedzie stary Boggs! Już go przyniosło do miasta, raz na miesiąc musi sobie popić zdrowo! Jedzie Boggs, chłopcy!

Wszystkie obibruki miały teraz bardzo zadowolone miny. Pomyślałem, że widocznie przywykli bawić się kosztem starego Boggsa. Jeden powiedział:

– Ciekawym, kogo Boggs dzisiaj postanowił ukatrupić. Gdyby tak ukatrupił wszystkich, którym to obiecywał w ciągu ostatnich dwudziestu lat, miałby teraz niezgorszą reputację.

A drugi dodał: – Chciałbym, żeby tak Boggs zaczął mi grozić, bobym wtedy wiedział, że nie wyciągnę nóg przez najbliższe tysiąc lat.

Boggs zbliżał się galopem, pohukując i wrzeszcząc całkiem jak Indianin, i wykrzykiwał na prawo i lewo:

– Hej, z drogi tam! Jestem na wojennej ścieżce i cena trumien w mig podskoczy!

Wypić musiał dużo i teraz kolebał się w siodle na wszystkie strony; miał lat ponad pięćdziesiąt, na twarzy był strasznie czerwony. Wszyscy coś tam do niego wołali i śmieli się z niego, i dogryzali mu, a on im się odgryzał i przyrzekał, że się nimi zajmie i we właściwej porze kolejno ich pozabija, ale teraz nie ma na to czasu, bo przyjechał do miasta ukatrupić pułkownika Sherburna, a przywykł jadać zawsze wedle zasady: „Najpierw solidny kawał mięsa, a na deser lekkie potrawy”.

Zobaczył mnie. Podjechał bliżej i pyta:

– Skąd się tu wzięłeś, chłopcze? Wiesz, że cię czeka śmierć?

Potem odjechał. Strasznie się bałem, ale jakiś człowiek koło mnie powiada:

– Nie mówi tego serio. Zawsze tak udaje, kiedy jest pijany. To najzacniejszy dureń w całym Arkansaw – trzeźwy czy pijany nie skrzywdziłby muchy.

Boggs osadził konia przed największym sklepem w miasteczku; schyliwszy głowę zajrzał pod płócienny daszek i wrzasnął:

– Pokaż no się, Sherburn! Wyjdź i spójrz w oczy człowiekowi, któregoś oszukała! Po ciebie przyjechałem, nędzny psie! Nie umkniesz mi tym razem!

I tak wrzeszczał dalej, obrzucając Sherburna wszystkimi wyzwiskami, jakie mu ślina na język przyniosła, a ludzie stłoczeni na ulicy słuchali i ryczeli ze śmiechu, i świetnie się bawili. Po jakimś czasie stanął na progu mężczyzna pięćdziesięcioparoletni, o niezwykle dumnym

wyglądzie (ubrany o niebo lepiej niż wszyscy inni mężczyźni w miasteczku), a jak wyszedł przed sklep, ludzie rozstąpili się przed nim. Przystanął i powiada do Boggsa bardzo spokojnie i całkiem bez pośpiechu:

– Dość mam tego. Ale poczekam do godziny pierwszej. Pamiętaj – do pierwszej, nie dłużej. Jeżeli po tym czasie powiesz jedno jedyne słowo, które mi ubliży, znajdę cię, choćbyś uciekł na koniec świata.

Potem obrócił się na pięcie i odszedł. Tłum jakby nagle wytrzeźwiał; ludzie stali bez ruchu i nikt się już nie śmiał. Boggs, urągając Sherburnowi na całe gardło, odjechał na sam koniec ulicy, ale po chwili już był z powrotem, znowu zatrzymał się przed sklepem Sherburna i dalej kłął go w najokropniejszy sposób! Otoczyło go kilku mężczyzn, namawiali, żeby się uspokoił, ale on nie chciał; tłumaczyli mu, że jest za piętnaście pierwsza, więc musi pójść sobie stąd, natychmiast musi odjechać. Ale mogli byli z równym powodzeniem rzucać groch o ścianę. Boggs przeklinał dalej i wrzeszczał z całej siły, zerwał kapelusz z głowy, cisnął go w błoto, stratował koniem, a po chwili znowu pogalopował wściekły ulicą, aż białe włosy fruwały mu na wietrze. Po drodze, kto tylko mógł się do niego zbliżyć, próbował łagodnością i podstępem ściągnąć go z konia, bo wtedy udałoby się może, wziąć go pod klucz i trzymać, póki całkiem nie wytrzeźwieje.

Ale nic z tego, po chwili znowu, wracał i zaczynał wymyślać Sherburnowi. Wtem ktoś zawołał:

– Lećcie po jego córkę! Prędko, lećcie po nią; bywa, że jej się posłucha. Ona jedna potrafi mu czasem przemówić do rozumu.

Ktoś pobiegł po córkę Boggsa. Przeszedłem kawalek ulicą i przystanąłem. Po pięciu czy dziesięciu minutach patrzę, a tu znowu zbliża się Boggs, ale nie na koniu, tylko pieszo. Idzie ulicą w moim kierunku bez kapelusza, prowadzi go dwóch mężczyzn, którzy trzymają go pod ręce i przynaglają do pośpiechu. Boggs milczy teraz i minę ma taką jakąś niewyraźną; i wcale, ale to wcale im się nie opiera – przeciwnie, sam dość szybko wrywa naprzód. Nagle rozległ się czyjś głos:

– Boggs!

Obejrzałem się, żeby zobaczyć, kto to woła, i zobaczyłem tego pułkownika Sherburna. Stał nieruchomo na środku ulicy z pistoletem w prawej ręce, ale nie mierzył do nikogo, lufę trzymał podniesioną do góry. W tej samej sekundzie zobaczyłem młodą dziewczynę biegnącą w kierunku Boggsa, a z nią dwóch mężczyzn. Boggs i jego dwaj przyjaciele odwrócili się, żeby zobaczyć,

kto to woła. Kiedy mężczyźni spostrzegli pistolet w ręce Sherburna, odskoczyli na bok; lufa pistoletu opuszczała się i opuszczała w dół, póki nie znalazła się na linii poziomej, z dwoma kurkami odwiedzionymi. Boggs wyrzucił obie ręce nad głowę i powiedział:

– O Boże... nie strzelaj!

Tr-r-r-ach! – zagrzmiął pierwszy strzał i Boggs zatoczył się do tyłu bijąc rękami powietrze. Tr-r-r-ach! – huknął drugi strzał i Boggs runął na plecy – ciężko, że aż jęknęła ziemia; upadł z rękami rozkrzyżowanymi. Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie, rzuciła się naprzód i przypadła do ojca szlochając: – Och, zabił go! Zabił! – Tłum otaczał ich kołem, i ludzie rozpychali się łokciami, i potracali, i wyciągali szyje, żeby tylko zobaczyć, a ci, co byli w środku, odpychali ich wołając: – Cofnąć się! Do tyłu! Trzeba mu powietrza, nie ma czym oddychać!

Pułkownik Sherburn cisnął pistolet na ziemię, obrócił się na pięcie i odszedł.

Zanieśli Boggsa do małej apteki, a gdy szli dźwigając go, tłum dalej napierał ze wszystkich stron i całe miasteczko ciągnęło za nimi. Pobiegłem, wyprzedziłem innych i zdobyłem świetne miejsce przy samiutkiej szybie, gdzie wszystko dokładnie widziałem. Położyli go na podłodze, pod głowę wsunęli mu jedną wielką Biblię, a drugą, otwartą, umieścili na piersiach rozerwawszy w pierw koszulę, więc widziałem ranę od kuli. Boggs odetchnął kilkanaście razy – przy czym Biblia podnosiła się do góry, kiedy wciągał do płuc powietrze, i opadała, kiedy je wypuszczał – a potem znieruchomiał. Umarł. Wtedy siłą oderwali od niego córkę, chociaż strasznie zawodziła i płakała, i wyprowadzili ją z apteki. Miała lat chyba szesnaście i śliczną, miłą buzię, ale teraz była okropnie blada i zrozpaczona.

Bardzo niedługo zbiegło się pod aptekę całe miasteczko i ludzie przepychali się w tłumie, odtrącali innych, żeby dostać się do okna i spojrzeć na Boggsa, ale ci, co byli najbliżej, ani myśleli im ustąpić miejsca, więc tamci do nich wołali: – Hej, wy tam, napatrzyliście się już dosyć! To niesprawiedliwe i nieuczciwe, że tak stoicie cały czas przy oknie i nie puszczacie nikogo. My też mamy swoje prawa...!

Zaczęli sobie bardzo ostro przygadywać, więc zląkłem się, że będzie jakaś awantura, i wyśliznąłem się z tłumu. Na ulicach aż było czarno od ludzi, wszyscy strasznie podnieceni. Kto widział strzelaninę, opisywał ją teraz dokładnie i koło każdego takiego człowieka zbierało się mnóstwo gapiów nadstawiających uszu i wyciągających szyje. Jakiś długi i chudy jegomość z długimi włosami, w śmiesznym wysokim białym kapeluszu i z laską o zakrzywionej ręczce naznaczył na ziemi najpierw to miejsce, gdzie stał Boggs, potem to, gdzie stał Sherburn, i ludzie

chodzili za nim krok w krok, obserwowali każdy jego ruch, kiwali głowami na znak, że rozumieją, przystawali na chwilę i pochylali się z rękami wspartymi o uda, żeby lepiej widzieć, jak ten człowiek znaczy laską ślady na ziemi. Potem stanął sztywny i wyprostowany w miejscu, gdzie przedtem stał Sherburn, zsunął kapelusz na oczy, zmarszczył się okropnie i wrzasnął: – Boggs! – Potem powoli opuścił laskę do linii poziomej, zawołał: – Tr-r-r-ach! – i zatoczył się do tyłu, powtórnie zawołał: – Tr-r-r-ach! – i runął na ziemi brzuchem do góry. Ludzie, którzy widzieli strzelaninę na własne oczy, powiadali, że zrobił to znakomicie; że wszystko odbyło się dokładnie w taki sposób. Najmniej dwunastu ludzi wyciągnęło z kieszeni butelki i dalej częstować go wódką.

Potem nagle ktoś powiedział, że Sherburna powinno się zlinczować. Po jakiejś półminucie wszyscy to wołali i tłum ruszył z miejsca, strasznie rozwścieczony i rozwrzeszczany; po drodze ludzie zrywali wszystkie sznury od bielizny, jakie im wpadły w rękę, żeby na nich powiesić Sherburna.

Dlaczego nie doszło do linczu

Walili ulicą w stronę domu Sherburna wrzeszcząc i rycząc, i wściekając się niczym zgraja Indian; wszystko, co żyło, musiało przed nimi uciekać, bo inaczej deptali i tratowali, i od samego widoku robiło się człowiekowi straszno. Dzieciaki biegły przodem płacząc i próbując zejść im z drogi, a w każdym oknie pełno było kobiet, na każdym drzewie siedzieli chłopcy murzyńscy, zza każdego płotu wyglądali Murzyni i Murzynki – kiedy tłum się do nich zbliżał, uciekali w ogromnym popłochu. Niektóre kobiety i dziewczęta płakały i załamywały ręce prawie nieprzytomne ze strachu.

Tłum zatrzymał się przed ogrodzeniem domu Sherburna zbity najciaśniej, jak było to możliwe, a wrzawa była taka, że człowiek nie słyszał, co do siebie mówi w myślach. Podwórze miało najwyżej dwadzieścia jardów szerokości. Ktoś wrzasnął: – Zwalić płot! Zwalić płot! – i nic już nie było słychać tylko huk i chrzęst, i trzask łamanych desek; płot znikł i pierwsze szeregi runęły na podwórze jak fala po zerwaniu tamy.

W tej samej chwili Sherburn z dubeltówką pod pachą wyszedł na dach małego ganku i stanął tam strasznie spokojny i stanowczy, nie mówiąc słowa. Harmider ucichł i tłum cofnął się trochę.

Sherburn dalej milczał i tylko stał patrząc w dół na ludzi. Cisza była jakaś okropnie męcząca i przykra. Sherburn nie śpiesząc się wodził oczami po tłumie, a ci, na których spojrzał, próbowali nawet wytrzymać jego wzrok, ale w żaden sposób nie mogli – zaraz spuszczały oczy i miały zawstydzone miny. A potem Sherburn tak jakby się roześmiał, ale ten śmiech nie był wcale wesoły, tylko – wiecie – taki, co to słysząc go człowiek ma uczucie, że je chleb pomieszany z piaskiem.

Potem Sherburn zaczął mówić bardzo wolno i pogardliwie:

– Pomyśleć tylko, że wy mielibyście kogoś zlinczować! Zabawne. Wydaje wam się, że jesteście dość dzielni, żeby zlinczować mężczyznę! Sama taka myśl jest śmieszna. Ponieważ starcza wam odwagi, żeby nurzać w smole i tarzać w pierzu biedne, bezbronne upadłe kobiety,

które przyjadą do tej miejsciny, wydaje wam się, że jesteście dość odważni, żeby podnieść rękę na mężczyznę! Gdzie tam! Mężczyzna jest bezpieczny w rękach dziesięciu tysięcy tchórzów w waszym rodzaju – póki jest dzień i nie zajdziecie go od tyłu. Czy ja was znam? O tak, znam was aż za dobrze. Urodziłem się i wychowałem na Południu, a potem mieszkałem na Północy, więc poznałem dobrze przeciętnego człowieka w naszym kraju. Przeciętny człowiek jest tchórzem. Na Północy pozwala sobie pluć w twarz każdemu, kto ma na to chęć, a potem idzie do domu i modli się, żeby mu Bóg pozwolił znieść obelgę w pokorze. Na Południu jeden jedyny mężczyzna bez niczyjej pomocy zatrzymał w biały dzień dyliżans pełen ludzi i wszystkich obrabował. Wasze gazety tak często nazywają was ludźmi odważnymi, że w końcu uwierzyliście, że jesteście odważniejsi od innych; a tymczasem macie w sobie tyle samo odwagi, ani krztyny więcej. Dlaczego wasi sędziowie nie wieszają morderców? Ponieważ boją się, że przyjaciele mordercy strzelą im w plecy ciemną nocą zza węgła —co by się też niechybnie stało. Dlatego wydają zawsze wyrok uniewinniający; a potem jeden mężczyzna wychodzi w ciemną noc z setką zamaskowanych tchórzów i linczuje zbrodniarza. Popełniliście błąd, że nie przyprowadziliście tu ze sobą mężczyzny; to jest pierwszy błąd. A drugi, że nie przyszliście nocą i w maskach. Przyprowadziliście tu, co prawda, półmężczyznę – o, tego tam Bucka Harknessa – i gdybyście go ze sobą nie mieli, skończyłoby się wszystko na krzyku. Nie chcieliście tu przyjść. Przeciętny człowiek nie lubi awantur i niebezpieczeństwa. Wy też ich nie lubicie. Ale niech tylko taki półmężczyzna jak Buck Harkness wrzaśnie; – Zlinczować! Zlinczować! – a boicie się go odstąpić, boicie się, że wyjdzie na jaw, kim naprawdę jesteście – tchórzami. Czepiacie się więc poły tego półmężczyzny i biegniecie rozwścieczeni przechwalając się po drodze, jakich to wielkich czynów dokonacie! Tłum to jedna z najbardziej godnych litości rzeczy na świecie; armia też jest tłumem. Żołnierze nie walczą z odwagą zrodzoną z nich samych, tylko czerpią ją ze swej masy, zapożyczają od swoich oficerów. Ale tłum bez mężczyzny na czele nie zasługuje nawet na litość. A teraz radzę wam: podtulcie pod siebie ogony, idźcie do domu i zaszyjcie się w najciemniejszy kąt. Jeżeli dojdzie do prawdziwego linczu, odbędzie się on po ciemku, jak to zwykle na Południu; a ci, co przyjdą, będą w maskach i przyprowadzą ze sobą mężczyznę. Idźcie już i weźcie ze sobą swojego półmężczyznę. – Wypowiadając te słowa przerzucił lufę strzelby przez lewe ramię i odwiódł kurek.

Tłum cofnął się gwałtownie, a potem rozproszył i rozbiegł na wszystkie strony. Buck Harkness biegł za innymi, a minę miał strasznie zawstydzoną. Mogłem zostać, jakbym chciał, ale

nie chciałem.

Zacząłem teraz kręcić się w pobliżu cyrku, ale nie przy wejściu, tylko z tyłu, i czekałem, aż oddali się dozorca; wtedy dałem nura pod płótno. Miałem w kieszeni moje dwadzieścia złotych dolarów i poza tym trochę innych pieniędzy, ale pomyślałem, że powinienem oszczędzać, bo czy to człowiek może przewidzieć, kiedy mu pieniądze będą potrzebne, jak znajdzie się między obcymi, z daleka od domu? W takim wypadku należy postępować bardzo roztropnie. Osobiście nie jestem przeciwny wydawaniu pieniędzy na cyrk, kiedy nie ma innego sposobu; ale po co bez potrzeby marnować pieniądze na kupno biletu?

Cyrk był naprawdę morowy. Był to chyba najwspanialszy widok na świecie, kiedy tak wszyscy wyjechali na arenę parami – pan i pani ramię przy ramieniu. Mężczyźni tylko w spodniach i podkoszulkach, bez butów i bez strzemion, opierali ręce o uda całkiem swobodnie i lekko. Musiało ich być razem ze dwadzieścioro. Wszystkie panie miały śliczną cerę i były strasznie piękne – wyglądały zupełnie jak prawdziwe, wcale nie udawane królowe, ubrane były w suknie, które musiały kosztować miliony dolarów – dosłownie obsypane brylantami! Co za widok! W życiu nie widziałem czegoś tak pięknego. A potem kolejno podnosili się i stawali w siodle, i galopowali dookoła areny tak jakoś płynnie i wiotko, i z wdziękiem – mężczyźni wydawali się tacy wysocy i smukli, głowy tylko śmigły im gdzieś tam hen, pod dachem namiotu; suknie podobne do płatków róży powiewały delikatnie i miękko dokoła bioder pań, tak że każda wyglądała niczym najpiękniejszy na świecie parasol.

Galopowali coraz prędzej i prędzej, i wszyscy tańczyli na siodłach – najpierw machali jedną nogą w powietrzu, potem drugą, a konie w biegu coraz bardziej kładły się na boki, treser coraz szybciej i szybciej kręcił się dookoła słupa pośrodku areny, tnąc w powietrzu batem i wołając: – Hop! Hop! – a błazen za jego plecami stroił rozmaite miny. Po jakimś czasie wszyscy wypuścili lejce i panie oparły ręce na biodrach, a panowie skrzyżowali ramiona na piersiach – i żebyście wiedzieli, jak wtedy konie kładły się na boki i jak galopowały! Potem jedno po drugim zeskakiwali na ziemię, kłaniali się tak pięknie, że czegoś podobnego na oczy nie widziałem, i wybiegali z areny. Ludzie klaskali i niewiele brakowało, a chyba oszaleliby z zachwyty.

Potem aż do końca pokazywali same zdumiewające rzeczy i cały czas błazen wyprawiał żarty, i ludzie o mało co nie popękali ze śmiechu. Dyrektor cyrku wcale się nie mógł do niego odezwać, bo błazen w mig mu się odgryzał, i to w najśmieszniejszy sposób na świecie. Jak się to działo, że umiał wymyślić tyle dowcipnych odpowiedzi i w dodatku tak na poczekaniu, i takich stosownych

tego zupełnie nie mogłem zrozumieć. Choćbym myślał rok, też bym niczego takiego nie wymyślił. A potem przyszedł jakiś pijak i próbował wejść na arenę – koniecznie chciał przejechać się konno. Powiedział, że jest najlepszym jeźdźcom na świecie. Wybuchła kłótnia, bo cyrkowcy próbowali go zatrzymać, ale on ich nie słuchał i całe przedstawienie utknęło w miejscu. Ludzie zaczęli mu wymyślać i nabijać się z niego, co go strasznie rozzłościło, więc jak się nie zacznie szarpać i ciskać! To znowu rozwścieczyło ludzi – tu i tam mężczyźni wstawali z ławek i zbiegali w dół na arenę wołając: – W łeb go! Za drzwi! – Słysząc było płacz kilku kobiet. Wtedy dyrektor cyrku wygłosił małe przemówienie; powiedział, że wolałby uniknąć nieporządku, więc jeżeli obcy mężczyzna przyrzeknie zachowywać się przyzwoicie, pozwoli mu dosiąść konia, o ile – naturalnie – potrafi utrzymać się w siodle. Na to wszyscy wybuchnęli śmiechem i powiedzieli że zgoda, a pijak zaczął gramolić się na konia. A jak tylko siadł mu na grzbiet, koń zaczął wierzgać i brykać, i rzucać zadem; dwaj posługacze cyrkowi uwiesili się uzdy próbując osadzić konia w miejscu, a pijak objął go za szyję i co koń da susa, pijak bije piętami w powietrzu. Wszyscy zerwali się na nogi, ludzie wrzeszczeli i ryczeli ze śmiechu, aż im łzy ciekły po twarzach. W końcu koń wyrwał się posługaczom i zaczął śmigać dookoła areny. Gnał, jakby go wszystkie diabły goniły, a ten głupiec leżał mu na grzbiecie, uczepony grzywy, i najpierw tak się obsuwał na jedną stronę, że nogą prawie dotykał ziemi, a potem drugą nogą prawie dotykał ziemi i ludzie po prostu szaleli ze śmiechu. Ale mnie wcale nie było do śmiechu; aż się trząsnę, bo widziałem, w jakim ten pijak jest niebezpieczeństwie. Po chwili wygramolił się jakoś z leżącej, pozycji, siadł okrakiem i chwycił cugle, ale kolebał się na wszystkie strony. Nagle podskoczył do góry, puścił cugle i stanął. A koń gnał jak szalony. Pomyślcie – stał na grzbiecie i płynął sobie w powietrzu dookoła areny swobodnie i pewnie, jak gdyby nigdy w życiu nie był pijany – a potem nagle zaczął się rozbierać i odrzucać precz odzienie. Zrzucał tak jedną sztukę po drugiej, aż prawie się od nich zrobiło ciemno w powietrzu – wszystkiego razem zdjął z siebie siedemnaście ubrań. I teraz stał na grzbiecie konia smukły i przystojny, ubrany w najjaskrawszy i najśliczniejszy kostium, jaki w życiu widziałem; zaciął konia szpicrutą i koń jakby frunął w powietrzu dookoła areny. Potem nagle zeskoczył na ziemię, złożył ukłon i oddalił się w podskokach do garderoby, a ludzie w cyrku aż ryczeli ze zdumienia i radości.

Wtedy dyrektor cyrku zrozumiał, że został wystrychnięty na dudka i był chyba najwścieklejszym dyrektorem cyrku, jaki chodził dotąd po świecie. Ten niby pijak należał do jego zespołu. Tak sobie wszystko obmyślił i nie przyznał się nikomu. Hm... było mi trochę

wstyd, że dałem się nabrać, ale nawet za tysiąc dolarów nie chciałbym być w skórze tego dyrektora. Sam nie wiem – może są gdzieś morowsze cyrki niż ten, ale ja ich nigdy, nie widziałem. Tak czy owak dla mnie ten był wspaniały, więc może na mnie liczyć, bo ile razy go gdzieś spotkam, na pewno będę na widowni.

Tego samego wieczoru odbyło się nasze przedstawienie; ale przyszło najwyżej dwanaście osób – tyle, że z ledwością starczyło na opłacenie wydatków. A ci co przyszli, śmiali się cały czas, czym doprowadzili Księcia do strasznej złości; zresztą i tak wyszli przed końcem, prócz jednego chłopca, który zasnął na samym początku przedstawienia. Książę powiedział, że te matolki z Arkansaw nie dorosły do Szekspira; że takim głupcom może się spodobać tylko farsa – a nawet kto wie czy nie coś gorszego od farsy. Powiedział jeszcze, że potrafi dostosować się do ich poziomu. Więc nazajutrz wytrzasnął skądś wielkie arkusze papieru do pakowania i czarną farbą wyrysował afisze, któreśmy potem rozlepili na mieście. Na tych afiszach tak było napisane:

W SALI SĄDU !

TYLKO TRZY PRZEDSTAWIENIA
SŁYNNI NA CAŁY ŚWIAT TRAGICY

DAWID GARRICK

młodszy

EDMUND KEAN

starszy

z londyńskich i kontynentalnych teatrów wystąpią we wstrząsającej tragedii pt.

ŻYRAFA KRÓLA JEGOMOŚCI

czyli

KRÓLEWSKA NIEBYWAŁOŚĆ

WSTĘP 50 CENTÓW

A na samym dole afisza napisane było największymi literami:

KOBIETOM I DZIECIOM WSTĘP WZBRONIONY

– Jeżeli – powiedział Książę – ten napis ich nie przyciągnie, nie znam ludzi z Arkansaw!

Królowie to straszne szelmy

Przez cały dzień Król i Księżę mocno się napocili zbijając z desek podwyższenie, wieszając kurtynę i ustawiając rzędy świec do oświetlenia sceny. Tego wieczoru sala była po brzegi nabita samymi mężczyznami. Kiedy szpilki nie dałoby się już wcisnąć, Księżę odszedł od drzwi, których dotąd pilnował, okrążył dom i przez wejście z tyłu wy dostał się na scenę. Stał przed kurtyną i wygłosił najpierw mowę, w której wychwalał pod niebiosa tę tragedię i powiedział, że jest to najbardziej porywająca tragedia, jaką kiedykolwiek widziano w teatrze. Głędził tak i głędził o tej tragedii i o Edmundzie Keanie starszym, który gra w niej główną rolę. A jak w końcu ciekawość wszystkich wzrosła do niemożliwości, podniósł kurtynę i w tej samej chwili Król wypadł na scenę na czworakach, całkiem nagi; od stóp do głów był pomalowany w koła, pasy, smugi i kropki najrozmaitszych kolorów niczym prawdziwa tęcza. Poza tym miał... Mniejsza o to, co jeszcze miał – pomysł był całkiem dziki, ale strasznie śmieszny. Ludzie na sali o mało co na śmierć nie popękali ze śmiechu; a kiedy Król skończył swoje tańce i wypadł w susach za scenę, ludzie ryczeli i klaskali, i szaleli, i prawie wyli, dopóki nie wrócił i nie odegrał im wszystkiego od początku; a potem zmusili go, żeby jeszcze raz im się pokazał. Hm... koń by się uśmieł patrząc, jakie ten stary dureń fika pocieszne koziołki.

Księżę spuścił kurtynę, uklonił się publiczności i powiedział, że ta wielka tragedia odegrana będzie jeszcze tylko dwa razy, a to dlatego, że nagle ich kontrakty londyńskie, gdzie w teatrze na Drury Lane sprzedane są już wszystkie bilety. Potem jeszcze raz im się uklonił i dodał, że jeśli tylko zdołał ich godziwie rozerwać i oświecić, będzie niezmiernie zobowiązany, o ile wspomną o tym swoim przyjaciołom i namówią ich, by również przyszli do teatru Ze dwudziestu ludzi naraz zawołało:

– Co? To już koniec? To ma być w s z y s t k o ?

Księżę powiedział, że tak. A wtedy zaczęła się ładna heca Wszyscy wrzeszczeli: „Oszuści!” i wściekli zrywali się z ławek żeby wbiec na scenę i. dobrać się do tych słynnych tragików. Ale

jakiś wysoki, przystojny mężczyzna wskoczył na ławkę i zawołał;

– Stać! Jedno słowo, panowie! – Zatrzymali się i nadstawili uszu. – Zostaliśmy oszukani, paskudnie nabrani. Ale nie chcemy chyba, żeby się z nas całe miasto natrzęsało i przygadywało nam do końca życia. Nie, z pewnością nie chcemy. A więc pozostaje nam tylko jedno: wyjść stąd spokojnie i chwalić przedstawienie bo w ten sposób zostanie oszukana reszta miasta. Wtedy wszyscy będziemy w tej samej studni. Czy nie mam racji?

– Pewnie! Pewnie! Sędzia mądrze gada! – odezwały się głosy ze wszystkich stron sali.

– No więc zgoda – ani słowa o tym, że nas tu okpili. Idziemy do domu i radzimy wszystkim, żeby przyszli obejrzeć tragedię.

Na drugi dzień całe miasteczko mówiło tylko o tym, jakie piękne jest przedstawienie. Wieczorem sala była nabita po brzegi nowymi ludźmi, których nabraliśmy w taki sam sposób. Potem Król, Książę i ja wróciliśmy na tratwę i zjedliśmy kolację, a gdzieś koło północy Książę kazał Jimowi i mnie wyprowadzić tratwę na środek rzeki, przepłynąć mniej więcej dwie mile poniżej miasteczka i ukryć ją w sitowiu.

Trzeciego wieczora sala była nabita, ale tym razem nie przyszedł nikt nowy tylko ci sami ludzie, którzy oglądali dwa poprzednie przedstawienia. Stałem z Księciem przy drzwiach i widziałem, że wszyscy, co wchodzi na salę, mają wypchane kieszenie albo niosą coś w zanadru; zaraz też zauważyłem, że nie są to perfumy – całkiem przeciwnie. Czuję zapach zepsutych jajek (na kopy!), zgniłej kapusty i tym podobnych paskudztw; a jeżeli wiem, po czym poznaje się z daleka zdechłego kota – a ja babcię kocham, że wiem – wniesli, ich tam na salę sześćdziesiąt, cztery sztuki. Wszedłem na chwilę do środka, ale tak cuchnęło że nie mogłem wytrzymać. Kiedy wszystkie miejsca były już zajęte, Książę dał ćwierć dolara jakiemuś człowiekowi i kazał mu pilnować drzwi, a sam skierował się do wyjścia na scenę, ja naturalnie za nim. Ale jak tylko znaleźliśmy się za węglem i w ciemności, powiada:

– Idź szybko, aż wyjdiesz spomiędzy domów, a potem wal na tratwę, jakby cię goniły wszystkie diabły.

Zrobiłem, jak mi kazał, a on pozostał w tyle. Przybiegliśmy na tratwę jednocześnie i w dwie sekundy później płynęliśmy z *prądem* na środek rzeki, w zupełnej ciemności i ciszy; nikt nie odzywał się słowem. Pomyślałem, że biedny Król dostanie za swoje od publiczności na sali. Gdzie tam; po chwili patrzę, a on gramoli się z wigwamu i pyta:

– No i jak tam, Wasza Miłość? Jak się dzisiaj przedstawienie udało?

W ogóle nie poszedł tego wieczoru do miasteczka!

Nie zapalaliśmy światła, dopókiśmy nie znaleźli się z dziesięć mil poniżej miasteczka. Potem Jim wywiesił latarnię i siedliśmy do kolacji. Król i Księżę o mało co nie rozpękli się ze śmiechu, kiedy zaczęli mówić o tym, jak okpili tych ludzi. Księżę powiedział:

– Kpy, cymbały! Wiedziałem, że po pierwszym przedstawieniu nabiorą wody w usta i tylko będą patrzeli, jak daje się nabrać reszta mieszkańców. Wiedziałem, że przyczają się na nas trzeciego wieczoru, pewni, że teraz przyszła ich kolej. A tak, przyszła! Dużo bym dał, żeby widzieć ich miny. Chętnie bym zobaczył, jak wykorzystują tę swoją okazję. Gdyby chcieli, mogliby urządzić majówkę – przynieśli pod dostatkiem wiktuałów.

Ci sprytni hultaje zebrali w ciągu trzech wieczorów czterysta sześćdziesiąt pięć dolarów. Nie widziałem nigdy takiego zatrzęsienia pieniędzy.

Po jakimś czasie, kiedy Król i Księżę chrapali głośno w wigwamie, Jim powiada:

– Czy to cię nie dziwi, Huck, że ci nasi królowie tak się jakoś paskudnie zachowują?

Nie – odparłem. – Ani trochę.

– Dlaczego cię to nie dziwi?

– Bo widzisz, Jim, oni już to mają we krwi. Myślę, że wszyscy są jednacy.

– Kiedy, Huck, ci nasi królowie to zwyczajne szelmy. Nic innego, tylko zwyczajne szelmy.

– Naprawdę?

– Poczytaj sobie o nich, to zobaczysz. Weź na przykład takiego Henryka VIII. W porównaniu z nim ten nasz to łagodny baranek. Albo spójrz na takiego Karola II czy Ludwika XIV albo Ludwika XV, Jakuba II, Edwarda II, Ryszarda III i czterdziestu innych; albo na anglosaskich heptarchów, co w dawnych czasach wyprawiali takie niemożliwe brewerie. Trzeba ci było, Jim, widzieć Henryka VIII za jego najlepszych czasów. Człowieku, co to za gagatek! Co dzień brał sobie nową żonę, a następnego dnia kazał jej ucinać głowę. A robił to z taką obojętną miną, jakby szło o jajecznicę z dwóch jajek. – Przyprowadźcie mi Nell Gwyn – powiada. No to mu przyprowadzali. A na drugi dzień: – Odrąbać jej głowę! – Ciach! odrąbywali. – Zawołajcie no mi Jane Shore – powiada. Jane Shore przychodziła. Na drugi dzień: – Odrąbać jej głowę! – Ciach! i odrąbali. – Zadzwońcie na piękną Rosamundę. – Rosamunda przyleciała na dzwonek. Na drugi dzień: – Odrąbać jej głowę! – A każdej z nich kazał opowiadać jedną historię i w ten sposób zebrał bajki z tysiąca i jednej nocy, i spisał je wszystkie w książce, którą nazwał *Księgą Dnia Sądu* – co jest nazwą odpowiednią, tak że zaraz wiadomo, o co w tej książce chodzi. Ty nie znasz

królów, Jim, ale ja ich dobrze poznałem. Ten nasz stary nicpoń to jeden z najporządniejszych, na jakich natknąłem się w historii. Wracając do tego Henryka. Któregoś dnia przyszła mu ochota wywołać awanturę z naszym krajem. Jak się wziął do tego? Może zawiadomił nas listownie? Może pozwolił słowo powiedzieć na swoją obronę? Akurat! Całkiem niespodziewanie wyrzucił całą herbatę w porcie Bostonu do morza, sporządził deklarację niepodległości i wyzwiał naszych do walki. Taki on był, ten Henryk – człowiek nie miał z nim żadnych widoków. O coś tam podejrzewał swojego ojca, księcia Wellingtona. Jak myślisz, Jim, co zrobił? Może zażądał od starszka, żeby się wytłumaczył? Gdzie tam – utopił go w beczce wina, jak kota. Powiedzmy, że ludzie zostawili pieniądze na wierzchu, kiedy on był w pobliżu – co robił? Zawsze je zwędził. Ale powiedzmy, że podjął się jakiejś roboty i dostał za to z góry pieniądze – co wtedy? Jeżeli nie siadłeś obok i nie pilnowałeś, żeby się dobrze uwinął, robił wszystko na odwrót. Powiedzmy, że otworzył usta – co wtedy? Jeżeli ich czym prędzej nie zamknął, za każdym razem wypuścił jedno kłamstwo. Taki ptaszek był z tego Henryka. A jakbyśmy go mieli na tratwie zamiast naszych królów, sto razy gorzej nabrałby tamto miasteczko. Nie mówię, że ci nasi to baranki, bo nie są, jak się nad tym dobrze zastanowić, ale gdzie im do tego starego hultaja. Zresztą ja zawsze powtarzam, że co król to król i trzeba mieć dla takiego wyrozumiałość. Jak im się dobrze przyjrzeć, strasznie licha z nich zgraja. Wszystko to wina wychowania.

– Ale ten nasz cuchnie tak paskudnie, Huck!

– Każdy król cuchnie, Jim. My nic na to nie możemy poradzić, historia nic o tym nie mówi.

– Książę to nawet da się czasami lubić, prawda, Huck?

– Owszem. Książęta to co innego niż królowie. Ale nie tak znowu bardzo. Ten nasz to jak na księcia całkiem niezgorza szelma. Kiedy się upije, krótkowzroczny człowiek nie odróżni go od króla.

– W każdym razie nie chciałbym mieć takich więcej na tratwie. Nie wytrzymałbym, Huck.

– Ja też tak uważam, Jim. Ale co robić? Spadł nam ten kłopot na głowę, więc musimy pamiętać, kim są, i traktować ich jak należy. Czasem sobie myślę, że chętnie bym trafił do kraju, gdzie nie ma tej hołoty.

Po co miałem mówić Jimowi, że to nie jest prawdziwy król i książę? Nic by dobrego z tego nie wynikło. A zresztą sprawa przedstawiała się akurat tak, jak mówiłem: nie sposób było ich odróżnić od prawdziwych królów i książąt.

Położyłem się spać i Jim wcale mnie nie obudził na moją wachtę. Często tak robił. Kiedy

otworzyłem oczy, właśnie świtało; Jim siedział z głową opuszczoną nisko na kolana wdychając i pojękując cicho. Udałem, że tego nie widzę. Wiedziałem dobrze, co go boli. Myślał o żonie i dzieciach gdzieś tam hen, w górze rzeki, i było mu smutno, i tęsknił za nimi, bo przedtem nigdy ani na dzień nie oddalał się z domu. I mam wrażenie, że kochał swoją rodzinę mniej więcej tak, jak biali kochają swoje dzieci i żony. To się wydaje dziwne, ale chyba tak było. Często nocą, kiedy myślał, że zasnęłam, pojękiwał i wdychał, i powtarzał: – Biedna mała Lizabeth! Biedny mały Johnny! Smutno, oj, smutno! Pewnie nigdy was nie zobaczę, nigdy, nigdy...!

Kochany Murzyn był z tego Jima. Strasznie kochany. Tym razem sam nie wiem, jak się stało, ale zacząłem mówić z Jimem o jego żonie i dzieciach. Po chwili Jim powiada:

– Wiesz, Huck, dlaczego mi dzisiaj tak ciężko na duszy? Dopiero co słyszałem na brzegu coś jakby uderzenie albo głośne kłapanięcie i przypomniałem sobie, jaki to kiedyś byłem podły dla mojej małej Lizabeth. Miała wtedy ze cztery latka i zachorowała na szkarlatynę, było z nią już bardzo źle, ale wydobrzała i jednego dnia stoi w pokoju, a ja do niej powiadam: „Zamknij drzwi”. Ani się ruszyła. Stoi sobie dalej i tylko się do mnie uśmiecha. Aż mnie zatrzęsło ze złości. Więc powiadam znowu, bardzo głośno: „Nie słyszałaś? Zamknij drzwi!” A ona nic tylko dalej stoi i dalej się uśmiecha. Krew mnie zalała. Powiadam: „Już ja cię nauczę posłuchu!” I trzepnąłem ją w głowę, aż się nakryła nogami. A potem poszedłem do drugiego pokoju i siedziałem tam jakieś dziesięć minut. Jak wróciłem, drzwi ciągle były otwarte, a Lizabeth stała prawie że na progu i patrzyła w ziemię, i tak jakoś żałośnie płakała. Powiadam ci, Huck, że o mało mnie nie zatkało ze złości i już do niej szedłem, ale właśnie wtedy wiatr zatrzasnął drzwi (drzwi otwierały się do środka) tuż za plecami Lizabeth – buch! – i to dziecko nawet nie drgnęło! Serce mi wtedy wlaźło do gardła i czułem się tak... tak... sam nie wiem, jak ja się właściwie czułem, tylko dygotałem na całym ciele. Wyszedłem drugim wyjściem, obszedłem dom, otworzyłem drzwi powoli i ostrożnie, wsunąłem po cichu głowę do środka i całkiem niespodziewanie wrzasnąłem: Hop! – najgłośniej jak tylko mogłem. Lizabeth ani drgnęła! O Huck, wybuchnąłem płaczem i porwałem ją na ręce, i wołałem: biedne, biedne maleństwo! Panie Boże Wszechmocny, przebacz staremu Jimowi, bo on nigdy sobie nie przebaczy! Och, Huck,.. Lizabeth była niema i głucha jak pień... niema i głucha jak pień, a ja tak się z nią obszedłem!

Król w roli proboszcza

Nazajutrz pod wieczór przybiliśmy do małej kępy porosłej wierzbami na samym środku rzeki. Na obu brzegach naprzeciwko tej kępy były miasteczka, więc Król i Księżę postanowili jakoś je po swojemu obrobić i zaczęli układać plan. Jim podszedł do Księcia i powiedział mu, że ma nadzieję, że to obrabianie potrwa najwyżej kilka dni, bo ciężka to dla niego sprawa i męcząca, kiedy tak cały dzień musi leżeć związany sznurami w wigwamie. Widzicie, kiedyśmy go zostawiali zupełnie samego na tratwie, krępowaliśmy go sznurami, bo jakby się ktoś na niego natknął i zobaczył, że jest sam i nie związany, mógłby pomyśleć, że to zbiegły Murzyn. Księżę przyznał, że to z pewnością nie musi być miło leżeć tak cały dzień ze splekanymi rękami i nogami i obiecał Jimowi, że wymyśli coś, co pozwoli tego uniknąć.

Bystry chłop był z tego naszego Księcia, nadzwyczajnie bystry, więc raz dwa wpadł na świetny pomysł. Ubrał Jima w strój króla Leara, czyli w luźną suknię z białego perkalu, a ponadto włożył mu na głowę perukę i przykleił brodę z białego końskiego włosia; potem wziął swoje pudelko z farbami teatralnymi i pomalował Jimowi twarz, ręce, szyję i uszy na ciemnosiny kolor, co wyglądało jak u człowieka, który utopił się przed dziewięcioma dniami. Niech mnie drzwi ścisną, jeżeli nie była to najohydniejsza maskara, jaką w życiu widziałem! Potem Księżę wziął deseczkę i namalował na niej takie słowa; *Chory Arab – ale niegroźny dla otoczenia, dopóki przytomny.*

Przybił tę deseczkę do słupka i osadził słupek w odległości czterech czy pięciu kroków przed wigwamem. Jim był zadowolony.

Powiedział, że woli o całe niebo być chorym Arabem niż co dzień leżeć sto godzin ze spletanymi nogami i rękami, a na dodatek drzeć od stóp do głów przy lada szmerze. Księżę powiedział mu, żeby sobie spędzał czas przyjemnie i wygodnie, a dopiero jakby ktoś podpłynął do tratwy i kręcił się w pobliżu, niech wyskoczy z wigwamu, niech trochę poudaje wariata i niech zawyje parę razy jak dzikie zwierzę. Księżę przypuszczał, że na taki widok każdy natręt

ucieknie i więcej nie wróci. Było to całkiem słuszne przypuszczenie, ale myślę, że większość ludzi nie czekałaby, aż Jim zawyje. Nie wyobrażajcie sobie, że Jim wyglądał jak pierwszy lepszy nieboszczyk. Wyglądał znacznie gorzej.

Te szelmy chciały powtórzyć kawał z *Królewską niebywałością*, ponieważ mieli z tego taki dobry dochód, ale bali się, że to niebezpieczne, bo kto wie czy wiadomość nie przedostała się tymczasem w dół rzeki. Jakoś nie mogli wykombinować żadnego mądrego planu. W końcu Książę powiedział, że spokojnie pomyśli kilka godzin i może znajdzie sposób na oskubanie miasteczka po stronie Arkansaw; a na to Król, że pojedzie na drugą stronę rzeki, ale bez żadnego planu, tylko zaufa, że Opatrzność poprowadzi jego kroki i wskaże mu jakieś korzystne przedsięwzięcie; kiedy mówił o Opatrzności, miał chyba na myśli diabła. W miasteczku, w którym zatrzymaliśmy się poprzednio, kupiliśmy sobie gotowe ubrania i teraz Król włożył swoje i mnie też kazał ubrać się porządnie, co naturalnie zrobiłem. Garnitur Króla był cały czarny i ten hultaj wyglądał w nim naprawdę bardzo godnie i po pańsku. Nigdy bym nie przypuszczał, że ubranie tak może zmienić człowieka. Przedtem wystarczyło na niego spojrzeć i każdy od razu wiedział, że Król jest najzwyczajszym w świecie starym szelmą; teraz, kiedy zdjął swój nowy biały cylinder, skłonił się i uśmiechnął, wyglądał tak dostojnie i zacie, i pobożnie, jakby przed chwilą wyszedł z Arki i był poczciwym starym Mojżeszem we własnej osobie. Jim wyczyścił czółno, a ja przygotowałem wiosła. Mniej więcej trzy mile powyżej miasteczka, na zakręcie rzeki stał przy brzegu duży parowiec; widziałem go tam chyba od dwu godzin – widocznie brał ładunek. Król powiedział:

– Z uwagi na moje ubranie lepiej będzie, jak przyjadę z St. Louis albo z Cincinnati, albo z innego dużego miasta. Wiosłuj prosto w tamtym kierunku, Huckleberry! Popłyniemy statkiem do miasta. Takiego polecenia nie trzeba mi było powtarzać dwa razy. Powiosłowałem na ukos i wyprowadziłem czółno na martwą przybrzeżną wodę, jakie pół mili powyżej miasteczka, a potem popłynąłem pod prąd wzdłuż wysokiego brzegu. Po jakimś czasie zobaczyliśmy na brzegu młodego miasteczkowego eleganta o miłym, dobrodusznym wyglądzie. Siedział na zwałonym pniu i ocierał pot z twarzy, bo upał był niemożliwy; obok niego stały na ziemi dwa wielkie sakwojaże.

– Dziobem do brzegu – powiada do mnie Król. Zrobiłem, jak mi kazał. – Dokąd się wybierasz, młodzieńcze? – zapytał obcego.

– Na statek, jadę do Nowego Orleanu.

– Prosimy do łodzi – powiada Król. – Czekaj, młodzieńcze, mój służący pomoże ci wnieść bagaże. Wyskocz no na brzeg, Adolfie i pomóż panu.

Zaraz się połapałem, że to o mnie chodzi.

Wtaszczyłem sakwojaże do łodzi, a potem popłynęliśmy we trzech dalej w górę rzeki. Młody mężczyzna bardzo był Królowi wdzięczny. Powiedział, że to straszna mordega taskać walizy w taki upał. Spytał Króla, dokąd się udaje, a Król mu na to, że rankiem wylądował w miasteczku, na tamtym brzegu, a teraz jedzie odwiedzić starego przyjaciela, który mieszka na farmie, kilka mil w górę rzeki. Wtedy obcy powiedział:

– Jak pana zobaczyłem, pomyślałem sobie: „To z pewnością jest pan Wilks. I słowo daję, niewiele brakowało, a przyjechałby na czas”. Ale potem znowu sobie myślę: „Nie, to chyba nie on, bo nie płynąłby w górę rzeki”. Pan nie jesteś przypadkiem panem Wilks?

– Nie, nazywam się Blodgett. Aleksander Blodgett. Wielebny Aleksander Blodgett, powinienem dodać, jako że jestem jednym z ubożuchnych sług Pana. Niemniej jednak przykro mi, że ów pan Wilks nie przyjechał na czas, jeżeli przez to coś stracił. Mam nadzieję, że tak nie jest.

– Hm... majątku to żadnego nie stracił, bo i tak wszystko dostanie, ale nie zobaczy już swego brata, Piotra, żywego, co może nie będzie mu znowu takie bardzo przykre – kto go tam wie? Za to jego brat Piotr dałby wiele, żeby go przed śmiercią zobaczyć. Przez ostatnie trzy tygodnie w kółko tylko o nim mówił. Nie widzieli się, odkąd byli dziećmi. A brata Williama to w ogóle na oczy nie oglądał – William to ten niemy i głuchy, ma najwyżej trzydzieści albo trzydzieści pięć lat. Z całej rodziny tylko Piotr i George wyemigrowali do Ameryki. George się tu ożenił, ale umarli oboje z żoną w zeszłym roku. Teraz zostali na świecie tylko dwaj – Harvey i William, ale jak już mówiłem, nie zdążyli na czas.

– A zawiadomiono ich?

– A jakże, pewnie ze dwa miesiące temu, jak tylko Piotr zachorował. Bo widzi pan, Piotr powiedział, że tym razem to będzie już z nim chyba koniec. Stary był z niego człowiek, a córki George'a to jeszcze młode sikorki, oprócz jednej Mary Jane, tej rudej – więc niewiele miał pociechy z ich towarzystwa. Dlatego po śmierci George'a i jego żony cknęło mu się samemu na świecie i każdy by zobaczył, że czeka tylko śmierci. A niczego tak chyba nie pragnął, jak przyjazdu Harveya – no i pewnie Williama – bo był jednym z tych, co to żadną miarą nie mogą się zdecydować na spisanie testamentu. Zostawił list dla Harveya i w tym liście napisał, gdzie są

schowane pieniądze i jak ma być podzielona reszta spadku, żeby córki George'a dostały przyzwoite zaopatrzenie, bo George nie zostawił im ani centa. A chociaż wszyscy go namawiali, oprócz tego listu nic już nie chciał napisać.

– A jak myślisz, młodzieńcze, czemu Harvey nie przyjechał? Gdzie mieszka?

– Och, w Anglii, w mieście Sheffield, jest tam kaznodzieją. W Ameryce nigdy nie był – a zresztą kto wie, czy w ogóle dostał ten list.

– Przykre, nader przykre, że biedny Piotr Wilks nie doczekał się przyjazdu brata. Wspomniałeś, zdaje się młodzieńcze, że jedziesz do Orleanu?

– Owszem, ale to tylko początek mojej podróży. W najbliższą środę wsiadam na okręt do Rio de Janeiro, gdzie mieszka mój wujaszek.

– Ho, ho czeka cię długa droga. Ale bardzo piękna. Sam bym tam chciał pojechać. Mówiłeś, że Mary Jane jest najstarsza. Ile wiosen liczą sobie te młodsze?

– Mary Jane ma dziewiętnaście lat, Zuzanna piętnaście, a Joanna coś koło czternastu. Joanna to ta, która ma zajęczą wargę i zajmuje się dobroczynnością.

– Biedactwa! Pomyśleć, że zostały zupełnie same na świecie – westchnął Król.

– No, mogłoby im się dziać gorzej. Stary Piotr miał przyjaciół i ci przyjaciele nie pozwolą wyrządzić dziewczętom nijakiej krzywdy. Jest przecież Hobson – pastor od babtystów, jest diakon Lot Hovey, jest Ben Rucker i Abner Shackelford, i Levi Beli – adwokat, i jeszcze doktor Robinson, i żony wszystkich tamtych, i wdowa Bartley, i – och, jest ich cała kupa. Ale z tymi, co teraz wymieniałem, Piotr Wilks żył najbliżej i czasem pisał o nich bratu, więc jak Harvey przyjedzie, będzie wiedział, gdzie szukać przyjaciół.

Król – stary szelma – pytał dalej i nie przestał pytać, dopóki do cna nie wypompował tego młodego głupca. Niech skisnę, jeżeli nie pytał o wszystkich i o wszystko, co dotyczyło Wilksów:

więc co robił Piotr, który miał garbarnię; i co robił George, który był stolarzem; i co robił Harvey, który był pastorem od nonkonformistów? I tak dalej, i dalej. W końcu spytał:

– Dlaczegoś, – młodzieńcze, szedł pieszo taki kawał drogi do statku?

– A bo to jest wielki orleański parowiec i bałem się, że może tu nie stanie. Kiedy wiozą duży ładunek, nie zatrzymują się na każde żądanie. Co innego ze statkami płynącymi z Cincinnati. Ten płynie z St. Louis.

– Czy Piotr Wilks był zamożnym człowiekiem?

– Owszem, niczego sobie. Miał domy i ziemię. Ludzie przypuszczają; że w samej gotówce

zostawił jakie trzy albo cztery tysiące dolarów, które przed śmiercią gdzieś schował.

– Mówiłeś, że kiedy umarł? Nie przypominam sobie.

– Mówić to nie mówiłem, ale swoją drogą umarł wczoraj w nocy.

– Pogrzeb pewnie jutro?

– Tak, gdzieś koło południa.

– Hm... smutne to; bardzo smutne. Ale trudno, prędzej czy później każdego z nas to czeka. I dlatego powinniśmy się oswoić z myślą o śmierci.

– Słusznie, proszę pana. Matuchna też tak mówiła.

Kiedyśmy przybili do statku, ładowanie było już prawie skończone i niedługo statek odpłynął. Król ani słowa nie wspomniał o wejściu na pokład, więc wściekła mi się moja przejażdżka! Kiedy statek znikł nam z oczu, Król kazał mi wiosłować jeszcze z milę w górę rzeki, gdzie przybiliśmy do całkiem ustronnego miejsca; tam wyszedł na brzeg i powiada:

– Teraz nie marudź, tylko wracaj żywo i sprowadź mi tu Księcia i przywieź nowe sakwojaze. A jeżeli Księżę przeprowił się na drugi brzeg rzeki, jedź za nim i odszukaj go. I powiedz mu, żeby włożył na grzbiet najlepsze ubranie. No, ruszaj!

Zaraz wiedziałem, co ten stary knuje, ale naturalnie nie zdradziłem się słowem. Kiedy przywozłem Księcia, ukryliśmy czółno, a potem usiedliśmy obaj na zwałonym pniu i Król powtórzył mu wszystko o rodzinie Wilksów – dokładnie, jak to usłyszał od młodego mężczyzny – nie opuścił ani jednego słowa. I cały czas starał się mówić niczym prawdziwy Anglik, co jak na takiego prostaka robił całkiem niezłe. Nie potrafię go naśladować, więc nawet nie będę próbował; ale słowo daję, że wychodziło mu to zupełnie znośnie. Kiedy skończył, spytał:

– A jak tam u ciebie z głuchotą i niemotą, Bridgewater?

Księżę odparł, że Król może na nim polegać; grywał nieraz głuchoniemych w teatrze.

Potem siedzieliśmy i czekaliśmy na statek.

Wczesnym popołudniem pokazały się dwa małe parowce, ale płynęły z miejscowości położonych zbyt blisko w górze rzeki. W końcu zobaczyliśmy duży parostatek i Król zaczął dawać znaki, żeby się zatrzymał. Przyjechała po nas szalupa i weszliśmy na pokład statku, który płynął z Cincinnati. Kiedy kapitan usłyszał, że chcemy przeprowić się tylko cztery czy pięć mil w dół rzeki, wściekł się okropnie, naurągał nam i powiedział, że wcale nas nie wysadzi na ląd. Ale Król odparł mu bardzo spokojnie:

– Jeżeli dżentelmenów stać na to, żeby zapłacić po dolarze za milę od osoby za przysłanie po

nich na brzeg szalupy i odesłanie ich w ten sposób, to chyba jest wszystko w porządku?

Usłyszawszy to kapitan zmiękł i powiedział, że rzeczywiście wszystko jest w porządku, a kiedyśmy się znaleźli na wysokości miasteczka, szalupa odwiozła nas na brzeg. Na nasz widok ze dwudziestu mężczyzn zbiegło do przystani, a kiedy Król spytał: – Czy któryś z was, panowie, może mi rzec, gdzie mieszka pan Piotr Wilks? – spojrzeli po sobie i pokiwali głowami, jakby jeden drugiemu chciał powiedzieć: „A co, nie mówiłem?” Potem któryś odezwał się bardzo cicho i łagodnie:

– Przykro nam, panie, ale możemy ci tylko wskazać, gdzie Piotr Wilks mieszkał do wczorajszego wieczora.

W mgnieniu oka ten wstrętny stary łotr całkiem stracił siły, padł w objęcia człowieka, który do niego przemówił, oparł brodę na jego ramieniu i kropił mu plecy łzami wołając:

– Niestety, ach, Niestety! Nasz biedny brat odszedł spośród żyjących, a myśmy się spóźnili! Ach, jakie to smutne, jakie smutne!

Potem obrócił się do Księcia, ciągle pochlipując, i zaczął mu pokazywać jakieś idiotyczne znaki na palcach; i niech mnie psy zjedzą, jeżeli tamten nie wypuścił sakwojażu z ręki i nie wybuchnął najżałośniejszym płaczem! W życiu nie widziałem takich łotrów jak te dwa gagatki.

No, a ludzie na przystani stłoczyli się dookoła nich, współczuli im, pocieszali różnymi dobrymi słowami, a potem wnieśli im sakwojaże pod górę, podtrzymywali obu, żeby im było wygodniej płakać, i opowiedzieli dokładnie Królowi o ostatnich chwilach zmarłego „brata”. Król z kolei pokazywał wszystko Księciu na palcach i tak obaj rozpaczali po śmierci tego garbarza, jakby ich osierociło dwunastu apostołów naraz. Jeżeli powiem wam, że widziałem już kiedyś w życiu coś podobnego, niech się zamienię w Murzyna! Na sam widok robiło się człowiekowi wstyd, że jest człowiekiem.

Płacz i różne inne androny

Wiadomość rozeszła się migiem po miasteczku i ze wszystkich stron biegli do nas ludzie; niektórzy tak się śpieszyli, że dopiero w drodze wdzielali surduty. Bardzo szybko znaleźliśmy się w samym środku dużego tłumu i zrobił się taki hałas, jakby maszerował oddział żołnierzy, W oknach i drzwiach pełno było gapiów i co chwilę ktoś wołał znad płotu: – Czy to oni? – a ktoś z idących z nami w tłumie odpowiadał: – Pewnie, że oni.

Kiedy zaszliśmy wreszcie na miejsce, cała ulica przed domem zatłoczona była ludźmi, a trzy córki George'a Wilksa stały na progu. Mary Jane miała rude włosy, ale co z tego, kiedy i tak była. po prostu niemożliwie ładna, a twarz i oczy aż jej jaśniały ze szczęścia, że widzi nareszcie stryjów. Król otworzył ramiona i Mary Jane rzuciła mu się na szyję, a Zajęcza Warga, czyli Joanna, rzuciła się na szyję Księżciu – no i tu ich macie! Wszyscy prawie – a kobiety to już na całego – płakali z radości, że rodzina wreszcie się połączyła i że tak im ze sobą dobrze.

Potem Król dał Księżciu kuksańca w bok – ukradkiem, ale ja to widziałem – i rozejrzawszy się dookoła odszukał wzrokiem trumnę ustawioną w kącie pokoju na dwóch krzesłach; wtedy objęli się z Księżciem w pół, wolną ręką każdy osłonił sobie oczy i krokiem poważnym, uroczystym, poszli w tamtą stronę. Hałasy i rozmowy ucichły, ludzie rozstępowali się przed nimi i mówili: – Sza! Sza! – a mężczyźni zdejmowali kapelusze i opuszczali głowy na, piersi, i tak było cicho, że można by usłyszeć szelest skrzydeł przelatującej muchy. Kiedy doszli w końcu do trumny, schylili się i zajrzeli do środka, potem westchnęli jeden raz głęboko, a wreszcie wybuchnęli takim płaczem, że słyhać ich było chyba w samym Orleanie. Następnie objęli się za szyję i zwiesili sobie głowy wzajemnie na plecy; a potem przez trzy, a może cztery minuty płakali i płakali – w życiu nie widziałem tak płaczących mężczyzn. I pomyślcie – wszyscy inni też płakali, więc w pokoju zrobiło się całkiem wilgotno – jak długo żyję, nie widziałem czegoś podobnego. Potem jeden przeszedł na jedną stronę trumny, a drugi na drugą, uklękli, oparli czoła o trumnę i udawali, że się modlą. Hm, ten widok zrobił na ludziach, jak się to mówi, piorunujące wrażenie i

nikt już nad sobą nie panował, i wszyscy szlochali na głos nie wyłączając biednych dziewcząt. Kobiety (prawie wszystkie) podchodziły kolejno do dziewcząt, w zupełnym milczeniu całowały je uroczyście w czoło, potem kładły im ręce na głowach i spoglądały w niebo (łzy ciągle ciekły im po twarzach), a wreszcie wybuchały głośnym płaczem i odchodziły łkając i chlipiąc, żeby ustąpić miejsca następnym. Nigdy nie widziałem czegoś tak wstrętnego.

Po jakimś czasie Król wstał z klęczek, wysunął się naprzód i wygłosił mowę całą pełną łez i najrozmaitszych bzdur. Więc mówił, jaki to bolesny cios dla niego i dla jego biednego brata Williama, że zmarły zmarł i że nie zastali zmarłego przy życiu, chociaż tylko w tym celu przejechali te cztery tysiące mil. Ale ten bolesny cios został złagodzony i uświęcony przez serdeczne współczucie i bezcenne łzy przyjaciół, za które dziękuje im z głębi serca swojego i z głębi serca brata Williama; słowami im podziękować nie potrafi, jako że słowa są zbyt nieporadne i zbyt oziębłe, aby dało się nimi wyrazić takie uczucia – i głądził tak dalej i dalej, aż się człowiekowi zbierało na mdłości, a na zakończenie, wymamrotał przez łzy jakieś niemożliwie pobożne błogosławieństwo, odwrócił się i wybuchnął takim płaczem, że o mało nie pękł.

Ledwie skończył mówić, ktoś w tłumie zaintonował hymn dziękczynny; wszyscy się przyłączyli i śpiewali pełną piersią, i człowiekowi zaraz zrobiło się ciepło na duszy i tak dobrze, jak w chwili kiedy się wychodzi z kościoła. Muzyka to naprawdę wspaniała rzecz; nie słyszałem nigdy, żeby pieśń brzmiała tak jakoś uczciwie i tak... tak morowo, i żeby tak odświeżała powietrze, jak teraz po tych wszystkich obrzydłych pochlebstwach i ckliwej gadaninie.

Potem Król znowu wziął się do głądzenia. Powiedział zebranym, że on i jego bratanice będą nadzwyczaj radzi, jeżeli kilkoro najbliższych przyjaciół rodziny zechce zjeść z nimi tego wieczora kolację i pomoże im czuwać przy zmarłym. Dodał jeszcze, że gdyby jego biedny brat leżący tam na marach mógł przemówić, on, Harvey, wie dobrze, kogo by wymienił, ponieważ są to nazwiska bardzo drogie sercu nieboszczyka i o których często wspominał w listach. Więc teraz on, Harvey, wymieni je kolejno – oto one: wielebny Hobson, diakon Lot Hovey, pan Ben Rucker, pan Abner Shackelford, pani Levi Beli, doktor Robinson, ich żony oraz wdowa Bartley.

Wielebny Hobson i doktor Robinson zabawiali się razem na drugim końcu miasteczka – chcę przez to powiedzieć, że doktor wyprawiał jakiegoś chorego na tamten świat, a pastor dawał mu na drogę listy polecające. Adwokat Beli pojechał do Louisville w jakimś interesie. Ale reszta była na miejscu, więc podeszli teraz wszyscy do Króla, ściskali mu rękę, dziękowali i rozmawiali z nim chwilę. A potem podeszli do Księcia i jemu ściskali rękę, ale nic nie mówili, tylko

uśmiechali się bez przerwy i potrząsali głowami niczym zgraja matołków, gdy tymczasem on robił im jakieś znaki na palcach i powtarzał ciągle: – Gugu... gu-gu-gu... – jak niemowlę.

Teraz Król na całego rozpuścił język i pytał z nazwiska prawie o wszystkich w miasteczku, prawie o każdego psa i wspominał o najróżniejszych drobnych sprawach, które w tym czy innym czasie zdarzyły się w miasteczku albo w rodzime George'a, albo dotyczyły samego Piotra. Udawał naturalnie, że to Piotr pisał mu o tym w listach, co było zwyczajnym łgarstwem, bo wszystkie wiadomości wycygał od tego głupca, któregośmy odwozili czółnem na statek.

Potem Mary Jane przyniosła list, który pozostawił jej stryjasek, i Król przeczytał list, i bardzo nad nim płakał. W tym liście Piotr Wilks zapisał dom mieszkalny i trzy tysiące dolarów w złocie bratanicom, a garbarnię, która przynosiła bardzo ładne zyski, jakieś inne domy i place (warte około siedmiu tysięcy dolarów), i trzy tysiące dolarów w złocie zapisał. Harveyowi i Williamowi. I jeszcze wskazał w tym liście miejsce w piwnicy, gdzie ukrył pieniądze. Więc ci dwaj wydrwigrosze powiedzieli, że zejdą zaraz na dół, przyniosą pieniądze i dokonają podziału rzetelnie i na oczach wszystkich zebranych. A mnie kazali wziąć świecę i pójść ze sobą.

Zamknęliśmy drzwi od piwnicy; kiedy znaleźli worek, wysypali wszystko na podłogę i możecie mi wierzyć, że widok był naprawdę piękny – same żółte krążki. Rety, ale temu Królowi świeciły się oczy! Trzepnął Księcia po plecach i powiedział:

To nie jest żadna bujda ani nic takiego! O nie, nie ma obawy. Co, Bridgewater, bijemy na głowę *Królewską niebywałość*, he?

Księżę przyznał, że owszem. Nabierali pełne garście złotych krążków, przesyrywali je między palcami i pieniądze z brzękiem spadały na podłogę. Król powiedział:

– Szkoda gadać, Bridgewater. Jesteśmy obaj stworzeni do tego, żeby odstawiać zagranicznych dziedziców spadku i braci bogatego nieboszczyka. A wszystko dlatego, że zaufałem Opatrzności. Na dłuższą metę to najlepszy sposób. Próbowałem różnych innych, ale ten jest najpewniejszy.

Chyba każdy człowiek na świecie zadowoliliby się taką furą pieniędzy i wzięłby je na słowo. Ale ci dwaj musieli wszystko dokładnie przeliczyć. A jak przeliczyli, okazało się, że brakuje czterystu piętnastu dolarów.

– Niech lichy tego Piotra Wilksa! Gdzie on mógł podziać resztę pieniędzy? – zawołał Król.

Trochę ich to zmartwiło, więc zaczęli przetrząsać wszystkie kąty, ale nic nie znaleźli. W końcu Księżę powiedział:

– Cóż, był ciężko chory i pewnie się pomylił w liczeniu. To wszystko wyjaśnia. Lepiej się tym

nie przejmować i ani mru-mru nikomu. Możemy się obejść bez tej sumy.

– Och, głupstwa gadasz, Książę. Pewnie, że możemy się obejść bez tej sumy i ja osobiście mam te czterysta dolarów w nosie. Ale myślę o liczeniu pieniędzy. Wiesz dobrze, że musimy tu być rzetelni, uczciwi i bez zarzutu. Musimy wtarabanić te pieniądze na górę i przeliczyć je na oczach wszystkich, bo wtedy nikt nic nie będzie podejrzewał. Kiedy nieboszczyk powiada, że w worku jest sześć tysięcy dolarów, my nie możemy...

– Czekaj – przerwał mu Książę – zaraz pokryjemy deficyt. – I zaczyna wyciągać złote dolary z kieszeni!

– Aj-aj, pierwsza klasa pomysł, Książę! Masz głowę na karku! – zawołał Król. – Poczciwa *Królewska niebywałość* drugi raz nas wspomóż! – i teraz z kolei on zaczął wypróżniać kieszenie.

Ogołocili się prawie zupełnie, ale wyrównali różnicę co do dolara.

– Słuchaj no, Kapet – powiada Książę – coś innego przyszło mi do głowy. Chodźmy na górę, przeliczmy przy nich pieniądze, a potem oddajmy je wszystkie dziewczętom.

– Niech cię uściskam, Książę! To najlepszy pomysł, jaki kiedykolwiek przyszedł komukolwiek do głowy. Żebym tak był zdrow – jak żyję nie widziałem człowieka z podobną głową. Och, nie ma co, to pyszny pomysł. Niech sobie podejrzewają, jeżeli mają ochotę – tym zaraz zatkamy im gęby.

Kiedy wróciliśmy do pokoju, wszyscy zebrali się dokoła stołu i Król przeliczył pieniądze; ułożył je w kupkach po trzysta dolarów każda – dwadzieścia równiutkich małych kupek złota. Wszyscy obecni patrzyli na to takimi jakimiś głodnymi oczami i tylko oblizywali sobie wargi. Potem Król i Książę zsykali wszystko z powrotem do worka i po chwili patrzą, a tu Król nadyma się tak po swojemu i przygotowuje do nowego przemówienia. I tak zaczął mówić:

– Przyjaciele! Mój biedny brat, którego zimny trup leży tam w kącie, zaopatrzył hojnie swoich bliskich, co zostali na tym padole łez. Zaopatrzył hojnie te trzy biedne owieczki, co je kochał i wziął pod swój dach – te trzy, powiadam, biedne owieczki, co nie mają ani ojca, ani matki. A my, którzyśmy go znali, wiemy, że zaopatrzyłby je hojniej, jakby się nie lękał, że zrani swojego drogiego Williama – no i mnie. Zastanówcie się tylko, przyjaciele – czyby ich nie zaopatrzył hojniej? Ach, nie wątpię, nie wątpię! A jacy by to byli bracia, którzy by mu się sprzeniewierzyli w takim momencie? Jacy by to. byli stryjowie, którzy by obrabowali – tak, obrabowali—te biedne i bezbronne, i tak przez niego kochane owieczki? Jeżeli znam Williama – a chyba znam

go niezgorzej – zresztą sam go o to zapytam...

I tutaj Król obrócił się do Księcia i na palcach pokazał mu mnóstwo najrozmaitszych znaków. Księżę przez chwilę spoglądał na niego głupekowatym baranim wzrokiem, a potem – niby to zrozumiawszy nagle, o co mu idzie – podbiegł do Króla, wrzasnął gu-gu-g-u-u-u z radości i uściskał go piętnaście razy pod rząd! Jak go puścił, Król zwrócił się do zebranych:

– Wiedziałem. Teraz nikt chyba nie wątpi, że drogi William czuje tak samo jak ja. Hej, Mary Jane, Zuzanno, Joanno! Weźcie pieniądze, weźcie je wszystkie. Jest to dar tego, który leży tam zimny, ale zadowolony.

Mary Jane rzuciła się do niego, Zuzanna i Zajęcza Warga skoczyły do Księcia, a potem zaczęło się od nowa całowanie i ściskanie, jakiego w życiu nie widziałem. Wszyscy otoczyli tych wydrwigroszów kołem i ze łzami w oczach tak im potrząsali ręce, że o mało ich nie pourywali, powtarzając w kółko:

– Zaczne, zaczne dusze! Co za szlachetność! Czy ktoś widział coś podobnego?

Potem wszyscy od nowa zaczęli mówić o nieboszczyku, jaki był dobry, jaką to jego śmierć jest dla wszystkich stratą i tym podobne rzeczy. Aż tu nagle... widzę... wcisnął się do pokoju jakiś wysoki jegomość o potężnej szczęce; stanął tylko i słuchał, nie powiedział słowa do nikogo ani też nikt się do niego nie odezwał, bo Król trzymał właśnie mowę i wszyscy słuchali. Rozprawiał o czymś, o czym przed chwilą zaczął mówić:

– ...ponieważ są najbliższymi kamratami nieboszczyka. Oto dlaczego zostali dzisiaj zaproszeni. Ale jutro – jutro chcielibyśmy tu widzieć wszystkich. Nieboszczyk szanował wszystkich, lubił wszystkich, więc należy się, żeby w orgiach pogrzebowych brali udzie wszyscy...

No i głądził tak, i głądził dalej, przysłuchując się z zadowoleniem własnemu głądzeniu, i od czasu do czasu wtrącał te swoje „orgie pogrzebowe”, więc w końcu Księżę nie mógł dłużej wytrzymać i napisał na kawałku papieru „obrządku, ty stary durniu”, złożył papier i stękając „gu-gu-gu-u-u” podał mu kartkę nad głowami gości. Król przeczytał, schował kartkę do kieszeni i powiedział: – Biedny William, choć na słuchu i mowie upośledzony, serce ma szczerozłote. Pisze mi, żebym zaprosił wszystkich na pogrzeb, bo wszyscy będą tu mile widziani. Ale mógł się pocziwina nie kłopotać. Właśnie miałem to zrobić.

I dalej zaczyna bajdurzyć, nic a nic nie zmieszany, a co jakiś czas znowu wyjeżdża z tymi swoimi pogrzebowymi orgiami. Kiedy wymienił je po raz trzeci, tak zaczął:

– Mówię orgie pogrzebowe nie dlatego, że jest to powszechnie używane słowo, bo nie jest; powszechnie ludzie mówią obrządki, pogrzebowe, ale orgie to jest właściwe słowo. W Anglii nie mówi się już „obrządki pogrzebowe”, obrządki całkiem wyszły z mody. W Anglii mówimy teraz „orgie pogrzebowe”. Orgie to dużo lepsze słowo, bo znaczy akuratnie to, co człowiek chce powiedzieć. To słowo powstało z greckiego słowa *orgo*, co znaczy na zewnątrz, otwarcie, powszechnie; i z hebrajskiego słowa *giessum*, co znaczy wpakować do ziemi, przykryć ziemią, czyli pogrzebać. Jak widzicie, orgie pogrzebowe znaczy tyle, co powszechny, czyli publiczny pogrzeb.

Takiego typu w życiu nie widziałem! Ale posłuchajcie. Jegomość z potężną szczęką roześmiał mu się prosto w nos. Wszyscy strasznie się zgorszyli. Wszyscy wołali: – Ależ doktorze! – A Abner Shackelford powiedział:

– Doktorze Robinson, czyś nie słyszał nowiny?. To jest Harvey Wilks.

Król uśmiechnął się przymilnie, wyciągnął swoje wielkie łapsko i powiada:

– Czyżby to był drogi przyjaciel i lekarz mojego biednego brata? Jestem...

– Ręce przy sobie! – warknął doktor. – Wydaje się panu, że mówisz jak Anglik, co? Czegoś równie ohydneho jak ta imitacja w życiu nie słyszałem. Podajesz się pan za brata Piotra Wilksa? Jesteś pan oszustem, zwyczajnym oszustem!

Ach, jak oni wszyscy wzięli to sobie do serca! Obstąpili doktora i próbowali go uspokoić, próbowali mu całą rzecz wytłumaczyć; mówili, że Harvey dowiódł na sto najrozmaitszych sposobów, że jest Harveyem; że znał wszystkich z nazwiska, znał nawet imiona psów; prosili go i błagali, żeby nie ranił uczuć biednego Harveya i nie robił przykrości dziewczętom, i tak dalej, i dalej. Ale nic z tego, bo doktor grzmiał i wściekał się, i mówił, że każdy, kto udaje Anglika, a nie potrafi lepiej naśladować angielskiej wymowy, jest oszustem i łgarzem. Biedne dziewczęta trzymały się blisko Króla i żałośnie płakały. Aż tu nagle doktor zwraca się do nich:

– Byłem przyjacielem waszego ojca i jestem waszym przyjacielem. Ostrzegam was jako przyjaciel, szczerzy przyjaciel, który pragnie was obronić przed krzywdą i nieszczęściem, żebyście odwróciły się od tego łajdaka, tego ciemnego włóczęgi z jego idiotyczną niby to greką i hebrajskimi dziwolągami. Uwierzcie mi, że jest to nędzny, nieudolny szalbierz; zjawił się u was z mnóstwem pustych nazwisk i faktów, które gdzieś zdobył, a wy je bierzecie za dowody i ci wasi niemądry przyjaciele, którzy powinni mieć więcej rozumu w głowach, utwierdzają was jeszcze w waszej głupocie. Mary Jane, wiesz, że jestem twoim przyjacielem, bezinteresownym

przyjacielem. Posłuchaj mnie, Mary, i wyrzuć tego nędznika za drzwi! Proszę cię, zrób to!

Mary Jane wyprostowała się – ojejku, ależ ona była ładna! – i powiedziała:

– Oto moja odpowiedź. – Sięgnęła po worek z pieniędzmi, podała go Królowi i tak mówi: – Weź te sześć tysięcy dolarów, stryju i ulokuj je w imieniu moim i w imieniu moich sióstr wedle swojego uznania. Nie potrzebujesz nam dawać żadnych kwitów.

Potem objęła Króla z jednej strony, a Zuzanna i Zajęcza Warga objęły go z drugiej strony. Wszyscy zaczęli klaskać w ręce i tupać nogami – aż się ściany trzęsły – a Król podniósł wysoko głowę i uśmiechał się dumnie. Doktor powiedział:

– Dobrze, ja umywam ręce. Ale ostrzegam wszystkich, przyjdzie jeszcze taka chwila, kiedy na samo wspomnienie tego dnia oblecą was dreszcze.

– Nie martw się, doktorze – odparł Król drwiąco. – Poślemy wtedy po ciebie. – Obecni wybuchnęli śmiechem i mówili, że Król świetnie mu się odciął.

Wykradam łup Króla

Kiedy wszyscy rozeszli się do domów, Król spytał Mary Jane, jak tam u nich z gościnnymi pokojami, a Mary Jane mu na to, że jest jeden pokój gościnny w sam raz dla stryja Williama, a ona swój własny pokój, trochę od tamtego większy, odda stryjowi Harveyowi i przeniesie się do pokoju sióstr, gdzie będzie spała na składanym łóżku; na strychu jest jeszcze komórka i w tej komórce stoi prycza. Król powiedział, że w komórce może spać jego lokaj, mając mnie na myśli.

Mary Jane zaprowadziła nas na górę i pokazała oba pokoje, które były skromne, ale miłe. Powiedziała, że każe zaraz wynieść swoje suknie i inne drobiazgi, bo może będą stryjowi Harveyowi zawadzały, ale Król powiedział, że nie będą. Suknie umieszczone były na jednej ścianie i przysłonięte perkalową firanką, która zwisała aż do podłogi. W jednym rogu stał wiekowy skórzany kufer, w drugim gitara w pokrowcu, a dookoła pełno było najrozmaitszych świecidełek i drobiażdzków, jak to zwykle w pokoju dziewcząt. Król powiedział, że w ten sposób pokój jest przytulniejszy i miłszy, więc prosi, żeby nic nie ruszała. Pokój Księcia był bardzo mały, ale wygodny, tak samo jak moja izdebka.

Tego wieczora było w domu wielkie przyjęcie, na które zeszli się wszyscy zaproszeni mężczyźni i przyprowadzili żony; stałem cały czas za krzesłem Króla i Księcia i obsługiwałem im, a Murzyni obsługiwali pozostałym gościom. Mary Jane siedziała na głównym miejscu przy stole, obok Zuzanny, i wciąż powtarzała, jakie niesmaczne są bułeczki, jakie nieudane marynaty, jakie po prostu ohydnie twarde pieczone kurczęta – i tym podobne bujdy zwyczajem wszystkich kobiet, które chcą w ten sposób wymusić na gościach pochwały; a goście dobrze wiedzieli, że wszystko jest pierwsza klasa, i wcale tego nie ukrywali. Mówili: – Jak ty to robisz, że twoje bułeczki są tak ślicznie wypieczone? Albo: – Gdzieś ty, dziewczyno, zdobyła te wyśmienite pikle? – i tym podobne koszałki-opałki, jakie ludzie przeważnie plotą przy kolacji. Sami wiecie.

A kiedy już goście zjedli, ja i Zajęcza Warga dostaliśmy w kuchni kolację z tego, co zeszło ze stołu, gdy tymczasem Mary Jane i Zuzanna pomagały Murzynom zmywać. Zajęcza Warga

uwzięła się, żeby mnie maglować o Anglię i jak babcię Kocham, że czasem niewiele brakowało, a leżałbym jak długi. Pyta mnie na przykład:

– Czyś widział kiedy króla?

– Którego? Wilhelma IV? Też pytanie! Przecież chodzi do naszego kościoła. – Wiedziałem, że Wilhelm IV umarł bardzo dawno temu, ale się nic nie zdradziłem. Kiedy usłyszała, że Wilhem chodzi do naszego kościoła, pyta:

– Co, regularnie?

– Pewnie, że regularnie. Ma ławkę akurat naprzeciwko naszej, po drugiej stronie kazalnicy.

– Myślałam, że król mieszka w Londynie.

– No chyba, że w Londynie. A gdzie by miał mieszkać?

– Ale ty przecież mieszkasz w Sheffield.

Widzę, że wpadłem. Musiałem się trochę udławić kością kurczęcia, żeby zyskać na czasie i jakoś się z tego wykaraskać.

Potem powiedziałem:

– Król chodzi do naszego kościoła regularnie, kiedy mieszka w Sheffield. To znaczy w lecie, kiedy przyjeżdża na kąpiele morskie.

– Co też ty mówisz! Przecież Sheffield nie leży nad morzem.

– A kto powiedział, że leży? – Jak to kto? Ty!

– Nie, nie powiedziałem!

– Powiedziałeś!

– Nie powiedziałem!

– Powiedziałeś!

– Nie mówiłem niczego podobnego!

– To coś w takim razie powiedział?

– Powiedziałem, że król przyjeżdża na kąpiele morskie. Tylko to powiedziałem.

– Rzeczywiście! Jakim sposobem król może brać kąpiele morskie, kiedy Sheffield nie leży nad morzem?

– Słuchaj no! – powiadam. – Używałaś kiedy angielskiego zieleńca?

– Pewnie, że tak.

– A czy musisz po nie jeździć do Anglii?

– Skądże! Co za pomysł!

– No widzisz. Tak samo Wilhelm IV nie musi jeździć nad morze, żeby się kąpać w wodzie morskiej.

– To jakim cudem ją dostaje, tę wodę morską?

– Takim cudem, jakim cudem ludzie dostają u was angielskie ziele – w beczkach. W pałacu Sheffield są ogromne piece, bo król lubi mieć gorącą kąpiel. Nad samym morzem nie mogą mu zagrzać takiej ilości wody, bo nie mają odpowiednich urządzeń.

– Teraz rozumiem. Czegoś od razu tak nie powiedział? Nie zmarnowalibyśmy niepotrzebnie tyle czasu.

Słyszając to pomyślałem sobie: dobra nasza, jakoś tym razem wyniosłem całą skórę. Ale Zajęcza Warga zaraz pytała dalej:

– Chodzisz też do kościoła?

– Pewnie. Co niedzielę.

– A gdzie siedzisz?

—Jak to gdzie siedzę? W naszej ławce.

– W czyjej ławce?

– W naszej. W ławce twego stryja Harveya.

– W jego ławce? A po co mu ławka?

– Po to, żeby w niej siedział. Po co komu może być ławka?

– To on nie stoi na kazalnicy?

Niech to lichy! Zapomniałem, że ten stary łotr jest kaznodzieją. Zobaczyłem, że znowu wpadłem, więc zacząłem się ratować kością kurczęcia i wysilać mózgownicę. A potem mówię:

– Nie, czy ty naprawdę przypuszczasz, że w Anglii mają po jednym kaznodziei w kościele?

– A po co im więcej?

– Jak to po co? Żeby mówili kazania dla króla. W życiu nie widziałem takiej dziewczyny! W naszym kościele jest ich ni mniej ni więcej, tylko siedemnastu.

Siedemnastu! Ojej! Nie wysiedziałybym do końca, choćbym nigdy nie miała pójść do nieba. Przecież to musi trwać najmniej tydzień.

– Co ty opowiadasz! Przecież nie wszyscy mówią kazania tego samego dnia. Mówi tylko jeden.

– To co robi reszta?

– Och, nic wielkiego. Kręcą się po kościele, obnoszą tacę – zajmują się tym czy owym.

– To na co ich trzymają tyłu w kościele?

– Jak to na co? Żeby było szykownie. Czy ty, dziewczyno, nic nie rozumiesz?

– Och, takich głupstw to nawet nie chcę rozumieć. A jak traktują służących w Anglii? Czy lepiej, niż my traktujemy czarnych?

– Skądże! Służący w Anglii znaczy tyle co, śmieć i obchodzą się z nim gorzej niż z psem.

– I nie dają mu nigdy wolnego dnia, tak jak my dajemy Murzynom? Ani na Boże Narodzenie, ani na Nowy Rok, ani na Czwartego Lipca?

– Zaraz widać, żeś nie była nigdy w Anglii. Posłuchaj, Zaję... Joanno! Służący w Anglii nie powącha jednego wolnego dnia przez okrągły rok. Nigdy nie chodzi do cyrku ani do teatru, ani na widowiska murzyńskie – w ogóle nie chodzi nigdzie.

– Ani do kościoła?

– Ani do kościoła.

– Ale przecież ty chodzisz do kościoła.

Znowu wpadłem. Zapomniałem na śmierć, że jestem służącym Króla. Ale zaraz wykręciłem kota ogonem. Zacząłem jej tłumaczyć, że lokaj to całkiem co innego niż zwykły służący i musi chodzić do kościoła – czy chce, czy nie chce i siedzieć w ławce ze swoim państwem, bo takie jest prawo. Ale jakoś mi to kiepsko wyszło i jak skończyłem, widzę, że Zajęcza Warga nie bardzo mi wierzy. Powiada:

– Jak babcię kocham, czyś ty mi przypadkiem nie naopowiadał całej masy kłamstw?

– Jak babcię kocham, że nie!

– Nie było w tym ani jednego kłamstwa?

– Ani jednego. Ani jednego jedyne kłamstwa – odparłem.

– Połóż rękę na tej książce i powtórz to jeszcze raz.

Zobaczyłem, że to tylko słownik, więc zrobiłem, jak chciała. Mina trochę jej się poprawiła.

Mruknęła:

– Hm... mogę uwierzyć w niektóre rzeczy. Ale prędzej mi włosy wyrosną na dłoni, zanim uwierzę we wszystko.

– W co nie chcesz uwierzyć, Joanno? – spytała Mary wchodząc do kuchni z Zuzanną. – To brzydko i niepoczciwie z twojej strony, że tak do niego mówisz – przecież on tu jest obcy wśród nas i daleko od domu. Byłoby ci przyjemnie, gdyby się tak ktoś z tobą obchodził?

– Och, ty zawsze jesteś taka, Mary. Zawsze chcesz ratować ludzi, zanim ich spotkało coś

złego. Przecież nic mu nie zrobiłam. Zdaje się, że próbował mnie trochę nabrać, więc mu powiedziałam, że ani myślę wierzyć we wszystkie jego bujdy. Tylko to mu powiedziałam, ani słowa więcej. Chyba potrafi znieść taką drobną przykrość?

– Wszystko mi jedno, czy to była drobna przykrość, czy duża. Jest u nas gościem i czuje się tu obcy, więc postąpiłaś nieładnie, żeś to w ogóle powiedziała. Gdybyś się znajdowała na jego miejscu, byłoby ci teraz wstyd. Nie wolno mówić ludziom rzeczy, które ich zawstydzają.

– Ależ Mary, on powiedział...!

– Mniejsza o to, co powiedział, nie w tym rzecz. Twoim obowiązkiem jest traktować go życzliwie, żeby nie musiał ciągle pamiętać, że jest z dala od swoich i na obczyźnie. Powiedziałem sobie w duchu: „I ja patrzę spokojnie, jak ten stary obwieś okrada taką dziewczynę!”

A potem przyszła Zuzanna i też wtrąciła swoje trzy grosze. Wierzcie mi, tak nagadała Zajęcej Wardze, że aż jej poszło w pięty.

Powiadam sobie: „I ja patrzę spokojnie, jak ten stary obwieś okrada drugą taką dziewczynę!” Potem Mary Jane z powrotem się do niej wzięła – łagodnie i słodko jak to zwykle ona – ale kiedy skończyła, z biednej Zajęcej Wargi niewiele zostało. Więc wpadła w strasznie zły humor.

– No, a teraz – powiedziały siostry – przeproś go.

Zajęcza Warga zrobiła to. Zrobiła pięknie – tak pięknie, że aż miło było słuchać. Powiedziałbym jej chętnie tysiąc kłamstw, byleby to jeszcze raz powtórzyła.

Powiadam sobie: „I to jest jeszcze jedna dziewczyna, którą ten stary obwieś okrada, a ja na to patrzę spokojnie!”

Jak dojechała do końca, wszystkie trzy zaczęły stawać na głowach, żeby mi się zdawało, że jestem u siebie w domu i pośród przyjaciół. A ja czułem się taki podły, taki zły i nikczemny, że w końcu powiedziałem sobie: „Trudno, postanowiłem. Niech skisnę, jak nie zdobędę dla nich tych pieniędzy”.

Więc poszedłem sobie mówiąc, że idę spać, co też prędzej czy później zamierzałem zrobić. Kiedy byłem już sam, zacząłem zastanawiać się, co dalej. A może by tak pójść po kryjomu do doktora Robinsona i wygarnąć mu wszystko o tych dwóch oszustach? Nie, to kiepski pomysł. Gotów się jeszcze wygadać, kto mu doniósł, a wtedy dostałbym ja za swoje! A może pójść do panny Mary Jane i ją o tym powiadomić? Nie, tego też nie zrobię. Ci dwaj poznaliby zaraz wszystko z jej twarzy, a że mają pieniądze w ręce, czmychną chyłkiem i tyle ich będziemy

widzieli. A gdyby Mary Jane zaczęła wzywać pomocy, sam zostałbym wmieszany w całą sprawę. Nie, jest tylko jedna jedyna rada: muszę ukraść te pieniądze. I muszę je ukraść w taki sposób, żeby się nie domyślili, że to moja sprawka. Tej parze rzezimieszków trafiła się nie lada okazja, więc zostaną tu, dopóki nie wycisną z rodziny Wilksów i z innych mieszkańców miasteczka ostatniego centa; a z tego wynikało, że mam czas i prędzej czy później znajdę jakąś okazję do kradzieży. Świsnę woreczek ze złotem i schowam go, a jak będę już daleko na rzece, napiszę do panny Mary Jane i powiem jej, gdzie go ukryłem. Ale lepiej, żebym zwędził pieniądze tej nocy, bo może doktor tylko udaje, że na wszystko machnął ręką, i gotów jeszcze spłoszyć moich ptaszków.

Więc postanowiłem, że pójde i przeszukam oba ich pokoje. W sieni na piętrze było ciemno, ale znalazłem jakoś pokój Księcia i zacząłem obmacywać rękami wszystkie kąty. Nagle myślę sobie:

– Nie wygląda mi to na Króla, żeby zgodził się oddać komukolwiek pieniądze pod opiekę. Wtedy poszedłem do jego pokoju i tam zacząłem szukać po omacku. Ale widzę, że bez świecy nie dam rady, a świecy naturalnie nie chciałem zapalać. Pomyślałem że zrobię coś innego: poczekam na nich i posłucham, o czym będą mówili. Mniej więcej w tej samej chwili usłyszałem ich kroki na schodach, więc postanowiłem schować się pod łóżko; wyciągnąłem rękę, żeby je namacać, ale łóżko wcale nie stało tam, gdzie myślałem, że stoi. Dotknąłem zasłony, za którą wisały suknie Mary Jane, więc dałem pod nią nura, wsunąłem się między damskie fatałaszki i stanąłem całkiem bez ruchu.

Weszli i zamknęli drzwi; a potem pierwsze, co Księżę zrobił, to schylił się i zajrzał pod łóżko. Byłem strasznie rad, że nie znalazłem łóżka, kiedy go szukałem! Chociaż wiecie, jest to całkiem naturalne, że jak człowiek nie chce być widziany, chowa się pod łóżko.

Siedli i Król powiada:

– No więc o co idzie? Gadaj krótko, bo lepiej, żebyśmy odstawiali na dole żałobników, zamiast siedzieli tutaj i mitrężyli czas. Wolę, żeby nie rozpuszczali o nas zanadto języków.

– Widzisz, Kapet, czuję się jakoś nieswojo, jakoś niewyraźnie. Ten doktor ciągle chodzi mi po głowie. Chciałem wiedzieć, jakie masz plany. Przyszedł mi pomysł, myślę, że niegłupi.

– Jaki pomysł, Księżę?

– Żebyśmy się stąd wynieśli tak gdzieś koło trzeciej nad ranem i jazda w dół rzeki z tym, co mamy w ręku. Tym bardziej że zdobyliśmy to bez najmniejszego wysiłku: ofiarowano nam te

sześć tysięcy, prawie zmuszono do przyjęcia ich, chociaż wyobrażaliśmy sobie, że nie obejdzie się bez kradzieży. Jestem za tym, żeby dać nogę i wynieść się czym prędzej z tej okolicy.

Bardzo mnie to zmartwiło. Parę godzin temu niewiele bym sobie z tego robił, ale teraz byłem zmartwiony i rozczarowany. Król aż się zachnął i powiada:

– Co? I nie sprzedać reszty majątku? Zwiejemy stąd jak głupcy i zostawimy nieruchomości warte osiem czy dziewięć tysięcy dolarów, które same się proszą, żeby je ktoś zagarnął?

Księżę coś tam pomruczał pod nosem, powiedział, że worek złota całkiem mu wystarczy, że nie ma najmniejszej ochoty bardziej się narażać i że nie chce odzierać biednych sierot ze wszystkiego, co mają.

Co też ty opowiadasz! – oburzył się Król. – Nie obedrzemy ich z niczego innego prócz tych pieniędzy. Ludzie, którzy kupią nieruchomości, będą stratni, bo jak wyjdzie na wierzch, że nie my jesteśmy prawymi właścicielami – a na to nie będą musieli długo czekać po naszej ucieczce – sprzedaż zostanie unieważniona i wszystko wróci do właścicieli. Sieroty dostaną z powrotem swój dom – a czego im więcej trzeba? Są młode i żwawe i łatwo mogą zarobić na kawałek chleba. Nie stanie im się żadna krzywda. Pomyśl tylko, Księżę: przecież są na świecie tysiące sierot, którym nie dzieje się ani w połowie tak dobrze. Niech mnie skreśli, jeżeli te mają na co narzekać.

Król tak gadał i gadał, aż całkiem zagadał Księcia. W końcu Księżę ustąpił, ale powiedział, że według niego takie siedzenie na miejscu to czyste szaleństwo i czy Król zapomniał o doktorze. Ale Król na to:

– Do diaska z doktorem! Co on nas obchodzi? Czy nie mamy po naszej stronie wszystkich durniów w mieście? I czy durnie nie stanowią większości w każdym mieście?

Kiedy mieli już zejść na dół, Księżę powiada:

– Nie wydaje mi się, żebyśmy schowali pieniądze w dobrym miejscu.

Poweselałem. Zacząłem już podejrzewać, że nie usłyszę nic, co by mi pomogło w poszukiwaniach. Król spytał:

– Dlaczego?

– Bo Mary Jane będzie teraz nosiła żałobę i zanim się obejrzysz, każe Murzynce, która sprząta pokój, wytrześć i schować do kufra te wszystkie fatalachy; a czyś ty widział kiedy czarnucha, który mając w ręce cudze pieniądze nie pożyczycy sobie kilku garstek?

– Znowu zaczynasz, Księżę, gadać jak człowiek z olejem w głowie – zawołał Król i dał nura

pod zasłonę o jakie dwie czy trzy stopy od miejsca, gdzie się znajdowałem. Przywarłem z całej siły do ściany i stałem zupełnie nieruchomo, chociaż trochę drżałem; okropnie byłem ciekaw, co oni powiedzą, jeżeli mnie tu znajdą, i próbowałem coś wymyślić na wypadek, gdyby mnie złapali. Ale Król miał worek w ręku, zanim zdążyłem domyśleć jedną myśl do połowy – i ani przypuszczał, że jestem tak blisko! Wepchnęli worek przez szparę do siennika, który leżał pod piernatem, i zagrzebali go w słomie głęboko na jaką stopę. Powiedzieli, że teraz wszystko jest już w porządku, bo czarnuch porusza przy słaniu łóżka tylko piernat, a słomę w sienniku przewraca najwyżej dwa razy w roku, więc nie ma obawy, żeby ktoś ukradł worek.

Ale ja wolałem nie ryzykować. Wyjąłem worek, zanim zeszli z połowy schodów. Wdrapałem się po omacku do mojej izdebki na poddaszu i schowałem go tam, do czasu wynalezienia lepszej kryjówki. Pomyślałem, że chyba trzeba go będzie ukryć gdzieś poza domem, bo jak tylko Król i Księżę zauważą, że znikł, zaczną szukać po całym domu i nie przepuszczą żadnego kąta. Tego byłem pewien. Nie zdejmując ubrania położyłem się na pryczy, ale nie zasnąłem, choćbym się nie wiem jak starał, tak bardzo chciałem skończyć z tą sprawą. Po jakimś czasie usłyszałem, że Król i Księżę wrócili do swoich pokojów, więc zsunąłem się z pryczy na podłogę i leżałem dalej z brodą opartą o szczyt drabiny, czekając, czy się coś nie zdarzy. Ale nic się nie zdarzyło.

Leżałem tak, dopóki wszystkie późne odgłosy nie ucichły i nie odezwały się jeszcze te wczesne, które zapowiadają nadejście świtu; a potem zszedłem cicho po drabinie.

Nieboszczyk Piotr odzyskał swoje złoto

Podkradłem się pod drzwi ich pokojów; chrapali obaj, więc odszedłem na palcach i bez wypadku przedostałem się na dół. Cisza była wszędzie zupełna. Zajrzałem przez szparę do jadalnego pokoju i widzę, że mężczyźni, którzy mieli czuwać przy zwłokach, siedzą wszyscy na krzesłach i śpią jak susły. Drzwi do bawialni, gdzie stała trumna, były szeroko otwarte i w obu pokojach paliły się świece. Skradałem się dalej korytarzem. Jak powiadam, drzwi do bawialni były otwarte; zobaczyłem, że w pokoju nie ma nikogo oprócz nieboszczyka, więc minąłem bawialnię i idę dalej. Ale drzwi wejściowe były zamknięte na klucz i klucza ani śladu! Właśnie wtedy usłyszałem, że ktoś schodzi w dół po schodach z tyłu za moimi plecami. Wpadłem do bawialni, rozejrzałem się prędko po wszystkich kątach, ale widzę, że jedyne miejsce, gdziebym mógł schować worek, to trumna. Wieko było odsunięte na jaką stopę i w szparze zobaczyłem twarz nieboszczyka przykrytą kawałkiem wilgotnego płótna. Wsunąłem worek z pieniędzmi pod wieko, trochę poniżej skrzyżowanych dłoni i skóra mi ścierpła, takie zimne były te dłonie. Potem w kilku susach przesadziłem pokój i schowałem się za drzwi.

Weszła Mary Jane. Zbliżyła się cichutko do trumny, uklękła i zajrzała do środka, a potem podniosła chusteczkę do oczu i zaczęła płakać; domyśliłem się tego, chociaż nie słyszałem żadnego odgłosu i chociaż była odwrócona do mnie plecami. Wyśliznąłem się zza drzwi, a jak mijałem jadalnię, pomyślałem sobie, że na wszelki wypadek zobaczę, czy ci niby czuwający przy zwłokach mnie nie zauważyli. Zajrzałem przez szparę i zaraz się uspokoilem. Spali dalej jak susły.

Przekradłem się do mojej izdebki i poszedłem do łóżka wściekły że sprawa przyjęła taki obrót, chociaż tyle zadałem sobie trudu i tak ryzykowałem. Powiedziałem sobie: gdyby worek został tam, gdzie jest, nie martwiłbym się o nic, bo jak przepłyniemy ze sto czy dwieście mil w dół rzeki, napiszę do Mary Jane i ona każe stryjaszka odkopać i odzyska worek. Ale to się z

pewnością nie zdarzy; zdarzy się za to co innego. To mianowicie, że kiedy będą przybijali wieko, znajdą worek i Król dostanie pieniądze z powrotem – a wtedy czekaj tatka latka! Nieprędko da je sobie po raz drugi zwędzić! Naturalnie chciałem się przekraść jeszcze raz do bawialni i wyjąć worek z trumny, ale nie zrobiłem tego. Z każdą minutą było teraz bliżej świtu i któryś z tych w jadalni mógłby się zbudzić i przyłapać mnie z sześcioma tysiącami dolarów w ręku, których nikt mi nie powierzał i o opiekę nad nimi nie prosił. Więc powiedziałem sobie: „Od takich spraw, Huck, trzymaj się lepiej z daleka”.

Kiedy rano zszedłem na dół, drzwi do bawialni były zamknięte, a żałobnicy poszli do domów. Na miejscu została tylko rodzina, wdowa Bartley i nasza szajka. Przypatrywałem się pilnie ich twarzom, ale nic z nich nie mogłem wyczytać.

Koło południa przyszedł przedsiębiorca pogrzebowy ze swoimi pomocnikami, postawił trumnę na dwóch krzesłach, w samym środku pokoju, a potem poznosili krzesła z całego domu, pożyczyci jeszcze sporo od sąsiadów i ustawili je w rzędach, od ściany do ściany: w sieni, jadalni i bawialni. Zobaczyłem, że wieko trumny jest w tym samym położeniu, w jakim było wczoraj, ale ciągle się ktoś kręcił w pobliżu, więc nie mogłem podejść i zajrzeć do środka.

Potem ludzie zaczęli się schodzić. Dziewczęta i obaj wydrwigrosze siedli w pierwszym rzędzie krzeseł, bliżej głowy trumny; przez następne pół godziny powoli, gęsiego przechodzili ludzie i spoglądali na twarz nieboszczyka, a niektórym kapnęła nawet łza do środka i wszystko odbywało się bardzo uroczyście i w wielkiej ciszy, tylko trzy bratanice zmarłego i dwaj obwiesie trzymali chustki przy oczach, głowy mieli pochylone i trochę pochlipywali. Nie słychać było nic prócz szurgotu nóg i wycierania nosów, bo na pogrzebie ludzie wycierają nosy częściej niż gdziekolwiek indziej, może tylko w kościele wycierają częściej.

Kiedy dom był już nabity po brzegi, przedsiębiorca pogrzebowy w czarnych rękawiczkach, taki jakiś łagodny i kojący, zaczął krążyć w tłumie kończąc przygotowania i pilnując, żeby rzeczy i ludzie znajdowali się w jak najlepszym porządku i żeby wszystkim było wygodnie, przy czym poruszał się cicho jak kot. Ani razu się nie odezwał. Przesuwał ludzi z miejsca na miejsce, wpychał do środka spóźnionych, kazał robić przejścia – a wszystko to za pomocą ruchów głowy i ręki. Potem sam stanął pod ścianą. Był najpłynniejszym i najposuwistszym, najciszej przemykającym się człowiekiem, jakiego w życiu widziałem, a tyle miał na twarzy uśmiechu, ile ma na przykład kawałek szynki.

Pożyczono też fisharmonię, okropnie rozstrojoną. Jakaś młoda niewiasta usiadła i zaczęła

bębnić po klawiszach, strasznie chrzęszcząc i chrobocąc pedałami, i wszyscy zawtórowali jej śpiewem. Hałas był taki, że moim zdaniem nieboszczyk Piotr wygrał na czysto, że był nieboszczykiem. Potem wielebny Hobson wstał i zaczął przemawiać powoli i uroczyście; ale ledwie otworzył usta, w piwnicy wybuchł najpotworniejszy harmider, jaki można sobie wyobrazić; był to tylko jeden pies, ale narobił okropnego jazgotu i ani myślał się uspokoić. Proboszcz stał nad trumną i czekał – w tym hałasie człowiek nie słyszał, co do siebie mówi w myślach. Sytuacja była strasznie głupia i ludzie nie wiedzieli, co począć. Wtem długonogi przedsiębiorca pogrzebowy dał pastorowi znak ręką, jakby mu chciał powiedzieć: „Nie przejmuj się pan, już ja to załatwię”. A następnie pochylił się trochę i zaczął płynąć wzdłuż ściany – widać było tylko jego ramiona i plecy nad głowami ludzi. Więc płynął wzdłuż ściany, a ujadanie w piwnicy stawało się coraz głośniejsze. W końcu, kiedy przeszedł tak wzdłuż dwóch ścian pokoju, zniknął w piwnicy. Po paru sekundach usłyszeliśmy łomot, pies zawył dwa razy w zupełnie zdumiewający sposób i umilkł, a potem zrobiło się cicho jak w grobie i pastor wrócił do swojego uroczystego przemówienia dokładnie w tym miejscu, w którym je przed chwilą przerwał. Po minucie czy dwóch ramiona przedsiębiorcy pogrzebowego znowu zaczęły sunąć wzdłuż ściany; sunął tak, sunął i sunął pod jedną ścianą, potem pod drugą, potem pod trzecią, aż w końcu stanął, wyprostował się, wyciągnął szyję i osłoniwszy usta ręką wyszeptał ochryple do pastora nad głowami ludzi: – Złapał szczura. – A jak to powiedział, pochylił się znowu i przemknął na swoje dawne miejsce. Widziałem, że ludzie odetchnęli z ulgą, bo naturalnie strasznie byli ciekawi. Taka drobna przysługa jak ta informacja nic nie kosztuje, a właśnie podobne drobiazgi zjednują człowiekowi uznanie i sympatię. Ten przedsiębiorca pogrzebowy był chyba najbardziej lubianym człowiekiem w mieście.

Cóż, mowa pogrzebowa była bardzo piękna, tylko trochę za długa i nudna. Jak tylko pastor skończył, Król zaczął głądzić po swojemu, ale w końcu cała zabawa skończyła się i przedsiębiorca pogrzebowy zaczął sunąć do trumny ze śrubokrętem w ręku. Ale mi wtedy ścierpła skóra i ani na chwilę nie spuszczałem z niego wzroku. Ale nawet mu do głowy nie przyszło, żeby grzebać w trumnie; zasunął tylko cichutko wieko, a potem mocno przykręcił śruby. No i masz babo placek! Nie wiedziałem, czy pieniądze są w środku, czy ich nie ma. Myślę sobie: przypuśćmy, że ktoś zwędził po cichu ten worek; co ja mam w takim wypadku zrobić – pisać do Mary Jane czy nie pisać? Powiedzmy, że Mary Jane każe odkopać stryja Piotra i nie znajdzie worka – co sobie wtedy o mnie pomyśli? Gotowi mnie jeszcze przychwycić i wsadzić

do więzienia. Najlepiej zrobię, jak się z niczym nie zdradzę, pary z ust nie puszczę i w ogóle nie będę pisał. Wszystko strasznie się teraz pokiełbało; chciałem zrobić dobrze, a tymczasem zrobiłem tak źle, że gorzej już nie mogłem. W ogóle po co ja się do tego wtrącałem, niech licho porwie całą sprawę!

Pochowali Piotra Wilksa i po pogrzebie wróciliśmy do domu. Znowu zacząłem pilnie przyglądać się ich twarzom – nie mogłem się powstrzymać i z niepokoju nie umiałem znaleźć sobie miejsca. Ale nie wyczytałem z nich nic mądrego.

Wieczorem Król wziął się do składania wizyt i czarował wszystkich po kolei, i był taki przyjacielski – tylko go do rany przyłóż! Napomknął tu i tam, że jego kongregacja w Anglii niecierpliwie na niego czeka, więc musi ostro wziąć się do rzeczy, załatwić od ręki wszystkie sprawy majątkowe i zaraz wracać do kraju. Bardzo mu był przykry ten pośpiech – powiedział – i wszyscy w miasteczku też się ogromnie martwili. Żalowali, że nie zostanie dłużej, ale mówili, że rozumieją – nie może być inaczej. Napomknął jeszcze Król, że naturalnie zabiorą ze sobą dziewczęta do Anglii. Bardzo to wszystkich ucieszyło, bo uważali, że w ten sposób dziewczęta będą miały zapewnioną opiekę i zamieszkają wśród najbliższych krewnych. Dziewczęta też się ogromnie ucieszyły – z tej radości całkiem im z głowy wypadło, że miały kiedykolwiek jakieś zmartwienia na tym świecie. Powiedziały Królowi, żeby jak najprędzej wszystko sprzedał, bo one w mig będą gotowe do drogi. Biedactwa takie były uradowane i takie szczęśliwe, że aż mi się serce krajało, kiedy patrzyłem, jak się dają nabierać i obelgiwać. Ale nie wiedziałem, jak by tu w sposób bezpieczny dla siebie zmienić tę wesołą śpiewkę.

Niech mnie licho, jeżeli Król nie wystawił domu, Murzynów i całego majątku na publiczną licytację, która miała się odbyć w dwa dni po pogrzebie; ale kto chciał, mógł kupić z wolnej ręki jeszcze przed tym terminem.

Więc na drugi dzień po pogrzebie, gdzieś koło południa, rozradowanym dziewczętom po raz pierwszy zrzęda mina. Przyszli dwaj handlarze niewolników i Król sprzedał im domowych Murzynów za cenę niską i na weksel, jak się to nazywa, z trzydniowym terminem płatności. Zaraz też handlarze wysłali ich do nowych nabywców – matkę do Memphis w górze rzeki, obu synów do Orleanu w dół rzeki. Myślałem, że tym biednym Murzynom i biednym dziewczętom serce pęknie z żalości; objęli się i płakali, i wpadli w taką rozpacz, że na sam widok aż mnie ścisnęło w dołku. Dziewczęta powiedziały, że nawet by im to do głowy nie przyszło, że rodzina może być rozdzielona albo sprzedana do innego miasta. Nigdy w życiu nie zapomnę widoku tych

biednych, nieszczęśliwych dziewcząt i tych Murzynów, co się ściskali i okropnie płakali; i chyba w ogóle nie wytrzymałbym tego i wybuchnąłbym, i wygadał, co i jak z naszą szajką, gdybym nie wiedział, że ta sprzedaż nie ma ważności i Murzyni wrócą do domu po kilku tygodniach.

Sprzedaż Murzynów wywołała wielkie poruszenie w miasteczku; zbiegło się do nas wielu sąsiadów; nie na żarty rozzłoszczeni wołali, że to skandal, żeby tak odrywać dzieci od rodzzonej matki. Ta sprawa zaszkodziła trochę oszustom, ale Król, ten stary głupiec, dalej się stawiał, wcale nie zważając na to, co Księżę mówił czy robił; a muszę wam powiedzieć, że Księżę czuł się bardzo niewyraźnie.

Następnego dnia miała się odbyć licytacja. Wczesnym rankiem Król i Księżę przyszli na poddasze do mojej izdebki i obudzili mnie; po ich minach zaraz poznałem, że stało się coś niedobrego. Król spytał:

– Czy byłeś w moim pokoju przedwczoraj wieczorem?

– Nie byłem, Najjaśniejszy Panie. – Zwałem go tak zawsze, kiedy w pobliżu nie było nikogo, prócz członków naszej szajki.

– A byłeś wczoraj w dzień albo wieczorem?

– Też nie byłem, Najjaśniejszy Panie.

– Słowo dajesz? Tylko bez kłamstw!

– Słowo daję, Najjaśniejszy Panie. Mówię najprawdziwszą prawdę! Nie zbliżałem się nawet do pokoju Waszej Królewskiej Mości, odkąd panna Mary Jane zaprowadziła nas tam pierwszego wieczora.

Wtedy odezwał się Księżę:

– Nie widziałeś przypadkiem, czy ktoś tam nie wchodził?

– Nie, Wasza Księżęca Mość. Przynajmniej sobie nie przypominam.

– Zastanów się dobrze.

Namyślałem się chwilę, aż znalazłem dla siebie świetne wyjście i wtedy powiadam:

– Murzynów to widziałem, jak wchodzili tam kilka razy.

Obaj drgnęli i najpierw mieli takie miny, jakby się tego nigdy nie spodziewali, a potem jakby się spodziewali tego od początku.

Księżę spytał:

– Co, wszyscy?

– Nie... w każdym razie nie wszyscy razem. O ile pamiętam, to tylko jeden raz widziałem, jak

wszyscy wychodzili z tego pokoju.

– Czekał, kiedy to było?

– *W* tym dniu, kiedyśmy mieli pogrzeb. Rano. Nie bardzo wcześnie, bo wtedy zasnęłam. Miałam już zejść po drabinie, kiedy ich zobaczyłam.

– No i co dalej? Gadaj prędzej! Co oni robili? Jak się zachowywali?

– Nic nie robili, a zachowywali się całkiem zwyczajnie. Wyszli na palcach z pokoju, więc zaraz sobie pomyślałam, że pewnie weszli do środka, żeby sprzątnąć pokój Waszej Królewskiej Mości czy coś takiego, bo przypuszczali, że Wasza Królewska Mość już wstał; ale zobaczyli, że Wasza Królewska Mość wcale jeszcze nie wstał, więc woleli prędko się wynieść, zanim zbudzą Waszą Królewską Mość i zanim spotka ich coś nieprzyjemnego.

– A to ładna heca! – powiedział Król. I obaj mieli teraz strasznie złe, a przy tym mocno głupie miny. Stali tak chwilę zamyśleni, drapiąc się po głowach, a potem Księżę zaczął chichotać tak jakoś zgrzytliwie i w końcu powiada:

– To świetnie, to wspaniale! Jak znakomicie te czarnuchy odegrały swoje role! Udawali rozpacz, że się wynoszą z tej okolicy! I ja byłem pewien, że się martwią. Ty też byłeś pewien, wszyscy byli! Niech nikt nie próbuje we mnie wmówić, że Murzyni są pozbawieni scenicznych zdolności. Tak sprytnie odegrali tę komedię, że każdy dałby się nabrać. Moim zdaniem warci są majątek. Gdybym miał kapitał i odpowiedni teatr, nie życzyłbym sobie lepszych aktorów – a tymczasem myśmą ich sprzedali za bzdurną cenę. Gdzie jest ta bzdura... ten weksel?

– W banku, gdzie czeka na dyskonto. A gdzie, u diaska, miałyby być?

– No, przynajmniej to jedno w porządku, Bogu dzięki!

Spytałem, takim dość wylekzionym głosem:

– Czy stało się coś złego?

A Król jak się do mnie nie obróci i jak na mnie nie wrzaśnie!

– Nie twój interes! Trzymaj gębę na kłódkę i pilnuj własnego nosa! Radzę ci, żebyś o tym pamiętał, póki tu jesteśmy! Słyszałeś? – A potem zwrócił się do Księcia: – Musimy to połknąć jakby nigdy nic. Ani pary z gęby, to jedyna rada.

Już mieli zejść na dół po drabinie, kiedy Księżę znów zaczął chichotać i powiada:

– Sprzedawać szybko z małym zyskiem, byleby był ruch w interesie! Ach, słusznie, to daje najlepsze wyniki!

Król odwrócił się do niego i warknął wściekły:

– Chciałem jak najlepiej, kiedym ich tak od ręki sprzedawał. Tyle w tym twojej winy co mojej, żeśmy źle na tym wyszli.

– Hm, gdybyś raczył brać moje rady pod uwagę, Murzyni byliby jeszcze w domu, za to nas by tu nie było.

Król powiedział coś Księżciu do słuchu, ale uważał, żeby mu się zanadto nie narazić, a potem jak nie skoczy do mnie! Zdrowo natarł mi uszu za to, że go nie zawiadomił od razu o tych Murzynach, że wyszli z jego pokoju i tak się jakoś dziwnie zachowywali. Każdy głupiec by się domyślił – powiedział – że coś tu nie jest w porządku. Potem dał mi spokój i przez chwilę przeklinał samego siebie; powiedział, że to wszystko stało się dlatego, że wtedy rano wstał za wcześnie z łóżka i nie wypoczął jak należy, i że prędzej skiśnie, zanim jeszcze raz tak zrobi. W końcu odeszli, ciągle sobie dogadując, a ja o mało co nie skakałem z radości, że udało mi się całą winę zwalić na Murzynów, a przy tym nie wyrządziłem im najmniejszej nawet krzywdy.

Przechytrzenie nie popłaca

Niedługo przyszła pora wstawania, więc zszedłem ze swego poddasza; kiedy miałem już zejść na dół, zauważyłem przez uchylone drzwi do pokoju dziewcząt pannę Mary Jane. Siedziała obok starego kuferka, który był otwarty, i pakowała się – na drogę do Anglii! Ale nagle przerwała pakowanie, odłożyła jakąś suknię na kolana, zasłoniła twarz rękami i w płacz. Na ten widok zrobiło mi się okropnie przykro – każdy czułby to samo. Więc wszedłem i powiadam:

– Panno Mary Jane, panią serce boli, jak się komuś dzieje coś złego. Mnie też... prawie zawsze. Dlaczego pani płacze?

Powiedziała. Szło jej o tych Murzynów. Domyślałem się tego. Powiedziała, że zepsuło jej to prawie zupełnie tę piękną podróż do Anglii. Nie wyobraża sobie, żeby mogła tam być kiedykolwiek szczęśliwa, wiedząc, że ta biedna matka nigdy nie zobaczy swoich dzieci – i tu Mary Jane wybuchnęła płaczem jeszcze żałośniejszym i podniósłszy ręce do góry zawołała:

– O Boże, Boże! Pomyśleć tylko, że oni się już nigdy nie zobaczą!

A ja jej na to:

– Kiedy właśnie, że się zobaczą, i to najdalej za jakie dwa tygodnie. Wiem, że się zobaczą!

No i macie – wygadałem się! A zanim zdążyłem mrugnąć, ona zarzuciła mi ręce na szyję i prosiła, żebym to powtórzył jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz.

Widzę, że wyskoczyłem jak filip z konopi, powiedziałem za dużo i wpakowałem się w paskudną kabałę. Poprosiłem, żeby mi pozwoliła trochę pomyśleć; więc czekała bardzo zniecierpliwiona, bardzo przejęta i ładna, ale minę miała taką trochę szczęśliwszą – jak ludzie, którym ulży po wyrwaniu bolącego zęba. Zacząłem mocno kręcić głową. Pomyślałem sobie, że człowiek, który będąc w tarapatach wygarnie nagle całą prawdę, naraża się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo, chociaż prawdę mówiąc nie mam w tych sprawach żadnego doświadczenia i głowy nie dam, że tak jest na pewno. W każdym razie na to mi wygląda. Ale niech mnie licho, jeżeli w tym wypadku prawda nie wydawała się lepsza i co więcej, bezpieczniejsza niż kłamstwo.

Pomyślałem, że będę musiał w wolnej chwili dobrze się nad tym zastanowić, takie to wydawało mi się nowe i takie niezwykle. Jak żyję, nie spotkałem się z czymś podobnym. No, ale trudno, powiedziałem sobie, zaryzykuję: wygarnę tym razem całą prawdę, chociaż takie mam uczucie, jakbym miał siać na beczce prochu i podłożyć lont, żeby się przekonać, dokąd mnie wybuch zanieśie. W końcu tak się odezwałem:

– Panno Mary Jane, czy zna pani kogoś, kto mieszka za miasteczkiem i do kogo mogłaby pani pojechać na kilka dni?

– Naturalnie. Do państwa Lothrop. Dlaczego pytasz? -

– Mniejsza o to. Tymczasem nie będziemy o tym mówili. Jeżeli wyjaśnię, skąd wiem, że ci pani Murzyni spotkają się znowu, i to w tym domu – i jeżeli dowiodę, że mam rację, czy pojedzie pani wtedy, do państwa Lothrop i zostanie u nich kilka dni?

– Kilka dni – zawołała. – Gotowa jestem zostać cały rok!

– No to zgoda – odparłem. – Ponieważ idzie o panią, wystarczy mi zwyczajne słowo – to pewniejsze niż u kogo innego przysięganie na Biblię. – Uśmiechnęła się i poczerwieniała, z czym było jej bardzo ładnie, a ja dodałem: – Jeżeli pani pozwoli, zamknę drzwi i zasunę rygiel.

Wróciłem, usiadłem naprzeciwko niej i powiadam:

– Tylko niech się pani nie złości. Niech pani siedzi spokojnie i będzie prawdziwym mężczyzną. Powiem teraz prawdę, więc proszę zebrać wszystkie siły, bo ta prawda nie jest miła i nie będzie pani przyjemnie ją usłyszeć, ale na to nie ma żadnej rady. Ci pani stryjowie, to nie żadni stryjowie, tylko para oszustów – łotrów pierwszej wody. No i widzi pani, najgorsze już za nami, a resztę znieśie pani śpiewająco.

Strasznie ją to przejęło, ale co się dziwić. A jak raz wypłynąłem na czyste wody, waliłem prosto przed siebie. Jej oczy błyszczały coraz bardziej i bardziej, a ja opowiadałem kolejno wszystko, od chwili, kiedy na progu domu rzuciła się Królowi na szyję a on pocałował ją szesnaście czy siedemnaście razy. Usłyszawszy to zerwała się na nogi z twarzą czerwoną jak burak i powiada:

– Ach, ten łotr! Chodź – nie traćmy minuty, nie traćmy sekundy! Zanurzymy ich w smole, utarzamy w pierzu i utopimy w rzece!

Ja jej na to:

– Z wielką chęcią. Ale czy pani chce to zrobić, zanim pani pojedzie do państwa Lothrop, czy też...

– Ach, co mi przychodzi do głowy! – zawołała i usiadła. – Zapomnij, co ci mówiłam... proszę, zapomnij... przyrzeknij, że zapomnisz! – A jak przy tym położyła swoją jedwabistą rękę na mojej, zaraz powiedziałem, że bodaj bym umarł, gdybym nie zapomniał. – Nie zastanawiałam się, co robię, taka byłam rozgniewana – dodała. – Ale teraz mów dalej, już ci więcej nie przerwę! Powiedz, co mam robić, a z pewnością cię usłucham!

– Widzi pani – ciągnąłem – to straszne łotry ci dwaj szachraje, a ja chcę czy nie chcę, muszę się ich jeszcze jakiś czas trzymać – wolę pani nie mówić dlaczego. Gdyby ich pani wysypała, ludzie w miasteczku pomogliby mi wydostać się z ich łap i dla mnie wszystko skończyłoby się dobrze, ale jest ktoś, kogo pani nie zna, a kto wpadłby wtedy w straszne tarapaty. A my przecież chcemy go uratować, prawda? Naturalnie. Dlatego musimy tymczasem milczeć.

Jak wypowiedziałem te słowa, przysłała mi do głowy dobra myśl. Zrozumiałem, w jaki sposób mógłbym uwolnić Jima i siebie od tych dwóch obwiesi: postaram się, żeby poszli do kozy, a potem w nogi. Ale wolałem nie jechać tratwą w dzień i nie mieć ze sobą nikogo, kto by odpowiadał na pytania; dlatego chciałem, żeby mój plan zaczął działać dopiero późnym wieczorem. Powiedziałem:

– Panno Mary Jane, już wiem, co zrobimy. I wcale nie będzie pani musiała jechać na tak długo do państwa Lothrop. Ile to mil?

– Niecałe cztery. Za miasteczkiem, przy głównym gościńcu.

– Tyle ile nam trzeba. Pojedzie tam pani teraz i poczeka spokojnie do dziewiątej albo pół do dziesiątej wieczór; dopiero wtedy niby coś sobie pani przypomni i poprosi ich, żeby panią odesłali do domu. Jeżeli pani tu przyjedzie przed jedenastą, proszę postawić zapaloną świecę w oknie tego pokoju; gdybym nie przyszedł proszę czekać do jedenastej, a jeżeli po jedenastej też się nie zjawię, będzie to znaczyło, że drapnąłem, że mnie tu już nie ma i nic mi nie grozi. Wtedy powie pani ludziom o wszystkim i każe tych dwóch łotrów aresztować.

– Dobrze – odparła. – Zrobię to.

– A gdyby się tak przypadkiem zdarzyło, że nie uda mi się uciec i zostanę razem z nimi przyłapany, proszę koniecznie powiedzieć, że panią o wszystkim z góry uprzedziłem. I proszę się za mną wstawić.

– O to możesz być spokojny. Włos ci z głowy nie spadnie! – zawołała. A przy tych słowach rozdęły jej się nozdrza i z oczu strzeliły iskry.

– Jeżeli drapnę – ciągnąłem – nie będzie mnie tutaj i nie będę mógł dowieść, że te szelmy nie

są pani stryjami; zresztą gdybym został, też bym tego nie mógł dowieść. Mógłbym co najwyżej przysiąc, że z nich straszne łotry i oszusty; to też jest coś warte. Ale są inni, którzy zrobią to lepiej ode mnie i ludzie im prędzej uwierzą. Powiem pani, jak ich znaleźć. Da mi pani ołówek i kawałek papieru? To wystarczy... „*Królewska niebywałość, Bricksville*”. Proszę schować tę kartkę i przypadkiem jej nie zgubić. Jak sąd będzie chciał dowiedzieć się czegoś o naszych dwu ptaszkach, niech poślą do Bricksville i powiedzą, że złapali tych od *Królewskiej niebywałości*, i niech zavezwą kilku świadków – ach, panno Mary, zanim się pani obejrzy, przygna tu całe miasteczko! A wściekli przylecą!

Pomyślałem, że omówiliśmy już mniej więcej wszystko, więc powiadam:

– Licytacja niech się spokojnie odbywa, o to może panią głowa nie boleć. Ponieważ wyznaczyli ją w tak krótkim terminie, nikt nie będzie musiał płacić za kupione rzeczy od razu, tylko dopiero na drugi dzień, a te szelmy nie ruszą się stąd, dopóki nie zagarną wszystkiego. Tak jak ułożyliśmy całą sprawę, sprzedaż nie będzie miała żadnej ważności i oni nie dostaną ani jednego centa. Odbędzie się dokładnie tak samo jak z Murzynami: sprzedaż jest nieważna i Murzyni wrócą niedługo do domu. Przecież oni nie mogą nawet odebrać z banku pieniędzy za Murzynów – co, panno Mary, wpakowali się w paskudną kabałę, prawda?

– Pobiegnę teraz na śniadanie – powiedziała — i zaraz potem wybiorę się do państwa Lothrop.

– Ojej, panno Mary Jane – odparłem – tak nie można, w żadnym wypadku. Niech pani jedzie przed śniadaniem.

– Czemu?

– Jak pani myśli, panno Mary, dlaczego ja w ogóle chcę, żeby pani pojechała?

– Hm... nie zastanawiałam się nad tym, i tak naprawdę to nie wiem. Dlaczego?

– Bo pani nie należy do ludzi, którzy mają twarze niczym z drzewa. Pani twarz to zupełnie jak książka. Człowiek mógłby sięgnąć naprzeciwko i przeczytać ją od deski do deski, jakby była napisana największym drukiem. Czy pani myśli, że kiedy stryjaskowie zaczną panią całować na dzień dobry, pani się nie...

– Och, dość, dość! Masz rację, pojedę przed śniadaniem!... bardzo chętnie pojedę. Ale czy mam zostawić moje biedne siostry z tymi łajdakami?

– Proszę się o to nie martwić. Będą musiały jeszcze pocierpieć trochę w ich towarzystwie. Jakby pojechały z panią, mogłoby się to wydać podejrzane. Wolę, żeby pani z nimi nie

rozmawiała – ani z siostrami, ani z nikim w miasteczku, niech tylko któryś sąsiad spyta, jak się miewają dziś rano stryjaszkowie, pani twarz na pewno mu coś zdradzi. Pani musi jechać zaraz, panno Mary Jane, a ja potrafię to jakoś wytłumaczyć. Powiem panie Zuzannie, żeby się od pani pokłoniła stryjaszkom i powiedziała im, że pani postanowiła wyjechać, żeby troszkę odpocząć i rozerwać się czy może odwiedzić przyjaciół, i że wróci pani wieczorem albo jutro wcześniej rano.

– Co do odwiedzin u przyjaciół, zgoda. Ale nie pozwolę, żeby im się ktoś kłaniał w moim imieniu.

– Hm, w takim razie z kłamaniem damy spokój – co szkodzi, że jej to powiedziałem, nie było w tym nic złego. Drobiazg, który nie wymagał ode mnie żadnego wysiłku, a właśnie takie drobiazgi najbardziej ułatwiają życie. Pannie Mary zrobiło się przyjemnie, a mnie to nic nie kosztowało. Potem powiedziałem:

– Jedna jeszcze sprawa, panno Mary —idzie mi o ten worek z pieniędzmi.

– Cóż, worek mają oni. I czuję się naprawdę głupio, kiedy pomyślę, jak go dostali.

– Tu się pani myli. Wcale go nie mają.

– Co mówisz? A kto go ma?

– Chciałbym wiedzieć, ale nie wiem. Wiem, że miałem ten worek, bo go im ukradłem. Ukradłem, żeby dać pani. I wiem jeszcze, gdzie worek schowałem, ale myślę, że go już tam nie ma. Strasznie mi przykro, panno Mary Jane. Tak mi przykro, że nie może być przykrzej. Ale chciałem jak najlepiej. Słowo daję, że chciałem. O mało co nie zostałem na tym przyłapany, więc musiałem schować woreczek do pierwszej kryjówki, jaka mi przyszła na myśl, i potem w nogi – ale to nie była dobra kryjówka.

– Och, nie obwiniaj ze się tak, chłopcze! Aż przykro słuchać, naprawdę ci nie pozwalam, nie miałeś innej rady. To nie twoja wina. Gdzie go schowałeś?

Nie chciałem przypominać panie Mary Jane o jej strapieniu; i w żaden sposób nie mogłem wydusić z siebie słów, po których biedactwo musiałoby sobie wyobrazić nieboszczyka w trumnie z workiem złota na brzuchu. Więc pomilczałem z minutę, a potem powiadam:

– Wolałbym, panno Mary Jane, nie mówić, gdzie schowałem pieniądze, jeżeli mnie pani z tego zwolni. Napiszę tylko na kawałku papieru i jeżeli pani zechce, przeczyta to sobie pani w drodze do państwa Lothrop. Czy to pani wystarczy?

– Och, naturalnie.

Napisałem tak: „Włożyłem worek do trumny. Leżał już tam, kiedy pani płakała wtedy w nocy.

Stałem za drzwiami i okropnie było mi pani żal, panno Mary Jane”.

Oczy mi się spociły, kiedy sobie przypomniałem, jak płakała wtedy w nocy samiutka przy trumnie, a te diabły z piekła rodem, które ją okpiły i obrabowały, leżały sobie najspokojniej pod jej dachem. Oddając złożoną kartkę zobaczyłem, że ona też ma mokre oczy. Potrząsnęła moją ręką bardzo mocno i powiada:

– Żegnaj... zrobię wszystko, jak radzisz. A choćbym cię więcej nie miała zobaczyć, nigdy cię nie zapomnę i będę o tobie dużo, bardzo dużo myślała i będę się za ciebie modliła. I już jej nie było. Będzie się za mnie modliła! Myślę, że gdyby mnie znała lepiej, podjęłaby się roboty, której łatwiej by mogła sprostać. Ale głowę dam, że mimo wszystko dotrzymała słowa – taka już ona była, ta panna Mary Jane. Starczyłoby jej energii i dzielności, żeby się modlić za Judasza, jakby sobie tak postanowiła – myślę, że nie cofnęłaby się przed niczym. Mówcie, co chcecie, ale moim zdaniem było w niej więcej krzepy niż we wszystkich innych dziewczynach, jakie znałem w życiu; moim zdaniem pełno w niej było krzepy. Może będzie wam się zdawać, że to pochlebstwo, ale to nie jest pochlebstwo. A jeżeli idzie o piękność i dobroć, panna Mary Jane bije wszystkie inne dziewczyny na głowę. Nie widziałem jej od tamtego czasu, kiedy wyszła z pokoju, ale myślałem o niej chyba miliony razy: i o tym, jak mi powiedziała, że będzie się za mnie modliła. A gdybym tylko przypuszczał, że mogłyby zdać się jej na coś moje modlitwy, niech skisnę, jeżelibym się za nią nie modlił!

Czmychnęła widocznie kuchennymi schodami, bo nikt nie widział jej odjazdu. Kiedy zobaczyłem Zuzannę i Zajęczą Wargę, spytałem:

– Jak się nazywa ta rodzina po tamtej stronie rzeki, do której czasem jeździcie w odwiedziny?

Odparły:

– Jest takich kilka, ale najczęściej jeździmy do Proctorów.

– Właśnie oni – powiadam. – Całkiem mi to nazwisko wyleciało z głowy. Panna Mary Jane kazała wam powiedzieć, że pojechała do tych Proctorów w okropnym pośpiechu, bo ktoś tam u nich zachorował.

– Kto?

– Nie wiem. To jest... tak jakoś zapomniałem. Ale zdaje się, że...

– Ojej, chyba nie Hanna?

– Przykro mi – odparłem – ale właśnie Hanna.

– Mój Boże, w zeszłym tygodniu taka jeszcze była zdrowa!

Co jej dolega?

– Dolega! Też mi słowo! Panna Mary Jane powiedziała, że czuwali przy niej całą noc i wygląda na to, że nie pociągnie już długo.

– Kto by pomyślał? A na co jest chora?

Nie umiałem tak od ręki wymyślić żadnej rozsądnej choroby, więc powiadam. – Na świnkę!

– A jakże, na świnkę! Nikt nie czuwa po nocy przy ludziach, którzy chorują na świnkę!

– Nikt nie czuwa, na pewno! Nie radziłbym ci się zakładać, że nikt nie czuwa przy takiej śwince. Ta świnka jest całkiem inna. Panna Mary Jane powiedziała, że to nowa odmiana świnki.

– Jaka nowa odmiana?

– Taka, która jest pomieszana z innymi chorobami.

– Z jakimi?

– Och, z ospą i kokluszem, i różą, i suchotami, i żółtą febrą, i zapaleniem mózgu, i Bóg wie z czym jeszcze.

– O j ej ku! I oni to nazywają świnką?

– Tak panna Mary Jane powiedziała.

– A dlaczego?

– Dlatego, że to jest świnka. Od świnki się wszystko zaczyna.

– Co za głupi pomysł! Powiedzmy, że człowiek potknie się i niechący wypije truciznę, a potem wpadnie do studni, skręci kark i roztrzaska sobie czaszkę; i powiedzmy, że ktoś przyjdzie i spyta, od czego tamten zginął, a jakiś głupiec odpowie: „Potknął się biedak”. Czy to by miało jakiś sens? Nie. Tak samo nie ma żadnego sensu z tą świnką. Czy to jest zaraźliwe? Czy się czepia człowieka?

– Czy ta świnka czepia się człowieka? Co za pytanie! Czy na przykład po ciemku krzak jeżyn czepia się człowieka? Jeżeli się nie zaczepisz o jeden kolec, z pewnością nadziejesz się na drugi. Mam rację! A zanim uwolnisz się od tego jednego kolca, cały krzak się do ciebie przyczepi. No więc ten nowy rodzaj świnki jest jakby podobny do krzaku jeżyn – i to nie byle jakiego krzaku. Raz się ciebie uczepi, a prędko nie puści.

– Och, jakie to okropne, słowo daję! – zawołała Zajęczka Warga. – Pójdę zaraz do stryja Harveya i...

– A jakże! – powiadam. – Ja na twoim miejscu też bym poszedł. Jak babcię kocham, że bym poszedł. Nie traciłbym ani minuty...

– Słuchaj no, dlaczego byś nie poszedł?

– Zastanów się chwilę, to może zrozumiesz. Czy twoi stryjowie nie mówili, że muszą wracać jak najprędzej do Anglii? I czy ty sobie wyobrażasz, że pojedą i zostawią was tutaj, żebyście potem same jechały taki kawał świata? Tacy podli nie są. Wiesz dobrze, że poczekają na was. Jak dotąd wszystko w porządeczku. Twój stryj Harvey jest kaznodzieją, prawda? Jasne. A czy kaznodzieja chciałby oszukać kapitana parostatku? Czy będzie próbował nabrać kapitana okrętu oceanicznego po to tylko, żeby wpuścili jego bratanicę, pannę Mary Jane, na pokład? Wiesz doskonale, że tego nie zrobi. Więc co on robi, ten twój stryj Harvey? Wiadomo, powie: „Wielka szkoda, bardzo mi przykro, ale moja kongregacja musi jakoś sobie sama radzić, bo kto wie, czy moja bratanica nie zaraziła się okropną świnką nad świnkami, więc teraz moim świętym obowiązkiem jest siedzieć tu i czekać te trzy miesiące, podczas których mogą się u niej pokazać objawy choroby, jeżeli ją naturalnie złapała”. Ale co tam, jeżeli uważasz, żeś powinna powiedzieć stryjowi Harveyowi...

– Tere-fere! I zamiast bawić się świetnie w Anglii, będziemy marnowały tu czas, dopóki się nie przekonamy, czy Mary Jane złapała świnkę, czy jej nie złapała? Mówisz, jak ostatni dureń!

– W takim razie może byś zawiadomiła sąsiadów?

– Powiedział, co wiedział! W głupocie nikt ci nie dorówna! Czy ty nie rozumiesz, że sąsiedzi się wygadają? Jedyne rady to ani słowa nikomu.

– Hm... może masz rację. Wiesz, coś mi się zdaje, że chyba masz rację.

– Ale pewnie trzeba będzie powiedzieć stryjowi Harveyowi, że Mary Jane wyjechała gdzieś na kilka godzin, bo a nuż zaczniesz się o nią niepokoić?

– Tak, panna Mary Jane chciała, żebyście to zrobiły. Powiedziała: „Każ im pokłonić się i ucałować stryja Harveya i stryja Williama. Niech im powiedzą, że pojechałam za rzekę do państwa...” Jakże się nazywa ta bogata rodzina, którą wasz stryj Piotr tak szanował... Ojej, ci, co to...

– Pewnie masz na myśli Apthorpów?

– Właśnie! Niech licho porwie te nazwiska, których człowiek jakoś w żaden sposób nie może spamiętać! No więc panna Mary Jane kazała powiedzieć stryjaszkom, że pojechała poprosić Apthorpów, żeby koniecznie byli na licytacji i kupili dom, bo stryj Piotr – powiedziała – byłby z pewnością rad, gdyby dom dostał się w ich ręce. I nie ruszy się stamtąd, dopóki nie wydebi od nich obietnicy; potem, jeżeli nie będzie bardzo zmęczona, wróci do domu, a jeżeli będzie

zmęczona, wróci dopiero rano. Powiedziała jeszcze, żebyście ani słowem nie mówiły o Proctorach, tylko o tych Aphorpach – co zresztą będzie najprawdziwszą prawdą, bo tak czy owak się tam wybiera, żeby pogadać z nimi o kupnie domu. Wiem, bo mi to sama mówiła.

– Zgoda – zawołały i poszły czatować na stryjasków, żeby im się zaraz pokłonić i ucałować od Mary Jane, i powtórzyć jej polecenie.

Wszystko ułożyło się jak najlepiej: dziewczęta nie pisną słowa, bo chcą jechać do Anglii; a znowu Król i Księżę będą zadowoleni, że Mary Jane pojechała namawiać na kupno domu, zamiast żeby siedziała w miasteczku, gdzie doktor Robinson miał do niej łatwy dostęp. Byłem z siebie okropnie zadowolony. Zdawało mi się, że wykombinowałem całą rzecz bardzo zgrabnie – sam Tomek Sawyer lepiej by tego nie obmyślił. Naturalnie Tomek zrobiłby to z większą fantazją, ale mnie to jakoś nie wychodzi, bo takie umiejętności trzeba wynieść z domu.

Licytacja odbyła się na placu w miasteczku, gdzieś późnym popołudniem, a trwała okropnie długo. Król był cały czas na miejscu i wyglądał po prostu wspaniale, kiedy tak stał obok licytatora i wtrącał od czasu do czasu to werset z Biblii, to jakieś inne niemożliwie pobożne słowa, a Księżę nic tylko dukał swoje gu-gu-guu, żeby się ludzie nad nim litowali, i w ogóle nadzwyczajnie się popisywał.

Ale pomału licytacja dowlokła się jakoś do końca i wszystko zostało sprzedane. Wszystko z wyjątkiem starego i niewiele wartego miejsca na grób na cmentarzu. Więc teraz naturalnie zabrali się do sprzedaży grobu – w życiu nie widziałem takiego kata na pieniądze, jak Król! A kiedy byli tym zajęci, parowiec przybił do przystani i mniej więcej po dwóch minutach na plac wypadł tłum mężczyzn, którzy wrzeszczeli i pohukiwali, i śmieli się, i błaznowali, i krzyczeli:

– Macie tu konkurentów! Macie tu drugi komplet spadkobierców starego Piotra Wilksa! Kto płaci, ten ma prawo wybierać!

Daję nogę w czasie burzy

Prowadzili starego jegomościa o bardzo miłym wyglądzie i drugiego, młodszego, który miał prawą rękę na temblaku.

Rety, co ci ludzie wyprawiali, jak wrzeszczeli i jak pękali ze śmiechu! Ale ja nie widziałem w tym nic śmiesznego i pomyślałem, że Królowi i Księżciu też będzie nie do śmiechu. Wyobraziłem sobie, że obaj zbledną. Ale gdzie tam – ani trochę nie zrobili się bledsi! Księżę nie dał poznać po sobie, że rozumie, co się święci, tylko szczęśliwy i rozpromieniony dukał zawzięcie swoje gu-gu-guuu całkiem jak dzbanek, z którego wylewają z bulgotem maślanekę. A jeżeli idzie o Króla, ten nie powiedział słowa, tylko wpatrywał się i wpatrywał w nowo przybyłych z takim smutkiem, jakby go chwyciły boleści na samą myśl, że na świecie mogą być tacy podlece i szachraje. Och, był po prostu wspaniały! Bardzo wielu najważniejszych obywateli miasteczka obstało Króla; chcieli mu pokazać, że są po jego stronie. Stary jegomość, który właśnie przyjechał, miał okropnie zdziwioną minę. Po chwili odezwał się, a ja od razu poznałem, że mówi jak prawdziwy Anglik, a nie jak Król, chociaż trzeba przyznać, że jak na imitację, gadanie Króla było nie najgorsze. Nie umiem powtórzyć słów tego starego dżentelmena ani w żaden sposób nie potrafię go naśladować, ale zwrócił się do tłumu mniej więcej tak:

– Jest to dla mnie przykra niespodzianka, której bynajmniej nie przewidywałem. Przyznaję szczerze i otwarcie, że nie jestem na nią przygotowany i nie potrafię jej sprostać we właściwy sposób, gdyż nie wiodło się nam z bratem w drodze: najpierw on złamał rękę, a wczorajszej nocy, na skutek nieporozumienia, wyniesiono nasz bagaż w jednym z miast w górze rzeki. Nazywam się Harvey, jestem bratem Piotra Wilksa, a to jest jego brat William, który ani nie słyszy, ani nie mówi, a odkąd włada tylko jedną ręką, nie może nawet robić znaków, którymi zwykle porozumiewa się ze światem. Jesteśmy tymi, za których się podajemy; jutro albo pojutrze, kiedy odzyskamy nasz bagaż, potrafię to udowodnić. Tymczasem nie będę tracił więcej słów, tylko udam się z bratem do hotelu i tam spokojnie zaczekam.

I odszedł razem z tym nowym niemową. Wtedy Król w śmiech i powiada:

– Złamał rękę – to bardzo prawdopodobne. I bardzo wygodne dla oszusta, który musiałby robić znaki, tylko że nie ma o nich zielonego pojęcia. I zgubili bagaże! To wyśmienity pomysł – i jaki sprytny w tych okolicznościach!

I znowu zaczął się śmiać; wszyscy inni też ryknęli śmiechem z wyjątkiem jakich trzech czy czterech, najwyżej sześciu mężczyzn. Wśród tych, co się nie śmieli, był doktor, oprócz doktora jakiś jegomość o bystrym spojrzeniu, ze staromodnym pluszowym sakwojazem w rękę; on też dopiero co zszedł z parowca i teraz rozmawiał po cichu z doktorem, zerkając od czasu do czasu w stronę Króla i kiwając głową. Był to Levi Beli, adwokat, wrócił przed chwilą z Louisville. Trzecim wreszcie był jakiś ogromny i groźny z wyglądu dryblas, który właśnie nadszedł i najpierw wysłuchał wszystkiego, co mówił stary jegomość, a teraz przysłuchiwał się Królowi. Ledwie Król skończył, ten dryblas powiada:

– Słuchaj no pan! Jeżeli jesteś Harvey Wilks, to powiedz, kiedyś tu przyjechał?

– Dzień przed pogrzebem, przyjacielu – odparł Król.

– Ale o jakiej porze?

– Wieczorem, na parę godzin przed zachodem.

– A czym tu przyjechałeś?

– Na pokładzie parowca «Susan Powell» z Cincinnati.

– W takim razie jakim cudem mogłeś być rankiem tego samego dnia w Pint, dokąd przyjechałeś czólnem?

– Nie byłem w Pint.

– To kłamstwo! Kilka osób podskoczyło do dryblasa i dalej prosić, żeby nie mówił w ten sposób do starca i w dodatku kaznodziei.

Gwizdzą na takie kaznodziejstwo. Jest oszustem i łgarzem. Był rano tamtego dnia w Pint. Mieszkam tam, nie? No więc byłem w Pint i on tam był. Przyjechał czólnem z Timem Collinsem i jeszcze jakimś chłopcem.

Wtedy doktor wyskoczył z pytaniem:

– A poznałbyś tego chłopca, Hines, gdybyś go zobaczył?

– Chyba tak, ale głowy nie dam. A jakże, jest tam, widzę smarkacza. Poznałem go bez trudu. –

Wskazał na mnie.

Na to doktor:

– Słuchajcie, sąsiedzi. Nie wiem, czy ta nowa para to oszuści, ale jeżeli ci dwaj tutaj nie są szachrajami, ja jestem skończonym durniem. Tyle wam powiem. Uważam, że mamy obowiązek dopilnować, żeby się nie ulotnili, dopóki nie zbadamy dokładniej sprawy. Chodź, Hines, chodźcie ze mną wszyscy. Zaprowadzimy tych dwóch do zajazdu i porównamy ich z tamtymi. Myślę, że dowiemy się ciekawych rzeczy.

Ludziom było w to graj – wszystkim prócz chyba jednych przyjaciół Króla. Poszliśmy. Słońce właśnie zachodziło. Doktor prowadził mnie za rękę i nie mogę powiedzieć – był dla mnie całkiem miły, tylko że ani na chwilę nie puścił mnie od siebie.

Zebraliśmy się wszyscy w dużym pokoju w zajęzdzie, gdzie nam zapalili kilka świec i przyprowadzili tych dwóch nowo przybyłych. Doktor powiada:

– Nie chciałbym krzywdzić tych dwóch tutaj, ale zdaje mi się, że to oszuści i że mogą mieć współników, o których my nic nie wiemy. Jeżeli ich mają, kto wie, czy ci współnicy nie uciekną z workiem złota, który zostawił Piotr Wilks. Nie jest to nieprawdopodobne. A jeżeli nie są oszustami, zgodzą się chyba posłać po te pieniądze do domu i oddać je nam na przechowanie, dopóki nie dowiodą swojej uczciwości. Mam rację?

Wszyscy przyznali, że ma rację, więc pomyślałem, że już na samym wstępie doktor przyparł naszą szajkę do muru. Ale Król spojrział tylko na nich żałośnie i powiada:

– Panowie, chciałbym, żeby pieniądze były w domu, bo nie mam żadnej chęci przeszkadzać wam w uczciwym, szczerym i rzetelnym zbadaniu tej przykrew sprawy. Ale niestety! Pieniądze znikły. Jak macie ochotę, możecie posłać, to się przekonacie.

– A gdzie się w takim razie znajdują?

– Kiedy moja bratanica dała mi tę gotówkę, żeby ją dla niej przechować, wsadziłem worek do siennika w swoim pokoju. Nie chciałem oddawać pieniędzy do banku na te kilka dni, któreśmy tu jeszcze mieli przebyć, a myślałem, że siennik to bezpieczna kryjówka. Cóż, my nie jesteśmy przyzwyczajeni do Murzynów i zdawało nam się, że są tacy uczciwi jak nasza służba w Anglii. Murzyni zwędzili gotówkę na drugi dzień rano, jak tylko wyszedłem z pokoju; a kiedy ich tego dnia sprzedawałem, nie zauważyłem jeszcze braku pieniędzy, więc się najspokojniej z nimi wynieśli. Mój służący może wam to, panowie, dokładnie opowiedzieć.

Doktor i kilku innych mężczyzn zawołali: – Bzdury! – i widziałem, że tak naprawdę, to nikt w tłumaczenie Króla nie wierzy. Ktoś spytał mnie, czy widziałem, jak Murzyni kradli pieniądze. Odparłem, że nie, że widziałem tylko, jak wymykali się cichaczem z pokoju i uciekali na dół, ale

nic wtedy nie podejrzewałem. Pomyślałem sobie, że pewnie obudzili mojego pana i teraz uciekają w strachu, że ich mój pan wykrzyczy. Tylko o to mnie pytali. A potem doktor zwrócił się do mnie ostro:

– Ty, chłopcze, też jesteś Anglikiem?

Odparłem, że tak, a wtedy on i jeszcze kilku innych wybuchnęli śmiechem i powiedzieli: – Nonsens.

No a potem wzięli się do śledztwa i walcowali wszystko niemożliwie długo, kawałek po kawałku, godzina po godzinie i nikt ani słowem nie wspominał o kolacji ani chyba nie pomyślał o jedzeniu – i tak się to wlokło i wlokło. Ale też trudno sobie wyobrazić bardziej pokiełbaszoną sprawę. Kazali Królowi, żeby powiedział, co ma do powiedzenia, i potem kazali tamtemu staremu jegomościowi, żeby im opowiedział o sobie. Z wyjątkiem kilku zaślepionych głupców każdy widział, że stary jegomość mówi prawdę, a Król same łgarstwa. Potem przyszła kolej na mnie i chcieli, żebym im rzekł wszystko, co wiem. Król spojrzął na mnie brzydkiem kątem oka i to mi wystarczyło: wiedziałem, co mam mówić. Zacząłem im bzdurzyć o Sheffield, o tym, jakie tam prowadzimy życie, o angielskich Wilksach i tak dalej; ale nim zajechałem daleko, doktor w śmiech, a Levi Beli, ten adwokat, powiada:

– Siadaj, chłopcze, ja na twoim miejscu tak bym się nie wysilał. Nie przywykłeś do kłamstw, bo jakoś ci one nie wychodzą. Brak ci wprawy i robisz to bardzo niezręcznie. Na tych jego komplementach tak bardzo mi znowu nie zależało, ale byłem rad, że mnie zostawili w spokoju. Teraz doktor zwrócił się do adwokata i powiedział: Gdybyś pierwszego dnia był w mieście, Levi Beli, to... Król przerwał mu i wyciągnawszy rękę zawołał:

– Czyż mam przed sobą drogiego przyjaciela mojego biednego nieboszczyka brata, o którym pisał mi tak często?

Uścisnęli sobie ręce, przy czym adwokat uśmiechnął się i miał zadowoloną minę. Porozmawiali trochę, a potem odeszli na bok i coś tam zaczęli szeptać do siebie po cichu. W końcu adwokat odzywa się na głos:

– To powinno całą rzecz wyjaśnić. Wezmę pańskie pisemne zlecenie i zlecenie pana Williama i wyślę je, a wtedy oni potwierdzą, że wszystko jest w porządku.

Przynieśli papier i pióro. Król siadł, przekrzywił głowę na bok, przygryzł język i nagryzmolił kilka słów. Potem podali pióro Księżu i Księżę po raz pierwszy miał przestraszoną minę. Ale wziął pióro i napisał, co mu kazali. Wtedy adwokat zwrócił się do starego jegomości a

powiedział:

– Teraz panowie, zechciejcie napisać kilka słów i podpisać się nazwiskiem.

Stary jegomość napisał coś na kawałku papieru, ale nikt nie mógł tego odczytać. Levi Beli zrobił okropnie zdziwioną minę.

Zawołał:

– Teraz już nic nie rozumiem! – Wyciągnął z kieszeni plik starych listów, obejrzał je, potem obejrzał pismo obcego jegomościa, potem znów zaczął przyglądać się listom. W końcu powiedział: – Te listy pisane były przez Harveya Wilksa. Wystarczy spojrzeć na próbkę pisma tych dwóch tutaj, żeby się przekonać; że oni ich nie pisali. – (Powiadam wam: Król i Księżę zrobili miny głupie i rozczarowane, że dali się tak łatwo nabrać adwokatowi!) – Ale ktokolwiek spojrzy na pismo tego starego jegomościa – dodał adwokat – ten zobaczy od razu, że on też nie pisał tych listów. Prawdę powiedziawszy, jego gryzmoły w ogóle trudno nazwać pismem. A tu oto są listy...

– Pozwól pan, że wytłumaczę – przerwał mu stary jegomość. – Tylko mój brat William potrafi odczytać moje pismo, więc przepisuje zawsze wszystko, co ja napiszę. Te listy pisane są jego ręką, nie moją.

– Hm – mruknął adwokat. – Co za powikłania. Ale mam również kilka listów Williama, więc jeżeli wytłumaczy mu pan, żeby napisał kilka słów, będziemy mogli porów...

– Przecież on nie potrafi pisać lewą ręką – odparł stary jegomość. – Gdyby władał prawą ręką, przekonałby się pan, że pisał swoje listy i moje. Niech pan im się przyjrzy. Widać, że wyszły spod jednej ręki.

Adwokat porównał listy i powiada:

– Tak by się zdawało... a nawet jeśli jest inaczej, widzę teraz między nimi ogromne podobieństwo, którego początkowo nie zauważyłem. Hm... hm... Myślałem, że znajdujemy się o krok od ostatecznego wyświeślenia sprawy, a tymczasem wszystko wzięło w łeb – przynajmniej częściowo. W każdym razie dowiedliśmy jednego, a mianowicie, że żaden z tych dwóch nie jest Wilksem – i skinieniem głowy wskazał na Króla i Księcia.

No i pomyślcie tylko. Ten uparty kozioł, ten stary głupiec nawet wtedy nie chciał się poddać! Zwyczajnie nie chciał. Powiedział, że ta próba nie jest uczciwa. Powiedział, że jego brat William jest niemożliwym kawalarzem, że nawet nie próbował napisać po swojemu – że zaledwie William wziął pióro do ręki, on, Harvey, zaraz się domyślił, że wytnie mu jeden ze swych

psikusów. I nabrał takiego rozpędu, że głądził i głądził, aż w końcu sam zaczął wierzyć w to, co mówi. Ale niezadługo stary jegomość przerwał mu w te słowa:

– Przyszło mi coś na myśl. Czy jest tu wśród obecnych ktoś, kto pomagał ubrać do trumny zwłoki mojego br... zwłoki Piotra Wilksa?

– Owszem – odezwał się jakiś głos. – Robiliśmy to we dwóch z Abem Turnerem. Obaj tu jesteście. Wtedy stary jegomość zwrócił się do Króla i powiada:

– Może zechce mi pan powiedzieć, jaki znak miał Piotr Wilks wytatuowany na piersiach?

Niech mnie licho, jeżeli Król nie musiał w mig zebrać sił, bo inaczej klapnąłby jak wysoki brzeg podmyty przez wodę – tak niespodziewanie to na niego spadło; i myślę, że każdy by chyba klapnął, gdyby dostał ni stąd, ni zowąd takiego łupnia. Bo przecież jakim cudem Król mógł wiedzieć, co Piotr Wilks miał wytatuowane na piersiach? Przybladł, na to nic nie mógł poradzić; a w izbie zrobiło się nagle okropnie cicho, wszyscy pochylili się trochę do przodu i wytrzeszczyli na niego oczy. Powiadam sobie: no, teraz da za wygraną, przecież już wszystko przepadło. Myślicie, że dał? Gdzie tam! Człowiekowi po prostu trudno w to uwierzyć, ale nie dał! Pewnie sobie ułożył, że będzie przeciągał całą tę hecę, dopóki się to ludziom nie sprzykrzy i nie zaczną wychodzić, a wtedy on i Księżę wyrwą się i czmychną. Tak czy owak siedział spokojnie dalej, a po chwili uśmiechnął się i powiada:

– Ho, ho! To nadzwyczajnie podchwytliwe pytanie, nieprawdaż? A jakże, potrafię powiedzieć, co Piotr Wilks miał wytatuowane na piersiach. Ani mniej, ani więcej, tylko maluchną, cienką, niebieską strzałkę, ot, co miał wytatuowane. I co pan teraz powiesz, he?

W życiu nie widziałem tak bezczelnego łgarza, jak ten stary łotr!

Obcy jegomość zwrócił się żywo do Aba Turnera i jego towarzysza, a oczy zaświeciły mu przy tym, jakby na myśl, że tym razem udało mu się złapać Króla.

– Słyszeliście, co on powiedział? Czy na piersiach Piotra Wilksa był taki znak?

Odparli chórem:

– Nie widzieliśmy takiego znaku.

– Oczywiście! – zawołał stary jegomość. – Widzieliście natomiast małą, niezbyt wyraźną literę P, literę B, jest to pierwsza litera drugiego imienia, którego Piotr nie używał od czasów młodości, oraz literę W. A między nimi widzieliście kreski, o tak:

P-B-W – i narysował je na kawałku papieru. – No więc powiedzcie, panowie, czy nie taki znak widzieliście?

Obaj znowu odpowiedzieli:

– Nie. Bo w ogóle nie widzieliśmy żadnego znaku.

Między ludźmi aż się zagotowało. Zaczęli wołać:

– A to przekłeta banda oszustów. Unurzać ich w smole! Utopić wszystkich razem! Przegnać stąd kijami! – Wszyscy ryczeli naraz i wrzawa zrobiła się okropna. Ale Levi Beli wskoczył na stół i jak nie wrzaśnie:

– Panowie... panowie! Posłuchajcie, powiem tylko słowo, jedno słowo! Posłuchajcie mnie, ludzie! Mamy jeszcze inny sposób – chodźmy odkopać trumnę, wtedy przekonamy się, jak z tym znakiem.

Wzięli się na to.

– Hura! – wrzasnęli wszyscy razem i rzucili się do wyjścia ale doktor i adwokat ich powstrzymali.

– Hola! Stójcie! Musimy przytrzymać tych czterech i chłopca! Zabierzemy ich na cmentarz!

– Słusznie, słusznie! – wołali chórem. – A jak nie znajdziemy tego tam znaku, zlinczujemy całą szajkę.

Bąłem się teraz, nie ma co. Ale rozumiecie, mowy nie było o ucieczce. Pochwycili nas wszystkich i popędzili prosto na cmentarz, który znajdował się półtorej mili z biegiem rzeki. Za nami szło całe miasteczko, bo rwetes robiliśmy niezgorszy, a godzina była dopiero dziewiąta.

Kiedyśmy przechodzili koło domu Wilksów, zacząłem żałować, że wysłałem Mary Jane z miasteczka, bo wystarczyłoby, żebym jej teraz mrugnął, a wybiegłaby i uratowałaby mnie, i oskarżyłaby tych naszych dwóch łotrów.

Waliliśmy drogą biegnącą równolegle do rzeki, zupełnie jak stado dzikich kotów! Ażeby wszystko wydało się jeszcze okropniejsze, niebo nagle zaciągnęło się chmurami, tu i tam zaczęły latać błyskawice i wiatr szeleścił między liśćmi. Jak długo żyję, nie byłem w takich ciężkich obrotach, i takich niebezpiecznych! Wszystko poszło całkiem inaczej, niż przewidywałem; zamiast tak się urządzać, żebym mógł czmychnąć, kiedy zechcę i jeżeli zechcę, i mieć zapewnioną pomoc Mary Jane, która by mnie uratowała i uwolniła w razie najgorszego, nic teraz nie stało między mną a nagłą śmiercią prócz tych znaczków wytatuowanych na piersi nieboszczyka. A jeśli ich nie znajdą...

Nie mogłem o tym myśleć, a z drugiej strony, w żaden sposób nie mogłem myśleć o niczym innym. Robiło się coraz ciemniej i ciemniej, i czas był wymarzony, żeby wywiać z tłumu. Ale ten

drażał, Hines, trzymał mnie za przegub dłoni i słowo daję, że człowiek z równym powodzeniem mógłby próbować czmychnąć Goliatowi. Ciągnął mnie za sobą, tak był podniecony, a ja musiałem biec, żeby mu dotrzymać kroku.

Kiedyśmy zaszli na miejsce, ludzie runęli na cmentarz jak rzeka która wystąpiła z brzegów. A kiedy doszliśmy do grobu Piotra Wilksa, okazało się, że przynieśli pewnie ze sto razy tyle łopat ile im było potrzeba, za to nikt nie przyniósł latarni. Ale błyskawice migotały od czasu do czasu, więc wzięli się zaraz do kopania i tylko posłali kogoś po latarnię do najbliższego domu odległego o pół mili.

No więc kopali i kopali, jakby ich sam diabeł poganiał, a ciemno zrobiło się strasznie, spadł deszcz, wiatr szumiał i gwizdał, błyskawice pokazywały się coraz częstsze i coraz jaśniejsze, i zadudniły grzmoty. Ale ludzie nawet tego nie zauważyli, tak byli przejęci kopaniem. W jednej chwili widać było wszystko, każdą twarz w tym ogromnym tłumie i ziemię odrzuconą łopatami z grobu, a już w następnej sekundzie wszystko nikło w ciemności i nie było nic, ale to nic widać.

W końcu wyjęli trumnę i zaczęli odkręcać wieko. A wtedy jak ludzie nie zaczęli się tłoczyć i pchać, i roztrącać łokciami, żeby tylko dostać się bliżej i zobaczyć! Czegoś takiego nie widzieliście nigdy w życiu! A na dobitkę te ciemności i cmentarz – na samą myśl cierpnie mi skóra! Hines nie tylko ścisnął mnie i szarpał, więc ręka okropnie mnie rozboleła; myślę, że całkiem o mnie zapomniał, tak zaczął sapać i taki był podniecony.

Raptem błyskawica przeleciała po niebie i białe światło lunęło na ziemię. Ktoś zawołał:

– Rany! Przecież on ma ten worek złota na piersiach! Hines wrzasnął, jak zresztą wszyscy, puścił moją rękę i rzucił się całym ciałem naprzód, żeby wepchnąć się w tłum i zobaczyć – a ja wtedy prysnąłem i w ciemności pogałem w kierunku drogi tak szybko, że nikt by nie uwierzył.

Byłem sam jeden na drodze i nic mnie nie powstrzymywało, więc prawie że frunałem. To jest nie powstrzymywało mnie nic oprócz gęstych ciemności, pokazujących się od czasu do czasu błyskawic, ulewnego deszczu, wichury i grzmotów. Ale nie bójcie się – gnałem, jakby mi skrzydła wyrosły!

Kiedy wpadłem do miasteczka, widzę, że nie ma nikogo, bo burza zapędziła ludzi do domów, więc zamiast szukać drogi przez boczne uliczki, zacząłem walić prosto przed siebie główną aleją; kiedy zbliżyłem się do naszego domu, podniosłem głowę i już go nie spuszczałem z oczu. Ani jednego światła; cały dom tonął w ciemnościach i na ten widok zrobiło mi się smutno i jakoś przykro, chociaż sam nie wiem dlaczego. Ale w ostatniej chwili, kiedy już mijałem dom, w oknie

Mary Jane zabłysło światło i serce tak mi zabiło, jakby miało wyskoczyć. I w tej samej sekundzie dom i wszystko za mną pozostało w ciemnościach i nigdy go już na tym świecie nie miałem zobaczyć. Tak, Mary Jane była najlepszą dziewczyną, jaką w życiu spotkałem i miała strasznie dużo krzepy.

Kiedy znalazłem się powyżej miasteczka, w miejscu położonym, jak przypuszczałem, naprzeciwko naszej kępy, zacząłem się pilnie rozglądać za łodzią, którą mógłbym sobie pożyczyć; a jak tylko zobaczyłem w świetle błyskawicy łódź nie przymocowaną łańcuchem, wskoczyłem do niej i odepchnąłem się od brzegu. Było to czółno przywiązane zwykłą linką. Do wyspy miałem straszny kawał drogi, hen na środek rzeki, ale nie traciłem ani chwili; a kiedy w końcu dobiłem do tratwy, tak byłem zmordowany, że gdybym mógł sobie na to pozwolić, położyłbym się i odetchnąłbym kilka razy spokojnie, i wysapałbym zmęczenie. Co z tego, kiedy nie mogłem. Skoczyłem na pokład, zawołałem:

– Wstawaj, Jim, i odbijaj od brzegu! Bogu niech będą dzięki – pozbyliśmy się ich!

Jim wyskoczył z wigwamu i rzucił się do mnie z otwartymi ramionami, taki był uszczęśliwiony. Ale jak go zobaczyłem wyraźniej w świetle błyskawicy, dusza uciekła mi w pięty i runąłem jak długi do wody – na śmierć zapomniałem, że jest starym królem Learem i chorym Arabem w jednej osobie, i niewiele brakowało, a byłbym całkiem umarł ze strachu. Jim prędko mnie wyłowił i już miał mnie zacząć ścisnąć i błogosławić, i tym podobne, taki był uradowany, że wróciłem i że pozbyliśmy się wreszcie Króla i Księcia, ale mu przerwałem:

– Nie teraz, Jim, poczekajmy z tym do śniadania! Odetnij linę i puść tratwę z prądem.

W dwie sekundy później już płynęliśmy w dół rzeki i jakie nam się to wydawało wspaniałe, że jesteśmy znowu wolni i sami na tej ogromnej rzece i że już nikt nam nie będzie założył za skórę! Musiałem dać kilka susów i podskoczyć parę razy, i stuknąć piętami w powietrzu – po prostu nie mogłem się powstrzymać, ale kiedy trzeci raz stuknąłem piętami, słyszę nagle szmer aż za dobrze mi znany, więc wstrzymałem oddech, słucham i czekam. No tak naturalnie: kiedy następna błyskawica przeleciała po wodzie, zobaczyłem ich! A jak robili wiosłami! Łódź aż trzeszczała z wysiłku! Tak, zobaczyłem Króla i Księcia.

Wtedy rzuciłem się na deski i było mi już wszystko jedno i tylko dlatego zdołałem powstrzymać się od płaczu.

Złoto ratuje złodziei

Ledwie weszli na tratwę, Król mnie dopadł, złapał za kołnierz, potrząsnął i powiada:

– Próbowaleś zwiąć przed nami, szczeniaku! Zbrzydło ci nasze towarzystwo, he?

Odparłem:

– Wcale nie, Najjaśniejszy Panie... niech mnie pan puści... Najjaśniejszy Panie!

– To gadaj prędko, co ci strzeliło do łba, bo inaczej wytrąsnę z ciebie bebechy. No, jazda!

– Słowo daję, Najjaśniejszy Panie... powiem wszystko dokładnie... jak się zdarzyło. Ten człowiek, co trzymał mnie za rękę, był dla mnie bardzo dobry i ciągle powtarzał, że miał syna mniej więcej w moim wieku i ten jego syn umarł rok temu, i teraz aż mu przykro patrzeć, że taki sam chłopiec znajduje się w okropnym niebezpieczeństwie. Więc kiedy znalazło się złoto i wszyscy byli tacy okropnie zdumieni i zaczęli się pchać do trumny, puścił mnie i szepnął: – Zmykaj teraz, bo inaczej na pewno cię powieszają! No to uciekłem. Pomyślałem, że jak zostanę, nie będzie z tego żadnej korzyści – i tak na nic bym się nie przydał, a wolałem uciec, zamiast żeby mnie mieli powiesić. Więc biegłem i nie zatrzymałem się ani na chwilę, dopóki nie znalazłem czółna. A jak dopłynąłem do tratwy, powiedziałem Jimowi, żeby się śpieszył, bo inaczej mnie złapią i powieszają; i powiedziałem mu jeszcze, że Wasza Królewska Mość i Księżę pewnie już do tego czasu nie żyją, i strasznie się martwiłem, tak samo Jim się martwił, a znowu potem strasznie się ucieszyłem, kiedyśmy zobaczyli łódź... proszę się spytać Jima, czy tak nie było!

Jim przytwierdził, że było, ale Król kazał mu milczeć i zawołał: – Bajuj-bajuj! Zaraz w to uwierzę! – i znowu zaczął mną potrząsać i dodał, że pewnie mnie utopi. Ale Księżę powiada:

– Puść tego chłopaka, stary głupcze! Może ty byś zrobił inaczej? Czyś o niego pytał, kiedy zacząłeś wyrywać z cmentarza? Bo ja sobie tego nie przypominam.

Wtedy Król dał spokój i zaczął przeklinać miasteczko i wszystkich jego mieszkańców. Ale Księżę mu na to:

– Lepiej, żebyś sobie samemu naurągał, boś najbardziej na to zasłużył. Od samego początku nie zrobiłeś jednej sensownej rzeczy, oprócz tego chyba, żeś wystąpił tak przytomnie i bezczelnie z tą wyssaną z palca niebieską strzałką. To było dowcipne – nie ma co, spisałeś się pierwszorzędnie. I to nas uratowało. Bo gdyby nie ta strzałka, trzymaliby nas w ciupie, dopóki nie przyszedłby bagaż Anglików, a potem – szkoda gadać, więzienie. Ale dzięki tej twojej sztuczce pognali na cmentarz, a złoto oddało nam jeszcze większą przysługę, bo jakby ta banda podnieconych głupców nie puściła nas i nie zaczęła się pchać do trumny, spalibyśmy dziś w krawatach – w krawatach gwarantowanej trwałości, trwalszych niżby nam to było potrzebne.

Przez chwilę milczeli zamyśleni, a potem Król odezwał się, tak jakoś z roztargnieniem:

– A nam się zdawało, że to czarnuchy ukradły worek!

Ciarki po mnie przeszły.

– Tak – powiedział Księżę bardzo powoli, z namysłem i szyderczo. – Nam się zdawało, że to czarnuchy. Po jakiejś półminucie Król wycedził przez zęby:

– Przynajmniej mnie się zdawało.

Na to Księżę, takim samym tonem:

– Przeciwnie – to mnie się zdawało.

– Słuchaj no, Bridgewater, do czego ty pijesz?

Księżę odparł całkiem ostro:

– Jeżeli już o tym mowa, to może pozwolisz mi spytać, do czego ty pijesz?

– Tere-fere! – odparł Król urągliwie. – A czy ja wiem, możeś ty spał i nie pamiętasz, co robiłeś.

Księżę z miejsca strasznie się nasrożył i powiada:

– Radzę ci, żebyś dał spokój tym bredniom! Czy bierzesz mnie za zupełnego durnia? Może ci się zdaje, że ja nie wiem, kto schował te pieniądze do trumny?

– Owszem, wiem, że wiesz, mój ty Mości Księżę, bo to twoja sprawa!

– Łżesz, łotrze! – wrzasnął Księżę i jak się na niego nie rzuci!

Król zawołał:

– Weź te ręce... przestań mnie dusić, cofam wszystko!

Księżę powiedział: – Nie puszcze cię, dopóki nie przyznasz, że schowałeś złoto do trumny, boś sobie umyślił prysnąć którego pięknego dnia, odkopać je i zagarnąć wszystko dla siebie.

– Czekaj no, Księżę, odpowiedz mi szczerze i uczciwie na to jedno jedyne pytanie: jeżeli nie

wsadziłeś tam tych pieniędzy, powiedz, a ja ci uwierzę i cofnę wszystko.

– Ty stary szachraju! Nie ruszałem worka, o czym sam wiesz najlepiej. Też mi pytanie!

– No, to ci wierzę. Ale odpowiedz mi jeszcze na jedno, tylko się nie wściekaj: czy nie miałeś zamiaru zwędzić tych pieniędzy i gdzieś ich przede mną ukryć?

Książę przez chwilę nie odpowiadał. Potem mruknął:

– Nie w tym rzecz, czy miałem zamiar je zwędzić, bo tak czy siak tego nie zrobiłem. Za to ty nie tylko miałeś zamiar, aleś je w dodatku najspokojniej buchnął.

– Niech skonam na miejscu, jeżeli to zrobiłem! Nie mówię, że nie chciałem tego zrobić, bo chciałem. Tylko że ty... że ktoś mnie ubiegł.

– Łżesz! Ukradłeś worek i albo się przyznasz, że ukradłeś, albo...

Król zaczął charczeć i wykrztusił:

– Puść... przyznaję się!

Odetchnąłem, kiedy to powiedział, i od razu zrobiło mi się lżej na duszy. A Książę zdjął ręce z szyi Króla i powiada:

– Jeżeli jeszcze raz temu zaprzeczysz, utopię cię. Dobrze ci tu siedzieć i mazgaić się jak baba – sądząc z twojego zachowania, niczego innego nie można się po tobie spodziewać. W życiu nie widziałem człowieka tak żartego na pieniądze. A ja ci ufałem cały czas, jakbyś był moim rodzonym ojcem! Powinieneś się wstydzić, żeś tak stał i słuchał spokojnie, jak zwałają winę na kilku biednych czarnuchów, i nie ująłeś się za nimi jednym słowem.

Aż mi się robi głupio, kiedy pomyślę, że byłem na tyle dumny, żeby uwierzyć w te brednie. A niech cię diabli! Teraz rozumiem, dlaczegoś się tak pchał do wyrównania tego deficytu w pieniądzech starego Wilksa. Chciałeś położyć łapę na tym, co wyciągnąłem z *Królewskiej niebywałości* i innych interesów, a potem wszystko razem zwędzić.

Król odparł lekliwie i ciągle jeszcze płaczkliwym głosem:

– Co też ty mówisz, Książę! To przecież nie ja, tylko ty chciałeś wyrównać ten... jakże go tam... defi... dyfi... dyfrysyty.

– Zamknij gębę! Dość mam twojego gładzenia! – warknął Książę. – Widzisz teraz, coś na tym zyskał. Dostali z powrotem wszystkie swoje pieniądze i na dodatek jeszcze wszystkie nasze, oprócz kilku marnych miedziaków. Idź teraz spać i nie dyfrysytuj mnie swoimi dyfrysyty, jeżeli ci życie nie zbrzydło!

Wtedy Król hycnął do wigwamu i na pociechę przypiął się do swojej butelki; niedługo potem

Księżę sięgnął po swoją, więc po jakiejś półgodzinie kochali się znów jak dwa aniołki, a im bardziej byli pijani, tym bardziej się kochali. W końcu zaczęli chrapać, przytuleni do siebie. Spili się tego, ale jak zauważyłem, Król mimo to pamiętał, żeby nie zaprzeczać o tym schowaniu pieniędzy do trumny. To mnie uspokoiło i zadowoliło. A kiedy chrapnęli na dobre, ucieliśmy sobie z Jimem pogawędkę, podczas której wszystko mu opowiedziałem.

Nie można kłamać w modlitwie

Przez wiele dni nie zatrzymywaliśmy się nigdzie, tylko płynęliśmy prosto w dół rzeki. Byliśmy już teraz daleko na Południu – gdzie powietrze jest ciepłe – i straszny kawał drogi od domu. Spotykaliśmy coraz częściej drzewa obrosnięte hiszpańskim mchem, który zwieszał się z gałęzi jak długie siwe brody. Pierwszy raz w życiu widziałem taki mech i muszę powiedzieć, że lasy wyglądały z tym jakoś strasznie posepnie i uroczyście. Nasi dwaj szachraje uważali, że nic im już teraz nie grozi, i znowu zaczęli obrabiać nadbrzeżne miasteczka.

Najpierw mieli odczyt o trzeźwości, ale nie zarobili nawet tyle, żeby się za to obaj mogli upić. Potem w innym miasteczku otworzyli szkołę tańca, ale tańczyć umieli nie lepiej niż kangury, więc przy pierwszym niezdarnym podskoku publiczność rzuciła się na nich i oni w podskokach uciekli z miasta. Innym razem wzięli się do nauczania wymowy, ale zanim zdążyli dużo nauczyć, cała sala zerwała się na nogi i skłęła ich na czym świat stoi – bardzo szybko musieli pryskać. Brali się po trochu do wszystkiego: do zbawiania dusz, do hipnotyzerstwa, leczenia, przepowiadania przyszłości i tak dalej, ale jakoś im to nie szło. W końcu nie mieli już prawie centa przy duszy i kiedy płynęliśmy wciąż z prądem, pokładli się na deskach tratwy i tylko myśleli, myśleli, i czasem pół dnia nie odzywali się słowem – okropnie ponurzy i zrozpaczeni.

Ale potem coś im się nagle odmieniło; zaczęli kryć się w wigwamie i rozmawiali z głową przy głowie, cicho i poufnie, po dwie albo trzy godziny jednym ciągiem. Poczuliśmy się z Jimem mocno niewyraźnie. Nie podobały się nam te konszachty. Przyszło nam do głowy, że knują jakieś łajdactwo gorsze niż wszystkie dotychczasowe. Długośmy się nad tym zastanawiali, aż w końcu doszliśmy do przekonania, że mają zamiar włamać się do czyjś domu albo do sklepu, czy też wziąć się do fałszowania pieniędzy albo coś w tym rodzaju. Wtedy obleciał nas strach i postanowiliśmy, że z czymś takim nie będziemy mieli nic wspólnego, a jak tylko zdarzy się nam jaka taka okazja, uciekniemy i tyle nas będą widzieli.

Któregoś dnia wczesnym rankiem ukryliśmy dobrze tratwę w bezpiecznym miejscu, mniej

więcej dwie mile poniżej małej i nędznej miejsciny, która nazywała się Pikesville. Król zszedł sam na brzeg i powiedział nam, żebyśmy nie wytykali nosa z kryjówki, a on tymczasem pójdzie do miasteczka i wyniucha, czy ktoś nie słyszał przypadkiem o *Królewskiej niebywałości*.

– Będziesz niuchał, czy ci się nie uda obrabować jakiegoś domu – powiadam sobie w duchu – a jak skończysz z rabowaniem, wrócisz tu i dopiero zaczniesz się dziwić, co się stało ze mną, z Jimem i tratwą. Ale będziesz musiał poprzestać na zdziwieniu!

Król jeszcze powiedział, że jeżeli nie wróci do południa, będzie to znak dla mnie i dla Księcia, że wszystko jest w porządku. Wtedy my dwaj mamy się wybrać do miasteczka.

Czekaliśmy na tratwie, Księżę denerwował się i wiercił, i był w okropnie kwaśnym humorze. Łajał nas wciąż i jakoś niczym nie mogliśmy Jego Księżęcej Mości dogodzić; wszystko mu się nie podobało, ganił każdy najmniejszy drobiazg. Głowę bym dał, że zanosí się na coś niedobrego, toteż bardzo byłem rad, kiedy przyszło południe i Król się nie pokazał. Będzie przynajmniej jakaś zmiana – kto wie, może w dodatku sposobność do tej zmiany, na którąśmy z Jimem czyhali. Poszliśmy więc z Księciem do miasteczka i zaczynamy szukać Króla. Znaleźliśmy go w bocznej izbie małego i nędznego szynku. Był bardzo pijany, a dookoła zebrała się gromadka włóczęgów, którzy natrzęsali się z niego dla zabawy, a on urągał im i groził, ale tak był spity, że nie utrzymałby się na nogach i nic im nie mógł zrobić. Księżę zwymyślał go od starych durniów, a wtedy Król jak nie zacznie na niego warczeć! Kiedy rozgadali się na dobre, czmychnąłem i jak jeleń śmigąłem nad rzekę – wiedziałem, że przyszła nasza chwila.

Przyrzekłem sobie w duchu, że Król i Księżę nie zobaczą nas prędko. Przybiegłem na miejsce całkiem bez tchu, ale strasznie rozradowany i wołałem:

– Odwiążuj linę, Jim! Tym razem udało się Ale nie usłyszałem odpowiedzi i nikt nie wyszedł z wigwamu. Jim znikł! Wrzasnąłem raz i drugi, i trzeci; potem zacząłem biegać po lesie, to w tę stronę, to w tamtą, pohukując i nawołując. Ale wszystko na próżno – stary Jim znikł! Potem usiadłem i w bek – ani rusz nie mogłem się powstrzymać. Ale nie siedziałem tak długo. Po jakimś czasie wstałem i wyszedłem na drogę zastanawiając się, co robić, i po chwili spotkałem jakiegoś chłopca. Spytałem go, czy nie widział przypadkiem obcego Murzyna w takim to a takim ubraniu.

– Czemu nie, widziałem – odparł.

– Gdzie jest teraz? – spytałem.

– Na fermie Silasa Phelps'a. dwie mile stąd. Ten czarnuch uciekł i teraz go złapali. Szukałeś

go?

– Nie jestem głupi. Natknąłem się na niego parę godzin temu w lesie. Powiedział, że jak pisnę słówko, poderżnie mi gardło. Kazał mi się położyć i nie ruszać z miejsca. No więc posłuchałem.

Siedziałem tam dotąd w lesie, ze strachu za nic nie wyszedłbym na drogę.

– Teraz, bracie – powiedział chłopak – możesz się nie bać, bo go złapali. Związał skądś tam z Południa.

– Udało im się, że go złapali.

– No chyba! Jest za niego dwieście dolarów nagrody. To tak jakby ktoś znalazł gotówkę na ulicy.

—Racja. A ja mógłbym mieć te pieniądze, gdybym był tylko trochę większy. Przecież pierwszy go zobaczyłem. Kto go złapał?

– Jakiś stary jegomość, obcy w tej okolicy. I sprzedał swoje prawo do tego czarnucha za czterdzieści dolarów, bo musiał jechać w górę rzeki i nie mógł czekać. Też mi dureń! Ja bym tam czekał choćby siedem lat.

– Pewnie! Nie inaczej bym zrobił – odparłem. – Ale kto go tam wie, może to jego prawo nie jest więcej warte, że je tak tanio sprzedał. Może coś tam nie klapuje.

– Klapuje, klapuje, bądź spokojny! Na własne oczy widziałem ogłoszenie. Opisałi go co do najmniejszego szczegółu, jakby kto żywego wymalował. I jest napisana nazwa tej plantacji, co z niej uciekł, gdzieś na południe od Nowego Orleanu. Nie ma obawy, na tym czarnuchu nikt nie straci. Słuchaj no, pożycz mi prymkę tytoniu. Zgoda?

Nie miałem tytoniu, więc sobie poszedł. Wróciłem na tratwę, usiadłem w wigwamie i zacząłem myśleć. Ale nic nie mogłem wykombinować. Myślałem i myślałem, aż mnie głowa rozboleła, ale nie znajdowałem żadnego ratunku. Po całej tej długiej drodze, po tym, cośmy dla tych łotrów zrobili, wszystko poszło na marne, wszystko przepadło na amen, bo ci dwaj mieli serce postąpić z Jimem tak po łajdacku i zrobili z niego z powrotem na całe życie niewolnika, i to pośród obcych, za jedne śmierdzące czterdzieści dolarów!

W pewnej chwili powiedziałem sobie, że skoro już Jim musi zostać niewolnikiem, będzie dla niego tysiąc razy lepiej, jak zostanie niewolnikiem między swoimi, w bliskości swojej rodziny. Więc postanowiłem, że napiszę do Tomka Sawyera i poproszę go, żeby powiedział pannie Watson, gdzie jest teraz Jim. Ale bardzo prędko odrzuciłem ten pomysł, a to z dwóch powodów. Po pierwsze panna Watson będzie na niego wściekła i oburzona, że był taki podły i taki

niewdzięczny, i że uciekł od niej, więc tak czy siak sprzeda go na Południe. A jak go nawet nie sprzeda, to przecież ludzie i tak patrzą ze wstrętem na niewdzięcznego Murzyna, więc z pewnością będą wytykali Jimowi jego niewdzięczność na każdym kroku i biedak poczuje się nieszczęśliwy i całkiem zhańbiony. A na dobitkę moja sprawa: rozejdzie się między ludźmi, że Huck Finn pomagał Murzynowi uciec na wolność, więc gdybym zobaczył kiedykolwiek kogoś z naszego miasteczka, zapadłbym się chyba pod ziemię ze wstydu. Zawsze tak bywa: człowiek robi coś podłego, a potem nie chce ponosić skutków. Wydaje mu się, że dopóki nikt o jego postępkach nie wie, nie ma w tym żadnego wstydu. Kubek w kubek tak było ze mną. Im dłużej o tej sprawie myślałem, tym bardziej gryzło mnie sumienie i tym lepiej rozumiałem, jaki jestem zepsuty, nikczemny i zły. A potem przyszła mi nagle do głowy jedna myśl i ze strachu o mało co nie zemdląłem: to na pewno ręka Opatrzności przytarła mi nosa, żeby dać do zrozumienia, że moja nikczemność była pilnie śledzona tam z góry przez cały czas, kiedy wykradałem Murzyna tej biednej, starej kobiecie, która nie wyrządziła mi żadnej krzywdy. A teraz ta sama ręka Opatrzności pokazuje mi, że w niebie jest Ten, który widzi wszystko, i chociaż dotąd pozwalał, dłużej już nie pozwoli na takie brzydkie sprawy. Hm... robiłem, co mogłem, żeby się jakoś z tego wytłumaczyć; mówiłem sobie, że od małości przyuczili mnie do zła, więc ostatecznie nie ma w tym tak wiele mojej winy. Ale jakiś głos w środku powtarzał mi ciągle: „Była w miasteczku szkółka niedzielna, mogłeś do niej chodzić; a gdybyś chodził, nauczyliby cię, że ludzie, którzy tak postępują, jak tyś postąpił z tym Murzynem, idą prosto do piekła”.

Na tę myśl aż zadygotałem. I prawie że postanowiłem, że się zacznę modlić. Zobaczę, czy mi się nie uda przestać być takim chłopcem, jakim byłem dotąd, i jakoś się poprawić. No więc ukląknąłem. Ale w żaden sposób nie mogłem znaleźć słów modlitwy. Dlaczego nie mogłem? Na darmo próbowałem to ukryć przed Nim albo chociażby przed sobą. Wiedziałem doskonale, dlaczego nie mogłem znaleźć tych słów: ponieważ miałem serce złe, ponieważ nie byłem uczciwy, ponieważ postępowałem obłudnie. Udawałem, że niby to przestanę grzeszyć, a tymczasem w środku grzeszyłem w najohydniejszy sposób. Próbowałem ustami powiedzieć, że zrobię to, co jest jedynie słuszne i uczciwe, czyli napiszę do właścicielki Jima i zawiadomię ją, gdzie on się teraz znajduje; ale tam, w samym środku duszy wiedziałem, że to kłamstwo – i On też wiedział. Nie można kłamać w modlitwie – przekonałem się o tym.

Więc byłem bardzo zmartwiony, tak bardzo, że już nie można bardziej; i nie wiedziałem, co robić. W końcu przyszła mi do głowy myśl. Powiadam sobie: napiszę ten list, a potem zobaczę,

czy będę się mógł modlić. Nikt by nie uwierzył, jaki się od razu poczułem lekki niczym piórko i jak znikło gdzieś całe moje zmartwienie! Strasznie uszczęśliwiony i przejęty wziąłem kawałek papieru i ołówek i napisałem:

Panno Watson pani Murzyn Jim jest tutaj dwie mile poniżej Pikesville i pan Phelps go trzyma i odda go pani jak pani mu przyśle nagrodę.

Huck Finn

Pierwszy raz w życiu poczułem, że jestem dobry i zupełnie obmyty z grzechu; wiedziałem, że teraz znajdę słowa modlitwy. Ale nie wziąłem się od razu do modlenia, tylko odłożyłem na bok list i zacząłem myśleć. Myślałem, jakie to szczęście, że się wszystko tak dobrze skończyło, i jak niewiele brakowało, a zostałbym na zawsze stracony i poszedł do piekła. Myślałem dalej. Przypomniałem sobie naszą wyprawę tratwą w dół rzeki i zobaczyłem przed sobą Jima, tak jak go ciągle widziałem: w dzień i w nocy, czasem przy księżycu, czasem w burzy, a my płyniemy z prądem i rozmawiamy albo śmiejemy się, albo śpiewamy! Ale jakoś w żaden sposób nie mogłem przypomnieć sobie nic takiego, co by mnie do niego źle usposobiło, tylko wręcz przeciwnie. Zobaczyłem go, jak po skończonej wachcie zamiast mnie obudzić, czuwa biedny dalej, żebym mógł się porządnie wyspać; zobaczyłem jego rozradowaną twarz, kiedy wróciłem na tratwę wtedy po tej mgle i kiedy przyszedłem do niego na moczary, tam gdzie był ten spór rodzinny, i w różnych takich przypadkach. Przypomniałem sobie, że zawsze mówił do mnie „złociutki” i dogadzał mi, robił dla mnie, co tylko mógł, i taki zawsze był dobry! A w końcu przypomniałem sobie ten dzień, kiedy go uratowałem, bo zelgałem tym ludziom w łodzi, że mamy ospę na tratwie – i Jim taki mi był za to wdzięczny, i powiedział, że jestem najlepszym przyjacielem, jakiego stary Jim ma na tym świecie, i jedynym, jaki mu został. Potem nagle spojrzałem na list do panny Watson.

Była to niebezpieczna chwila. Sięgnąłem po list i trzymałem go w ręku. Zacząłem drżeć, wiedziałem, że muszę raz na zawsze zdecydować, którą z dwóch dróg wybiorę. Namyślałem się chwilę wstrzymując trochę oddech, a potem powiedziałem na głos: – No więc zgoda, pójdę do piekła! – i podarłem list.

Była to straszna myśl i straszne słowa, ale już je wypowiedziałem. I wcale ich nie cofnąłem, i nie myślałem więcej o tym, żeby się poprawić. Po prostu wyrzuciłem całą rzecz z głowy;

powiedziałem sobie, że z powrotem zacznę grzeszyć, co potrafię robić, bo przywykłem do tego od maleńkości; a dobrze postępować nie potrafię. Na początek postaram się wykraść Jima z niewoli, żeby znów był wolny, a jak tylko zdołam wymyślić coś okropniejszego, też to zrobię. Bo skoro już raz wpadłem – i wpadłem na dobre – mogę teraz walić pełną parą.

Potem usiadłem i zacząłem się zastanawiać, od czego zacząć, i rozważałem kolejno wiele najrozmaitszych sposobów, aż w końcu ułożyłem plan, który mi się podobał. Więc potem upatrzyłem sobie zalesioną kępę leżącą kawałek dalej w dół rzeki, a kiedy ściemniło się porządnie, odbiłem cicho od brzegu, przeprowadziłem tratwę do tej kępy, schowałem ją dobrze i poszedłem spać. Przespałem całą noc, wstałem, zanim całkiem się rozjaśniło, zjadłem śniadanie, włożyłem na siebie moje porządne ubranie, zapakowałem do węzła trochę odzienia i różnych rzeczy, wsiadłem do czółna i popłynąłem do brzegu. Wylądowałem trochę poniżej miasteczka, na wysokości – jak mi się zdawało – farmy Phelps'a, a potem nabrałem wody do czółna, obciążylem je kamieniami i zatopiłem w miejscu, gdzie w razie czego mogłem je odnaleźć – mniej więcej ćwierć mili poniżej małego tartaku wodnego.

Potem wyszedłem na drogę, a kiedy mijałem tartak, zobaczyłem napis: *Właściciel – Silas Phelps*. Jakies kilkaset jardów dalej stał dom i zabudowania gospodarskie, ale chociaż dobrze wypatrywałem oczy, nie zobaczyłem w pobliżu nikogo, mimo że było już całkiem widno. Nic mnie to nie zmartwiło, bo w tej chwili nie zależało mi wcale na tym, żeby kogoś zobaczyć – chciałem tylko zorientować się w okolicy. Wedle mojego planu miałem pokazać się na farmie od strony miasteczka, a nie z przeciwnego kierunku. Więc tylko rzuciłem raz i drugi okiem, a potem poszedłem drogą prosto przed siebie. Pierwszą osobą, na jaką natknąłem się w miasteczku, był Książę. Przyklejał właśnie ogłoszenie o *Królewskiej niebywalości*. „Tylko trzy przedstawienia”, zupełnie jak za pierwszym razem. W bezczelności nikt by tych szachrajów nie prześcignął! Dopadłem go, zanim zdążyłem się rozmyślić i stehórzyć. Spojrzał na mnie zdziwiony i powiada:

– No, no! A skąd ty się tu wziąłeś? – A potem dodał, tak jakoś z radością i skwapliwie: – Gdzie tratwa? Dobrze ją ukryłeś?

Odparłem: – O to samo chciałem spytać Waszą Wysokość.

Teraz wcale już nie miał takiej uradowanej miny. Powiedział:

– Co ci przyszło do głowy, żeby mnie o to pytać?

– A bo, Wasza Wysokość – odparłem – kiedy zobaczyłem wczoraj Króla w tym szynku, pomyślałem, że nie uda nam się go zataszczyć do domu, zanim trochę nie wytrzeźwieje, co

potrwa a pewno kilka godzin; więc dla zabicia czasu zacząłem przechadzać się po mieście. A potem spotkałem jednego jegomościa, który chciał, żebym mu pomógł przeprowadzić się łodzią na tamten brzeg rzeki i z powrotem i przywieźć owcę. Dał mi za to dziesięć centów, więc pojechałem. Ale kiedyśmy ciągnęli owcę do łodzi i ja sam trzymałem sznur, a ten jegomość poganiał ją od tyłu, okazało się, że jestem za słaby, więc się zerwała i w nogi, a my za nią. Nie mieliśmy psa i musieliśmy ganiać po całej okolicy, dopóki się nie zmęczyła. Złapaliśmy ją, kiedy było już całkiem ciemno, i przywieźliśmy na tę stronę rzeki, i dopiero wtedy wybrałem się z powrotem na tratwę. A jak zobaczyłem, że tratwy nie ma, pomyślałem sobie: wpadli w jakieś tarapaty i musieli zwiewać. Zabrali mi mojego Murzyna, który jest jednym jedynym Murzynem, jakiego mam na tym świecie, i teraz jestem sam, w całkiem obcej okolicy, i nie mam już żadnego majątku ani nic takiego, i nie potrafię zarobić na życie. Więc usiadłem i zacząłem płakać. Noc przespałem w lesie. Ale w takim razie, co się stało z tratwą? I z Jimem, moim biednym Jimem?

– Żebym tak był zdrow, nie wiem... to jest nie wiem, gdzie podziała się tratwa. Ten stary głupiec coś tam prehandlował i dostał czterdzieści dolarów, ale kiedyśmy go znaleźli wczoraj w szynku, nie miał już ani centa, bo ta banda hultajów dokumentnie go oskubała: zabrali mu wszystko z wyjątkiem tego, co wydał na wódkę. Jak wreszcie późnym wieczorem zataszczyłem go nad rzekę i zobaczyliśmy, że tratwy nie ma, powiedzieliśmy: „Ten mały łajdak ukradł naszą tratwę, zostawił nas tu na łodzi i zwiął na Południe”.

– Przecież nie zostawiłbym chyba mojego Murzyna? Jedyne Murzyna, jakiego mam na świecie, i moją jedyną własność.

– Racja, ale nam to nie przyszło do głowy. Tak naprawdę, tośmy go zaczęli uważać za naszego Murzyna. Tak, tak, uważaliśmy go za naszą własność – Bóg jeden wie, ileśmy dla niego zrobili. A kiedyśmy zobaczyli, że tratwa znikła, a my nie mamy centa przy duszy, nie pozostało nam nic innego, jak jeszcze raz wziąć się do *Królewskiej niebywałości*. Zabrałem się do roboty i pracuję tak od samego rana, a w gardle całkiem mi zaschło. Gdzie masz tę dziesiątkę? Dawaj ją.

Miałem sporo pieniędzy i dałem mu dziesięć centów, ale prosiłem, żeby kupił coś do jedzenia i dał mi trochę, bo nie mam już ani centa, a od wczoraj nic nie brałem do ust. Ani słowa na to nie odpowiedział, a po chwili wsiadł na mnie ostro:

– Słuchaj no, jak myślisz – czy ten czarnuch przypadkiem nas nie obszczeka? Bo niech tylko spróbuje, a obedrzemy go ze skóry!

– Jakże to możliwe? To on nie uciekł?

– Gdzie tam. Ten stary głupiec sprzedał go, nie podzielił się ze mną pieniędzmi i wszystko przepaprał.

– Sprzedał go? – zawołałem i zacząłem płakać: – Przecież to był mój Murzyn i te pieniądze były moje! Gdzie on jest? Chcę mojego Murzyna – u-u-u!

– Ale go nie dostaniesz, więc przestań się mazać. Słuchaj no, czy ty przypadkiem nie masz zamiaru nas obsmarować? Niech mnie diabli, jeżeli będą tak głupi, żeby ci wierzyć. Bo gdybyś spróbował...

Zamilkł, ale odkąd znałem Księcia, nigdy mu z oczu tak źle nie patrzyło. Powiedziałem ciągle pochlipując:

– Ani myślę nikogo wydawać. I nie mam czasu, żeby się takimi rzeczami zajmować. Muszę iść i szukać mojego Murzyna.

Zrobił teraz taką minę jakby go coś martwiło; stał myśląc i marszcząc czoło i tylko ogłoszenia, które sobie przewiesił przez ramię, ruszały się na wietrze. W końcu powiada:

– Powiem ci coś. Zostaniemy tu ze trzy dni. Jeżeli przyrzekniesz, że nas nie wydasz i nie pozwolisz temu czarnuchowi, żeby nas obszczał, powiem ci, gdzie go szukać.

Przyrzekłem mu, a on mi na to:

– Jest na fermie Silasa Ph... – i urwał. Widać było, że zaczął mówić prawdę, ale kiedy umilkł tak raptownie i zaczął się zastanawiać i namyślać, zrozumiałem, że zmienił zamiar. Tak też było. Nie ufał mi – chciał mieć pewność, że nie będę mu wchodził w drogę przez całe trzy dni. Po chwili powiedział: – Farmer, który go kupił, nazywa się Abram Foster, Abram G. Foster i mieszka czterdzieści mil w głąb kraju, przy drodze do Lafayette.

– Świetnie – powiedziałem. – W trzy dni zdążę wrócić. Wyjdę dzisiaj po południu.

– Nie, nie wyjdiesz po południu, tylko wyjdiesz zaraz! I żebyś mi nie marudził ani nie gadał za dużo. Trzymaj język za zębami i wal prosto przed siebie, a nic złego cię od nas nie spotka.

Takiego polecenia sobie życzyłem i takie starałem się od niego wydobyć. Chciałem, żeby mnie zostawili w spokoju, bo tylko wtedy mogłem przeprowadzić swój plan.

– Więc zmykaj – dodał Książę – panu Fosterowi powiedz, co ci się żywnie podoba. Może potrafisz go przekonać, że ten czarnuch jest twoją własnością. Są głupcy, którzy nie żądają dokumentów, przynajmniej słyszałem, że zdarzają się tacy na południu. A jak mu powiesz o tej bujdzie z ogłoszeniem i nagrodą i wytłumaczysz, jaki to miało cel, może ci uwierzy. No, więc zmykaj i powiedz mu, co ci ślina na język przyniesie. Tylko radzę ci pamiętać, żebyś nie otwierał

gęby po drodze!

Zostawiłem go i poszedłem drogą za miasto. Nie obejrzałem się, chociaż czułem, że za mną patrzy. Ale wiedziałem, że się zmęczy i da w końcu spokój. Szedłem prosto tą drogą dobrą milę, nie zatrzymując się ani razu, potem zawróciłem i już przez las ruszyłem w kierunku farmy Phelps'a. Pomyślałem, że będzie chyba lepiej, jeżeli nie marnując czasu wezmę się z miejsca do przeprowadzenia swojego planu, bo nie chciałem, żeby się Jim z czym wygadał, zanim Król i Książę prysną z okolicy. Wolałem nie zadzierać z tego rodzaju szelmami. Miałem już dość ich widoku i chciałem rozstać się z nimi na dobre.

Nazywam się teraz inaczej

Kiedy zaszedłem na miejsce, było cicho i tak jakoś niedzielnie i gorąco, i słonecznie – robotnicy poszli w pole. W powietrzu słychać było takie ciche brzęczenie owadów i much, od którego wszystko wydaje się strasznie samotne, jakby ludzie pomarli i na zawsze odeszli; jeżeli w takiej chwili wiatr zaszeleści w liściach, człowiekowi robi się całkiem żalobnie na duszy, bo zaraz mu się zdaje, że duchy coś szepczą – duchy bardzo dawno zmarłych ludzi – i człowiek dałby głowę, że te duchy mówią o nim. Wtedy przeważnie myśli sobie, że też by wolał nie żyć i skończyć z tym raz na zawsze.

Była to jedna z tych maluchnych plantacji bawełny, które wszystkie są do siebie podobne. Dziedziniec o powierzchni dwóch akrów, cały obwiedziony płotem. Przelaz zrobiony z grubych kłód, płasko ściętych i ustawionych stopniami niczym beczki różnej wysokości, do przechodzenia przez płot, a dla kobiet jako podwyższenie przy wsiadaniu na konia. Tu i tam na dziedzińcu płaty nędznej trawy, ale poza tym ziemia gładka i goła jak stary kapelusz, z którego stał się meszek. Wielki drewniany dom dla białych mieszkańców – bierwiona ciosane, a szpary między nimi wypełnione gliną czy też wapnem; te gliniane czy wapienne poprzeczne pręgi kiedyś były zielone. Kuchnia z nie ciosanych bali, połączona z domem długim i szerokim gankiem, otwartym po bokach, ale przykrytym od góry dachem. Za kuchnią wędzarnia z nie ciosanych bali, po drugiej stronie wędzarni trzy małe chaty dla Murzynów, dalej mała szopa stojąca oddzielnie i przylegająca do ogrodzenia w głębi podwórza, za nią jakieś zabudowania. Koło szopy dół na popiół i ogromny kocioł do gotowania mydła, na ławce przy drzwiach kuchennych wiadro z wodą i miednica, obok pies śpiący w słońcu. Więcej psów śpiących tu i tam w różnych miejscach, w jednym końcu dziedzińca kilka drzew szeroko rozrosłych, krzaki porzeczek i agrestu pod płotem. Za płotem ogród warzywny i grządki arbużów, jeszcze dalej pola bawełny, a za nimi lasy.

Obszedłem dziedziniec dookoła, dostałem się do środka, przelazłem obok małej szopy i

ruszyłem w kierunku kuchni. Po kilkunastu krokach usłyszałem niewyraźne warczenie kołowrotka – taki dźwięk wznoszący się płaczliwie coraz wyżej i wyżej, a potem nagle opadający; i wtedy wiedziałem już na pewno, że wołałbym nie żyć, bo to jest najżałobniejszy dźwięk na całym świecie.

Szedłem dalej nie układając sobie żadnego określonego planu, tylko ufając, że jak przyjdzie co do czego, Opatrzność sama włoży mi w usta odpowiednie słowa, bo zauważyłem, że Opatrzność zawsze podsuwa mi odpowiednie słowa, jeżeli niczego sobie z góry nie planuję.

Kiedy znalazłem się w połowie drogi, najpierw wstał jeden pies, a potem drugi i podbiegły do mnie, więc naturalnie przystanąłem, obróciłem się do nich twarzą i ani drgnąłem. A jaki wrzask podniosły! Mniej więcej po minucie byłem, można by powiedzieć, niczym piasta koła, w którym zamiast szprych były psy – zebrało się tych kundli dookoła mnie chyba piętnaście i wyciągając szyje podnosiły łby, i szczekały albo warczały. A szło ich coraz więcej – widziałem, jak w rozmaitych miejscach przeskakują przez płoty i wybiegają zza rozmaitych węglów.

Z kuchni wyszła Murzynka z wałkiem w ręku i zaczęła wołać: – Zmykaj mi zaraz, Tige! Jazda, Spot! Już was tu nie ma! – Przyłożyła tym wałkiem najpierw jednemu, a potem drugiemu, więc uciekły z yciem, a za nimi poszła reszta. Ale już w następnej sekundzie połowa wróciła, machały zawzięcie ogonami i były bardzo przyjacielskie. Nie ma się co bać psów, ani trochę!

Za Murzynką wyszła maluchna murzyńska dziewczynka i dwóch małych chłopców – ubrani tylko w jedne koszule ze zgrzebnego płótna – cała trójka uczepiła się spódnicy matki i zerknęła zza niej bardzo bojaźliwie w moją stronę, jak to zwykle dzieci murzyńskie. Po chwili z domu wybiegła biała kobieta, lat jakich czterdziestu pięciu albo pięćdziesięciu, z gołą głową i wrzecionem w ręku. Za tą kobietą biegły jej malutkie białe dzieci, które zachowywały się dokładnie tak samo jak dzieci murzyńskie. Kobieta miała twarz całą rozpromienioną od uśmiechów. Zawołała:

– A więc przyjechałeś nareszcie! To jesteś ty, prawda? Wyrąbałem: – Tak, proszę pani – zanim zdążyłem pomyśleć. Chwyliła mnie w objęcia i uściśnęła mocno, a potem wzięła za obie ręce i potrząsała nimi bardzo długo; potem łzy stanęły jej w oczach i spływały po twarzy. Po prostu nie mogła się dość naobejmować mnie i naściskać, i wciąż powtarzała: – Nie jesteś tak bardzo podobny do matki, jak się tego spodziewałam, ale co tam, mniejsza o to, tak się cieszę, że cię nareszcie widzę!. Mogłabym cię zjeść z radości! Dzieci, to wasz kuzynek Tom, przywitajcie się z nim.

Ale malcy pospuszczali głowy, powkładali palce do buzi i schowali się za matkę. Kobieta paplała dalej:

– Lizo, skocz no i przynieś mu coś gorącego do zjedzenia... A może jadłeś już śniadanie na statku?

Odparłem, że mi dali śniadanie na statku. Wtedy kobieta wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do domu; dzieciarnia dreptała za nami. Kiedyśmy weszli do środka, posadziła mnie na wyplatany krześle, sama usiadła na małym stołeczku przede mną, wzięła mnie za rękę i powiada:

– Teraz mogę ci się napatrzeć do woli. Tyle lat! Bóg mi świadkiem, że nieraz tęskniłam za tą chwilą, no i jesteś nareszcie. Spodziewaliśmy się ciebie już ze dwa dni temu, albo i dawniej. Dlaczegoś się spóźnił? Czy statek wpadł na mieliznę?

– Tak, proszę pani, statek...

– Nie mów do mnie „pani”, mów „ciociu Sally”. W którym miejscu wpadliście na mieliznę?

Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć, bo nie miałem pojęcia, czy ten statek powinien był przyjechać z północy czy z południa. Ale wierzę mojemu instynktowi, a mój instykt mi mówił, że statek powinien był jechać w dół rzeki – gdzieś w kierunku Orleanu. To mi jednak niewiele pomogło, bo nie znałem nazw mielizn w tych stronach. Zrozumiałem, że albo muszę wymyślić jakąś nazwę, albo zapomnieć, jak się nazywała ta mielizna, na której osiadł nasz statek, albo... albo... Wtem przyszedł mi do głowy świetny pomysł, więc zaraz powiadam:

– To wcale nie przez mieliznę. Na mieliznie siedzieliśmy krótko. Wybuchło nam coś i wyrwało tłok.

– Mój Boże! Raniło kogo?

– Nie, proszę pani. Tylko zabiło jednego Murzyna.

– Wielkie szczęście, bo czasem taki tłok potrafi zranić człowieka. Na Boże Narodzenie minęło dwa lata, jak twój wujaszek Silas wracał z Nowego Orleanu na «Lally Rook». Wtedy też urwał się tłok i raniło człowieka. Zdaje się, że ten biedak potem umarł. Był baptystą. Twój wujaszek Silas znał jedną rodzinę w Baton Rouge, która znała bardzo dobrze jego krewnych. Tak, teraz sobie przypominam, że ten biedak umarł. Zrobiło się zakażenie i musieli go po kawałku amputować. Ale to nic nie pomogło. Tak, z pewnością wywiązało się zakażenie. Całkiem zszniał i umarł w Panu. Podobno okropnie wyglądał. Twój wujaszek Silas co dzień jeździ po ciebie do miasteczka. Teraz też pojechał, nie dalej jak godzinę temu. Musiałeś go chyba spotkać po drodze

– starszawy jegomość w...

– Nie, ciociu Sally, nie spotkałem nikogo. Statek przybił do brzegu o świcie, więc zostawiłem kuferek na przystani i przeszedłem się trochę po miasteczku, a potem na pola, żeby nie trafić tu za wcześnie. Dlatego szedłem boczną drogą.

– Komu dałeś kuferek na przechowanie?

– Nikomu.

– Bójże się Boga, dziecko! Przecież ci go ukradną!

– Tak go schowałem, że na pewno mi nie ukradną – odparłem.

– A jak się to stało, że ci dali tak wcześnie śniadanie na statku?

Wyciągnęła mnie na cienki lód, ale jakoś się wykaraskałem.

– Kapitan zobaczył mnie na pokładzie i powiedział, żebym lepiej coś zjadł, zanim zejdem na ląd, i zaprowadził mnie do kwater oficerskich, gdzie właśnie było śniadanie, i mogłem jeść, ile chciałem.

Ogarnął mnie taki niepokój, że nie mogłem już nawet słuchać uważnie. Nie dawała mi spokoju myśl o dzieciach – miałem wielką ochotę wziąć je gdzieś na bok i trochę wypompuwać, żeby się dowiedzieć, kim jestem. Ale o tym nie było nawet co marzyć, pani Phelps nie odchodziła i bez ustanku paplała. A potem nagle wystąpiła z czymś takim, że zimne dreszcze przeleciały mi po plecach.

– My tu gadu-gadu, a nic mi jeszcze nie powiedziałaś o cioci ani o nikim w domu. Teraz ja zamknę usta, a ty je otworzysz. Musisz mi powiedzieć wszystko o wszystkich – po kolei o każdym, jak się miewają, co robią i co mi kazali powtórzyć, w ogóle wszystko, co ci przyjdzie do głowy.

Hm, zrozumiałem, że teraz już leżę, i to leżę jak długi. Dotąd Opatrzność mi pomagała, nie mogę powiedzieć, ale teraz wpadłem na dobre. Zrozumiałem też, że nic by mi z tego nie przyszło, jakbym próbował brnąć dalej – musiałem się poddać. Więc powiadam sobie: tu po raz drugi trzeba będzie zaryzykować prawdę. Już otworzyłem usta, ale pani Phelps chwyciła mnie za rękę, wepchnęła za łóżko i powiada:

– Właśnie idzie! Schyl głowę, jeszcze niżej, o tak, wystarczy. Tylko mi się nie zdradz, że tu jesteś! Zrobimy mu kawał. Dzieci, ani słowa!

Zrozumiałem, że już po mnie. Ale nie było co się martwić, nie miałem innej rady, jak tylko siedzieć cicho i przygotować się do ucieczki w razie najgorszego.

Kiedy stary jegomość wchodził, mignęła mi jego postać, potem zakryło ją łóżko. Pani Phelps podskoczyła do męża i pyta:

– Przyjechał?

– Nie – odparł.

– Mój Boże! – zawołała. – Co też mogło się z nim stać?

– Sam doprawdy nie wiem – powiedział pan Phelps. – Muszę przyznać, że mocno jestem zaniepokojony.

– Zaniepokojony! – powiada ona. – Ja chyba niedługo oszaleję!. Ale on musiał przyjechać i rozminęliście się w drodze. Wiem, że tak jest – coś mi mówi, że on przyjechał.

– Ależ, Sally, nie mogłem się z nim rozminąć, wiesz dobrze, że nie mogłem.

– Och, Boże, Boże! Co moja biedna siostra na to powie? Na pewno przyjechał! Musiałeś się z nim rozminąć!

– Nie martw mnie, Sally, bo sam jestem już dość zmartwiony. Nie rozumiem, doprawdy, co to wszystko znaczy. Nie wiem, co robić dalej, i ani myślę ukrywać, że bardzo mnie to niepokoi. Ale nie łudźmy się, że przyjechał, bo w żadnym wypadku nie mógłbym go nie zauważyć. To jest straszne, Sally, po prostu straszne, ale coś złego musiało spotkać ten statek!

– Och, Silas, spójrz no na drogę! Prędko – czy tam ktoś przypadkiem nie jedzie?

Podskoczył do okna znajdującego się od głowy łóżka, a na to tylko czekała pani Phelps. Schyliła się prędko, szarpnęła mnie i wtedy wylazłem z mojej kryjówki w nogach łóżka. No i kiedy stary jegomość odwrócił się od okna, staliśmy tak obok siebie – ona cała w uśmiechach i rozpromieniona, a obok niej ja, spocony taki jakiś okropnie potulny. Pan Phelps wybałuszył na nas oczy spytał:

– Kto to jest?

– Jak ci się zdaje?

– Nie mam pojęcia. Kto?

– TomekSawyer!

Jak babcię kocham, o mało co nie rymnąłem jak długi! Ale właściwie tobym nie zdążył, bo pan Phelps chwycił mnie za rękę i zaczął potrząsać nią, i nie puszczał, tylko dalej potrząsał; a pani Phelps jak nie zacznie koło nas skakać i śmiać się, i płakać z radości! A potem jak oboje nie zaczęła bombardować mnie pytaniami o Sida i Mary, i resztę rodziny!

Przypięli się do mnie i nie puszczała przez dwie godziny, a zanim w końcu język nie zaczął mi

ze zmęczenia stawać kołkiem, zdążyłem opowiedzieć o mojej rodzinie – to jest o rodzinie Sawyerów – więcej, niż jakimkolwiek sześciu rodzinom Sawyerów mogło się przydarzyć w ciągu całego życia. I wytłumaczyłem im dokładnie, jak to było, że u ujścia Białej Rzeki urwał się ten tłok i wyrzuciło głowicę, przez co straciliśmy trzy dni na naprawę. Złapali haczyk i połknęli go gładko, bo skąd mogli wiedzieć, ile trwa naprawa takiej rzeczy? Gdybym im powiedział, że pękło coś innego, też by uwierzyli.

Ale jeżeli oni się cieszyli, było to niczym w porównaniu z moją radością – czułem się tak, jakbym się po raz drugi urodził. Taki byłem szczęśliwy, kiedy usłyszałem, kim jestem.

Teraz z jednej strony czułem, się bardzo dobrze, a z drugiej okropnie niedobrze; łatwo i dobrze było mi udawać Tomka Sawyera, więc czułem się świetnie, dopóki nie usłyszałem postękiwania statku płynącego w dół rzeki. Wtedy powiedziałem sobie: przypuśćmy, że Tomek Sawyer przyjechał tym statkiem i że lada chwila tu wejdzie i zawoła mnie po imieniu, zanim zdążę mu mrugnąć, żeby siedział cicho? Hm, nie mogę do tego dopuścić. Wszystko wtedy przepadnie. Muszę wyjść mu naprzeciwko i przyłapać go gdzieś po drodze. Więc powiedziałem staruszkom, że wybiorę się do miasteczka po mój kufer. Pan Phelps chciał ze mną pojechać, ale odparłem, że sam sobie poradzę z koniem, po co mam fatygować wuja.

Żaloszny koniec ich wysokości

Wyruszyłem wozem do miasteczka, a kiedy znalazłem się na pół drogi, zobaczyłem wóz jadący z przeciwnego kierunku. Naturalnie Tomek Sawyer! Więc przystanąłem i czekałem, aż podjedzie bliżej. Zawołałem: – Stój! – i woźnica Tomka ściągnął lejce, a jemu usta otworzyły się niczym wrota i tak już zostały; chrząknął kilka razy jak człowiek, któremu zaschło w gardle, a potem powiada:

– Nie zrobiłem ci nigdy nic złego. Wiesz dobrze! Więc po co wracasz i straszysz mnie w taki sposób?

– Wcale nie wracam – odparłem – bo nigdzie nie odchodziłem.

Kiedy usłyszał mój głos, trochę mu się mina poprawiła, ale nie był jeszcze całkiem uspokojony. Powiada:

– Słuchaj no, nie rób mi kawałów, bo wiesz, że ja bym ci nie zrobił. Słowo dajesz, że nie jesteś duchem?

– Słowo daję!

– No, to... no, to... wierzę ci, naturalnie. Ale jakoś nie mieści mi się to w głowie. Słuchaj, Huck, toś ty w ogóle nie został zamordowany?

– Nie. W ogóle nie zostałem zamordowany. Nabrałem ich tylko. Jak nie wierzysz, podejdź bliżej i dotknij mnie.

Dotknął i to mu wystarczyło. A tak się ucieszył z tego naszego spotkania, że po prostu nie miał pojęcia, co ze sobą robić. Naturalnie chciał, żebym mu natychmiast opowiedział o wszystkim, bo to była „wielka przygoda” i nadzwyczajnie tajemnicza, więc poczuł się od razu w swoim sosie. Ale odparłem, że tymczasem musimy dać temu spokój, i poprosiłem woźnicę Tomka, żeby zaczekał, a sami odjechaliśmy kawałek. Powiedziałem Tomkowi, w jakich jestem tarapatach, i spytałem, cośmy jego zdaniem powinni zrobić. Odparł, żebym się do niego chwilę nie odzywał i nie przeszkadzał mu. Myślał, myślał i niedługo powiada:

– Dobra nasza, wiem, co zrobimy! Weź mój kuferek i udawaj, że to niby twój. Zawróć teraz i jedź wolno, tak żebyś trafił do domu mniej więcej o właściwym czasie; ja odjadę kawałek w stronę miasta, a potem wrócę i będę w domu w jakiś kwadrans albo pół godziny po tobie. W pierwszej chwili możesz się nie zdradzać, że mnie znasz.

– Zgoda – odparłem – ale czekaj chwilę. Jest jeszcze coś, o czym nie wie nikt oprócz mnie. Chodzi o jednego Murzyna, którego próbuję wykraść, żeby mógł być wolny. Na imię mu Jim... Jim starej panny Watson.

– Co? Przecież Jim... – zawołał Tomek i urwał. Zaczął myśleć.

– Wiem dobrze, co powiesz – mruknąłem. – Powiesz, że to jest podłe świństwo. No więc co z tego? Jestem podły i koniec. Mam zamiar wykraść tego czarnucha i chcę, żebyś siedział cicho i żebyś mnie nie zdradził.

Oczy mu zabłyśły i powiada:

– Pomogę ci wykraść tego Murzyna.

Zdębiałem i myślałem, że zaraz padnę. Czegóż takiego jak długo żyję nie słyszałem i muszę powiedzieć, że Tomek bardzo stracił w moich oczach. Tylko że jakoś nie mogłem w to uwierzyć. Tomek Sawyer miałby być wykradaczem Murzynów?!

– Och, głupie żarty! – zawołałem.

– Ani myślę żartować.

– No więc tak czy siak pamiętaj: jakby ci ktoś powiedział coś o zbiegłym Murzynie, to ani ty, ani ja nic o nim nie wiemy.

Potem przenieśliśmy jego kufer na mój wóz i rozjechaliśmy się, każdy w swoją stronę. Ale z tej radości i z tych wszystkich myśli, które chodziły mi po głowie, całkiem zapomniałem, że mam jechać wolno i przyjechałem do domu dużo za prędko, jak na taki szmat drogi. Pan Phelps wyszedł przed drzwi i powiada:

– Ależ to zdumiewające! Kto by pomyślał, że ta kobyła potrafi zdobyć się na podobny wysiłek! Szkoda, że nie spojrzeliśmy na zegarek. I jest suchuteńka, ani krztyny piany. Nadzwyczajne!

Nie sprzedałbym teraz tego konia nawet za sto dolarów. Słowo daję, że bym nie sprzedał. A przedtem przyjąłbym za niego piętnaście i uważałbym, że nie jest wart więcej.

Tylko tyle powiedział pan Phelps. Niewielu znałem ludzi tak zacnych i tak dobrodusznych. Ale co się tu dziwić: poza tym, że był farmerem, był jeszcze kaznodzieją i miał na końcu

plantacji maluchny kościół drewniany, który wybudował własnym kosztem; nie tylko wygłaszał w tym kościele kazania, ale także nauczał i nie brał za to od nikogo centa, chociaż każdy by mu chętnie zapłacił. Na Południu pełno jest takich farmerów-kaznodziejów i wszyscy postępują w podobny sposób.

Po jakiejś półgodzinie Tomek zajechał na swoim wozie przed główny przełaz w płocie. Ciotka Sally zobaczyła go przez okno, bo odległość była nie większa niż pięćdziesiąt jardów. Zawołała:

– Spójrz no, ktoś przyjechał! Kto to może być? Wydaje mi się, że to ktoś całkiem obcy. Jimmy – (był to jeden z malców) – biegnij do Lizy i powiedz, żeby położyła dodatkowe nakrycie na stole.

Wszyscy popędzili do drzwi, bo naturalnie ludzie obcy nie trafiają często w te strony, więc jak już się zjawia, budzą większe zaciekawienie niż na przykład żółta febra. Tomek przeszedł przez płot i kierował się teraz w stronę domu; wóz, którym przyjechał, oddalał się szybko drogą do miasteczka, a my wszyscy staliśmy stłoczeni przy drzwiach. Tomek miał na sobie swoje miejskie ubranie – i miał widzów, którzy mu się przyglądali, a to zawsze sprawiało mu wielką przyjemność. W takich chwilach umiał zachować się naprawdę elegancko. Nie myślcie, że pomykał przez ten dziedziniec jak wylękniona owca, gdzie tam! Szedł spokojny i ważny niczym tryk. Kiedy stanął przed nami, uchylił kapelusza ruchem pięknym i takim jakimś delikatnym, jakby to była przykrywka pudełka pełnego śpiących motyli, których nie chciał obudzić. Potem powiedział:

– Jeśli się nie mylę, mam przyjemność z panem Archibaldem Nicholsem?

– Nie, mój chłopcze – odparł pan Phelps. – Przykro mi powiedzieć, że twój woźnica wprowadził cię w błąd. Do farmy Nicholsów jest jeszcze trzy mile. Ale prosimy do nas.

Tomek spojrzął przez ramię i rzekł: – Za późno, już go nawet nie widać.

– Tak, mój synu, wóz odjechał. Wejdz, proszę! Zjesz z nami obiad, a po obiedzie zaprzęgniemy konia i odwieziemy cię do Nicholsów.

– Och, jakżebym mógł robić państwu taki kłopot. Wykluczone! Pójdę pieszo, trzy mile to dla mnie drobnostka.

– Kiedy my nie pozwolimy ci iść pieszo, bo co byś wtedy pomyślał o naszej południowej gościnności. Prosimy do środka.

– Naprawdę prosimy – wtrąciła ciotka Sally. – To dla nas żaden, ale to żaden kłopot. Musisz zostać, młodzieńcze! Po prostu nie możemy na to pozwolić, żebyś szedł pieszo trzy mile w takim

kurzu. A zresztą, jak cię tylko zobaczyłam, zaraz kazałam położyć jedno więcej nakrycie na stole, więc zrobiłbyś nam zawód. Wejdz, proszę, i czuj się jak w domu!

Tomek podziękował im bardzo pięknie i bardzo serdecznie i dał się w końcu namówić. A jak już wszedł, powiedział, że jest w tych stronach obcy, że przyjechał z Hicksville w stanie Ohio i nazywa się William Thompson – i tu znowu się uklonił.

No, a potem plóttł i plóttł, i plóttł bajki o Hicksville i o różnych ludziach, jakich tylko potrafił w tym mieście wymyślić, więc zacząłem się trochę denerwować i dziwić, co to wszystko może mieć wspólnego z ratowaniem mnie z moich tarapatów. Aż tu nagle Tomek, nie przestając mówić, pochylił się i pocałował ciotkę Sally w same usta, a potem na powrót rozsiadł się wygodnie w krześle i bąkał dalej. Ale ciotka Sally zerwała się na nogi, otarła usta wierzchem dłoni i zawołała:

– Ty bezczelny smarkaczu!

Zrobił trochę obrażoną minę i powiedział:

– Naprawdę, dziwię się pani.

– Dziwisz się? A coś ty myślał, że niby kto ja jestem? Mam wielką ochotę wziąć cię i... Słuchaj no, co ci przyszło do głowy, żeby mnie całować?

Tomek zrobił teraz taką jakby spokorniałą minę i odparł:

– Nic mi nie przyszło do głowy. Nie chciałem zrobić nic złego. Tylko... tylko myślałem, że pani będzie zadowolona.

– Ach, ty głupcze! – Chwyciła do ręki wrzeciono i wyglądało na to, że ostatekiem się powstrzymuje się od zdzielenia go po głowie. – Dlaczegoś przypuszczał, że będę zadowolona?

– Naprawdę nie wiem, proszę pani. Tylko że oni... oni mi powiedzieli, że pani będzie zadowolona.

– Oni ci powiedzieli, że będę zadowolona! Ktokolwiek ci to mówił, był równym tobie głupcem. Jak długo żyję, nie słyszałam czegoś podobnego! Kto są ci oni?

– Och, wszyscy. Wszyscy mi to, proszę pani, mówili. Ledwie się mogła powstrzymać. Z oczu leciały jej iskry, a palcami to tak ruszała, jakby go chciała podrapać. Powiedziała:

– Kto to są wszyscy? Jeżeli mi w tej chwili nie powiesz, będzie na świecie mniej o jednego durnia!

Tomek wstał z miną stropioną, sięgnął po kapelusz i wyjąkał:

– Przykro mi, ale czegoś takiego to się naprawdę nie spodziewałem. Mówili mi, że bym panią

pocałował. Wszyscy mi to mówili. Powiedzieli: pocałuj ją, będzie zadowolona. Każde z nich mi to powtarzało. Ale teraz żałuję, proszę pani, i więcej tego nie zrobię. Słowo daję, że nie zrobię.

– Nie zrobisz, naprawdę?! No myślę!

– Naprawdę, proszę pani, mówię uczciwie. Nie pocałuję pani, dopóki pani o to nie poprosi.

– Dopóki ja cię o to nie poproszę?! Nie, to przechodzi ludzkie pojęcie! Coś mi się zdaje, że będziesz Matuzalemem między wszystkimi durniami na świecie, zanim ja cię o to poproszę!

– Bardzo mnie to dziwi – ciągnął dalej Tomek. – I w żaden sposób nie mogę się w tym połapać. Oni mi powiedzieli, że będzie pani zadowolona, i ja też tak myślałem. Ale... – przerwał i zaczął rozglądać się po pokoju bardzo powoli, jakby w nadziei, że natrafi gdzieś na jakieś życzliwe spojrzenie. Zatrzymał wzrok na panu Phelpsie i spytał: – Czy nie przypuszczał pan, że pani Phelps będzie zadowolona, jak ją pocałuję?

– Hm... nie... moim zdaniem... chyba nie przypuszczałem.

Wtedy Tomek spojrział w ten sam sposób na mnie i z kolei mnie spytał:

– A ty, Tomek, nie przypuszczałeś, że ciotka Sally otworzy ramiona i zawoła: „Sid Sawyer przyjechał...?”

– Mój ty Boże! – wrzasnęła pani Phelps i rzuciła się do niego. – Ty bezwstydnny łotrze, żeby mnie tak oszukać – i chciała go pochwycić w ramiona, ale on jej nie dopuścił do siebie i powiedział:

– Nie, ciociu Sally, wpierw musisz mnie poprosić.

Wtedy ona, nie tracąc ani chwili, poprosiła go, a potem jak nie zaczęła Tomka ścisnąć i całować, i znowu ścisnąć i całować, aż wreszcie oddała go panu Phelpsowi i on dokończył tego, co ona zaczęła. Kiedy się trochę uspokoili, powiedziała:

– Co za niespodzianka! Nie mieliśmy pojęcia, że przyjedziesz, i spodziewaliśmy się tylko Tomka. Wasza ciotka wcale mi nie pisała, że oprócz niego ktoś się jeszcze do nas wybiera.

– Bo właściwie miał przyjechać tylko Tomek – oparł, – Ale tak ją prosiłem i prosiłem, że mi w ostatniej chwili pozwoliła. A potem, już na statku, pomyśleliśmy sobie z Tomkiem, że będzie świetny kawał, jeżeli on przyjedzie tu do was pierwszy, a ja przywlokę się w jakiś czas po nim i będę udawał obcego. Ale to był wielki błąd, ciociu Sally. Ten dom nie jest miejscem bezpiecznym dla obcego człowieka.

– Dla bezczelnych młokosów z pewnością nie jest – odparła. – Należało ci się, Sid, żebyś cię mocno wytargała za uszy. Tak wściekła nie byłam od Bóg wie kiedy. Ale co tam, nic mi to nie

przeszkadza! Zgodziłabym się na tysiąc takich psikusów, bylebyś tu był z nami. Swoją drogą, jak pomyślę o tej hecy!... Nie przeczę, że kiedyś mnie pocałował, dosłownie zdębiałam.

Obiad jedliśmy na szerokim, otwartym ganku, łączącym dom z kuchnią. A na stole stało tyle potraw, że starczyłoby tego dla siedmiu rodzin. Wszystko było prosto z pieca – nie jakieś tam zylaste i rozgotowane mięso, które przeleżało całą noc na półce w wilgotnej piwnicy, a na drugi dzień smakuje niczym stara podeszwa. Zanim siedliśmy do stołu, wujaszek Silas odmówił bardzo długą modlitwę, ale trzeba powiedzieć, że obiad wart był tego; i nic nie wystygło, jak to często bywa w takich wypadkach.

W ciągu popołudnia państwo Phelps rozmawiali dużo o najrozmaitszych rzeczach i my z Tomkiem cały czas nadstawialiśmy uszy, ale nic z tego, bo ani razu nie wspomnieli o żadnym zbiegłym Murzynie; a znowu my baliśmy się zadawać pytania. Za to wieczorem, przy kolacji, odezwał się nagle któryś z malców:

– Tatku, czy nie moglibyśmy z Sidem i Tomkiem pójść na przedstawienie?

– Nie, dziecko – odparł pan Phelps. – Myślę, że w ogóle nie będzie żadnego przedstawienia. Ale gdyby nawet było, też byście nie poszli. Zbiegły Murzyn powiedział Burtonowi i mnie wszystko o tym gorszącym widowisku i Burton miał uprzedzić ludzi. Myślę, że do tego czasu przepędzili już z miasta tych bezwstydných włóczęgów.

A więc tak się miały rzeczy – i ja nic nie mogłem na to poradzić!

Mieliśmy spać z Tomkiem w jednym pokoju i jednym łóżku; a że byliśmy zmęczeni, zaraz po kolacji powiedzieliśmy wszystkim dobranoc, poszliśmy na górę spać, wleźliśmy na parapet okna, po drucie od piorunochronu spuściliśmy się na ziemię i pomaszerowaliśmy do miasteczka. Byłem prawie pewien, że nikt nie uprzedzi Króla i Księcia, więc wiedziałem, że jak się nie pośpieszę i sam tego nie zrobię, spotka ich coś nieprzyjemnego.

Po drodze Tomek opowiedział mi, jak to ludzie doszli do przekonania, że zostałem zamordowany, jak tatko niedługo po mojej śmierci poszedł sobie i więcej nie wrócił, i jakie było w miasteczku poruszenie po ucieczce Jima. Ja znów opowiedziałem dokładnie Tomkowi o naszych szelmach od *Królewskiej niebywałości* i co tylko zdążyłem – o naszej podróży tratwą. Kiedy dotarliśmy do miasteczka i szliśmy główną ulicą (było już po dziewiątej), zobaczyliśmy nagle walący w naszą stronę tłum ludzi z pochodniami, wrzeszczących i pohukujących, bijących w cynowe patelnie i dmących w rogi. Odskokczyliśmy na bok, żeby ich przepuścić. A jak nas mijali, zobaczyłem, że pędzą przed sobą Króla i Księcia – to znaczy domyśliłem się, że jest to

Król i Księżę, bo byli całkiem oblepieni smołą i pierzem, i w ogóle nie przypominali ludzi; wyglądali jak dwa ogromne pióropusze. Hm, na ten widok zdjęło mnie obrzydzenie i żal mi się zrobiło tych dwóch biednych łotrzyków, i jakoś nagle minęła mi cała złość, co ją do nich czułem. Bo też straszno, było na to patrzeć. Ludzie potrafią być dla siebie nawzajem paskudnie okrutni.

Zrozumieliśmy z Tomkiem, że przyszliśmy za późno i nic już nie możemy im pomóc. Spyaliśmy o nich jakichś łazików i ci nam powiedzieli, że ludzie przyszli na przedstawienie jakby nigdy nic i nie zdradzili się z niczym, dopóki ten biedny, stary Król nie rozhasał się na dobre na scenie; wtedy ktoś dał znak i wszyscy rzucili się na nich. Więc poszliśmy do domu i ja nie czułem się już taki zadowolony z siebie, tylko jakiś podły i zawstydzony, i czemuś winien, chociaż przecież nie zrobiłem nic złego. Ale zawsze tak się dzieje: jest to całkiem bez różnicy, czy człowiek postępuje źle czy dobrze, bo jego sumienie nie ma ani krztyny rozumu i tak czy siak go się czepia. Gdybym miał psa, który nie byłby mądrzejszy od ludzkiego sumienia, zwyczajnie bym go otruł. Zajmuje to więcej miejsca niż wszystko inne razem wzięte, co siedzi w człowieku, a pożytku nie daje żadnego. Tomek Sawyer też tak uważa.

Podtrzymujemy Jima na duchu

Przestaliśmy mówić i wzięliśmy się do myślenia.

Tomek powiedział:

– Popatrz no, Huck! Co za głupcy z nas, żeśmy na to wcześniej nie wpadli. Głowę daję, że wiem, gdzie jest Jim.

– Co ty mówisz! Gdzie?

– W tym szafasie koło dołu na popiół. Posłuchaj, Huck. Czy nie zauważyłeś, że kiedy siedzieliśmy przy obiedzie, jakiś Murzyn zanosił tam jedzenie?

– Owszem, zauważyłem.

– I coś myślał? Że dla kogo jest to jedzenie?

– Dla psa.

– Ja też tak myślałem. A tymczasem to wcale nie było dla psa.

– Dlaczego?

– Bo ten Murzyn niósł także arbuza.

– Racja, pamiętam. No wiesz, to przechodzi ludzkie pojęcie, żeby mi taka rzecz nie przyszła do głowy. Przecież psy nie jedzą arbuzów! Człowiek może czasem patrzeć na coś i wcale tego nie widzieć.

– Ten Murzyn – ciągnął dalej Tomek – otworzył kłódkę na drzwiach, zanim wszedł do środka, i zamknął ją, jak wyszedł. Przyniósł wujaszкови jakiś klucz, mniej więcej w tym czasie, kiedyśmy wstawali od stołu – głowę daję, że właśnie ten klucz. Arbuza dowodzi, że to człowiek, a kłódka – że więzień. Nie wydaje mi się, żeby mogło być dwóch więźniów na małej plantacji, gdzie w dodatku wszyscy są tacy dobrzy i tacy łagodni. Ten więzień to Jim. Dobra nasza. Cieszę się, że doszliśmy do tego w sposób, w jaki by to zrobili prawdziwi detektywi, bo wszystkie inne sposoby niewarte są funta kłaków. Teraz rusz mózgownicą, Huck i obmyśl jakiś plan wykradzenia Jima, ja ułożę drugi; potem je porównamy i wybierzemy ten, który nam się bardziej

spodoba.

Co za mądra sztuka z tego Tomka Sawyera, choć jeszcze taki młody!. Gdybym miał jego głowę, nie oddałbym jej za to, żeby zostać księciem, ani marynarzem na statku, ani kłownem w cyrku, ani niczym takim, co mi przychodzi w tej chwili na myśl. Zacząłem układać plan, ale tylko po to, żeby się czymś zająć.

Wiedziałem doskonale, kto obmyśli ten właściwy plan. Po chwili Tomek spytał:

– Gotowy?

– Gotowy – odparłem.

– No to wal.

– Mój plan jest taki – zacząłem. – Możemy dowiedzieć się z łatwością, czy to Jim siedzi tam w szopie. Jutro wieczorem wyciągniemy z rzeki moje czółno i przyborujemy tratwę z kępy. A potem pierwszej ciemnej nocy poczekamy, aż wujaszek Phelps zaśnie, wykradniemy mu z kieszeni spodni klucz od kłódki i we trzech z Jimem popłyniemy tratwą w dół rzeki, kryjąc się w dzień i płynąc nocą, jak robiliśmy przedtem. Myślisz, że taki plan się uda?

– Czy się uda? Naturalnie, że się uda, wszystko pójdzie jak po maśle. Ale ten plan jest diabelnie prosty, właściwie nic w nim nie ma. Co za korzyść z planu, Huck, z którym mielibyśmy tak mało zawracania głowy? Jest nudny jak kluski na oleju. Narobiłby nie więcej hałasu niż na przykład włamanie się do fabryki mydła.

Nic na to nie odpowiedziałem, bo też nie spodziewałem się niczego innego. Ale wiedziałem doskonale, że kiedy Tomek obmyśli swój plan, nie będzie w nim ani jednej z tych wad, jakie były w moim.

I rzeczywiście ich nie było. Tomek wytłumaczył mi wszystko dokładnie i zaraz zrozumiałem, że co się tyczy stylu, jego plan jest wart piętnastu moich, a poza tym Jim będzie dzięki temu planowi tak samo wolny, jakby był w wyniku mojego, i że przy okazji wszyscy trzej możemy stracić życie. Więc zadowolony powiedziałem, żebyśmy się wzięli do roboty. Nie warto mi opisywać tego planu, bo naturalnie nie mógł on zostać taki, jaki był. Wiedziałem, że Tomek będzie go po trochu zmieniał i wykręcał na wszystkie możliwe sposoby, i dorzucał nowe ozdóbki przy każdej możliwej okazji. Tak się też stało.

W każdym razie jednego byłem pewien: Tomek Sawyer nie żartował i naprawdę miał zamiar pomóc mi wykraść Murzyna! A to już zupełnie nie mieściło mi się w głowie. Przecież Tomek był porządnym i dobrze wychowanym chłopcem i miał dobrą reputację, którą mógł stracić, i jego

rodzina też miała dobrą reputację. I był bystry, a nie tępy, wykształcony, a nie ciemny; i wcale nie był podły, tylko dobry. A mimo to tak mało miał w sobie dumy i prawości i innych uczuć, że zniżał się do tego wstrętnego postępku i na oczach wszystkich gotów był zhańbić siebie i swoją rodzinę. W żaden sposób nie mogłem go zrozumieć. Oburzało mnie to i wiedziałem, że powinienem mu o tym powiedzieć – powinienem zachować się jak prawdziwy przyjaciel i namówić go, żeby to wszystko rzucił i ratował się od zguby. No i zacząłem z nim taką rozmowę, ale kazał mi przestać i powiedział:

– Czy ci się nie zdaje, że ja wiem, co robię? Czy przeważnie nie jest tak, że ja wiem, co robię?

– No, owszem...

– A czy nie mówiłem, że pomogę ci wykraść tego Murzyna?

– Mówiłeś.

– Więc o co chodzi?

Tyle tylko powiedział i tyle tylko ja powiedziałem. Nie warto było mówić więcej, bo jak Tomek Sawyer raz sobie postanowił, że coś zrobi, zawsze to zrobił. Ale w dalszym ciągu nie mogłem zrozumieć, dlaczego on chce mieszać się do tej sprawy, więc dałem spokój i więcej się tym nie kłopotalem. Skoro się uparł, ja na to nic nie mogłem poradzić.

Kiedy wróciliśmy na farmę, było wszędzie ciemno i cicho, więc nie zatrzymując się poszliśmy do szałas przy dole na popiół, bo chcieliśmy go sobie z bliska obejrzeć. Szliśmy naumyślnie przez podwórze, żeby sprawdzić, jak się zachowają psy. Poznały nas i szczekały, ale nie więcej, niż wiejskie psy mają we zwyczaju, kiedy ktoś zbliża się do nich w nocy. Zaszliśmy na miejsce i obejrzeliśmy szałas ze wszystkich stron. Na ścianie, której przedtem nie widziałem (to znaczy na północnej ścianie), znaleźliśmy kwadratowy otwór okienny, umieszczony dość wysoko i zabity jedną solidną deską. Powiedziałem do Tomka:

– Tego nam było trzeba. Jak oderwiemy deskę, Jim akurat przeciśnie się przez tę dziurę. Tomek odparł:

– To jest takie proste jak zabawa w łapki i takie łatwe jak zabawa w berka. Spodziewałem się, Huck, że znajdziemy sposób chociaż trochę trudniejszy od tego.

– W takim razie – powiedziałem – co myślisz o tym, żebyśmy w y p i ł o w a l i Jima z szałas, jak to ja zrobiłem, zanim zostałem wtedy zamordowany?

– Hm, to już jest trochę lepsze – odparł. – Jest bardziej tajemnicze, mielibyśmy z tym huk kłopotów... Tak, to niezły pomysł. Ale głowę dam, że znajdziemy jakiś dwa razy dłuższy sposób

wykradzenia Jima. Nie ma się co śpieszyć. Rozejrzyjmy się trochę.

Z tyłu, pomiędzy szalaszem a płotem, była przybudówka dotykająca okapu dachu i zbita z desek. Na długość była jak szalasz, ale za to wąska, miała najwyżej ze sześć stóp szerokości. Drzwi, zamknięte na kłódkę, znajdowały się na ścianie południowej. Tomek poszperał chwilę przy kotle do gotowania mydła i znalazł taki żelazny drażek, jakich używają zwykle do podnoszenia pokrywy. Przyniósł go pod drzwi przybudówki i wyważył nim jeden z dwóch skobli. Łańcuch spadł na ziemię, weszliśmy do środka, zamknęliśmy za sobą drzwi i zapaliliśmy zapalniczkę. Okazało się, że przybudówka przylega tylko do szalasu, ale się z nim nie łączy; nie było w tej szopie ani podłogi, ani żadnych przedmiotów, tylko w kącie leżało kilka zardzewiałych i połamanych łopat, motyk i kilofów, i jeden wyszczerbiony pług. Zapalniczka zgasła, więc wyszliśmy, a jak wsunęliśmy skobel na miejsce, drzwi były nie gorzej zamknięte niż przedtem. Tomek powiedział wesoło:

– Dobra nasza, Huck! Zrobimy podkop. Potrwa to najmniej tydzień.

Potem wróciliśmy pod dom i ja wszedłem bocznymi drzwiami (wystarczyło odsunąć rzemienny skobel, bo nikt tu nie zamyka drzwi na noc), ale dla Tomka Sawyera było to za mało roman... roman... tyczne. Nie odpowiadała mu żadna inna droga – musiał koniecznie wspiąć się po drucie od piorunochronu. Ale kiedy trzy *razy* wdrapał się już na pół drogi i trzy razy spadł – a za i trzecim razem o mało co nie skręcił karku – wyglądało na to, że będzie musiał dać spokój. Odpoczął jednak i powiedział, że jeszcze raz spróbuje szczęścia i tym razem udało mu się wejść na samą górę.

Wstaliśmy o świcie i poszliśmy do chat murzyńskich, żeby pokumać się z psami i zaznajomić z Murzynem, który nosił jedzenie Jimowi – jeżeli to był Jim w tym szalaszu. Czarni kończyli właśnie śniadanie i wybierali się w pole, a Murzyn Jima wkładał do blaszanej puszkę chleb, mięso i inne jedzenie. Kiedy tamci już odchodzili, przysłano z domu klucz.

Ten nasz Murzyn miał dobrotliwą, trochę głupkowatą twarz i włosy powiązane nitką w małe strączki. Był to sposób na odpędzenie złych duchów. Powiedział nam, że ostatnio czarownice strasznie go mordują po nocach, że widzi różne dziwne rzeczy i słyszy różne dziwne głosy i hałasy, i że tak długo jak teraz to się go czarownice jeszcze nigdy nie czepiały. Strasznie był tym przejęty i rozgadał się o swoich zmartwieniach, aż zupełnie zapomniał, co miał robić. Ale Tomek spytał:

– Dla kogo to jedzenie? Idziesz karmić psa?

Murzynowi twarz się uśmiechnęła, ale stopniowo i tak jakoś dookoła, co przypominało kałużę marszczącą się, kiedy wrzucić do niej kawałek cegły.

– Tak, paniczu – powiedział. – Idę karmić psa. Ho-ho, ciekawy to pies. Chce go panicz zobaczyć?

– Owszem.

Trąciłem Tomka łokciem i wyszeptalem:

– Idziesz tam teraz, w biały dzień? Przecież mieliśmy zupełnie inny plan.

– Mieliśmy inny, ale teraz mamy taki.

Niech tego Tomka gęś kopnie! Poszliśmy, chociaż mnie się to bardzo nie podobało. W szalacie były takie ciemności, że kiedy weszliśmy, niewiele mogliśmy dojrzeć. Ale naturalnie Jim był tam i zobaczył nas, więc zawołał;

– Huck! I... Boże wielki... to chyba panicz Tomek?! Wiedziałem, że tak będzie. Spodziewałem się tego. Nie miałem pojęcia, co robić. Ale nawet gdybym miał pojęcie, też bym nic nie zrobił, bo Murzyn wrzasnął:

– W imię Ojca! Czy on zna paniczów?

Widzieliśmy już teraz nieźle, bo oczy przywykły nam do ciemności. Tomek spojrzał na Murzyna uważnie i jakby ze zdziwieniem i spytał:

– Czy kto nas zna?

– Jak to kto? Ten zbiegły czarnuch.

– Nie przypuszczam, żeby nas znał. Ale skąd ci to przyszło do głowy?

– Skąd mi to przyszło do głowy? A czy nie zawołał przed chwilą, że zna paniczów?

Tomek odparł zdziwionym głosem:

– No wiecie, to ciekawe! Kto wołał? Kiedy wołał? Co wołał? – Potem zwrócił się do mnie i spytał bardzo spokojnie: – Czyś ty, Huck, słyszał, żeby ktoś coś wołał?

Mogłem naturalnie odpowiedzieć tylko jedno:

– Ja? Nie słyszałem żadnego wołania.

Wtedy Tomek zwrócił się do Jima, obejrzał go od stóp do głów, jakby go nigdy przedtem nie widział, i spytał:

– Czyś ty coś mówił?

– Nie, proszę panicza – odparł Jim. – Ja nic nie mówiłem.

– Ani słowa?

– Ani jednego słowa.

– A czyś widział nas już kiedy?

– Nie widziałem.

Wtedy Tomek spojrział znowu na Murzyna, który miał minę okropnie przerażoną i zmartwioną, i powiedział ostro;

– Słuchaj no, co się z tobą dzieje? Skąd ci przyszło do głowy, że ktoś coś mówił?

– Och, to wszystko przez te przekłete czarownice, paniczu! Naprawdę wolałbym już całkiem nie żyć. W kółko to robią i jeszcze kiedy umrę ze strachu, tak się ich boję. Tylko niech panicz nie mówi o tym nikomu... Stary pan Silas zaraz by mnie skrzyczał, bo on wciąż powtarza, że czarownic nie ma. Chciałbym, żeby tu był teraz; ciekaw jestem, co by powiedział! Głowę dam, że tym razem toby się nie wykręcił sianem. Ale zawsze tak jest! Ludzie, co są głupi, zostają głupi; sami nie chcą się o niczym dać przekonać, a jak człowiek przekona się o czymś i powie im, że tak jest, to mu nie wierzą.

Tomek dał Murzynowi dziesięć centów i obiecał, że nic nikomu nie powtórzy; poradził mu też, żeby sobie kupił więcej nici do *związywania*. włosów w strączki. A potem spojrział na Jima i tak powiedział:

– Ciekaw jestem, czy wujaszek Silas powiesi tego czarnucha. Gdybym ja złapał takiego niewdzięcznika, który uciekł od swoich właścicieli, to zamiast go oddawać, zwyczajnie bym go powiesił. – A kiedy Murzyn odszedł i stanął w drzwiach, żeby przyjrzeć się tej dziesiątce i sprawdzić zębami, czy jest dobra, Tomek wyszeptał do Jima: – Nie przyznawaj się nikomu, że nas znasz. Jeżeli usłyszysz nocą kopanie, będziesz wiedział, że to my. Chcemy cię uwolnić.

Jim zdążył tylko uścisnąć nam ręce, bo zaraz wrócił Murzyn. Powiedzieliśmy temu głupcowi, że jak chce, możemy przyjść tu z nim jeszcze kiedyś, a on na to, że bardzo chce, szczególnie jak będzie ciemno, bo czarownice napastują go przeważnie w ciemności i on wtedy woli mieć koło siebie ludzi.

Tajemne i głęboko przemyślane plany

Do śniadania została nam jeszcze blisko godzina, więc po wyjściu z szopy poszliśmy do lasu. Tomek powiedział, że będzie nam potrzebne jakieś światło przy kopaniu, a latarnia pali się za jasno i moglibyśmy narobić sobie biedy. Więc uważał, że musimy postarać się o próchno, które świeci się mdławo, kiedy położyć je w ciemnym miejscu. Zebraliśmy ile się dało tych drzazg i ukryliśmy je w krzakach, a potem usiedliśmy, żeby chwilę odpocząć. Tomek odezwał się z niezadowoleniem w głosie:

– Niech to drzwi ścisną, wszystko jest takie łatwe i takie ohydnie proste, że już nie może być prostsze. Dlatego tak mi trudno wymyślić jakiś trudny plan. Nie ma strażnika, którego można by uśpić, a powinien być strażnik. Nie ma nawet psa, któremu można by dać coś na uśpienie. A Jim przykuty jest do nogi łóżka łańcuchem długości dziesięciu stóp; przecież wystarczy podnieść łóżko i zsunąć łańcuch! Poza tym wujaszek Silas jest strasznie łatwowierny; przysłała klucz od kłódki temu głupkowatemu Murzynowi i nawet nie każe, żeby go ktoś pilnował; Jim mógł już dawno wydostać się z szałasów przez okno, tylko że naturalnie nie mógłby uciekać z łańcuchem długości dziesięciu stóp, przykutym do nogi. Niech to licha trzaśnie, Huck! W życiu nie widziałem czegoś tak bzdurnego. Trzeba będzie wymyślić wszystkie trudności. Ale nie ma rady, musimy zrobić co się tylko da najlepszego w takiej sytuacji. W każdym razie jedno jest pewne: będzie to bardziej dla nas honorowe, jeżeli uwolnimy go wśród wielu trudności i niebezpieczeństw, chociaż ludzie, których obowiązkiem było dostarczyć nam te trudności i niebezpieczeństwa, wcale ich nie dostarczyli i my będziemy musieli sami je wszystkie wykombinować. Weź choćby tę latarnię; tak prawdę powiedziawszy, musimy tylko udawać, że latarnia byłaby niebezpieczna. Myślę, że gdybyśmy chcieli, moglibyśmy kopać przy świetle stu pochodni. Aha, póki pamiętam: musimy przy pierwszej okazji wytrzasnąć coś, z czego dałoby się zrobić piłę.

– A po co nam piła? – spytałem.

– Jak to po co? Trzeba będzie odpiłować nogę łóżka, żeby odczepić łańcuch.

– Przecież sam przed chwilą mówiłeś, że wystarczy podnieść łóżko i zsunąć łańcuch.

– Z tobą zawsze tak jest, Huck! Nikt inny nie potrafiłby wymyślić dziecinniejszego sposobu załatwienia sprawy. Czyś ty w ogóle nie czytał żadnych książek? Nie czytałeś o baronie Trencku ani o Casanowie, ani o Benvenuto Cellinim? Ani o Henryku IV czy jakimś innym bohaterze? Kto to słyszał, żeby uwalniać więźnia w taki babski sposób! Nie, mój drogi. Najlepsze autora... autorytety każą przepiłowywać nogę łóżka na dwoje i tak ją zostawiać; potem każą zjeść opiłki, żeby ich nie było widać, smarować przepiłowane miejsce tłuszczem i przysypać kurzem, bo wtedy najbardziej nawet spostrzegawczy komendant straży nie zobaczy, że noga jest odpiłowana. A potem, w noc ucieczki, wystarczy jedno pchnięcie i noga odpada; następnie zsuwasz łańcuch i jesteś gotowy do drogi. Potem musisz już tylko przyczepić drabinkę sznurową do blanków, spuścić się na dół, złamać nogę w fosie – bo, uważasz, drabinka jest zawsze o dziesięć stóp za krótka – a tam, na dole, czekają już konie i wierni wasale, którzy podnoszą cię z ziemi, przerzucają przez siodło i wiozą do twojej rodzinnej Langwedocji, Nawarry czy skąd tam pochodzisz. Ach, Huck, to jest dopiero wspaniałe! Szkoda, że nie ma fosy w tym szałasie. Ale jak zdążymy, wykopimy fosę w noc ucieczki.

– Po co nam fosa, kiedy mamy zrobić podkop i tamtędy go wyciągnąć? – spytałem.

Tomek nie usłyszał. Zapomniał o mnie i o całym bożym świecie. Oparł brodę na rękach i myślał. Po chwili raz jeszcze westchnął i powiedział:

– Nie, to by nie miało sensu... nie jest tak koniecznie potrzebne.

– Co nie jest koniecznie potrzebne? – spytałem.

– Jak to co? Żeby odciąć Jimowi nogę – odparł.

– Bój się Boga! – zawołałem. – To w żadnym wypadku nie może być konieczne. Dlaczego miałbyś mu obcinać nogę?

– Hm, widzisz, niektóre najlepsze au... autorytety każą tak robić. Jak więzień nie może inaczej odczepić łańcucha, obcina sobie rękę i zmyka. Noga byłaby jeszcze lepsza od ręki. Ale musimy dać temu pokój. W tym przypadku nie jest to takie konieczne. Zresztą Jim jest Murzynem i nie rozumiąłby, dlaczego chcemy obciąć mu nogę i że taki jest zwyczaj w Europie. Więc trzeba zrezygnować. Ale jest inna sprawa: Jim powinien mieć drabinkę sznurową. Podrzemy nasze prześcieradło i zrobimy drabinkę, to żadna sztuka. Będziemy mu ją mogli posłać w cieście.

Przeważnie tak się robi. A jadłem już w życiu gorsze ciasta.

– Słuchaj no, Tomek – przerwałem mu – Co ty wygadujesz? Przecież drabinka sznurowa do niczego się Jimowi nie przyda.

– Przyda mu się – odparł. – To ja powinienem spytać, co ty wygadujesz. Lepiej przyznaj się od razu, że nie masz o tych rzeczach zielonego pojęcia. Jim musi mieć drabinkę; wszyscy więźniowie zawsze mają drabinki.

– A co on z nią będzie robił?

– Co z nią będzie robił? A w łóżku to jej nie może schować? Wszyscy więźniowie tak robią, więc on też musi. Ty, Huck, jakoś nic nie chcesz robić przepisowo, ciągle byś tylko wszystko zmieniał i zaczynał od nowa. Ale nawet gdyby Jim nie miał żadnego pożytku z drabinki, to czy nie zostanie ona w jego łóżku jako poszlaka? Czy ty sobie wyobrażasz, że nie będą im potrzebne poszlaki? Naturalnie, że będą. I ty chciałbyś im żadnych nie zostawić? To byłaby dopiero ładna heca, nie ma co! Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Hm, jeżeli są takie przepisy – odparłem – i Jim musi mieć drabinkę, proszę bardzo, niech ją ma. Ani myślę sprzeciwiać się przepisom. Ale pamiętaj, Tomek, o jednym: jak zaczniemy drzeć prześcieradła, szkoda gadać – spotka nas coś nieprzyjemnego od ciotki Sally. Ja tam uważam, że drabinka sznurowa z kory leszczynowej nic nie kosztuje, a nadaje się jako nadzienie do ciasta nie gorzej niż drabinka ze szmat i równie dobrze można ją schować w sienniku. Jim i tak nie ma żadnego doświadczenia, więc będzie mu wszystko jedno, jaką...

– Och, głupstwa mówisz, Huk! Gdybym był taki ciemny jak ty, siedziałbym cicho. Czy kto kiedy słyszał, żeby więzień stanu używał drabinki leszczynowej? Przecież to jest po prostu komiczne!

– No, już dobrze, dobrze! Zrób, Tomek, po swojemu, ale ja ci radzę, żebyś mi pozwolił pożyczyć prześcieradło ze sznura, na którym suszy się bielizna.

Tomek pozwolił mi je pożyczyć, ale to go naprowadziło na inną myśl, więc powiada:

– Pożycz też koszulę męską, Huck.

– Po co ci koszula?

– Dla Jima, żeby pisał na niej swój dziennik.

– Czyś ty z dębu spadł, Tomek? Przecież Jim nie umie pisać!

– To co z tego, że nie umie? Czy nie może stawiać znaków na tej koszuli, jeżeli zrobimy mu pióro ze starej łyżki cynowej albo z kawałka żelaznej obręczy?

– Krócej będzie trwało, jak podskubiemy jaką gęś i zrobimy mu pióro dużo lepsze niż z cynowej łyżki.

– Ach, ty zakuta pało! – zawołał. – Czy ty sobie wyobrażasz, że więźniowie mają w lochu gęsi, z których mogą wyskubywać pióra? Więźniowie zawsze robią pióra z najtwardszych, najtrudniejszych do obrobienia kawałków starych mosiężnych lichtarzy czy z czegoś takiego, co im wpadnie w rękę; a opiłowanie takiego kawałka trwa miesiące, bo muszą to robić pocierając go o ścianę. Więzień nie użyłby pióra gęsiego, nawet gdyby je miał. To jest nieprzepisowe!

– W takim razie z czego mu zrobimy atrament? – spytałem.

– Są tacy – odparł – co robią atrament z łez i rdzy, ale to przeważnie pospolita zgraja i kobiety. Ważniejsi więźniowie używają do pisania własnej krwi. Jim może pisać krwią; A jak zechce wysłać światu w sposób tajemniczy krótką, zwyczajną, pospolitą wiadomość o tym, gdzie jest uwięziony, będzie mógł to napisać widelcem na odwrocie cynowego talerza, po czym wyrzuci go za okno.

– Jim nie ma żadnych cynowych talerzy. Karmią go z puszek blaszanej.

– Och, to głupstwo. Dostarczymy mu talerzy.

– A czy ktoś potrafi odczytać te jego gryzmoły?

– To nie ma nic do rzeczy, Huck. Wystarczy, jak Jim napisze coś na talerzu i wyrzuci go za okno. Wcale nie idzie o to, żeby ktoś mógł odczytać, co na nim jest napisane. W połowie wypadków w ogóle nie można odcyfrować tego, co więzień napisze na cynowym talerzu czy czymś takim.

– To po co więzień niszczy talerze? – spytałem.

– Zlituj się, Huck! Przecież te talerze nie są jego własnością.

– Ale są czyjąś własnością, nie?

– Powiedzmy, że są. Co to może więźnia obchodzić, czyje... —

Przerwał, bo usłyszeliśmy róg wzywający na śniadanie, więc poszliśmy do domu.

Gdzieś w rannych godzinach udało mi się pożyczyć spomiędzy suszącej się bielizny prześcieradło i białą koszulę. Znalazłem stary worek i włożyliśmy do niego te rzeczy, a potem wyjęliśmy z kryjówki nasze próchno i też wpakowaliśmy je do środka. Nazywałem to „pożyczaniem”, ponieważ tatko zawsze używał tego słowa. Ale Tomek powiedział, że to nie żadne pożyczanie, tylko kradzież. Powiedział, że działamy w imieniu więźnia i jesteśmy tak jakby więźniami: a więźniom jest bez różnicy, w jaki sposób dostają jakąś rzecz, byle ją tylko

dostali, i nikt nie ma o to do nich pretensji. Dodał jeszcze, że kiedy więzień ukradnie coś potrzebnego do ucieczki, nie jest to żadne przestępstwo – więzień ma prawo do takiej kradzieży. Więc dlatego my jako zastępcy więźnia mamy prawo kraść wszystko na tej farmie, co może nam się przydać przy ucieczce z więzienia. Na zakończenie Tomek powiedział, że gdybyśmy nie byli więźniami, sprawa przedstawiałaby się całkiem inaczej, bo tylko nikczemny, zły człowiek kradnie, kiedy nie jest więźniem. Wobec tego postanowiliśmy, że będziemy kradli wszystko, co nam się nawinie pod rękę. A mimo to któregoś dnia Tomek strasznie mi nagadał, kiedy ukradłem arbuza z grządek przy chatach murzyńskich i potem go zjadłem. Kazał mi pójść do Murzynów i dać im dwadzieścia centów nie mówiąc za co. Jak się okazało, Tomek rozumiał to w ten sposób, że możemy kraść każdą rzecz, która nam jest potrzebna. Hm, powiedziałem mu, że ten arbuż był mi potrzebny, ale on odparł, że arbuż nie był mi potrzebny do ucieczki z więzienia, a właśnie na tym polega cała różnica. Bo gdybym wziął tego arbuza i ukrył w nim sztylet, i w ten sposób przemycił ten sztylet do Jima, żeby Jim mógł nim zabić komendanta straży, wszystko byłoby w porządku. Nie sprzeczałem się z nim, ale swoją drogą nie widziałem dla siebie żadnej korzyści w tym zastępowaniu więźnia, jeżeli przy każdej okazji do zwędzenia arbuza miałbym łamać sobie głowę nad całym mnóstwem takich różnic nie grubszych od włosa.

Więc jak już mówiłem, czekaliśmy tego ranka, dopóki wszyscy nie rozeszli się do pracy; a kiedy na podwórzu nie było nikogo, Tomek zaniósł worek do przybudówki, a tymczasem ja stałem w pewnej odległości na straży. Po jakimś czasie Tomek wyszedł i wtedy usiedliśmy na stosie drzewa i zaczęliśmy rozmawiać. Tomek powiedział:

– Teraz już wszystko jest w porządku. Brak nam tylko jeszcze narzędzi, ale o to nietrudno.

– Narzędzi? – spytałem.

– Tak.

– Narzędzi do czego?

– Jak to do czego? Do zrobienia podkopu. Przecież zębami nie wygryziemy tej dziury.

– Tam w szopie są różne połamane łopaty i kilofy, które nadadzą się chyba do zrobienia podkopu dla jednego Murzyna? – spytałem.

Tomek spojrzał na mnie z takim współczuciem, że od samego jego wzroku mogło się człowiekowi zebrać na płacz, i powiedział:

– Słuchaj no, Huck, czyś ty słyszał kiedy, żeby więzień miał w lochu kilofy i łopaty, i inne nowoczesne narzędzia, którymi mógłby zrobić podkop i wydostać się na wolność? Odpowiedz

mi, jeśli masz chociaż odrobinę oleju w głowie: czy miałby wtedy jakie widoki, żeby zostać bohaterem? Gdzie tam! Równie dobrze strażnik mógłby mu pożyczyć klucz i więcej nie zawracać sobie nim głowy. Kilofy i łopaty! Też mi pomysł! Takich narzędzi nikt nie dostarczyłby do więzienia nawet królowi.

– Powiadasz, że kilofy i łopaty nie są odpowiednie – odparłem. – Ale w takim razie o jakie narzędzia będziemy się starali?

– O dwa scyzoryki.

– I scyzorykami podkopiemy się pod fundamenty szopy?

– A jakże.

– Słuchaj no, Tomek. Przecież to czysta głupota.

– Gdyby nawet była głupota, to co z tego? Taki sposób jest właściwy i przepisowy. Zresztą nie słyszałem o żadnym innym sposobie, chociaż znam wszystkie książki, z których można dowiedzieć się czegoś o tych sprawach. Więzień robi zawsze podkop scyzorykiem i nie wyobrażaj sobie, że w zwykłej ziemi, bo przeważnie musi skrobać skałę. To wlecze się naturalnie tygodniami, bez końca. Był taki jeden więzień w lochu Castle Deef w porcie Marsylii, który zrobił scyzorykiem podkop. Jak myślisz, ile mu to czasu zajęło?

– Nie wiem.

– No to zgadnij, Huck.

– Kiedy-naprawdę nie mam pojęcia. Półtora miesiąca?

– Trzydzieści siedem lat! A wyszedł w Chinach. Tak to powinno wyglądać, tylko że fundamenty tej naszej fortecy nie są z granitu.

– Przecież Jim nie zna nikogo w Chinach – powiedziałem.

– Co to ma do rzeczy? Tamten facet też nikogo nie znał. Ale ty, Huck, zajmujesz się zawsze jakimiś pobocznymi sprawami. Dlaczego nie trzymasz się tego, co jest ważne?

– No więc zgoda. Wszystko mi jedno, gdzie Jim wyjdzie, byleby wyszedł. I myślę, że dla Jima też to będzie bez różnicy. Ale idzie o to, że Jim jest za stary, żeby go wykopywać za pomocą scyzoryka. Umrze nam, zanim go zdążymy wykopać.

– Nie bój się, nie umrze. Chyba nie przypuszczasz, Huck, że zrobienie podkopu w zwykłej ziemi będzie trwało trzydzieści siedem lat?

– A jak myślisz, Tomek, ile będzie trwało?

– Hm, byłoby ryzykowne, gdybyśmy kopali tak długo, jakby należało, bo wujaszek Silas

może bardzo prędko otrzymać wiadomość z tej plantacji koło Nowego Orleanu. Dowie się, że Jim wcale stamtąd nie uciekł. Wtedy ogłosi go albo coś w tym rodzaju. Dlatego nie możemy kopać tak długo, jakbyśmy powinni. Przepisowo powinniśmy kopać ze dwa lata. Ale nie możemy. Ponieważ sytuacja jest taka niepewna, proponuję, żebyśmy zrobili podkop jak najprędzej; potem będziemy mogli udawać, żeśmy pracowali nad nim trzydzieści siedem lat. W razie czego, jak się zrobi alarm, wyciągniemy go z szalasu i uciekniemy. Tak, myślę, że to najlepszy sposób.

– No, wreszcie mądrze gadasz – powiedziałem. – Udawanie nic nie kosztuje i udawanie nie sprawia człowiekowi żadnego kłopotu. A jeżeli to się na coś przyda, mogą udawać, że robiliśmy podkop pięćdziesiąt lat. Jak dojdę do wprawy, wcale mnie to nie będzie męczyło. Teraz idę i postaram się buchnąć te dwa scyzoryki.

– Buchnij trzy – powiedział. – Z jednego trzeba będzie zrobić piłę.

– Jeżeli to nie jest nieprzepisowe i bezbożne – odparłem – to może byśmy, Tomku, użyli starej, zardzewiałej piły, którą widziałem zatknietą między deski okapu nad tylną ścianą wędzarni?

Zrobił taką jakąś zmęczoną i zniechęconą minę i powiedział:

– Szkoda fatygi, Huck, bo i tak się niczego nie nauczysz. Zmykaj teraz i buchnij te scyzoryki. Trzy.

– Więc buchnąłem.

Usiłujemy pomóc Jimowi

Kiedy nam się tej nocy zdawało, że już wszyscy w domu śpią, spuściliśmy się po drucie od piorunochronu, zamknęliśmy się w przybudówce, ułożyliśmy próchno i wzięliśmy się do roboty. Wybraliśmy środek spodniej belki szalasu i w tym miejscu oczyściliśmy grunt na przestrzeni kilku stóp. Tomek powiedział, że znajdujemy się dokładnie za łóżkiem Jima i podkopujemy się pod łóżko, a jak otwór będzie gotowy, nikt go od strony szalasu nie zauważy, bo kołdra Jima zwisa prawie do ziemi i trzeba by ją było podnieść i zajrzeć pod łóżko, żeby coś zobaczyć. Więc kopaliśmy i kopaliśmy tymi scyzorykami aż do północy. Zmęczyliśmy się jak psy i ręce mieliśmy całe w pęcherzach, a mimo to nie bardzo było widać, żeśmy w ogóle coś zrobili. W końcu powiadam:

– Słuchaj no, Tomek. Takie kopanie to nie jest robota na trzydzieści siedem, tylko na trzydzieści osiem lat.

Nic nie odpowiedział. Westchnął tylko, ale po chwili przestał kopać, a potem dość długo milczał i wiedziałem, że myśli. Wreszcie odezwał się:

– Nic z tego, Huck, w ten sposób nie damy rady. Gdybyśmy byli więźniami, poszłoby nam lepiej, bo wtedy moglibyśmy kopać tyle lat, ile byśmy chcieli, i w ogóle nie byłoby żadnego pośpiechu; a na kopanie mielibyśmy tylko kilka minut dziennie podczas zmiany straży, więc nie porobiłyby nam się na rękach pęcherze. Kopalibyśmy i kopalibyśmy rok po roku i zrobilibyśmy podkop w przepisowy sposób, tak jak powinien być zrobiony. Ale co z tego, kiedy nie możemy się guzdrać, nie mamy czasu do stracenia. Gdybyśmy spędzili przy takiej robocie jeszcze jedną noc, musielibyśmy tydzień czekać, aż nam się wygoją pęcherze – wcześniej nie utrzymalibyśmy scyzoryka w rękach.

– Co w takim razie robimy? – spytałem.

– Zaraz ci powiem. To jest nieprzepisowe i niemoralne, i aż mi głupio taką rzecz mówić, ale nie mamy innego wyboru: musimy kopać za pomocą kilofów i udawać, że to scyzoryki.

– Nareszcie mądrze gadasz! – zawołałem. – Coraz to ci przybywa rozumu w głowie, Tomku! Kilof to właściwe narzędzie do kopania. Co mi tam, czy jest moralny, czy nie jest; jeśli o mnie idzie, taka moralność obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg. Kiedy mam zamiar ukraść Murzyna albo śpiewnik ze szkółki niedzielnej, albo arbuza, to wszystko mi jedno, jak to zrobię, bylebym w ogóle zrobił. Chodzi mi o to, żeby mieć tego Murzyna albo arbuza, albo śpiewnik. A jeżeli kilof jest najprzydatniejszym narzędziem, wykradam tego Murzyna albo arbuza, albo śpiewnik za pomocą kilof u. I gwizdzą na to, co by powiedziały o mnie te twoje aruto... aturo... autorytety.

– Hm – powiedział Tomek – w takim wypadku jak ten użycie kilofa i udawanie, że to scyzoryk, jest usprawiedliwione. Inaczej nigdy bym się na to nie zgodził i nie stał z założonymi rękami, i nie patrzył, jak łamane są przepisy; bo co jest słuszne, to słuszne, a co jest złe, to złe, i człowiek nie powinien robić źle, kiedy nie jest nieukiem i wie, jak należy postępować. Ty to nawet mógłbyś wykopać podkop dla Jima kilofem bez żadnego udawania, ponieważ nie wiesz, jak należy postępować, ale ja nie mogę, bo wiem. Podaj mi scyzoryk.

Jego nożyk leżał przy nim, więc podałem mu mój. Rzucił go na ziemię i powiada:

– Podaj mi scyzoryk.

Nie wiedziałem, co robić, ale raptem zrozumiałem. Poszperałem między starymi narzędziami, znalazłem kilof, podałem go, a Tomek nie mówiąc ani słowa wziął się do pracy.

Taki on już był ten Tomek. Pełen zasad.

Wtedy ja sięgnąłem po łopatę i zaczęliśmy kuć i kopać, że aż śmigalo. Kopaliśmy tak z pół godziny, to znaczy dokąd nam starczyło sił; ale przynajmniej było na co popatrzeć – wykopaliśmy sporą dziurę. Kiedy wróciłem do pokoju, zobaczyłem przez okno Tomka, który się okropnie wysilał, żeby wejść po drucie od piorunochronu; ale nie mógł się utrzymać, takie miał pokaleczone ręce. W końcu powiedział:

– Nic z tego, nie dam rady. Jak ci się zdaje, co powinienem zrobić? Nie potrafisz nic wymyślić?

– Owszem – odparłem – ale to będzie pewnie nieprzepisowe. Wejdz schodami i udawaj, że się wspinasz po drucie.

Posłuchał mnie.

Nazajutrz Tomek zwędził w domu łyżkę cynową i mosiężny lichtarz, wszystko na pióra do pisania dla Jima, a poza tym sześć świec łojowych. Ja kręciłem się koło chat murzyńskich i jak

mi się tylko nadarzyła sposobność, buchnąłem trzy talerze cynowe. Tomek narzekał, że to mało, ale ja mu powiedziałem, że przecież nikt nie zobaczy tych talerzy, które Jim wyrzuci z szałas, bo pod oknem rośnie psi rumianek, więc będziemy mogli talerze stamtąd wyciągnąć i dać mu po raz drugi. Tomkowi to wystarczyło.

– A teraz trzeba by się zastanowić, jak przemycimy te rzeczy do Jima – powiedział.

– Skończymy podkop i sami mu je zaniemiemy – odparłem.

Spojrzał tylko na mnie pogardliwie i mruknął, że nikt nigdy nie wpadł jeszcze na taki głupi pomysł, a potem zaczął myśleć. Po jakimś czasie powiedział, że znalazł kilka sposobów, ale tymczasem nie musimy wybierać żadnego z nich. Zresztą i tak trzeba wprawdzie zawiadomić o tym Jim.

Tego wieczora wzięliśmy świeczkę i kilka minut po dziesiątej spuściliśmy się po drucie od piorunochronu; stanęliśmy pod oknem szałas i kiedy usłyszeliśmy, że Jim chrapie, wrzuciliśmy świeczkę do środka, co go wcale nie zbudziło. Następnie wzięliśmy łopatę i kilof i tak uwinęliśmy się z robotą, że w dwie i pół godziny podkop był gotowy. Wczołgaliśmy się pod łóżko Jima i w ten sposób dostaliśmy się do szałas; znaleźliśmy po omacku świecę, zapaliliśmy ją, postaliśmy chwilę nad Jimem, który wyglądał dobrze i zdrowo, a potem obudziliśmy go bardzo ostrożnie i powoli. Na nasz widok z radości o mało się nie rozplakał; mówił do nas „serduszka” i używał rozmaitych innych pieszczotliwych nazw, jakie mu tylko przyszły do głowy. I był za tym, żebyśmy postarali się jak najprędzej o dłuto do przecięcia łańcucha na jego nodze, a potem zwieli nie zwlekając. Ale Tomek wytłumaczył, jakie by to było nieprzepisowe, przedstawił szczegółowo nasze plany i powiedział, że w razie niebezpieczeństwa możemy je w każdej chwili zmienić. I jeszcze dodał, żeby się Jim nic nie bał, bo już nasza rzecz w tym, że wydostanie się na wolność. Więc Jim mu na to, że zgoda, a wtedy usiedliśmy i wspominaliśmy przez jakiś czas dawne dzieje. Potem Tomek zadał Jimowi mnóstwo pytań, a kiedy się dowiedział, że wujaszek Silas przychodzi co dzień albo co drugi dzień i modli się z nim, a ciotka Sally zagląda często i pyta, czy mu nic nie brakuje i czy ma dość jedzenia, i że oboje są dla niego tacy dobrzy, że już nie mogą być lepsi, zawołał:

– Już wiem, co zrobimy! Niektóre rzeczy prześlemy ci przez nich.

– Nie rób tego – powiedziałem. – To chyba najbardziej ośli pomysł, o jakim słyszałem w życiu. – Ale Tomek w ogóle nie zwrócił uwagi na moje słowa, tylko mówił dalej. Zawsze tak z nim było, kiedy raz sobie coś uplanował.

Powiedział Jimowi, że ciasto z drabinką sznurową i inne duże przedmioty będzie musiał przysłać przez Nata, Murzyna, który nosi mu jedzenie, więc niech Jim ma się na baczności, nie okazuje zdziwienia i niech nie otwiera tych przesyłek przy Nacie. A drobne rzeczy będziemy wkładali do kieszeni kurtki wujaszka Silasa, skąd Jim musi je wykraść. A jak się zdarzy okazja, będziemy te drobne przedmioty przywiązywali do tasemek fartucha ciotki Sally albo wsuwali jej do kieszeni. Potem Tomek wytłumaczył Jimowi, jakie to będą przedmioty i do czego mają służyć. Wytłumaczył mu, w jaki sposób ma spisywać pamiętnik krwią na koszuli i robić tym podobne rzeczy. Przedstawił mu dokładnie swój plan. Jimowi wydało się to wszystko bardzo mało sensowne, ale uważał, że jesteśmy biali i lepiej od niego znamy się na rzeczy. Dał się więc w końcu przekonać i obiecał, że zrobi, co mu Tomek kazał.

Jim miał kilka fajek zmajstrowanych z kłaczy kukurydzy i dużo tytoniu, więc bawiliśmy się dobrze i było nam bardzo przyjemnie; a potem wyczołgaliśmy się przez dziurę i poszliśmy spać. Nasze ręce wyglądały tak, jakby je ktoś posiekał. Ale Tomek był w świetnym humorze. Powiedział, że jak długo żyje, nie miał takiej doskonałej zabawy i takiej inteligentnej; powiedział jeszcze, że gdyby tylko umiał to odpowiednio urządzić, moglibyśmy bawić się w ten sposób do końca życia i zostawilibyśmy Jima naszym dzieciom, które by go kiedyś uwolniły. Tomek przypuszczał, że Jim po trochu przyzwyczaiłby się i polubiłby tę niewolę w szałasie. Dodał jeszcze, że moglibyśmy przeciągnąć uwalnianie Jima do jakichś osiemdziesięciu lat, co byłoby najlepszym notowanym czasem i przyniosłoby nam wszystkim trzem wielką sławę.

Rano pobiegliśmy do stosu drzewa i porąbaliśmy mosiężny lichtarz na małe, wygodne do trzymania kawałki, które Tomek schował do kieszeni razem z cynową łyżką. Potem pomaszerowaliśmy do chat murzyńskich i podczas gdy ja zająłem czymś uwagę Nata, Tomek wsunął kawałek lichtarza w sam środek kromki chleba kukurydzianego, która była w blaszance ze śniadaniem Jima. Poszliśmy z Natem do szałas, żeby zobaczyć, jak się to uda, i muszę powiedzieć, że udało się świetnie, bo kiedy Jim ugryzł kromkę, o mało co nie połamał sobie wszystkich zębów. Wszystko poszło znakomicie, sam Tomek tak powiedział; Jim wcale się nie zdradził i udał, że to tylko kamyk czy coś takiego, co często można znaleźć w chlebie. Ale od tego czasu nigdy nie brał do ust żadnego jedzenia, zanim go nie nakłuł w kilku miejscach widelcem.

Kiedy staliśmy tak wszyscy w półmroku, nagle wypadły spod łóżka Jima dwa psy, a za tymi pierwszymi pchało się ich ciągle więcej i więcej, tak że w końcu było w szałasie jedenaście psów

i ciasnota zrobiła się niemożliwa. Niech to gęś kopnie – zapomnieliśmy zamknąć drzwi przybudówki! Murzyn Nat tylko raz wrzasnął: – Duchy! – i rzuciwszy się na kolana między te psy zaczął jęczeć, jakby miał zaraz skonać. Tomek otworzył prędko drzwi i cisnął przed siebie kawałek mięsa z porcji Jima. Psy rzuciły się za mięsem, a Tomek wypadł za nimi i po kilku sekundach wrócił i zamknął drzwi. Wiedziałem, że zamknął także przybudówkę. Potem zabrał się zaraz do Nata, to jest zaczął go pocieszać i uspokajać i spytał, czy może znowu mu się zdawało, że coś widzi. Murzyn wstał, zamrugnął oczami i powiada:

– Panicz Sid to na pewno powie, że z Nata stary głupiec, ale niech trupem padnę na miejscu, jak nie widziałem z miliona psów albo diabłów, albo czegoś takiego. Na pewno widziałem. Co tam widziałem! Czuję je, paniczu, zewsząd mnie oblażyły. Tego mi już za dużo. Chciałbym chociaż raz dostać w ręce jedną z tych czarownic, chociaż jeden raz. Ale najbardziej tobym chciał, żeby mi całkiem dały spokój.

Tomek odparł:

– Słuchaj, Nat, powiem ci, co o tym myślę: jak przypuszczasz, po co one tu przyszły podczas śniadania tego zbiegłego Murzyna? Bo są głodne; tylko dlatego przyszły. Musisz im upiec ciasto, takie specjalne dla czarownic. To jedyna rada.

– Jakże ja mogę upiec ciasto dla czarownic, paniczu, kiedy nie wiem, jak się to robi! Nawet nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Hm, widzę, że będę musiał upiec za ciebie to ciasto.

– Zrobisz to, paniczu, serduszko, kochaneczku? Zrobisz? Nat będzie z wdzięczności zdmuchiwał proch sprzed twoich stóp.

– No, już dobrze, dobrze. Upiekę ci ciasto, bo byłeś dla nas zawsze bardzo dobry i pokazałeś nam tego zbiegłego Murzyna. Ale musisz bardzo uważać. Kiedy do ciebie przyjdziemy, masz się odwracać do nas plecami, a jak włożymy coś do blaszanki Jima, udawaj, żeś tego wcale nie spostrzegł. I nie patrz, kiedy Jim będzie wyjmował jedzenie z puszki, bo coś ci się może przytrafić, sam nie wiem co. A najważniejsze, żebyś nie brał do ręki tych rzeczy przeznaczonych dla czarownic.

– Żebym ich, paniczu, nie brał do ręki? Co też panicz mówi! Palcem bym ich nie dotknął nawet za milion milionów dolarów!

Jim otrzymuje placek czarownic

Tak więc z Natem załatwiliśmy wszystko pomyślnie. Po wyjściu z szałasów poszliśmy do kupy odpadków na dziedzińcu za domem, gdzie leżały stare buty i szmaty, potłuczone butelki, dziurawe cynowe naczynia i tym podobne śmiecie. Pogrzebaliśmy trochę w tych rupieciach i znaleźliśmy starą cynową miskę, nadającą się świetnie na upieczenie w niej ciasta. Zatkaliśmy dziury najlepiej jak się dało, zanieśliśmy miskę do piwnicy, nasypaliśmy do niej mąki i poszliśmy na śniadanie; po drodze znaleźliśmy dwa duże ćwieki i Tomek powiedział, że takie ćwieki nadają się dla więźnia, bo może nimi wyryć na ścianie lochu nazwisko i różne smutne napisy. Potem dowiedzieliśmy się od dzieci, że państwo Phelps wybierają się rano do zbiegłego Murzyna, więc włożyliśmy jeden z tych ćwieków do kieszeni fartucha ciotki Sally, który wisiał na krześle, a drugi wsunęliśmy za wstążkę kapelusza wujaszka Silasa. Ten kapelusz leżał na biurku. Poszliśmy na śniadanie i Tomek wsunął cynową łyżkę do kieszeni surduta wujaszka Silasa, ale ciotki Sally jeszcze nie było i musieliśmy na nią czekać.

Wreszcie przyszła rozgorączkowana i czerwona, i zła, i z ledwością mogła doczekać końca modlitwy; jak już siedliśmy do stołu, zaczęła jedną ręką rozlewać kawę, a napastrkiem wsadzonym na palec drugiej ręki stuknęła w głowę najbliższemu siedzącemu dziecku. Po chwili powiedziała:

– Przeszukałam wszystkie kąty i to przechodzi już ludzkie pojęcie. Gdzie się mogła podziać twoja druga koszula?

Serce zjechało mi gdzieś pomiędzy płucą, wątrobę i inne wnętrzności, a że zachłysnąłem się, wpadł mi do gardła kawałek twardej skórki od chleba i po drodze spotkał się z kaszlem, który wyrzucił ze mnie tę skórkę, tak że przeleciała nad stołem i trafiła w oko jednego z malców; ten malec skulił się jak robak na haczyku wędki i wydał wrzask nie lichszy od okrzyku wojennego. Jednocześnie Tomek tak jakoś zsiniał koło ust i chyba przez ćwierć minuty byliśmy strasznie

zmieszani, i ja prysnąłbym chętnie, gdybym mógł. Takie to było niespodziewane, że w pierwszej chwili potraciliśmy głowy, ale potem przyszliśmy do siebie. Wujaszek Silas powiedział:

– To jakaś dziwna sprawa. Zupełnie tego nie mogę zrozumieć. Pamiętam doskonale, że ją zjąłem, bo...

– Bo masz na sobie tylko jedną! Co też ten człowiek wygaduje! Wiem, że ją zjąłeś, nie potrzebuję polegać na twojej kurzej pamięci, bo koszula wisiała wczoraj na sznurze, sama ją tam widziałam. Ale znikła i basta, więc dopóki nie znajdę czasu na uszycie ci nowej, będziesz nosił na zmianę tę czerwoną, flanelową. A w ogóle to już trzecia koszula, jaką ci szyję w ciągu ostatnich dwóch lat; człowiek musi się nieźle napracować, żeby ci nastarczyć z koszulami. W żaden sposób nie mogę zrozumieć, co ty z nimi robisz. Zdawałoby się, że w twoim wieku powinieneś już umieć dbać choć trochę o swoją garderobę.

– Wiem, Sally, i staram się, jak mogę. Ale to chyba nie jest taka zupełna moja wina, bo wiesz przecież, że ani moich koszul nie widzę, ale nie mam z nimi do czynienia, kiedy już je zdejmę. A chyba z siebie nigdy jeszcze żadnej nie zgubiłem.

– Och, Silas, to nie jest twoja zasługa. Zgubiłbyś, jakbyś tylko mógł. Ale ta koszula to jeszcze nie wszystko. Zginęła łyżka; i na tym nie koniec. Było dziesięć łyżek, a teraz jest dziewięć. Cielak mógł zjeść koszulę, ale na pewno nie zjadł łyżki.

– A co jeszcze zginęło, Sally?

– Sześć świec. Zwyczajnie przepadły. Jeśli idzie o te świece, mogły je zjeść szczury i pewnie zjadły. Jak pomyślę, ileś mi razy obiecywał zatkać nory i nigdy tego nie zrobiłeś, dziwię się, że dotąd wszystkiego z domu nie wyniosły. Gdyby nie były takie głupie, sypiałyby sobie wygodnie w twoich włosach i ty byś tego nie zauważył. Ale szczury nie mogły ukraść łyżki, tego przynajmniej jestem pewna.

– Przyznaję, Sally, że zawiniłem. Byłem dotąd niedbały, ale jutro z wszelką pewnością zatkam te nory.

– Och, ja bym się tak na twoim miejscu nie śpieszyła! Jak je zatkasz za rok, też będzie dobrze. Matyldo Angelino Araminto! Niedobre dziecko, co robisz!

Stuknęła napałek i mała wyciągnęła rączki z cukiernicy; nie myślcie, że marudziła.

W tej samej chwili Murzynka z kuchni weszła na ganek i powiedziała:

– Proszę pani, zginęło prześcieradło.

– Zginęło prześcieradło! Mój Boże!

– Zatkam te nory dzisiaj – mruknął wujaszek Silas. Minę miał bardzo strapioną.

– Och, przestańże! Czy ty sobie wyobrażasz, że szczury mogły zjeść prześcieradło? Gdzie ono się podziało, Lizo?

– Jak Boga kocham, nie wiem, proszę pani. Wczoraj wisiało na sznurze, a dzisiaj znikło i już nie wisi.

– Świat się chyba kończy. Nie widziałam czegoś podobnego, jak długo żyję. Koszula, prześcieradło, łyżką i sześć...

Na ganek weszła młoda Mulatka. Powiedziała: – Proszę pani, zginął mosiężny lichtarz.

– Wynoś mi się stąd, smarkulo, bo cię jeszcze coś spotka!

Pani Phelps dosłownie kipiała ze złości. Zacząłem się rozglądać za jakąś okazją do ucieczki. Postanowiłem, że zwieję do lasu i przeczekaam tę burzę. Ciotka Sally dalej się wściekała, ale tylko na własną rękę, bo wszyscy poza nią byli nadzwyczajnie cisi i pokorni. W końcu wujaszek Silas wyciągnął łyżkę z kieszeni, robiąc przy tym strasznie głupią minę. Ciotka Sally umilkła i została tak z ustami otwartymi i rękami wyciągniętymi do góry. Co się tyczy mnie, żałowałem, że nie jestem w Jerozolimie czy w jakiejś takiej miejscowości. Ale prędko się uspokoilem, bo ciotka Sally powiedziała:

– Tego się spodziewałam. Więc miałeś tę łyżkę cały czas w kieszeni. Głowę dam, że wszystko inne znajdzie się w tym samym miejscu. Skąd ona się tam wzięła?

– Naprawdę nie mam pojęcia – odparł przepraszająco. – Gdybym wiedział, przyznałbym się z pewnością. Czytałem przed śniadaniem tekst z rozdziału siedemnastego i pewnie wtedy włożyłem do kieszeni łyżkę myśląc, że to biblia. Najpewniej tak zrobiłem, bo biblii wcale nie mam w kieszeni. Ale zaraz pójdę i sprawdzę.

Jeżeli biblia leży, gdzie leżała, będę wiedział, że jej nie włożyłem do kieszeni, tylko zostawiłem na stole, a zamiast biblii włożyłem łyżkę...

– Och, na miłość boską, nie morduj ze mnie, człowieku! Idźcie sobie teraz wszyscy! I nie radzę wam się do mnie zbliżać, dopóki się nie uspokoję.

Usłyszałem ją, nawet jakby to powiedziała do siebie w myślach, a tym bardziej, kiedy powiedziała na głos. I usłuchałem jej, choćbym leżał w trumnie. Kiedy przechodziliśmy przez bawialnię, pan Phelps wziął do ręki kapelusz i wtedy gwóźdź upadł na podłogę. Pan Phelps nie odezwał się słowem, tylko podniósł go położył na półce nad kominkiem i wyszedł. Tomek widział to i przypomniała mu się sprawa z łyżką. Powiedział:

– Nie warto posyłać przez niego *rzeczy*, bo to człowiek, na którym nie można polegać. – A potem dodał: – Ale swoją drogą z tą łyżką to wyświadczył nam przysługę, chociaż wcale o tym nie wiedział. Więc teraz my się mu przysłużymy, ale tak, żeby on nie miał o niczym pojęcia. Zatkamy te nory szczurów.

Było ich w piwnicy niemożliwie dużo, więc zajęło nam to dobrą godzinę, ale zrobiliśmy wszystko porządnie i dokładnie, naprawdę jak należy. Potem usłyszeliśmy czyjeś kroki na schodach, więc zgasililiśmy świecę i schowaliśmy się. Wszedł wujaszek Silas, ze świecą w jednej i zawiniątkiem pełnym przyborów w drugiej ręce, z miną tak roztagonioną, jakby całkiem zapomniał o Bożym świetle. Obszedł nie bardzo przytomnie całą piwnicę, zatrzymując się kolejno przy każdej norze, a potem przez pięć minut stał, skubał łój kapiący ze świecy i myślał. W końcu zaczął się oddalać powoli w kierunku schodów i zamyślony mówił do siebie na głos:

– Żeby mnie mieli zabić, też bym sobie nie przypomniał, kiedy zatkałem te dziury. Mógłbym jej teraz dowieść, że z tymi dziurami to wcale nie jestem winien. Ale mniejsza o to, niech tam! Niewiele by mi to pomogło.

I tak mrucząc do siebie poszedł schodami na górę, a potem my wymknęliśmy się z piwnicy. Okropnie miły był z niego staruszek. Był i jest.

Tomek martwił się bardzo, bo nie wiedział, czym zastąpić łyżkę, ale w końcu postanowił, że musimy ją jakoś odzyskać. Więc zabrał się do myślenia, a kiedy już wszystko sobie ułożył, powiedział mi, jak zrobimy. Potem podeszliśmy do koszyka z łyżkami i czekaliśmy na ciotkę Sally. Kiedy nadeszła, Tomek zaczął liczyć łyżki i odkładać je na bok, a ja wsunąłem jedną do rękawa. Tomek zawołał:

– Ciociu Sally, przecież tu jest tylko dziewięć łyżek!

Odparła:

– Idźcie się bawić i nie zwracajcie mi głowy. Wiem, ile jest, bo sama liczyłam.

– A ja liczyłem dwa razy i doliczyłem się tylko dziewięciu.

Miała minę strasznie zniecierpliwioną, ale naturalnie podeszła do nas i wzięła się do liczenia. Każdy by tak zrobił.

– Mój Boże, jest tylko dziewięć! – powiedziała. – Utrapienie z tymi łyżkami, policzę je jeszcze raz.

Wtedy wrzuciłem do koszyka tę łyżkę z rękawa, a ciotka Sally policzyła i zawołała:

– Niech lichy porwie te przekłete łyżki! Przecież teraz jest dziesięć. – Minę miała złą i

jednocześnie zafrasowaną. Ale Tomek odparł jej:

- Mnie się, ciociu, wydaje, że nie ma dziesięciu.
- Nie widziałeś, głupcze, jak liczyłam?
- Owszem, ale...
- No to jeszcze raz policzę.

Więc ściągnąłem jedną łyżkę i wypadło jej tak jak za pierwszym razem. Była teraz wściekła, po prostu trzęsła się ze złości. Liczyła i liczyła, aż w końcu tak jej się wszystko pokręciło, że brała koszyk za łyżkę. W ten sposób trzy razy doliczyła się dziewięciu i trzy razy dziesięciu. Potem chwyciła koszyk i cisnęła przez pokój, czym okropnie przestraszyła kota. Zawołała, żebyśmy się wynieśli i dali jej święty spokój, a jeżeli do obiadu chociaż raz spróbujemy ją męczyć, spuści nam lanie. Tak odzyskaliśmy łyżkę. A kiedy ciotka Sally dawała nam swój rozkaz wymarszu, wsunęliśmy jej tę łyżkę do kieszeni fartucha, więc zanim minęło południe, łyżka dotarła do rąk Jima wraz z gwoździem. Byliśmy bardzo zadowoleni, że tak nam się udało to wszystko załatwić, Tomek uważał, że rzecz była podwójnie warta zachodu, bo teraz ciotka Sally, choćby się nie wiem jak starała, nigdy już nie potrafi tak policzyć łyżek, żeby jej dwa razy wypadło to samo.

A nawet jak policzy dobrze, też sobie nie zaufa. Tomek przypuszczał, że przez następne trzy dni będzie liczyła i liczyła, aż jej się całkiem w głowie pokiełbasi, a potem da już pewnie spokój i będzie gotowa zabić każdego, kto jej wspomni o liczeniu łyżek.

Wieczorem powiesiliśmy tamto prześcieradło z powrotem na sznurze, a buchnęliśmy inne z komody. Przez dwa dni to buchaliśmy je, to wkładaliśmy na powrót do komody, tak że w końcu ciotka Sally nie wiedziała, ile ma prześcieradeł, i oznajmiła, że jest jej wszystko jedno i ani myśli dłużej się tym trapić, i za skarby świata nie przeliczy więcej prześcieradeł – woli śmierć.

Więc co się tyczy koszuli, prześcieradła, łyżki i świec – mogliśmy spać spokojnie, a to dzięki cielęciu, szczurom i pomyłkom w liczeniu. Wiedzieliśmy, że lichtarzem możemy się nie przejmować, bo ta sprawa z pewnością po trochu ucichnie.

Z upieczeniem placka mieliśmy nieliczną robotę. A kłopotów była z nim fura. Przyrządzaliśmy go i piekliśmy w lesie. W końcu był gotowy i wyszedł świetnie. Ale nie myślcie, że w ciągu jednego dnia – zanim nam się wreszcie udał, zużyliśmy trzy miednice mąki, poparzyliśmy się w najrozmaitszych miejscach i dym o mało co nie wygryzł nam oczu. Wszystko dlatego, że chcieliśmy mieć tylko skórkę, a nie potrafiliśmy tak upiec ciasta, żeby się nie zapadło. Wreszcie

znaleźliśmy właściwy sposób, to jest postanowiliśmy zapiec drabinkę w cieście. Więc następnej nocy wzięliśmy się z Jimem do roboty. Podarliśmy prześcieradło na wąskie paski, spleliśmy je i na długo przed świtem mieliśmy gotowy piękny powróż, na którym człowiek śmiało mógłby się powiesić. Udawaliśmy, że praca nad drabinką sznurową trwała dziewięć miesięcy.

Przed południem zanieśliśmy powróż do lasu, ale w żaden sposób nie chciał nam się zmieścić w placku. Był przecież zrobiony z całego prześcieradła, więc starczyłoby go z powodzeniem na czterdzieści ciast – gdybyśmy chcieli ich tyle mieć – i jeszcze zostałyby sporo do zupy czy kiełbas, czy czegoś takiego. Moglibyśmy zrobić na tym powrozie cały obiad.

Ale nie o to chodziło. Potrzebny nam był tylko taki kawałek powroza, jaki mógł zmieścić się w placku, więc resztę wyrzuciliśmy. Ani jednego z tych placków nie piekliśmy w miednicy, a to z obawy, że roztopią się zalutowane miejsca. Na szczęście wujaszek Silas miał piękny mosiężny rondel z długą drewnianą rączką, który bardzo cenił, bo ten rondel należał do jednego jego przodka, co przyjechał z Anglii z Wilhelmem Zdobywcą na pokładzie «Mayflower» czy też może na innym z tych starych statków. Wujaszek trzymał rondel na strychu wraz z całym mnóstwem rozmaitych garnczków i rupieci, które miały wartość wcale nie dlatego, że były wartościowe, bo nie były, tylko dlatego, że je uważano za pamiątki. Więc buchnęliśmy rondel i wynieśliśmy go do lasu, ale kilka pierwszych placków nam się nie udało, bo nie wiedzieliśmy, jak się wziąć do rzeczy. Za to ostatni wyszedł pysznie: wylepiliśmy rondel ciastem, postawiliśmy go na ogniu, włożyliśmy do środka nasz powróż, przykryliśmy warstwą ciasta, zamknęliśmy przykrywkę i na wierzchu położyliśmy żarzące się węgle. A potem trzymając za długą rączkę staliśmy w odległości pięciu stóp i wcale nam nie było gorąco, tylko przyjemnie, a po piętnastu minutach placek upiekł się tak pięknie, że aż radość brała na niego patrzeć. Ale człowiek, który by się zabrał do jedzenia tego placka, zużyłby ze dwadzieścia funtów wykałaczek, bo z wykłuwaniem tej drabinki sznurowej musiałby się zdrowo napracować. Głowę daję! A poza tym dostałby boleści, które by mu nie przeszły aż do następnego razu.

Nat nie patrzył, kiedy wkładaliśmy placek czarownic do blaszanki Jima; trzy talerze cynowe wsunęliśmy pod jedzenie, na sam spód puszek. W ten sposób Jim dostał wszystko w największym porządku, a jak tylko Nat wyszedł, rozpołowił ciasto, wyjął z niego drabinkę sznurową i schował ją w sienniku, a potem naskrobał coś na jednym talerzu cynowym i wyrzucił go za okno.

„Tu pękło serce niewolne”

Z piórem też mieliśmy okropną robotę, tak samo z piłą, a Jim uważał, że najokropniejsza robota będzie z napisami. Chodziło o te napisy, które każdy więzień musi wyskrobać na ścianie. Ale nie było rady; Tomek powiedział, że musimy je zrobić. Nie zdarzyło się jeszcze, powiedział, żeby więzień stanu nie wyrył na pamiątkę napisów i swojego herbu.

– Weźcie choćby taką lady Jane Gray – tłumaczył nam. – Weźcie takiego Gilforda Dudleya albo starego Northumberlanda. Powiedzmy nawet, Huck, że z tymi napisami będzie dużo zawracania głowy. Co na to poradzisz? Jak się z tego wymigasz? Trudno, Jim musi wyryć na ścianie napisy i swoją tarczę herbową. Wszyscy więźniowie tak robią.

– Ależ, paniczu – odezwał się Jim – ja nie mam żadnej tarczy ani żadnego herbu. Nie mam na tym świecie nic oprócz tej tu koszuli, a sam panicz wie, że muszę na niej spisywać dziennik.

– Och, Jim, nie zrozumiałeś mnie. Herb to coś całkiem innego.

– Hm – wtrąciłem – tak czy siak Jim słusznie powiedział, że nie ma herbu, bo go nie ma.

– Przecież sam wiem o tym najlepiej – odparł Tomek. – Ale możesz być pewien, że zanim wyjdzie z tego szalasu, będzie miał herb. Jim musi wyjść w sposób przepisowy i w jego kronikach nie może być żadnej skazy.

Tak więc kiedy my z Jimem ostrzyliśmy pióra na kawałkach cegły – przy czym Jim robił swoje z mosiężnego lichtarza, a ja z łyżki cynowej – Tomek zaczął obmyślać ten herb. Po jakimś czasie powiedział, że wykombinował całe mnóstwo pierwszorzędnych herbów, więc nie wie, który wybrać, ale jeden szczególnie mu się podoba. Tak mi go opisał:

– Będzie na tarczy balk poprzeczny, złoty, w lewym dolnym polu. W sercu tarczy, na przecięciu dwóch wstęg purpurowych skośnych, umieścimy psa leżącego, brzegów tarczy nie dotykającego, a pod jego łapami łańcuch zerwany, wyrażający niewolnictwo; na głowicy ząbkowanej damy zieloną krokiew, a na modrym polu trzy pasy faliste ukosem ułożone; na spadku tarczy pręg poprzeczny blankowany; w hełmie zbiegły Murzyn, cały czarny, z węzłkiem na bastardzim drągu przez ramię; po bokach ty i ja, jako dwa labry tarczy. Dewizę wypiszemy taką: *maggiore fretta, minore atto*. Wyczytałem ją w jednej książce: im więcej pośpiechu, tym mniejsza szybkość.

– O rety! – zawołałem. – A co znaczy ta reszta?

– Nie mamy teraz czasu zawracać sobie tym głowy. Musimy całą parą wziąć się do roboty.

– Ale co znaczą niektóre z tych słów? Na przykład co to jest taki balk poprzeczny?

– Balk... balk to jest... och, czy musisz wiedzieć, co to jest balk? We właściwej chwili pokażę Jimowi, jak go zrobić.

– No wiesz, Tomek, mógłbyś mi powiedzieć! A co znaczy bastardzi drag?

– Nie mam pojęcia. Ale Jim musi go mieć w herbie. Cała szlachta go ma.

Taki on już był ten Tomek. Jak nie miał ochoty wytłumaczyć czegoś, zwyczajnie nie tłumaczył. Mógłbym go pompować przez tydzień, też by nie pomogło.

Skończywszy z herbem Tomek wziął się do reszty tej części roboty, to znaczy do obmyślenia żalobnych napisów. Powiedział, że Jim musi zrobić taki napis, bo to obowiązek każdego więźnia. Tomek ułożył ich kilka, wypisał na kartce i odczytał je nam. Były takie:

„Tu pękło serce niewolne”.

„Tu nieszczęsny więzień, zapomniany przez świat i ludzi, wiódł pełne cierpień życie”.

„Tu pękło serce samotne i duch umęczony znalazł spęcznienie po trzydziestu siedmiu latach samotnej niewoli”.

„Tutaj wygnany z ojczyzny i pozbawiony przyjaciół dokonał żywota po trzydziestu siedmiu latach ciężkiej niewoli szlachetny cudzoziemiec, syn naturalny Ludwika XIV”.

Kiedy Tomek czytał te napisy, głos mu drżał i niewiele brakowało, a byłby zapłakał. Jak skończył, nie mógł się w żaden sposób zdecydować, który z nich każe Jimowi wyskrobać na ścianie. Ale w końcu postanowił, że Jim wyskrobie wszystkie, bo wszystkie są doskonałe. Jim powiedział, że potrwa to najmniej rok, zanim wydrapie gwoździem na belkach taką kupę gryzmołów, i że przecież on w ogóle nie potrafi stawiać liter. Ale Tomek odparł, że mu je wyrysuje na belce, więc Jim będzie musiał tylko drapać gwoździem po gotowych kreskach. Po chwili Tomek dodał:

– Ale swoją drogą belki są na nic, bo przecież w lochach nie ma belek. Musimy wyryć napisy na kamieniu. Przyniesiemy kamień.

Jim powiedział, że kamień będzie jeszcze gorszy od belki. Powiedział, że rycie liter w kamieniu potrwa tak strasznie długo, że on nigdy nie wyjdzie z tego szafasu. Ale Tomek odparł, że pozwoli mu wziąć mnie do pomocy. Potem sprawdził, jak sobie radzimy z tymi piórami. Była to ohydnie ciężka, żmudna i długa robota i nie miałem żadnych widoków, żeby mi przy niej ręce

wydobrzały, a poza tym wyglądało na to, że prawie wcale nie posuwamy się naprzód. Nagle Tomek zawołał:

– Wiem już, jak to urządzić. Tak czy siak musimy zdobyć ten kamień do wyrycia herbu i żałobnych napisów, więc za jednym zamachem upieczemy dwie pieczenie. Widziałem w tartaku fajny, wielki kamień szlifierski. Buchniemy go, wyryjemy na nim, co potrzeba, a poza tym obrobimy pióra i piły.

Ten pomysł był niełichy, ale kamień szlifierski też do lichych nie należał. Postanowiliśmy go jednak przyciągnąć do szałasu. Było trochę przed północą, więc poszliśmy do tartaku postawiwszy Jima przy pracy. Zwędziliśmy kamień i zaczęliśmy go turlać do domu, ale było paskudnie trudne zajęcie.

Czasem rób, co chcesz, kamień przewalał nam się na boki i za każdym razem o mało co nas nie miażdżył. Tomek powiedział, że zanim go doturlamy na miejsce, na pewno jednego z nas trafi. Przeciągnęliśmy tak ten kamień na pół drogi, ale zmęczeni byliśmy setnie i całkiem zlani potem. Zrozumieliśmy, że sami nie damy rady i musimy wziąć Jima do pomocy. Jim podniósł łóżko, zsunął łańcuch, owinął go sobie dookoła szyi, a potem przeczołgaliśmy się przez dziurę i poszliśmy na miejsce, gdzie leżał kamień. Wzięliśmy się z Jimem we dwóch ostro do roboty i przyturlaliśmy kamień śpiewająco. Tymczasem Tomek nadzorował nas. Nie znałem chłopca, który by umiał lepiej od niego nadzorować innych. Tak, Tomek znał się na każdej robocie.

Nasz podkop był duży, ale mimo to kamień szlifierski nie mógł się w nim zmieścić, więc Jim wziął kilof i prędko otwór powiększył. Potem Tomek naznaczył wszystko gwoździem na kamieniu i zasadził Jima do rycia, dając mu gwoździez zamiast dłuta i żelazny rygiel znaleziony w przybudówce zamiast młotka. Tomek przykazał Jimowi, żeby pracował, dokąd nie wypali się świeczka, a potem żeby schował kamień pod siennik i położył się spać. Pomogliśmy Jimowi wsunąć łańcuch na nogę łóżka i mieliśmy już pójść do domu. W ostatniej chwili Tomkowi przyszło coś do głowy, więc spytał:

– Są tu jakie pająki, Jim?

– Nie. paniczu, szczęśliwie ich nie ma.

– To nic, postaramy ci się o zapas pajaków.

– Och, paniczu kochany, kiedy ja nie chcę pajaków! Boję się ich. Samych grzechotników nie bałbym się więcej! Tomek zastanawiał się chwilę, potem powiedział:

– Dobra myśl. Chyba tak zrobimy. Musimy tak zrobić. To jasne. Słowo daję, świetna myśl.

Gdziebyś go mógł trzymać?

– Gdzie kogo bym mógł trzymać, paniczu?

– Kogo? Grzechotnika!

– W imię Boga, paniczu! Jakby mi tu panicz przyniósł grzechotnika, zaraz bym wziął i głową rozbił tę ścianę, i poszedł sobie.

– Ależ Jim, po pewnym czasie nic byś się go nie bał. Mógłbyś go oswoić.

– A jakże, oswoiłbym go!

– Naturalnie. Bez trudu. Każde zwierzę jest wdzięczne za dobroć i pieszczotę, i nawet mu do głowy nie przyjdzie skrzywdzić człowieka, który obchodzi się z nim dobrotliwie. Dowiesz się tym z pierwszej lepszej książki. Spróbuj, Jim, niczego więcej od ciebie nie żądam. Potrzymaj go tu na próbę kilka dni. Bardzo prędko cię pokocha. Będzie spał z tobą i nie odejdzie od ciebie ani na chwilę, i pozwoli ci, żebyś go sobie owijał dookoła szyi i wkładał do ust jego łeb.

– Och, paniczu... niechże panicz przestanie! Nie mogę tego słuchać. Grzechotnik mi pozwoli pakować sobie jego łeb do ust! Taki będzie dla mnie uprzejmy? Oj, długo on poczeka, zanim go o to poproszę. I tak samo wcale nie chcę, żeby ze mną spał.

– Jim, zachowujesz się niczym głupiec. Więzień musi mieć jakiegoś niemego ulubieńca, a jeżeli nikt dotąd nie obłaskawił grzechotnika, zyskasz większą sławę jako pierwszy, który to zrobi, niż gdybyś zrobił cokolwiek innego.

– Kiedy ja, paniczu, dziękuję za taką sławę. Wąż weźmie i odgryzie Jimowi brodę, i co mu wtedy przyjdzie ze sławy? *Nie*, paniczu, nie chcę nawet słyszeć o czymś takim.

– Niech cię gęś kopnie, Jim! Czy ty nie mógłbyś chociaż spróbować? Proszę cię tylko, żebyś spróbował. Jak ci się nie spodoba, dasz zwyczajnie spokój.

– Tylko że, paniczu, cały kłopot będzie na nic, jeżeli wąż mnie ugryzie przy tym próbowaniu. Chętnie zrobię wszystko, co nie jest całkiem pomyłone, ale jak panicz i Huck przyniesiecie mi grzechotnika, żebym go tu obłaskawiał, ucieknę i koniec.

– No, już dobrze, dobrze, takiś uparty, że damy temu pokój. Postaramy ci się o zaskrońce. Przywiążesz im po kilka guzików do ogona i będziesz udawał, że to grzechotniki. Coś mi się zdaje, że trzeba się będzie tym zadowolić.

– Na zaskrońce się zgodzę, paniczu, ale swoją drogą całkiem dobrze mógłbym się bez nich obejść. Nawet mi przedtem do głowy nie przyszło, że to taki kłopot i mitręga być więźniem.

– To prawda, że z tym kłopot, jeżeli chce się zrobić wszystko przepisowo. Są tu w szalasię

jakie szczury?

– Nie widziałem, paniczu, ani jednego!

– W takim razie postaramy ci się o kilka szczurów.

—Och, paniczu, nie chcę szczurów! Żadne inne stworzenie nie potrafi tak dokuczyć jak to paskudztwo. Nic tylko lata toto w kółko po człowieku i gryzie go w nogi, kiedy biedak próbuje zasnąć. Jak już koniecznie trzeba, paniczu, daj mi te zaskrońce, ale nie przynoś mi szczurów. Na co mi one?

– Ależ Jim, musisz mieć szczury. Każdy więzień je ma, więc nie róbże z tym trudności. Nie zdarza się, żeby w lochu nie było szczurów. Nie słyszałem o takich przypadkach. Więźniowie zajmują się nimi, dogadzają im i uczą je różnych sztuczek, aż w końcu szczury stają się nie mniej towarzyskie od much. Ale będziesz musiał, Jim, postarać się dla nich o jakąś muzykę. Czy masz na czym grać?

– Mam tylko zgrzebło, kawałek papieru i grzebień. Ale szczury nie lubią pewnie gry na grzebieniu.

– Owszem, lubią. Całkiem im to obojętne, jakiej muzyki słuchają. Gra na grzebieniu jest dla szczura aż za dobra. Wszystkie zwierzęta lubią muzykę, a w więzieniu po prostu za nią przepadają; zwłaszcza za smutną muzyką, a przecież z grzebienia nie wydusisz innej. Strasznie ich to zaciekawia, więc wychodzą z nor i patrzą, co się temu więźniowi stało. Tak, Jim, teraz jest już wszystko w porządku, doskonale to urządziłem. Będziesz sobie siedział na łóżku – wieczorami, zanim pójdziesz spać, i wczesnym rankiem – i będziesz grał na grzebieniu. Graj najlepiej *Pękły ostatnie okowy*, bo ta melodia przyciągnie szczura szybciej niż jakakolwiek inna. Przekonasz się, że po jakich dwóch minutach grania wszystkie szczury i węże, i pająki, i różne takie zaczną się o ciebie martwić i przyjdą. Dosłownie cię obleżą i będzie im bardzo przyjemnie.

– No, chyba, że im będzie przyjemnie! Ale jak mnie będzie, paniczu? Niech skisnę, jeżeli widzę w tym jaki sens. Ale kiedy trzeba, to trzeba. Będę się chyba musiał starać, żeby te zwierzęta były zadowolone, bo inaczej miałbym tylko kram w domu.

Tomek zastanawiał się, czy czego nie zapomniał. Po chwili powiedział:

– Och, coś mi przyszło na myśl. Jak sądzisz Jim, mógłbyś tu wyhodować kwiat?

– Czy ja wiem, paniczu? Może bym i mógł. Ale w szafasie jest mało światła, a ja na kwiaty nie mam żadnej chęci. Zresztą kłopotu byłaby z nimi fura.

– W każdym razie musisz spróbować, Jim. Inni więźniowie to robili.

– Myślę, paniczu, że wielka dziewanna, ta z kwiatem podobnym do kociego ogona, może by się i przyjęła, ale takie zielsko niewarte jest zachodu.

– Co też ty opowiadasz, Jim! Przyniesiemy ci maluchną dziewannę, a ty ją zasadzisz tam w kącie i będziesz ją pielęgnował. Ale nie mów na nią dziewanna, tylko petunia, bo w więzieniu taką ma nazwę. I musisz ją podlewać łzami.

– Przecież mam tu, paniczu, pod dostatkiem wody źródlanej!

– Wodą źródlaną nie będziesz jej podlewał, musisz podlewać kwiat łzami. Wszyscy więźniowie tak robią.

– Kiedy z pomocą zwykłej wody wyhoduję ją dwa razy taką dużą, jak ktoś inny wyhodowałby z pomocą łez.

– Nie w tym rzecz, Jim. Musisz ją podlewać łzami.

– Zwiędnie, paniczu, migiem zwiędnie, bo ja rzadko kiedy płaczę.

Tomek był teraz w kłopotcie. Ale zastanowiwszy się chwilę, powiedział, że Jim będzie musiał spłakać się najlepiej jak tylko potrafi przy użyciu cebuli. Obiecał, że rano pójdzie do chat murzyńskich i wrzuci ukradkiem cebulę do dzbanka z kawą Jima.

Jim odparł, że wolałby już chyba mieć tytoń w kawie. Okropnie mu się to wszystko nie podobało, więc jak nie zacznie narzekać, że będzie miał mnóstwo kramu i roboty z hodowaniem dziewanny i z przygrywaniem na grzebieniu szczurom, i z pieszczaniem i oswajaniem węzów, pajaków i różnych takich, oprócz całej tej mitręgi z piórami, napisami i dziennikiem, i tak dalej. Mówił, że jako więzień ma więcej pracy, kłopotów i odpowiedzialności, niż miał kiedykolwiek w życiu. W końcu Tomek bardzo się na Jima rozgniewał i zaczął mu tłumaczyć, że on, Jim, ma po prostu wspaniałe widoki – wspanialsze, niż miewali dotąd inni więźniowie – na zdobycie sławy, a jednak nie starcza mu rozumu w głowie, żeby to ocenić i wszystko marnuje. Jimowi zrobiło się przykro i obiecał, że się poprawi. Potem poszliśmy spać.

Tomek pisze „manonimowe” listy

Rano poszliśmy do miasteczka i kupiliśmy drucianą łąpkę na szczury. Potem w domu odetkaliśmy największą norę i po jakiej godzinie mieliśmy piętnaście pysznych okazów. Wzięliśmy łąpkę i schowaliśmy ją w bezpieczne miejsce, pod łóżko ciotki Sally. Ale kiedy polowaliśmy na pająki, mały Tomasz Franklin Benjamin Jefferson Aleksander Phelps znalazł łąpkę i otworzył ją, żeby zobaczyć, czy szczury wyjdą. No i wyszły. Właśnie wtedy ciotka Sally wstąpiła po coś do pokoju. Kiedyśmy z Tomkiem wrócili, stała na łóżku i urządziła okropne brewerie, bo szczury robiły, co mogły, żeby jej się nie nudziło. Więc przetrzepała nam obu skórę, a my przez tego wścibskiego smarkacza musieliśmy stracić całe dwie godziny na złapanie nowych piętnastu czy szesnastu szczurów, i to wcale nie takich ładnych, bo te pierwsze to były same doborowe sztuki w stadzie. Nie widziałem nigdy piękniejszych okazów niż te z naszego pierwszego polowu.

Udało nam się zgromadzić wielki zapas najróżniejszych pajaków, chrabąszczy, żab, liszek i takich różnych. Niewiele brakowało, a zdobylibyśmy gniazdo os. Ale osi rodzina była w domu. Nie zrezygnowaliśmy tak od razu, tylko zostaliśmy z nimi, dopóki mogliśmy wytrzymać; bo wydawało nam się, że albo my je przetrzymamy, albo one nas przetrzymają. No i osy wzięły górę. Natarliśmy ukąszone miejsca amoniakiem i prawie już nas nie bolało, tylko siedzieć było niewygodnie. Potem wybraliśmy się na węże i schwytaliśmy ze dwadzieścia zaskrońców, wsadziliśmy je do worka i zanieśliśmy do naszego pokoju.

Zrobiło się już późno i zawołano nas na kolację, a my mieliśmy za sobą uczciwie i rzetelnie przepracowany dzień i głodni byliśmy jak wilki. No chyba! A kiedy wróciliśmy na górę, nie było tam ani jednego jedyne go węża – zawiązaliśmy worek nieporządnie, więc jakoś wypęły i znikły. Nie stało się właściwie nic wielkiego, bo musiały być gdzieś w domu i przypuszczaliśmy, że zdołamy niektóre z nich złapać.

Przez dłuższy czas nie można się było uskarżać na brak węży w domu. Co rusz spuszczały

się z belek w pułapie albo z innych miejsc i lądowały, przeważnie na talerzach, albo wślizgiwały się za koszulę i w ogóle najczęściej wpadały tam, gdzie ich człowiek wcale nie chciał. Były ładne, miały na grzbiecie pręgi i nawet milion takich zaskrońców nie wyrządziłby nikomu krzywdy. Ale ciotka Sally nie mogła tego zrozumieć – nie cierpiała wszystkich węzów bez względu na gatunek i w żaden sposób nie chciała się do nich przyzwyczaić. Choćby nie wiem czym była zajęta, jak tylko któryś spadł na nią, rzucała robotę i w nogi. Tak przy tym krzyczała, że umarły by się obudził. Siłą nikt by jej nie zmusił, żeby wzięła węza do ręki. A jeśli przewróciła się z boku na bok w łóżku i zobaczyła takiego gada, wyskakiwała drąc się w niebogłosy, zupełnie jakby w domu wybuchł pożar. Okropnie dopiekło to panu Phelpsowi, więc w końcu powiedział, że wolałby już chyba, żeby węże nigdy nie zostały stworzone. Jeszcze w tydzień po tym, jak ostatni wąż wyniósł się na dobre z domu, ciotka Sally nie mogła o nich zapomnieć. Gdzie tam! Kiedy czasem siedziała zamyślona, wystarczyło dotknąć ją piórkiem w kark, a skakała pod sufit. Bardzo to było dziwne. Ale Tomek powiedział, że wszystkie kobiety są takie, bo tak już zostały stworzone. Z jakichś tam powodów.

Dostawaliśmy baty, ile razy któryś z naszych węzów wszedł ciotce Sally w drogę. Powiedziała, że te baty są niczym w porównaniu z laniem, jakie nam spuści, jeżeli jeszcze raz przyniesiemy węże do domu. Z tych batów nic sobie nie robiłem, bo były śmiechu warte. Ale gorzej, że mieliśmy masę kramu ze złapaniem nowej gromady zaskrońców. Wreszcie nabieraliśmy ich, ile trzeba, razem z tym innym robactwem. A jak wesoło robiło się w szałasie, kiedy to całe bractwo wypełzło z różnych kątów, żeby posłuchać muzyki, i pchało się do Jima! Jim nie lubił pajaków, a pająki nie lubiły Jima, więc zaczynały się na niego i jak mogły, obrzydzały mu życie. Jim powiedział, że przez te węże i szczury, i kamień szlifierski nie zostawało dla niego prawie miejsca w łóżku; a jak czasem znajdował miejsce, to też nie mógł spać, tak tam było niemożliwie wesoło. Jim skarżył się, że w łóżku zawsze było tak wesoło, bo te zwierzaki nigdy nie zasypiały wszystkie jednocześnie, tylko na zmianę. Więc kiedy węże ucinają sobie drzemkę, szczury trzymały straż, a jak szczury kładły się spać, węże czuwały. W ten sposób połowa hałastry znajdowała się zawsze pod Jimem i przeszkadzała mu w łóżku, a druga hasała po nim. A niechby tylko spróbował wstać, żeby zmienić miejsce, zaraz dobierały się do niego pająki. Jim powiedział, że jeśli tym razem odzyska wolność, drugi raz więzieniem nie zostanie nawet za dopłatą.

Pod koniec trzeciego tygodnia wszystko było gotowe. Koszulę przemyciliśmy do szałasu na

samym początku, więc teraz jak tylko szczur ugryzł Jima, Jim wstawał i pisał w swoim dzienniku, dopóki nie wysechł mu atrament. Pióra były gotowe, a napisy i herb wryte na kamieniu szlifierskim. Przepiłowaliśmy także na dwoje nogę od łóżka i zjedliśmy opiłki, od czego strasznie rozboleły nas brzuchy. Przypuszczaliśmy, że wszyscy trzej umrzemy, ale nie umarliśmy. W życiu nie spotkałem równie niestrawnych opiłków. Tomek uważał tak samo.

Jak mówiłem, uwinęliśmy się w końcu z całą robotą; i wszyscy byliśmy okropnie zmordowani, a już najbardziej Jim. Pan Phelps pisał dwa razy na tę plantację za Nowym Orleanem, żeby przyjechali i zabrali swojego zbiegłego Murzyna, ale naturalnie nie dostał odpowiedzi, bo takiej plantacji w ogóle nie było. Wobec tego postanowił, że ogłosi Jima w gazetach w Nowym Orleanie i St. Louis. Kiedy usłyszałem o St. Louis, ścierpła mi skóra – zrozumiałem, że nie mamy teraz ani chwili do stracenia. Tomek powiedział, że przyszedł czas na manonimowe listy.

– A to co znowu takiego? – spytałem.

– Ostrzeżenie, że coś się będzie działo. Raz robią to w taki sposób, kiedy indziej znów w inny. Ale zawsze jest ktoś, kto szpieguje i potem ostrzega zarządcę zamku. Kiedy Ludwik XVI miał zwiąć z Tuleryj, zrobiła to pokojówka. Te oba sposoby są świetne, ostrzeganie i listy mana... manonimowe. Użyjemy obu. I przeważnie matka więźnia zamienia się z nim na ubranie i ona zostaje w lochu, a on ucieka w jej sukniach. To też musimy zrobić.

– Słuchaj no, Tomek – powiedziałem – po co my ich mamy właściwie ostrzegać, że coś się będzie działo? Niech sami na to wpadną, przecież to ich sprawa.

– Owszem, wiem – odparł. – Tylko że na nich wcale nie można polegać. Od samego początku tak się zachowują, że my sami musimy wszystko za nich robić. Są niepodejrzliwi i tępi i niczego nie potrafią zauważyć, więc jak my ich nie ostrzeżemy, nikt nam nie przeszkodzi i po całej tej ciężkiej pracy i tylu trudnościach ucieczka odbędzie się bez żadnych wypadków. Będzie łatwa, niczym właściwie nie będzie.

– Hm, jeżeli o mnie idzie, bardzo bym się z tego cieszył – powiedziałem.

– Głupstwa mówisz – mruknął i spojrział na mnie pogardliwie. Więc tak się odezwałem:

– Ale ani myślę narzekać. I w ogóle podoba mi się wszystko, co tobie się podoba. Jak zrobimy z tą służącą?

– Ty nią będziesz. Musisz w nocy zakraść się do tej małej Mulatki i buchnąć jej suknię.

– No i rano gotowa awantura, bo ona pewnie nie ma drugiej sukni na zmianę.

– Wiem o tym. Ale tobie ta suknia będzie potrzebna tylko na piętnaście minut, żeby zanieść ten, jak go tam... mano... anonim i wsunąć pod drzwi wejściowe.

– Zgoda, zrobię, jak chcesz. Ale na mój rozum mógłbym zanieść ten list w zwyczajnym ubraniu.

– Tylko że wtedy, Huck, nie wyglądałbyś wcale jak służąca.

– Pewnie. Ale tak czy siak, pies z kulawą nogą nie będzie widział, jak ja wyglądam.

– To nie ma nic do rzeczy. Musimy wykonywać nasz obowiązek i nie powinniśmy się zastanawiać, czy nas ktoś przy tym widzi. Czy ty, Huck, nie masz żadnych zasad?

– No, już dobrze, dobrze. Przecież nic takiego nie powiedziałem. Jestem służącą. Kto będzie odstawiał matkę Jima?

– Ja. Buchnę ciotce Sally suknię.

– W takim razie zostaniesz chyba w szalasię, kiedy my z Jimem uciekniemy?

– Skądże. Napcham siana do ubrania Jima i położę taką kukłę na łóżku jako jego matkę w przebraniu. A Jim zdejmie ze mnie suknię Murzynki, włoży ją na siebie i potem wszyscy razem ujdziemy na wolność. Kiedy zwiewa z więzienia ważny więzień, mówi się o nim, że uszedł na wolność. Zawsze się tak mówi, kiedy ucieka, na przykład, król. To samo tyczy królewskiego syna – wszystko jedno, czy jest synem naturalnym, czy nienaturalnym.

Tak więc Jim napisał ten anonimowy list, a ja tej samej nocy buchnąłem Mulatce suknię, włożyłem ją na siebie i wsunąłem list pod drzwi wejściowe, jak mi Tomek przykazał. W tym liście tak było napisane:

Miejcie oczy otwarte!

Strzeżcie się!

Nieszczęście tuż!

Nieznany Przyjaciel

Następnej nocy przybiliśmy na drzwiach wejściowych kartkę papieru, na której Tomek wymalował krwią czaszkę i piszczelę; a znowu następnej nocy umocowaliśmy na drzwiach kuchennych rysunek trumny. Nigdy jeszcze nie widziałem ludzi tak wystraszonych jak państwo Phelps. Nie baliby się chyba bardziej jakby w domu pełno było duchów czyhających na nich za wszystkimi meblami i łózkami, i fruujących w powietrzu. Jeżeli drzwi się zatrzasnęły, ciotka

Sally podskakiwała i mówiła: – Och! – Jeżeli się ją przypadkiem dotknęło, kiedy tego nie widziała, też podskakiwała i mówiła to samo. W którą bądź stronę obróciła się twarzą, zawsze jej było źle, bo zawsze sobie wyobrażała, że coś tam za nią stoi; więc wciąż się obracała raptownie i wołała:

– Och! – Ale zanim zrobiła trzy czwarte obrotu, okręcała się z powrotem w tę dawną stronę i znowu wołała: – Och! – Bała się położyć do łóżka, ale się kładła. Więc Tomek powiedział, że cała rzecz idzie doskonale; że po prostu nie mogłaby pójść lepiej; z czego, powiedział, wynika, że wszystko zostało zrobione jak należy.

Powiedział poza tym Tomek, że teraz ostro weźmiemy się do rzeczy. Więc nazajutrz rano, przed samym świtem, wyszykowaliśmy jeszcze jeden list. Nie bardzo wiedzieliśmy, co z nim zrobić, bo przy kolacji państwo Phelps mówili, że jedne i drugie drzwi wejściowe będą całą noc strzeżone przez Murzynów. Tomek zjechał na dół po drucie od piorunochronu i poszedł na zwiady; Murzyn przed drzwiami z tyłu domu spał, więc Tomek wsunął mu list za kołnierz, i wrócił do pokoju. W tym liście było tak napisane:

Nie zdradźcie mnie. chcę być waszym przyjacielem. Gotowa na wszystko banda rzezimieszków z puszczy indiańskiej zamierza wykraść dzisiejszej nocy waszego zbiegłego Murzyna. To oni próbowali was nastraszyć, żebyście nie wychodzili z domu i nie przeszkadzali im. Należę do tej bandy, ale się nawróciłem, zamierzam ją porzucić i żyć znowu uczciwym życiem, dlatego zdradzę wam ich nieczyny zamysł. Punktualnie o dwunastej przekradną się tu od strony północnej, wzdłuż płotu. Mają dorobiony klucz i wejdą do szałas, skąd uprowadzą zbiegłego Murzyna. Kazali mi stać na czatach, abym w razie niebezpieczeństwa zadął w cynowy róg. Ale zamiast tego zabeczę jak owca i w ogóle nie zadnę w żaden róg. A kiedy oni będą zdejmowali Murzynowi łańcuch, podkradnijcie się pod drzwi i zamknijcie tych zbójów w szałasie, i zabijcie ich wedle swoich chęci. Zróbcie wszystko dokładnie, tak jak wam powiedziałem, bo w przeciwnym razie zaczną coś podejrzewać i podniosą wrzask. Nie chcę żadnej nagrody. Wystarczy mi myś, że postąpiłem uczciwie.

Nieznany Przyjaciel

**Pokielbaszony,
ale wspaniały ratunek**

Po śniadaniu czuliśmy się wyśmienicie, więc wsiedliśmy do mojego czółna, pojechaliśmy łowić ryby na rzece i bawiliśmy się doskonale. Obejrzelśmy też tratwę i przekonaliśmy się, że jest w dobrym stanie. Kiedy spóźnieni wróciliśmy na kolację, wszyscy w domu tacy byli wystraszeni i zdenerwowani, że w ogóle nie wiedzieli, co się z nimi dzieje. Ledwie uwinęliśmy się z jedzeniem, kazali nam pójść spać i w żaden sposób nie chcieli powiedzieć, co się stało, ani nie wspomnieli słowem o tym ostatnim liście. Ale wcale nam to nie było potrzebne, bo znaleźmy ten list nie gorzej od nich. A jak tylko doszliśmy do połowy schodów i ciotka Sally odwróciła się do nas plecami, smykaliśmy na dół do piwnicy, wzięliśmy ze spiżarni dość jedzenia na porządne śniadanie, wróciliśmy do naszego pokoju i poszliśmy spać. Wstaliśmy o pół do dwunastej i Tomek ubrał się w suknię ciotki Sally, którą przedtem zwędził, ale kiedy miał już wyjść z tymi naszymi zapasami, spytał:

– Gdzie jest masło?

– Wyłożyłem kawałek na kromkę chleba – odparłem.

– Pewnieś je zostawił razem z tym chlebem, bo go tu nie ma.

– Och, Tomek, możemy się obejść doskonale bez masła – powiedziałem.

– Ale nie musimy. Biegnij teraz prosto do piwnicy i przynieś masło. A potem zejdz po drucie na dół i przyjdź do szalasu. Ja tymczasem napcham słomy do ubrania Jima, co będzie jego matką w przebraniu, a jak tylko przyjdziesz, zabczę jak owca i potem uciekniemy.

Więc Tomek zjechał na dół po drucie, a ja zszedłem do piwnicy. Kawałek masła wielkości pięści znajdował się tam, gdzie go zostawiłem, więc wzięłem masło razem z kromką chleba, na której leżało, zgasilem świecę, bardzo ostrożnie zacząłem wspinać się na schody i bez wypadku dotarłem na parter. Ale tam zobaczyłem ciotkę Sally idącą ze świecą, więc włożyłem chleb i masło pod kapelusz, a kapelusz mocno wcisnąłem na głowę. Prawie w tej samej sekundzie ciotka

Sally mnie spostrzegła.

– Byłeś w piwnicy? – spytała.

– Tak, ciociu.

– Coś tam robił?

– Nic.

– Nic?

– Nic, ciociu.

– W takim razie, co ci przyszło do głowy, żeby włóczyć się po domu o tej porze?

– Nie wiem, ciociu.

– Nie wiesz? Radzę ci, Tomku, żebyś nie odpowiadał w taki sposób. Powiedz zaraz, coś tam robił!

– Nic, ciociu, nie robiłem. Jak babcię kocham, że nie!

Myslałem, że mnie teraz puści, i kiedy indziej by mnie na pewno puściła. Ale ostatnio działo się tyle dziwnych rzeczy, że niepokoił ją każdy najmniejszy drobiazg, który nie był jasny jak słońce. Powiedziała bardzo stanowczo;

– Marsz do bawialni i czekaj tam na mnie. Robiłeś coś, czegoś nie powinien robić, ale bądź spokojny, już ja potrafię z ciebie wszystko wyciągnąć.

I oddaliła się dopiero wtedy, kiedy otworzyłem drzwi i wszedłem do bawialni. O rety – ależ tam było ludzi! Piętnastu farmerów i każdy z nich miał strzelbę! Zrobiło mi się strasznie słabo, podszedłem chyłkiem do krzesła i usiadłem. Mężczyźni siedzieli, gdzie popadło, niektórzy rozmawiali przyciszonym głosem, a wszyscy byli zdenerwowani i niespokojni, i starali się udawać, że wcale nie są. Ale ja wiedziałem, że są niespokojni, bo to zdejmowali kapelusze, to je znowu wkładali albo drapali się po głowach, albo szarpali guziki. Ja też czułem się nieswojo, ale mimo to nie zdejmowałem kapelusza.

Bardzo chciałem, żeby ciotka Sally przyszła i porachowała się ze mną, a nawet przetrzepała mi skórę, jeżeli przyjdzie jej na to ochota, bylebym mógł sobie pójść i powiedzieć Tomkowi, że zagalopowaliśmy się za daleko i wpakowaliśmy się w paskudną kabałę. Bardzo chciałem, żebyśmy nie bałamucili dłużej czasu, tylko uciekli z Jimem, zanim te zabijaki stracą cierpliwość i pójdą się z nami rozprawić.

W końcu ciotka Sally przyszła i zaczęła mi zadawać pytania, ale ja nie potrafiłem na nie odpowiedzieć i w ogóle nie wiedziałem, na którym świecie stoję, bo ci farmerzy strasznie zaczęli

się teraz denerwować. Niektórzy mówili, że jest już tylko kilka minut do dwunastej, więc chcieli zaraz pójść i zakraść się na tych zbójów; inni przekładali im, że należy czekać na sygnał. Poza tym ciotka Sally piłowała mnie pytaniami, a ja trząsałem się od stóp do głów i ze strachu ugięły się pode mną kolana. W pokoju robiło się coraz goręcej i masło zaczęło mi się topić pod kapeluszem i spływało w strużkach po karku i za uszami. A jak po chwili któryś z mężczyzn powiedział: – Jestem za tym, żebyśmy przed nimi weszli do szałasu, teraz zaraz, i złapali ich, jak będą wchodzić – o mało co nie zemdlałem. I strużka masła spłynęła mi po czole. Ciotka Sally zobaczyła to, zbladła jak ściana i zawołała:

– Boże miłosierny, co się z tobą dzieje, chłopcze? Ach, dostał zapalenia mózgu i teraz gorączka paruje mu głową!

Wszyscy zbiegli się, żeby popatrzeć, a ciotka Sally zerwała mi kapelusz z głowy i wtedy wypadła ta kromka i reszta masła. Ciotka schwyciła mnie w objęcia, uściśnęła i zawołała:

– Och, ależ tyś mnie przestraszył! Bogu dzięki, że to nic gorszego. Bo źle się tu u nas dzieje, a nieszczęścia zawsze chodzą w parze, więc jak zobaczyłam tę strugę, pomyślałam, że już po tobie, bo poznałam z koloru i wyglądu, że to chyba twój mózg. Czemuś mi, chłopcze, nie powiedział, że po to chodziłeś do piwnicy. Nic bym się nie gniewała. A teraz zmykaj spać i żebym cię do rana nie widziała!

W sekundę byłem na górze a w następnej sekundzie zjeżdżałem po drucie od piorunochronu i gnałem w ciemnościach do przybudówki. Byłem tak przejęty, że prawie nie mogłem wydusić z siebie słów, ale powiedziałem Tomkowi najprędzej, jak tylko mogłem, że musimy się śpieszyć, że teraz nie mamy ani minuty do stracenia, bo w domu pełno jest mężczyzn ze strzelbami.

Oczy mu się zaświeciły. Powiedział:

– Nie, naprawdę? Wiesz, że to morowe! Mówię ci, Huck, że gdybym mógł wszystko urządzić od nowa, zbiegłoby się ich tu ze dwustu. Żeby tam można było poczekać, póki nie...

– Prędzej, Tomek! Prędzej! – zawołałem. – Gdzie Jim?

– O krok od ciebie. Możesz go dotknąć wyciągniętą ręką. Przebrał się już i wszystko jest gotowe. Teraz wyjdziemy i damy im ten owczy sygnał.

Ale w tej samej chwili usłyszeliśmy kroki mężczyzn zbliżających się do drzwi. Zaczęli gmerać przy kłódce i któryś z nich powiedział:

– Mówiłem wam, że będziemy za wcześnie. Jeszcze nie przyszli, kłódka jest na drzwiach. Zamknę was kilku w środku, zaczaiacie się w ciemności i zabijecie ich, jak będą wchodzili. A

reszta niech się rozstawi dookoła szalasu i nasłuchuje, czy nie idą.

Weszli. Po ciemku nic nie mogli dojrzeć i o mało co na nas nie wpadli, kiedyśmy czmychali w pośpiechu pod łóżko. Ale cicho i migiem dopadliśmy łóżka i wyczołgaliśmy się przez dziurę – Jim pierwszy, potem ja, na końcu Tomek, to jest w takiej kolejności, jaką Tomek kazał nam zachować. Znaleźliśmy się teraz w przybudówce i obok za ścianą słyszeliśmy kroki mężczyzn. Podkradliśmy się pod drzwi i Tomek nas tam zatrzymał, przyłożył oko do szpary, ale tak było ciemno, że nic nie widział. Wyszepał nam, że poczeka, aż kroki się oddalą, a jak nam da kuksańca, Jim niech ucieka pierwszy, ja za nim. Więc teraz przyłożył ucho do szpary i słuchał, słuchał, słuchał, a kroki cały czas szurgotały na dworze. W końcu Tomek trącił nas i wymknęliśmy się z przybudówki, a potem schyleni, prawie nie oddychając, zaczęliśmy przekradać się całkiem bezszelestnie w stronę płotu. Posuwaliśmy się gęsiego, dopadliśmy płotu, Jim i ja zdołaliśmy przeleźć na drugą stronę, ale Tomek zaczepił spodniami o jakąś drzazgę na górnej belce, a że kroki były coraz bliżej, szarpnął się i drzazga odprysnęła z trzaskiem. Zeskoczył na ziemię i zaczął biec do nas. W tej samej chwili ktoś wrzasnął:

– Kto tam? Odpowiadać, bo strzelam! Ale nie odpowiedzieliśmy, tylko wzięliśmy nogi za pas i jazda przed siebie. Słysząc było szurgot, nóg potem: – Bach! Bach! Ba-ba-bach! – i kulki zaczęły nam gęsto świstać koło uszu. Rozległy się nawoływania:

– Są tutaj i uciekają do rzeki! Dalej za nimi, chłopcy! Spuścić psy!

Rzucili się naprzód pędem. Słyszeliśmy ich, bo mieli na nogach buty i wrzeszczeli, a my ani nie mieliśmy butów, aniśmy nie wrzeszczeli. Bieglśmy ścieżką do tartaku, ale kiedy pogoń była już blisko, uskoczyliśmy w bok między krzaki i przepuściliśmy biegnących mężczyzn, a potem zaczęliśmy się posuwać ich śladem. Mężczyźni kazali przedtem zamknąć wszystkie psy, żeby nie odstraszyły rozbójników; teraz ktoś je wypuścił i zbliżały się z takim ujadaniem, jakby ich gnało najmniej sto tysięcy. Ale były to przecież nasze psy. Więc zczekaliśmy, aż się z nami zrównają: jak zobaczyły, że to tylko my i że nie ma w tym nic ciekawego, przywitały się z nami krótko i zaraz śmignęły dalej za krzykami i wrzawą. Wtedy my znowu w nogi i bieglśmy tak za nimi prawie do samego tartaku, a potem przez krzaki do miejsca, gdzie ukryłem czółno. Wskoczyliśmy do czółna, migiem odbiliśmy od brzegu i wypłynęliśmy na środek rzeki, starając się robić możliwie najmniej hałasu. A potem spokojnie i bez pośpiechu zaczęliśmy wiosłować w kierunku wyspy, gdzie była nasza tratwa. Słyszeliśmy nawoływania mężczyzn i szczekanie psów na brzegu, ale w miarę jak oddalaliśmy się coraz bardziej, wrzawa cichła, aż w końcu całkiem

umilkła. Kiedy przesiedliśmy się na tratwę, powiedziałem:

– Teraz, Jim, znowu jesteś wolny i na pewno nigdy już nie będziesz niewolnikiem.

– I nie ma co, Huck, pierwszorzędnie się to udało! Wykombinowane było wszystko pięknie. Nie ma takiego drugiego człowieka, który by potrafił ułożyć bardziej pokielbaszony plan.

Byliśmy wszyscy trzej okropnie zadowoleni, ale Tomek był najbardziej zadowolony, bo miał w nodze kulkę.

Kiedyśmy z Jimem o tym usłyszeli, zrzędy nam miny. Rana bolała Tomka porządnie i krwawiła. Zanieśliśmy go do wigwamu i podarliśmy jedną z koszul Księcia na bandażę, ale Tomek zawołał:

– Dajcie mi te szmaty, sam to potrafię zrobić. Idźcie już! Nie marudźcie mi teraz, kiedy ucieczka tak się morowo udała.

Odwiążcie tratwę i za wiosła! Ach, chłopcy, aleśmy to pięknie wyszykowali! Pierwsza klasa. Szkoda, że to nie my zajmowaliśmy się Ludwikiem XVI. Nie byłoby wtedy napisane w jego życiorysie: „Synu świętego Ludwika, jazda do nieba!” Skądże! Przemycilibyśmy go przez granicę, zwyczajnie byśmy go przemycili, a poszłoby nam to jak z płatka. Prędej, łapcie za wiosła!

Ale my z Jimem naradzaliśmy się i namyślaliśmy. Pomedytowałem chwilę, a potem powiadam:

– Ty zaczynaj, Jim!

Wtedy Jim powiedział:

– Mnie się to tak widzi, Huck. Jakby Tomek miał być uwolniony, a jeden z chłopców dostałby kulkę, to czy Tomek powiedziałby: „Jazda, ratujcie mnie, co się mamy martwić o doktora dla tego rannego?” Czy to wygląda na panicza Tomka Sawyera? Czy on by tak powiedział? Głowę dam, że nie. No to stary Jim też tego nie powie. Nie, Huck, nie ruszę się stąd ani na krok, póki go doktor nie obejrzy. Choćbym miał tu tkwić czterdzieści lat.

Wiedziałem, że Jim jest biały w środku i porządny, i spodziewałem się, że tak powie. Więc teraz wszystko było w porządku i mogłem zawiadomić Tomka, że idę po doktora. Zaczął się niezgorzej awanturować, ale my z Jimem nie ustępowaliśmy i nie chcieliśmy się ruszyć z miejsca; wtedy zagroził nam, że wyczołga się z wigwamu i odwiąże tratwę, ale myśmy mu nie dali. No to zaczął nam urągać, tylko że to też nic nie pomogło.

Więc kiedy zobaczył, że przygotowuję czółno, powiedział:

– Skoro się tak upierasz, to ci powiem, jak masz wszystko urządzić po przyjeździe do miasteczka: zarygluj, drzwi, zawiąż doktorowi oczy, każ mu przysiąc, że będzie milczał jak grób, wsadź mu do ręki sakiewkę pełną złota, a potem wyprowadź go na ulicę i kołuj z nim w ciemności po różnych zakamarkach i kątach, a wreszcie wsadź go do czółna i przywieź tutaj okrężną drogą między kępami. Ale wpierw go obszukaj i zabierz mu krede, i nie oddawaj, póki nie odwieziesz go z powrotem do miasteczka, bo inaczej naznaczy tratwę i bez trudu ją potem pozna. Wszyscy oni tak robią.

Odjechałem, przyrzekłszy Tomkowi, że go posłucham. Postanowiliśmy, że na widok doktora Jim schowa się w lesie i wyjdzie z kryjówki dopiero po jego odjeździe.

„To chyba musiały być duchy”

Doktor był starszym. Kiedy go obudziłem, okazało się, że jest bardzo miłym i dobrym starszym. Powiedziałem mu, że wczoraj po południu polowaliśmy z bratem na Wyspie Hiszpańskiej, a potem położyliśmy się spać na tratwie, którą znaleźliśmy, ale gdzieś po północy mój brat kopnął przez sen w strzelbę i strzelba wypaliła mu prosto w nogę. Więc teraz prosimy, żeby doktor pojechał na wyspę i zrobił wszystko, co trzeba, ale żeby nikomu o tym nie wspominał ani nikogo nie zawiadamiał, bo chcielibyśmy tego wieczoru pójść do domu i zrobić naszym krewnym niespodziankę.

– A jak się nazywają wasi krewni? – spytał.

– Państwo Phelps – odparłem.

– Uhm – powiedział. Po chwili spytał: – Jak mówiłeś, że twój brat został ranny?

– Miał sen – zacząłem znowu tłumaczyć – i w tym śnie do niego strzeliło.

– Szczególny sen – mruknął doktor. W końcu zapalił latarnię, wziął torbę z narzędziami i wyszliśmy. Czółno nie bardzo mu się podobało; powiedział, że takie czółno jest w sam raz dla jednego człowieka, ale dwóm ludziom nie byłoby w nim bezpiecznie. Ja mu na to:

– Och, może się pan doktor nie bać. Utrzymało śpiewająco całą naszą trójkę!

– Jak to trójkę?

– To znaczy mnie i Sida, i... i... strzelby.

– Ach, tak! – mruknął.

Postawił stopę na burcie czółna i zachybotał nim, a potem potrząsnął głową i powiedział, że rozejrzy się za większą łodzią. Ale wszystkie były przymocowane łańcuchami zamkniętymi na kłódki, więc doktor wszedł do czółna i kazał mi, żebym tu na niego zaczekał albo żebym gdzieś dalej poszukał łodzi, ale najlepiej zrobię, jeżeli pójde do domu i przygotuję krewnych na tę niespodziankę; naturalnie, jeśli mam ochotę. Odparłem, że wcale nie mam. Więc potem wytłumaczyłem mu, gdzie znajdzie tratwę, i doktor odjechał.

Bardzo niedługo przyszła mi do głowy jedna myśl. Powiedziałem sobie: a jeżeli ten doktor nie potrafi tak na łapu-capu, jak to mówią, wyrychtować nogi Tomka? Jeżeli mu to zajmie kilka dni? Co wtedy? Czy będziemy siedzieli spokojnie na tratwie i czekali, aż się staruszek wygada? Nic z tego. Już ja wiem, co zrobię. Poczekam na niego, a jak wróci i powie, że musi tam jeszcze raz pojechać, nie odstąpię go, choćbym miał popłynąć za nim wplaw. Potem na tratwie zwiążemy go i nie puścimy, i przepłyniemy kawałek w dół rzeki. A kiedy doktor nie będzie już Tomkowi potrzebny, damy mu tyle pieniędzy, ile się będzie należało, albo wszystko co mamy, i pozwolimy mu zejść na ląd.

Więc zagrzebałem się w kupie chrustu na małą drzemkę, a jak się obudziłem, słońce świeciło mi wysoko nad głową! Zerwałem się na nogi i pogałem do domu doktora, ale mi tam powiedzieli, że wyszedł w nocy nie wiadomo o której godzinie i dotąd nie wrócił. Pomyślałem, że widocznie z Tomkiem jest źle i że muszę natychmiast popłynąć na wyspę. Zacząłem biec, a jak okrążałem narożnik, o mało co nie zrobiłem wujaszкови Silasowi głową dziury w brzuchu!

Zawołali

– Tomek! Gdzieś ty się, smarkaczu, podziewał?

– Ja? Nigdzie – odparłem. – Zwyczajnie, goniliśmy z Sidem za zbiegłym Murzynem.

– Ale gdzieście byli tyle czasu? Ciotka bardzo jest niespokojna.

– Całkiem niepotrzebnie – powiedziałem – bo nic nam się nie stało. Szliśmy najpierw za pogonią i za psami, ale tak się od nas daleko odsadzili, że znikli nam z oczu. Potem zdawało nam się, że ich słyszemy na rzece, więc wsiedliśmy do czółna i popłynęliśmy za nimi, i przeprawiliśmy się na tamtą stronę, ale nigdzieśmy ich nie spotkali, więc przybiliśmy do brzegu i poszliśmy spać. Obudziliśmy się dopiero przed godziną i wróciliśmy czółnem do miasteczka, żeby się czegoś dowiedzieć. Teraz Sid jest na poczcie i pyta o nowiny, a ja biegnę kupić dla nas coś do zjedzenia. Potem zaraz wracamy do domu.

Więc poszliśmy na pocztę po tego „Sida”, ale jak się spodziewałem, wcale go tam nie było. Pan Phelps odebrał list i czekaliśmy jeszcze chwilę, ale „Sid” jak nie przychodził, tak nie przychodził. W końcu pan Phelps powiedział, że jak Sid przestanie się włóczyć po miasteczku, niech sobie wróci na piechotę albo popłynie czółnem; my wrócimy do domu wozem. Nie udało mi się go namówić, żeby mi pozwolił poczekać na Sida. Powiedział, że nie mam po co na niego czekać. Zresztą i tak muszę pojechać pokazać się ciotce. Niech zobaczy, że jesteśmy cali i zdrowi.

Kiedy przyjechaliliśmy do domu, ciotka Sally tak się na mój widok ucieszyła, że śmiała się i płakała na przemiany, i wyściskała mnie, a potem spuściła mi to swoje lanie, całkiem śmiechu warte. Na koniec zapowiedziała, że Sida czeka to samo.

A w domu było pełno farmerów, co ich ciotka Sally razem z żonami zaprosiła na obiad. Takiego trajkotania to chyba w życiu nie słyszałem. Najgorsza była stara pani Hotchkiss. Trzepała językiem bez ustanku. Tak zaczęła:

– No więc, pani Phelps, przeszukałam całuchy szafas i uważam, że ten Murzyn był pomyłony. Powiedziałałam to nawet pani Damrell – na pewno pamięta. Był pomyłony, powiadam, a tacy są najgorsi, powiadam, zapamiętajcie sobie, był pomyłony. Wszystko na to wskazuje, powiadam. Weźcie choćby taki kamień szlifierski, powiadam. Nie próbujcie we mnie wmawiać, powiadam, że człowiek przy zdrowych zmysłach wypisywałby takie różne brednie na kamieniu szlifierskim. Tu takiemu a takiemu pękło serce albo taki a taki usychał trzydzieści siedem lat, albo te głupstwa o synu naturalnym jakiegoś tam Ludwika. Ten Murzyn był całkiem pomyłony, powiadam. Mówiłam to od początku, mówię teraz i zawsze tak będę mówiła. Powiadam, że ten Murzyn był pomyłony. Pomyłony jak Nabuchodonozor.

– Albo weź pani, pani Hotchkiss, taką drabinkę sznurową – wtrąciła pani Damrell. – Do czego, w imię Boga, potrzebna mu była...

– Słowo w słowo to samo mówiłam do pani Utterback nie dalej jak przed minutą, na pewno pamięta. Ona to samo mówiła. „Weź pani taką drabinkę sznurową” – mówiła. „To prawda – powiadam. – Do czego mogła mu być potrzebna drabinka sznurowa?” – powiadam. A na to pani Utterback powiada...

– Ale w jaki sposób, u licha, udało im się wtaszczyć ten kamień szlifierski do szafasu? I kto wykopał tę dziurę? Albo kto...

– Słowo w słowo to samo mówiłam, panie Penrod – przerwała znów pani Hotchkiss. – Właśnie przed chwilą... mogę prosić o tę faskę syropu...? – mówiłam to pani Dunlap. Jakim cudem mogli wtaszczyć tam ten kamień szlifierski? Bez pomocy, uważacie, bez żadnej pomocy. Akurat! – powiadam. Nie mówcie mi, powiadam, że nie było tu żadnej pomocy. Była pomoc! Ten czarnuch, powiadam, miał najmniej kilkunastu pomocników. I jakby to o-mnie chodziło, wy chłostałabym kolejno wszystkich Murzynów na tej plantacji, ale dowiedziałabym się, czyja to sprawka. A co więcej, powiadam...

– Kilkunastu pomocników! Czterdziestu nie zmajstrowałoby wszystkiego, co ci ludzie tu

zrobili. Weźcie choćby te piły ze scyzoryków i różne takie narzędzia – jaka to żmudna praca! Albo ta noga od łóżka, odpiłowana scyzorykiem – sześciu ludzi musiało się nad nim mozolić najmniej przez tydzień. Albo ten Murzyn zrobiony ze słomy, albo...

– Słusznie mówisz, panie Hightower. Słowo w słowo to samo mówiłam panu Phelps. „Co pani o tym myśli, pani Hotchkiss?” – spytał mnie pan Phelps. „Co o czym myślę?” – spytałam. „O tej nodze odpiłowanej w taki sposób” – powiada pan Phelps.” Co o tym myślę? Głowę dam, że sama nie mogła się odpiłować – powiadam. – Ktoś ją musiał odpiłować – powiadam. – Takie jest moje zdanie – powiadam. – Wszystko mi jedno, czy się pan ze mną zgadza, ale takie jest moje zdanie, a jak ktoś inny potrafi wymyślić coś mądrzejszego – powiadam – niech sobie wymyśla”. Powiadam do pani Dunlap...

– Do diaska z tym, pani Phelps! Przecież żeby wykonać całą tę robotę, musiała się w tym szalasie zbierać co noc przez miesiąc cała kupa Murzynów. Chociażby ta koszula, cała w tajemniczych znakach afrykańskich wypisanych krwią! Tak, musiała ślęczeć nad tymi gryzmołami cała ich kupa, i to prawie bez ustanku.

Dałabym dwa dolary, żeby mi ktoś te znaki odczytał. A co się tyczy Murzynów, którzy je pisali, łoiłbym im skórę, aż...

– Czy mu jacyś ludzie pomagali! Też pytanie. Jakbyś pan, panie Markles, pomieszkał trochę w tym domu, prędko byś się o tym przekonał. Przecież oni kradli wszystko, co im wpadło pod rękę. I pomyśleć tylko, że my cały czas mieliśmy się na baczności! Tę koszulę ukradli prosto ze sznura. A jeśli idzie o prześcieradło, z którego zrobili drabinkę sznurową, to prostu trudno powiedzieć, ile to razy go n i e kradli. A poza tym świece, lichtarze, łyżki, stary rondel i tysiące rzeczy, tylko że mi one teraz z głowy wypadły, a na dodatek moją nową perkalową suknię. Jak już wam mówiłam, my z Silasem i moi siostrzeńcy Sid i Tomek bezustannie mieliśmy się na baczności, dzień i noc, a mimo to nie widzieliśmy ich aniśmy ich nie słyszeli. A w ostatniej chwili, pomyślcie tylko: dostali się tutaj cichaczem, wystrychnęli nas na dudka – i to nie tylko nas, bo nabrali także tych rozbójników z puszczy – a potem cali i zdrowi uciekli sobie najspokojniej z tym Murzynem, chociaż szesnastu mężczyzn i dwadzieścia dwa psy dosłownie następowało im na pięty. Powiadam wam, że o czymś takim nigdy mi się nawet nie śniło! Przecież duchy nie zrobiłyby tego lepiej ani zgrabniej. I to chyba musiały być duchy, bo znacie nasze psy i wiecie, że lepszych by ze świecą szukać. No i pomyślcie – te psy ani razu nie wpadły na ich trop! Wytłumaczcie mi to, jeżeli potraficie. Niech któreś z was przynajmniej spróbuje.

– Hm, to przechodzi ludzkie...!

– Wielki Boże, nigdy by mi to...!

– Nie dziwiłbym się, gdyby...!

– Złodzieje domowi, a oprócz tego...!

– Na miłość boską, bałabym się mieszkać w takim domu...!

– Bałabym się! Powiadam pani, pani Ridgeway, że z tego strachu nie mogłam ani zasnąć, ani wstać, ani uleżeć, ani usiedzieć. Przecież one mogły ukraść... Ach, Boże, możecie sobie wyobrazić, co się ze mną działo wczoraj koło północy! Zaczęłam się bać, że ukradną kogoś z rodziny, słowo daję. Do tego doszłam, że już całkiem straciłam głowę. Teraz, w biały dzień, wydaje mi się to głupie, ale wtedy, kiedy pomyślałam sobie, że tam na górze śpią moi dwaj biedni chłopcy samiuteńcy w pokoju, to tak się tym zaczęłam gryźć, że poszłam i zamknęłam ich na klucz. Zwyczajnie zamknęłam. Każdy by to zrobił. Bo sami rozumiecie, że jak człowiek raz się czegoś przestraszy, a ten strach ciągle rośnie w nim i rośnie, to w końcu człowiek bliski jest obłądu i zaczyna robić jedno głupstwo po drugim, aż w końcu myśli sobie, że gdyby tak był małym chłopcem i leżał sam na górze w pokoju, i drzwi nie byłyby zamknięte... – urwała, zrobiła taką jakąś zdziwioną minę i zaczęła powoli obracać głowę, a jak wreszcie jej oczy zatrzymały się na mnie, wstałam i poszedłem się przejść.

Uważałem, że potrafię jej lepiej wytłumaczyć, jakim sposobem nie było nas rano w pokoju, jeżeli trochę nad tym pomyślę gdzieś na osobności. Ale nie odszedłem daleko, bo inaczej zaraz by po mnie poszła i kazałaby mi wrócić. Kiedy późnym popołudniem wszyscy goście odjechali, wróciłem do domu i powiedziałem ciotce Sally, że wrzawa obudziła mnie i Sida i wtedy zobaczyliśmy, że drzwi są zamknięte, więc zjechaliśmy na dół po drucie od piorunochronu, bo strasznie chcieliśmy zobaczyć z bliska tę zabawę; ale potłukliśmy się trochę i nigdy już nie będziemy tamtędy wychodzili. Dalej powtórzyłem jej wszystko to, co usłyszał ode mnie wujaszek Silas. A wtedy ona mi powiedziała, że już nam chyba daruje i w gruncie rzeczy nic się takiego nie stało, że właściwie po chłopcach nie można się spodziewać niczego innego, bo jej zdaniem, wszyscy chłopcy to straszni obwiesie. Ciotka Sally dodała jeszcze, że ponieważ żadna szkoda z tego nie wynikła, ona woli cieszyć się, że jesteśmy cali i zdrowi, i z powrotem w domu, zamiast gryźć się tym, co było, ale się skończyło. Więc pocałowała mnie i pogłaskała po głowie, a potem zamyśliła się tak jakoś bardzo poważnie. Po chwili drgnęła i powiada:

– Na miłość boską, to już prawie wieczór, a Sid nie wrócił! Gdzie się ten chłopiec podziewa?

Pomyślałem, że to dla mnie świetna okazja, więc prędko rąbnąłem:

– Skoczę do miasteczka i zaraz go przyprowadzę.

– Nie, nigdzie nie pójdziesz —odparła – Zostaniesz w domu. Wystarczy, że jeden z was zginął. Jeżeli Sid nie wróci do kolacji, wujaszek pójdzie go poszukać.

Hm, Tomek naturalnie na kolację nie wrócił, więc jak tylko wstaliśmy od stołu, wujaszek Silas wyprawił się do miasteczka.

Wrócił koło dziewiątej, trochę niespokojny, bo nigdzie nie trafił na ślad Tomka. Ciotka Sally była teraz porządnie niespokojna, ale wujaszek Silas tłumaczył jej, że nie ma żadnych podstaw do niepokoju, bo chłopcy wszyscy są jednacy, i ciotka może być pewna, że Sid przyjdzie rano cały i zdrowy. Ciotka Sally odparła, że tak czy siak poczeka na niego trochę przy zapalonej świecy, żeby mógł łatwiej znaleźć drogę.

A kiedy położyłem się już do łóżka, wzięła świecę i przyszała do mnie, opatulila mnie kołdrą i taka była serdeczna, że poczułem się ohydnie nikczemny i pomyślałem, że nie potrafię spojrzeć jej w oczy. Potem przysiadła na łóżku i długo ze mną rozmawiała co rusz powtarzając, jaki to wspaniały chłopiec z tego Sida; zdawało mi się, że nigdy nie przestanie o nim mówić. A od czasu do czasu pytała mnie, czy ja nie myślę, że Sid zabłądził albo jest ranny, albo się utopił i może leży teraz gdzieś cierpiący albo całkiem nieżywy, a jej przy nim nie ma i w niczym nie może mu pomóc. Wtedy łzy zaczynały jej kapać po policzkach, więc mówiłem, że Sidowi na pewno nic się nie stało i że rano wróci z całą pewnością. Na to ona ścisnęła mnie albo całowała i prosiła, żebym powtórzył te słowa jeszcze raz i jeszcze raz, bo chociaż bardzo jest strapiona, robi jej się od nich trochę lżej na sercu. Kiedy już odchodziła, spojrzała mi w oczy tak jakoś mocno i łagodnie i tak powiedziała:

– Nie zamknę drzwi, Tomku, a zresztą jest przecież okno i drut od piorunochronu. Ale będziesz dobry, prawda? Nie pójdziesz? Zrobisz to dla mnie?

Bóg jeden wie, jak bardzo chciałem pójść, żeby zobaczyć, co i jak z Tomkiem. I naturalnie miałem zamiar pójść. Teraz za skarby świata nie ruszyłbym się z domu.

Ale ciotka Sally chodziła mi wciąż po głowie i Tomek chodził mi wciąż po głowie, więc spałem bardzo niespokojnie. Dwa razy w ciągu nocy zjeżdżałem na dół po drucie i wychodziłem na drogę, a potem jak przekradałem się pod domem, widziałem ją siedzącą ze świeczką w oknie; oczy miała pełne łez i wpatrywała się w ciemność. Strasznie chciałem jakoś jej pomóc, ale nic nie mogłem zrobić. Mogłem tylko przysiąc sobie, że już nigdy nie zrobię nic takiego, czym bym

ją zmartwił.

Trzeci raz zbudziłem się przed samym świtem, a jak zszedłem na dół, zobaczyłem, że świeca dopala się, a ciotka Sally wciąż jeszcze siedzi w oknie. Oparła swoją starą siwą głowę na rękach i spała.

Dlaczego nie powieszono Jima

Przed śniadaniem pan Phelps wybrał się znowu do miasteczka, ale wrócił z niczym. Potem oboje siedzieli przy stole zamyśleni i milczący, i ze strasznie żalobnymi minami. Kawa im stygła i w ogóle nic nie jedli. Naraz pan Phelps zapytał:

- Oddałem ci ten list?
- Jaki list?
- Ten, co to wczoraj przyniosłem z poczty.
- Nie dałeś mi żadnego listu.
- Hm, widocznie zapomniałem.

Zaczął szperać po kieszeniach, ale w końcu poszedł gdzieś i po chwili wrócił z listem. Dał go ciotce Sally, a ona zawołała:

- Ach, to z St. Petersburga, od Polly!

Pomyślałem, że przechadzka znowu by mi dobrze zrobiła, tylko że jakoś nie mogłem ruszyć się z miejsca. Ale zanim ciotka zdążyła otworzyć list, upuściła go na podłogę i wybiegła. Zobaczyła coś. Ja też zobaczyłem: Tomka Sawyera niesiono na materacu. Obok szedł ten stary doktor i Jim w perkalowej ciotczynej sukni, z rękami związanymi z tyłu, i cała kupa ludzi. Wsunąłem list do pierwszej kryjówki, jaka mi wpadła w oko, i pobiegłem za ciotką Sally. Rzuciła się do Tomka, płacząc i wołając:

- Och, nie żyje, nie żyje! Wiem, że nie żyje!

A Tomek poruszył głową i coś tam zamruczał, z czego wynikało, że jest nieprzytomny. Wtedy ciotka Sally podniosła ręce do góry i zawołała:

– Bogu niech będą dzięki, żyje! O nic więcej nie proszę! pocałowała go i pobiegła do domu przygotować łóżko; po drodze rzucała na lewo i prawo rozkazy Murzynom i wszystkim, robiąc to z taką szybkością, z jaką mogła najprędzej obracać językiem.

Poszedłem za mężczyznami, którzy prowadzili Jima, bo chciałem zobaczyć, co z nim zrobią;

doktor i wujaszek Silas weszli do domu za Tomkiem. Ci mężczyźni byli strasznie rozwścieczeni i kilku ich to nawet chciało koniecznie powiesić Jima, jako przestrogę dla wszystkich Murzynów w okolicy, żeby nie próbowali przypadkiem uciekać tak jak Jim, który narobił ludziom masę kłopotów, napędził całej rodzinie Phelpsów okropnego strachu i męczył ich przez tyle dni i nocy. Ale inni mówili, że tego nie wolno robić i że to byłoby głupie, bo ten czarnuch jest cudzy, więc na pewno znajdzie się właściciel i każe za niego zapłacić. To ich trochę ostudziło; zawsze tak jest. Ludzie, którzy są najpierwsi do wieszania Murzyna, co postąpił niezupełnie jak należy, nigdy nie są najpierwsi do płacenia za niego, kiedy już się nacieszą tym wieszaniem.

Jednakże wymysłów to Jimowi nie szczędzili i od czasu do czasu bili go po głowie, ale Jim nie pisnął ani słowa i udawał, że mnie wcale nie zna. Zaprowadzili go do naszego szałasu, kazali mu się ubrać w stare ubranie i przymocowali go łańcuchem, ale tym razem nie do żadnej nogi od łóżka, tylko do wielkiej żelaznej klamry, którą wbili w dolną belkę szałasu; a potem związali mu łańcuchem ręce i nogi, i powiedzieli, że do jedzenia będzie dostawał tylko chleb i wodę, dopóki nie zgłosi się po niego właściciel albo Jim nie zostanie sprzedany z licytacji, o ile właściciel nie zabierze go w przepisany czas. Wreszcie zasypali podkop i postanowili, że dwaj farmerzy ze strzelbami będą trzymali co noc straż przed szałasem, a na dzień przywiąże się do drzwi buldoga. A jak obgadawszy wszystko mieli już odejść, częstując Jima na odchodnym takimi jakby pożegnalnymi wymysłami, nadszedł stary doktor, zajrzał do szałasu i tak powiedział:

– Nie bądźcie dla niego za surowi, bo to nie jest zły Murzyn. Kiedy dostałem się na tę tratwę, gdzie znalazłem chłopca, zaraz zobaczyłem, że sam nie dam rady wydobyć kuli, a chłopiec był w takim stanie, że nie mogłem go zostawić i pójść po pomoc. Jego stan ciągle się pogarszał, a po pewnym czasie ranny zaczął bredzić, nie pozwalał mi do siebie podejść i mówił, że jeśli naznaczę kredą tratwę, zabije mnie, i plótł całą masę tym podobnych głupstw. Zrozumiałem, że w żaden sposób sobie z nim nie poradzę i wtedy powiedziałem na głos, że muszę koniecznie postarać się o jakąś pomoc. Ledwie skończyłem mówić, wyrósł koło mnie jak spod ziemi ten Murzyn i powiada, że mi pomoże, co też zrobił nadzwyczajnie zręcznie. Domyśliłem się naturalnie, że jest to zbiegły Murzyn – no i masz babo placek! Znalazłem się w paskudnej sytuacji, możecie mi wierzyć. Miałem dwóch pacjentów chorych na przeziębienie, więc naturalnie dużo bym dał za to, żeby móc pojechać do miasteczka i zbadać ich, ale nie pojechałem, bo wtedy Murzyn mógłby być uciec i ludzie mnie by o to winili. Jak na złość ani jedna łódź nie przepływała na tyle blisko, żebym ją mógł znakami przywołać. Siedziałem więc tak, uwięziony na tratwie, aż do dzisiaj

rano, i muszę wam powiedzieć, że nigdy nie widziałem Murzyna, który lepiej albo serdeczniej opiekowałby się chorym, choć przecież ryzykował własną wolność i ponadto mocno był wyczerpany; widziałem wyraźnie, że ostatnio ciężko musiał pracować. Spodobał mi się ten Murzyn i powiadam wam panowie – wart jest z tysiąc dolarów i należy mu się dobre traktowanie. Miałem tam wszystko, co mi było potrzebne, a chłopcu działo się nie gorzej niż w domu, może nawet lepiej, z uwagi na tę ciszę na rzece. Ale musiałem tkwić na miejscu i obu ich pilnować. Tak było aż do dzisiejszego rana. O świcie zobaczyłem ludzi w łodzi, a że szczęśliwym trafem Murzyn siedział przy posłaniu rannego i spał twardo z głową opartą o kolana, dałem znak mężczyznom i ci rzucili się na niego, pochwycili i związali go, zanim zrozumiał, co się święci. W ten sposób nie mieliśmy z nim żadnych kłopotów. Ponieważ chłopiec zapadł w gorączkowy sen, owinęliśmy wiosła szmatami, żeby nie skrzypiały w dulkach, przywiązaliśmy tratwę, a potem powoli i cicho przeciągaliśmy ją do brzegu. Murzyn od początku do końca zachowywał się spokojnie, nie powiedział ani jednego słowa. Nie uważam, panowie, żeby to był zły Murzyn. Takie jest moje zdanie.

Ktoś w tłumie odezwał się:

– Hm, muszę powiedzieć, doktorze, że to wygląda całkiem przyzwoicie.

Wtedy inni też trochę zmiękli, a ja okropnie byłem wdzięczny temu staremu doktorowi, że wyświadczył Jimowi taką przysługę; i byłem ogromnie rad, że to wszystko zgadza się z moim zdaniem o Jimie, ponieważ odkąd go pierwszy raz zobaczyłem, uważałem, że ma dobre serce i że zacny z niego człowiek. W końcu wszyscy mężczyźni przyznali, że Jim zachował się całkiem porządnie i nawet przyrzekli szczerze i tak z całego serca, że nie będą mu więcej urągać.

Potem wyszli z szałasów i zamknęli drzwi. Spodziewałem się, że może pozwolą mu zdjąć jeden czy dwa łańcuchy, bo były ohydnie ciężkie, albo zgodzą się, żeby oprócz chleba dostawał mięso i jarzyny, ale jakoś o tym nie myśleli, a ja uważałem, że nie byłoby dla mnie bezpiecznie mieszać się do tej sprawy. Swoją drogą postanowiłem, że w taki czy inny sposób powtórzę ciotce Sally, co mówił doktor, bylebym tylko przebrnął wpierw przez rafy, które sterczały tuż przede mną. Mam na myśli to, że będę się musiał tłumaczyć, dlaczego zapomniałem powiedzieć o ranie Tomka, chociaż opowiadałem dokładnie, jak tej przeklętej nocy pływaliśmy czółnem po rzece, polując na zbiegłego Murzyna.

Ale okazało się, że mam dużo czasu, bo ciotka Sally przez cały dzień i noc nie wychodziła z pokoju Tomka, a ile razy napatoczyłem się na krążącego w roztargnieniu wujaszka Silasa,

dawałem nura w bok.

Na drugi dzień od samego rana mówiono w domu, że Tomek ma się lepiej i że ciotka Sally poszła zdrzemnąć się trochę. Więc przekradłem się do pokoju Tomka postanawiając, że jak nie śpi, ułożymy we dwóch taką historyjkę, która nie puści w praniu. Ale Tomek spał, i to bardzo spokojnie, i był blady, a nie rozogniony, jak kiedy go przywieźli. Usiadłem i czekałem, aż się obudzi. Po jakiej półgodzinie wsunęła się do pokoju ciotka Sally – no i znowu leżałem jak długi! Dała mi ręką znak, żebym był cicho, usiadła koło mnie i zaczęła mówić szeptem, że. teraz możemy się już wszyscy cieszyć, bo objawy są pierwszorzędne. „Sid” śpi tak od bardzo dawna, a że wygląd ma coraz zdrowszy i spokojniejszy, najpewniej obudzi się całkiem przytomny.

Więc siedliśmy wpatrzeni w niego i po jakimś czasie Tomek poruszył się, zupełnie przytomnie otworzył oczy, spojrzął dokoła i powiada:

– To ja jestem w domu? Jakim cudem? Co z tratwą?

– Z tratwą wszystko w porządku – odparłem.

– A z Jimem?

– Z Jimem też. – Powiedziałem to tak jakoś nie bardzo pewnie, ale Tomek tego nie spostrzegł.

– Świetnie! Wspaniale! – zawołał. – Teraz nic już nam nie grozi. Opowiedziałeś ciotce?

Już miałem przytaknąć, ale ona mnie uprzedziła:

– O czym, Sid?

– O czym? O tym, jakeśmy to wszystko urządzili.

– Jak coście urządzili?

– To, ciociu Sally. Tylko jedno jest ważne. Sposób, w jaki uwolniliśmy z Tomkiem tego zbiegłego Murzyna.

– Mój ty Boże! Uwolniście zbieg... O czym to dziecko mówi? Znowu zaczyna bredzić.

– Nie, ani trochę nie bredzę. Wiem doskonale, o czym mówię. To my uwolniliśmy tego Murzyna. Tomek i ja. Uplanowaliśmy sobie, że to zrobimy, więc zrobiliśmy. I to jeszcze jak! – Tomek rozgadał się na dobre i ciotka Sally ani myślała mu przerywać: siedziała cicho i tylko wybałuszała na niego oczy, a on plół i plół, więc dobrze wiedziałem, że nie warto mi się odzywać.

– Ach, ciociu, jak myśmy harowali! Tydzień po tygodniu, godzina po godzinie, noc w noc, kiedyście wszyscy spali. Musieliśmy ukraść te świece i prześcieradło, i koszule, twoją suknię perkalową, łyżki, talerze, scyzoryki, rondel, kamień szlifierski, mąkę i masę najróżniejszych

innych rzeczy. Nie masz ciociu, pojęcia, ile mieliśmy roboty z tymi piórami, piłami, napisami i tak dalej – a żebyś ty wiedziała, co to była za przyjemność! I musieliśmy rysować te obrazki z trumną i czaszką, pisaliśmy listy od rozbójników, jeździliśmy tam i na powrót po drucie od piorunochronu, wykopaliśmy tę dziurę w szałasie, zrobiliśmy drabinę z prześcieradła i posłaliśmy ją Jimowi w cieście, i posyłałaliśmy mu łyżki i inne narzędzia w kieszeni twojego fartucha...

– Boże miłosierny!

– ...i wpuściliśmy kupę węzów i szczurów do szałasu, żeby Jim miał towarzystwo. A potem, ciociu, tak długo trzymałaś Tomka w bawialni z masłem w kapeluszu, żeś o mało co wszystkiego nie zepsuła, bo mężczyźni przyszli, zanim my zdążyliśmy wyjść z szałasu. Musieliśmy biec, a wtedy oni nas usłyszeli i rzucili się za nami, no i mnie się przy tym coś niecoś dostało. Ale uskoczyliśmy ze ścieżki w bok, i przepuściliśmy ich, a jak psy nadbiegły, wcale się nami nie interesowały, tylko zaczęły gnać za największą wrzawą. A potem wskoczyliśmy do naszego czółna i popłynęliśmy do tratwy, i nic nam już nie groziło, i Jim był wolnym człowiekiem. A zrobiliśmy to całkiem sami! Czy to nie morowe, ciociu?

– W życiu nie słyszałam czegoś podobnego! Więc to wy, obwiesie, narobiliście nam tych wszystkich zmartwień i o mało co nie doprowadziliście nas do wariactwa, i nastraszyliście nas tak okropnie?! Aż mnie ręka świerzbi, żeby się z wami porachować! Pomyśleć tylko, że ja tu co noc... Jak mi tylko wyzdrowiejesz, ty urwisie, wybiję wam obu diabła zza skóry!

Ale Tomek był taki dumny i taki rozradowany, że zwyczajnie nie mógł się powstrzymać i trzepał językiem jak najęty, a ciotka Sally co rusz mu przerywała, strasznie rozwścieczona, i potem oboje wykrzykiwali naraz, co zupełnie przypominało kocią muzykę. W końcu ciotka Sally powiedziała:

– No, radzę ci, żebyś się teraz nacieszył na zapas, bo pamiętaj: jeżeli jeszcze raz złapię cię na tym, jak się do niego zbliżasz...

– Do kogo? – spytał Tomek. Przestał się uśmiechać i miał bardzo zdziwioną minę.

– Do kogo? Do zbiegłego Murzyna, to chyba jasne. A tyś myślał, że do kogo?

Tomek spojrzał na mnie tak jakoś strasznie poważnie i spytał:

– Przecież mówiłeś mi przed chwilą, że z Jimem wszystko w porządku. To on nie uciekł?

– Jeszcze by też! – zawołała ciotka Sally.—Przyprowadzili go całego i zdrowego i z powrotem zamknęli w szałasie. Będzie tam siedział o chlebie i wodzie, cały skuty łańcuchami, dopóki nie zgłosi się po niego właściciel albo nie zostanie sprzedany.

Tomek usiadł na łóżku, oczy strasznie mu błyszczały, a nozdrza poruszały się jak skrzela u ryby. Spojrzał na mnie i wrzasnął:

– Nie mają prawa go zamykać! Prędko, biegnij tam, Huck! Wypuść go! Jim nie jest niewolnikiem. Jest tak samo wolny jak ty i ja, i inni ludzie!

– Co ten chłopiec mówi?

– Mówię to, co wiem, ciociu Sally. A jeżeli ktoś tam zaraz nie pobiegnie, ja pójdę. Tomek i ja znamy Jima całe życie. Starej panie Watson zrobiło się wstyd, że go chciała sprzedać na Południe. Umarła dwa miesiące temu, a przed śmiercią nadała mu wolność w testamencie.

– W takim razie po co, u Boga Ojca, chciałeś go uwolnić, jeżeli i tak był wolny?

– Też mi pytanie! Ale po kobiecie nie można się niczego innego spodziewać. Przecież chodziło mi o przygody. Gotów byłbym po kolana unurzać się we krwi, byleby... Ciocia Polly!

Jeżeli ciotka Polly nie stała na progu pokoju, z miną taką uradowaną i zadowoloną, jak anioł opchany do niemożliwości ciastkami – niech zwyczajnie skisnę!

Ciotka Sally rzuciła jej się na szyję i tak ją ścisnęła, że o mało co nie urwała jej głowy, a przy tym płakała z radości. Znalazłem sobie nie najgorsze miejsce pod łóżkiem, bo pomyślałem, że robi się tu dla nas trochę za gorąco. Siedziałem pod tym łóżkiem i wyglądałem, i po chwili widzę, że ciotka Polly wyrwała się jakoś z objęć ciotki Sally i stoi teraz spoglądając na Tomka znad okularów – wiecie, jakby go chciała zetrzeć tym wzrokiem na proch. Potem powiada:

– Masz rację, Tomku, odwróć lepiej oczy. Ja bym na twoim miejscu zrobiła to samo.

– Boże mój – zawołała ciotka Sally. – Czy on się aż tak bardzo zmienił? Przecież to nie Tomek, tylko Sid. Tomek jest... Tomek, Tomek! Gdzie się podział Tomek? Był tu przed chwilą.

– Chciałaś chyba powiedzieć, gdzie się podział Huck Finn. Jego pewnie miałaś na myśli. Nie na to wychowuję od lat tego mojego obwiesia, żebym go teraz miała nie poznać od pierwszego wejrzenia. Huck, wyjdź mi zaraz spod łóżka!

Więc wyszedłem. Ale wcale nie czułem się pewnie; Ciotka Sally była najbardziej zdumioną osobą, jaką w życiu widziałem, z wyjątkiem jednego chyba wujaszka Silasa, kiedy wszedł do pokoju i usłyszał o wszystkim. Można powiedzieć, że go ta wiadomość upiła; do końca dnia nie wiedział, co się z nim dzieje i wieczorem na nabożeństwie wygłosił kazanie, którego niemożliwie wslawiło, ponieważ najstarszy człowiek na świecie też nic by z tego nie zrozumiał.

Ciotka Polly powiedziała im o mnie: kim jestem i tak dalej. Potem musiałem wstać i wytłumaczyć im wszystko. Więc jak się to stało, że kiedy pani Phelps – tu ona mi przerwała i

powiada:

„Och, możesz mnie dalej nazywać ciotką Sally, przywykłam do tego, więc po co zmieniać” – ...że kiedy ciotka Sally wzięła mnie za Tomka Sawyera, nie zaprzeczyłem, bo nie miałem innego wyjścia. Wiedziałem, że Tomek się na mnie nie pogniewa, bo to było tajemnicze, a on za takimi rzeczami przepada, więc teraz też pewnie zrobi z tego wielką przygodę i będzie bardzo zadowolony. Tak się też stało: Tomek udawał Sida i pomagał mi, jak tylko mógł.

Ciotka Polly powiedziała, że Tomek mówił prawdę. Stara panna Watson nadała Jimowi wolność w testamencie. No i pomyślcie! Tomek Sawyer zadał sobie tyle trudu, żeby uwolnić wolnego Murzyna! A ja aż do tej rozmowy w żaden sposób nie mogłem zrozumieć, jak się to dzieje, że chłopiec z takim wychowaniem może pomagać w wykradaniu Murzyna.

Ciotka Polly powiedziała jeszcze, że kiedy ciotka Sally napisała jej, że Tomek z Sidem szczęśliwie zajechali i są zdrowi, zaraz sobie pomyślała: „Coś podobnego! Właściwie było to do przewidzenia, kiedy puściłam go samego taki szmat drogi bez żadnej opieki. Więc teraz muszę przejechać tysiąc sto mil w dół rzeki po to, żeby się przekonać, co ten smarkul znowu przeskrobał. Zwłaszcza że jakoś nie mogłam doczekać się od ciebie odpowiedzi”.

– Przecież ja nie miałam od ciebie żadnego listu – powiedziała ciotka Sally.

– Nie rozumiem! Prosiłam cię dwukrotnie, żebyś mi wyjaśniła, co masz na myśli pisząc o przyjeździe Sida!

– Hm, nie dostałam tych listów.

Wtedy ciotka Polly obróciła się bardzo wolno i groźnie do Tomka i powiedziała:

– Tomek, słyszałeś?

– Co takiego? – spytał tak jakoś gniewnie.

– Nie udawaj, że nic nie rozumiesz, ty bezwstydnny urwisie. Oddaj mi zaraz te listy.

– Jakie listy?

– Te listy. Pamiętaj, że jak cię dostanę w ręce...

– Są w kuferku. No, przecież nic się nie stało, ciociu. Są takie same, jak kiedy je odbierałem z poczty. Nie miałem zamiaru ich otwierać i czytać. Wiedziałem, że narobią kramu, więc pomyślałem, że jeśli się, ciociu, za bardzo nie pośpieszysz, zdążę...

– Oj, Tomku, należą ci się baty, nie ma co! Ale wysłałam do ciebie, Sally, jeszcze jeden list, zawiadamiający cię o moim przyjeździe. Głowę dam, że ten smarkacz...

– Nie, dostałam ten list wczoraj – odparła ciotka Sally. – Co prawda nie zdążyłam go

przeczytać, ale go mam przynajmniej.

Chętnie bym się z nią założył, że go nie ma, ale pomyślałem, że może będzie bezpieczniej, jak tego nie zrobię. Więc nic nie powiedziałem.

Rozdział ostatni, w którym nie ma już o czym pisać

Kiedy pierwszy raz mogłem porozmawiać z Tomkiem na osobności, spytałem go, jakie miał plany na potem. Czyli co zamierzał zrobić, gdyby się ucieczka powiodła i gdyby zdołał uwolnić Murzyna, który już był wolny. Odparł mi, że od samego początku miał w głowie taki plan: jakby nam się udało wydostać Jima z szałasów, powieźlibyśmy go tratwą aż do ujścia rzeki i mielibyśmy po drodze furę przygód, a potem powiedzielibyśmy mu, że jest wolny, wrócilibyśmy z nim elegancko parowcem w górę rzeki, zapłacilibyśmy mu za stracony czas, zawiadomilibyśmy w domu o dniu naszego przyjazdu, zwołalibyśmy wszystkich Murzynów z okolicy i kazalibyśmy im wprowadzić go do miasteczka z pochodniami i orkiestrą. Wtedy Jim zostałby bohaterem, a my naturalnie też. Ale uważam, że tak jak jest, jest dobrze.

Raz dwa uwolniliśmy Jima z łańcuchów, a kiedy ciotka Polly, wujaszek Silas i ciotka Sally dowiedzieli się, jak Jim pomagał doktorowi pielęgnować Tomka, strasznie zaczęli koło niego skakać, więc na niczym mu nie zbywało: mógł jeść, ile chciał, nie miał nic do roboty i było mu bardzo przyjemnie. Przyprowadziłem go do pokoju Tomka i nagadaliśmy się za wszystkie czasy. Tomek dał mu czterdzieści dolarów za to, że tak cierpliwie był więźniem i tak świetnie to robił, a Jim o mało co nie pękł z radości. Zawołał:

– A co ja ci mówiłem, Huck, tam na tej Wyspie Jacksona? Mówiłem ci, że mam owłosione piersi i czego to jest znak. I mówiłem, że dawniej byłem bogaty i że znowu będę bogaty. No i masz, sprawdziło się! Widzisz! Tylko mi się nie śmieję – znak to jest znak, i koniec.

Potem Tomek rozpuścił język i gadał, gadał, i w końcu zaczął nas namawiać, żebyśmy wymknęli się z domu któreś nocy, kupili sobie odpowiednie wyposażenie i pojechali na jakie dwa tygodnie w puszcę szukać najokropniejszych przygód między Indianami. Powiedziałem, że owszem, bardzo mi się ta myśl podoba, ale nie mam pieniędzy na kupno tego wyposażenia, a z domu chyba nic nie dostanę, bo kto wie, czy tatko nie wrócił do tego czasu. A jak wrócił, odebrał

pewnie wszystko od sędziego Thatchera.

– Nie, nie odebrał – powiedział. Tomek. – Sędzia Thatcher ma jeszcze te pieniądze, ponad sześć tysięcy dolarów. A twój tatko wcale nie wrócił do miasteczka. Przynajmniej nie wrócił do mojego wyjazdu.

Jim odezwał się, tak jakoś uroczyście:

– I nigdy nie wróci, Huck.

– Dlaczego, Jim? – spytałem.

– O to sobie głowy nie susz. Powiadam ci zwyczajnie, Huck, że więcej nie wróci.

Ale nie dawałem Jimowi spokoju, więc w końcu tak się odezwał:

– Pamiętasz, Huck, ten dom, co to płynął z prądem po rzece? Leżał tam jakiś człowiek, cały przykryty, a ja wszedłem i odkryłem go, i nie pozwoliłem ci patrzeć. No więc możesz sobie wziąć te pieniądze, jak ci tylko przyjdzie ochota. Bo ten człowiek to był twój tatko.

Tomek jest już prawie zdrowy, nosi swoją kulę zawieszoną na szyi na łańcuszku od zegarka i co chwilę sprawdza, która godzina. Więc nie ma już o czym pisać, z czego okropnie się cieszę, bo jakbym wiedział, ile człowiek ma mitręgi z pisaniem książki, nigdy bym się za to nie brał. I w ogóle zbrzydła mi ta pisanina. Ale myślę, że będę musiał zwać do puszczy wcześniej niż Jim i Tomek, bo ciotka Sally postanowiła mnie zaadoptować i ucywilizować, a ja tego nie wytrzymam. Wiem już, czym to pachnie.